

A black and white photograph of a man and a woman embracing on a dark, textured floor. The woman is in the foreground, wearing a white dress with a patterned skirt, and has her face buried in the man's chest. The man is behind her, wearing a white shirt and dark pants, with his arms wrapped around her. The lighting is dramatic, highlighting their forms against the dark background.

ma
ra
o
yer
ze
m
sta

MICHELLE HODKIN

Michelle Hodkin

MARA DYER: ZEMSTA

Przełożyła Małgorzata Fabianowska



Tytuł oryginału: *The Retribution of Mara Dyer*

Polish language translation copyright © 2015 by Małgorzata
Fabianowska

Original English language edition copyright. Copyright © 2014 by
Michelle Hodkin.

Published by arrangement with Simon and Schuster Books For Young
Readers, an Imprint of Simon & Schuster Children's Publishing
Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or
transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical,
including photocopying, recording or by any information storage and
retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXV

Wydanie I
Warszawa

Dedykuję tę książkę złym dziewczynkom i chłopcom, którzy je kochają

„Wszystko, co robimy z miłości,
odbywa się poza dobrem i złem”.

— Friedrich Nietzsche, *Poza dobrem i złem*¹

Wywiad z Marą Dyer przeprowadzono w [zatarte] Ośrodku Leczenia Psychiatrycznego „Horyzonty”. 31821 No Name Island, Floryda. Czas zapisu wideo: 14.13.

Prowadzący badanie: Dr Deborah Kells

Obecny w czasie badania: p. [zatarte]

KELLS: Witaj, Maro. Nazywam się Deborah Kells, a to jest pan _____. Spotykamy się tutaj, gdyż rodzina zgodziła się na twój pobyt na oddziale zamkniętym Ośrodka Leczenia Psychiatrycznego „Horyzonty” na No Name Island na Florydzie. Zgadza się?

[Cisza]

KELLS: Ile amytału dostała?

PAN _____: Czterdzieści centymetrów sześciennych.

KELLS: Anemozyny?

PAN _____: Sto mikrogramów.

KELLS: A midazolamu?

PAN _____: Pięćdziesiąt mikrogramów. Tak jak inni.
Niczego nie pamięta.

KELLS: Dobrze, jest jak zombi. Maro, Maro...
obudziłaś się? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

MARA: ...Tak.

KELLS: Świetnie. Dziękuję. Czy potwierdzasz, że
zgodziłaś się być tutaj leczona?

MARA: Tak.

KELLS: Dziękuję. Teraz będę zadawała ci pytania
i proszę, żebyś zgłaszała mi, jeśli nie rozumiesz, o co
pytam, abym mogła sformułować pytanie w sposób
bardziej zrozumiały, dobrze?

MARA: Dobrze.

KELLS: Jak widzisz, w pokoju jest kamera. Nagrywamy
wszystko w celu dokumentowania. Czy masz coś
przeciwko temu?

MARA: Nie.

KELLS: Doskonale. W takim razie, Maro, zacznijmy od
początku. Twoje pełne imię i nazwisko?

MARA: Mara Amitra Dyer.

KELLS: Ile masz lat?

MARA: Siedemnaście.

KELLS: Gdzie się urodziłaś?

MARA: W Laurelton.

KELLS: Gdzie to jest?

MARA: Niedaleko Providence.

KELLS: Rhode Island?

MARA: Tak.

KELLS: Dziękuję. Czy możesz mi krótko opowiedzieć, jak tutaj trafiłaś?

[Cisza]

KELLS: Ma trudności z pytaniami otwartymi. Czy możemy zneutralizować anemozynę?

PAN _____: Wtedy może nie współpracować.

KELLS: Teraz też słabo współpracuje.

PAN _____: Mogę tylko dożyłnie.

KELLS: Jasne. Więc...

MARA: Zabijam ludzi.

PAN _____: Czy mam...

KELLS: Nie, czekaj, niech mówi. Maro, kogo zabiłaś?

MARA: Moją nauczycielkę.

KELLS: Jak się nazywała?

MARA: Morales.

PAN _____: W jej papierach jest napisane, że nauczycielka, pani Christina Morales, zmarła w wyniku wstrząsu anafilaktycznego wywołanego ukąszeniami mrówek ognistych w dniu [data zatarta].

KELLS: Dzięki.

MARA: I jeszcze... faceta. Dręczył psa. Ja... ja...

KELLS: Spokojnie. Nie spiesz się. Opowiedz nam po prostu, co pamiętasz.

MARA: Rachel.

PAN _____: Rachel Watson, nie żyje, zmarła w środę [data zatarta], w Laurelton. Szczątki znaleziono o szóstej rano, razem z...

MARA: Claire.

PAN _____: Claire Lowe, zgadza się, a także jej brat, Jude Lowe...

MARA: Noah.

PAN _____: Noah Shaw? Nie widzę tu...

KELLS: Cicho.

PAN _____: Przepraszam. Ej, widzisz? Ona...

KELLS: Co jeszcze jej daliście?

PAN _____: Sto miligramów zyprexy, którą miała wcześniej przepisana. Nie powinno być interakcji.

MARA: [niezrozumiały]

KELLS: Co powiedziała?

PAN _____: Nie wiem. Jezu, patrz...

KELLS: Może jeszcze coś?

PAN _____: Trzeba...

KELLS: Przypomnij sobie.

PAN _____: Nie, na pewno już nic.

KELLS: Czy jest wzmianka o epilepsji?

PAN _____: Nic takiego nie widzę w papierach.

KELLS: Więc co o tym myślisz?

PAN _____: Nie.... Jezu Chryste, czy to atak? Czy ona zejdzie?

KELLS: Wyłącz kamerę.

MARA: [niezrozumiały]

KELLS: Co mówisz, Maro?

PAN: _____: Zadzwoń do...

KELLS: Nigdzie nie dzwoń. Wyłącz kamerę. Maro?

MARA: [niezrozumiały]

KELLS: WYŁĄCZ KAMERĘ.

PAN _____: O Boże...

[Koniec zapisu wideo, 14.21]

Pierwszą twarzą, jaką zobaczyłam, kiedy otworzyłam oczy, była moja własna twarz.

Ściana przed metalowym łóżkiem była wyłożona lustrami. Podobnie ściany z lewej i z prawej – było tam na oko pięć czy sześć lusterek. Nie czułam żadnych zapachów, niczego nie słyszałam i nikogo nie widziałam oprócz siebie.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy starałam się nie patrzeć w lustro. Teraz nie miałam wyjścia. Nie mogłam uwierzyć, że dziewczyna, na której odbicie patrzę, jest mną. Moje czarne, gęste włosy, rozdzielone przedziałkiem, teraz pozlepiane i matowe, opadały na chude ramiona. Usta miały niemal ten sam kolor co skóra, czyli praktycznie białe. Na mojej twarzy pojawiły się cienie, których wcześniej nie zauważyłam. Może po prostu ich nie było. Patrzyłam na ducha, na kogoś obcego, na cudzą cielesną powłokę. Gdyby zobaczyli mnie rodzice, nie wiedzieliby, kim jestem.

Ale rodzice nie mogli mnie zobaczyć i to była część problemu, przez który trafiłam tutaj.

– Taa, wyglądamy jak zmora – powiedział jakiś głos.

Mój głos.

Ale ja nic mówiłam. Moje usta się nie poruszyły.

Usiadłam gwałtownie na łóżku i popatrzyłam na swoje nieskończone odbicia. Odpowiedziały mi spojrzeniem spanikowanym i zarazem czujnym.

– U góry.

Głos rozlegał się nade mną. Uniosłam głowę. Sufit również był cały w lustrach. Zobaczyłam w nim swoje odbicie – a ono uśmiechało się do mnie. Chociaż ja się nie uśmiechałam.

No tak. Stało się.

– Jeszcze nie – odpowiedziało odbicie z lekkim rozbawieniem. – Ale jesteś blisko.

– Co... co to ma być? Halucynacje?

– Nie. Zgaduj dalej – zachęciło.

Na moment zniżyłam wzrok i rozejrzałam się po pokoju. Wszystkie odbicia posłusznie obracały głowę wraz ze mną. Boże... Miałam nadzieję, że to tylko sen.

Znów popatrzyłam na odbicie w górze. Dziewczyna

w lustrze – chyba jednak ja – lekko przekrzywiła głowę w lewo.

– Dobrze, powiem ci – zgodziła się łaskawie. – Znajdujesz się w stanie zawieszenia pomiędzy świadomością a nieświadomością. To powinno cię pocieszyć, że nie zwariowałaś.

Kiepskie pocieszenie.

– Poza tym powinnaś wiedzieć, że nasz puls i oddech są monitorowane, więc będzie lepiej dla nas obu, jeśli się położysz.

Rozejrzałam się za monitorami, ale nie widziałam żadnej aparatury. Jednak posłuchałam tej dziewczyny.

– Dzięki – powiedziała. – Gdyby nasz puls przyspieszył, Wayne zaraz by tu przyleciał, a ten gość wywołuje w nas ciarki.

Pokręciłam głową, aż zaszeleściła jednorazowa powłoczka na poduszce.

– Nie mów „nas”, bo przechodzą mnie ciarki.

– Przykro mi, ale tak ma być. Ja jestem tobą – odrzekło moje odbicie. – Przy czym zaznaczam, że nie jestem twoją wielką fanką – dodało.

Zawsze miałam dziwne sny. I dziwne halucynacje. Ale to, co przeżywałam teraz, wymykało się wszelkim wyobrażeniom.

– Dobra, ale kim jesteś? Moją... podświadomością albo czymś w tym stylu?

– Nie możesz rozmawiać ze swoją podświadomością. To głupie. Już prędzej mogę określić siebie jako... jako tę część ciebie, która pozostaje świadoma nawet wtedy, kiedy wydaje ci się, że tracisz świadomość. Ona szpikowała nas lekami – mnóstwem leków – i te leki w dużym stopniu przytłumiły naszą... przepraszam, twoją świadomość, lecz w innym sensie ją wyostrzyły.

– Ona, czyli...

– Doktor Kells.

Jakaś aparatura piknęła głośno, gdy puls mi przyspieszył. Zamknęłam oczy i obraz doktor Kells wyłonił się z mroku. Majaczył nade mną tak blisko, że widziałam maleńkie pęknięcia w grubej warstwie jej szminki. Otworzyłam oczy, żeby go odegnać, i zobaczyłam siebie.

– Jak długo tutaj jestem? – spytałam głośno.

– Trzynaście dni – odpowiedziała dziewczyna w lustrze.

Trzydzieści dni. Tak długo byłam więźniem we własnym ciele; odpowiadałam na pytania, na które nie chciałam odpowiadać, i robiłam rzeczy, których robić nie chciałam. Każda moja myśl czy wspomnienie były mętne, jak za mgłą – ja zamknięta w pomieszczeniu, które wygląda jak dziecięcy pokój, szkicująca kolejne obrazy tego, co powinno być moją twarzą. Ja posłusznie wyciągająca ramię i Wayne, asystent Kells przy terapeutycznych torturach, który pobiera mi krew. I jeszcze ja pierwszego dnia, kiedy ocknęłam się tutaj, zniewolona przez leki i zmuszona do słuchania słów, które miały zmienić moje życie.

„Uczestniczysz w eksperymencie typu podwójnej ślepej próby, Maro”.

Eksperyment.

„Wybrano cię do tego programu, gdyż spełniasz określone warunki. A mianowicie posiadasz gen, który ci szkodzi”.

Bo jestem inna.

„Ów gen sprawia, że zachowujesz się w sposób, który stanowi zagrożenie dla ciebie i dla innych”.

Zabiłam ich.

„Wierz mi, próbowaliśmy za wszelką cenę ocalić twoich przyjaciół... Niestety, nie zdołaliśmy uratować Noaha Shawa”.

Ale ja nie zabiłam Noaha. Nie mogłabym go zabić.

– Gdzie oni są? – zapytałam swoje odbicie.

Zmieszało się, a potem popatrzyło w lustro z prawej strony. Normalne lustro, pomyślałam, ale w tym momencie tafla pociemniała.

Z ciemności wyłonił się obraz dziewczyny, czy raczej tego, co było kiedyś dziewczyną. Klęczała na dywanie; czarne włosy opadały na nagie ramiona, kiedy pochylała się nad czymś, czego nie widziałam. Skórę miała opaloną, a cienie tańczyły na jej twarzy. Obraz był rozmazany, jakby ktoś namalował go pastelami, a potem wylał na niego wodę i kolory zaczęły się rozplýwać. Wtem dziewczyna uniosła głowę i spojrzała prosto na mnie.

To była Rachel.

– To tylko zabawa, Maro.

Głos miała chrapliwy. Zniekształcony. Kiedy znów otworzyła usta, usłyszałam jedynie szum, jakby zanikł sygnał w radiu. Jej uśmiech był już tylko białą smugą.

– Co się z nią dzieje? – szepnęłam wpatrzona w obraz Rachel falujący w lustrze.

– Nic specjalnego, poza tym, że jest martwa. Natomiast coś jest nie tak z twoją pamięcią o niej. Bo teraz właśnie widzisz swoje wspomnienia.

– Dlaczego ona wygląda jak... – Nie wiedziałam, jak określić ten stan. – No... jak teraz?

– Jakby falowała? Myślę, że to przez świece. Zapaliłyśmy świece, zanim we trzy zabawiłyśmy się z tabliczką ouija. Nie mów, że nie pamiętasz!

– Pamiętam, ale nie o to mi chodzi. Ona jest... jest zniekształcona.

Rachel poruszała rękami, ale skrywał je cień i nie mogłam zobaczyć, co robi. Wreszcie uniosła jedną do twarzy. Ramię kończyło się na przegubie.

Dziewczyna nade mną wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia dlaczego. Nie wszystkie twoje wspomnienia są takie. Spójrz w lewo.

Spojrzałam. Spodziewałam się, że drugie lustro pociemnieje, ale tak się nie stało – przynajmniej nie od razu. Widziałam, jak końce włosów mojego odbicia

stają się rude i stopniowo rudość ogarnia je aż do cebulek. Moja twarz zaokrągliła się i oto lustro popatrzyło na mnie oczami Claire.

Claire wstała z łóżka i jej obraz oddzielił się od mojego. Zrzuciła białą szpitalną koszulę, którą miałam na sobie, i czarne nici zaczęły się błyskawicznie przeplatać na jej bladym, piegowanym ciele, aż uprzedły czarne dzinsy i puchówkę, które miała na sobie w czasie wyprawy do psychiatryka. Jasne światło pokoju z lustrami zamigotało i zgasło. Korzenie przebiły się przez betonową podłogę za moim łóżkiem i wyrosły z nich niebotyczne drzewa.

Claire zerknęła na mnie przez ramię.

– Boże, ona już ma cykora – powiedziała.

Jej głos brzmiał normalnie, a cała postać była wyraźna. Nie falowała i się nie rozplýwała. Niczego jej nie brakowało.

– Nie mam pojęcia, o co tu chodzi – przyznało odbicie nad moją głową. – Z Jude'em jest tak samo.

Na dźwięk tego imienia poczułam nagłą suchość w ustach. Popatrzyłam w górę i podążyłam za spojrzeniem tamtej dziewczyny. W lustrze z prawej strony pojawił się Jude. Stał w samym środku

wypieszczonego ogrodu zen, otoczony kręgiem klęczących, skulonych, przerażonych postaci, które wyglądały jak głazy. Wśród nich byli Jamie i Stella. Jude trzymał Stellę za jej czarne, lśniące włosy. Widziałam żyły na jego rękach, pory skóry. Obraz był bardzo wyraźny. Poczułam przypływ furii.

– Spokojnie! – upomniało mnie odbicie. – Wybudzisz nas.

– No i co z tego? Nie chcę tego oglądać.

Nie chciałam widzieć Jude’a. Kiedy znów spojrzałam w prawo, obraz był już inny. Teraz ktoś przyciskał go do pustej, białej ściany; jakaś ręka zaciskała się na jego gardle. Moja ręka.

Spojrzałam na sufit. Nie chciałam pamiętać Horyzontów i niczego, co działo się ze mną od tamtego czasu. Spojrzałam na swoje kostki u nóg i przeguby. Nie byłam przywiązana.

– Powiedz mi, jak stąd wyjść – zażądałam.

– Oni nie potrzebują nas wiązać, żeby nas tu uwięzić – odpowiedziało odbicie. – Robią to za nich psychotropy. Dlatego jesteśmy ulegli. Współpracujemy. I myślę, że leki nas zmieniają. Jeszcze nie wiem, w jaki sposób, ale coś w tym musi być, że obraz Rachel w twojej pamięci

jest zaburzony, a obrazy Jude'a i Claire nie.

– A moi bracia? Rodzice? Co z nimi? – I Noah, pomyślałam, ale nie wypowiedziałam tego imienia na głos.

W miarę jak mówiłam, wokół mnie pojawiały się obrazy. Joseph w garniturze z poszetką przewracał oczami na czyjś widok. Daniel śmiał się w swoim samochodzie, robiąc do mnie miny zza kierownicy. Mama siedziała na łóżku z laptopem na kolanach, ze zmęczoną, zgnębiającą twarzą. Tata pałaszował w szpitalu przemyconą do sali pizzę. I Noah...

Noah miał zamknięte oczy, ale oddychał. Spał. Jedną rękę, z dłonią zwiniętą w pięść, trzymał przy twarzy. Miał na sobie jeden z tych swoich dziurawych T-shirtów; zadarta koszulka odkrywała pasek skóry nad bokserkami. Tak wyglądał tamtego ranka, kiedy powiedziałam mu, co jest ze mną nie tak. Kiedy usiłowaliśmy dociec, co jest nie tak z nami.

Nie mogłam się na nich napatrzeć – na ludzi, których kochałam, którzy śmiali się, rozmawiali i żyli na tej szklanej tafli. Po chwili uświadomiłam sobie, że coś się dzieje. Przyjrzałam się dokładniej Noahowi. Spał i nie ruszał się, więc łatwiej było to zaobserwować. Kontury jego postaci traciły ostrość. Zacierają się. Popatrzyłam

na braci i rodziców. Oni też się rozplýwali.

– Chyba ich tracimy – powiedziała dziewczyna. – Nie wiem dlaczego, ale s¸dzę, że to sprawka Kells i że robi to celowo.

Słuchałam jej nieuważnie, gdyż nie mogłam oderwać wzroku od luster.

– Ju¸ nigdy ich nie zobaczę. – To nie było pytanie.

– Moje Źródła temu przecz¸.

– Wiesz co? Pieprzysz jak potłuczona – warknęłam.

– To by tłumaczyło, czemu jeste¸my tak popularne. A skoro o tym mowa, Jamie i Stella te¸ tu s¸. Informuję cię na wypadek, gdyby¸ chciała wiedzieć.

– Widziała¸ ich?

Pokręciła głow¸.

– Nie, ale Wayne raz wspomniał Kells o Rocie, a dwa razy o Benicii. I mówił o nich w czasie tera¸niejszym.

Odetchnęłam z ulg¸. Gardło ścis¸kało mi się bole¸nie i miałam ochotę się rozpl¸kać, ale łzy nie napłýnęły.

– A co z Noahem? – Wyrzuciłam z siebie to pytanie, zanim zdążyłam pomyśleć, czy naprawdę pragnę odpowiedzi.

– Kells wspomniała o nim raz.

Nie zadowolila mnie ta informacja. Teraz już musiałam wiedzieć.

– Co powiedziała? – spytałam niecierpliwie.

– Że...

Nie dokończyła zdania. Coś zasyczało i kliknęło za moją głową. Dziewczyna znieruchomiała.

– Co jest? Co się dzieje?

Nie odpowiedziała. Kiedy znów przemówiła, głos jej drżał.

– Idą tutaj – powiedziała i znikła.

Do tego momentu nie byłam pewna, czy się ocknęłam, czy ciągle mam halucynacje. Jednak odgłosy, które słyszałam, wydawały się bardzo realne. Zbyt realne. Stukot wysokich obcasów na linoleum. Ruch powietrza nad moją głową, kiedy szybkim ruchem otwarto drzwi. Spojrzałam na sufit. Otworzyłam usta. Moje odbicie zrobiło to samo.

Więc zostałam sama. Definitywnie. Choć nie byłam do końca pewna, co jest realne, a co nie, wiedziałam jedno – nie chcę, żeby Kells wiedziała, że nie śpię. Zamknęłam oczy.

– Dzień dobry, Maro – powitała mnie doktor Kells różnym głosem. – Otwórz oczy.

Oczy się otworzyły, tak po prostu. Zobaczyłam doktor Kells stojącą koło mojego łóżka i jej odbicia, nieskończenie zwielokrotnione w lustrach niewielkiego pomieszczenia. Za nią stał Wayne, potężny, niechlujny, o nalanej twarzy – całkowite przeciwieństwo jej szczupłości, elegancji i schludności.

– Dawno się obudziłaś? – spytała.

Moja głowa poruszyła się w prawo i w lewo na poduszce. Tym razem nie miałam poczucia, że to ja nią pokręciłam.

– Jakiś czas temu monitor zasygnalizował mocniejsze uderzenie twojego serca. Czy miałaś zły sen?

Przecież to wszystko teraz przypominało zły sen! Pytała ze szczerą troską, a ja jeszcze nigdy w życiu nie miałam takiej ochoty, żeby kogoś walnąć.

Potrzeba była tak silna, że ręka rwała mi się do ciosu. Podobało mi się to uczucie, ale zaledwie zdążyłam się nim nacieszyć, rozpląnęło się, pozostawiając mnie chłodną i pustą.

– Powiedz mi, jak się czujesz – zachęciła doktor Kells.

Powiedziałam. Nieważne, że nie chciałam jej nic mówić. Nie miałam wyboru.

– Chcę ci zrobić parę testów. Nie masz nic przeciwko temu?

Owszem, mam.

– Nie – odpowiedziałam.

Wyjęła jakiś zeszyt w twardej oprawie. Zobaczyłam

swoje pismo na okładce. To był mój dziennik, ten z Horyzontów, w którym miałam opisywać lęki. Ileś dni temu. A nawet tygodni, jeśli moje odbicie miało rację.

– Pamiętasz to, Maro?

– Tak.

– Doskonale – powiedziała ze szczerym uśmiechem.

Była wyraźnie zadowolona, że pamiętałam. Aż strach pomyśleć, co mogłam zapomnieć.

– Dzisiaj popracujemy nad twoimi lękami – ciągnęła. – G1821 – ów gen, który ci szkodzi, pamiętasz? Powoduje również napady agresji. Uruchamiają je różne czynniki. Jednocześnie taki napad wyłącza pewną część ciebie. – Urwała i przez chwilę badawczo przyglądała się mojej twarzy. – Znosi barierę pomiędzy twoim myśleniem świadomym a myśleniem nieświadomym. Aby ci pomóc, Maro, muszę być pewna, jaką dokładnie dawkę leku mam ci przepisać. Chodzi o odmianę amytału, który już ci podawaliśmy, zwaną anemozyną. Jednak aby przekonać się, czy lek działa, musimy wywołać w tobie lęki, jakie opisałaś w swoim dzienniku. Coś w rodzaju terapii ekspozycyjnej, połączonej z terapią lekową. Okej?

Pieprz się!

– Okej.

Wayne otworzył pojemnik, który przyniósł ze sobą, i zaczął wykladać jego zawartość na tackę stojącą na stoliku przy łóżku. Odwróciłam głowę i przyglądałam się temu, ale szybko pożałowałam. Skalpele, strzykawki i igły różnych rozmiarów połyskiwały na czarnym podłożu.

– Chcemy dzisiaj zmierzyć twoją reakcję lękową na igły i zastrzyki – poinformowała.

Na jej znak Wayne wziął z tacki tubkę z plastikowym koreczkiem, ścisnął zamknięcie dwoma palcami i skręcił je. Plomba złamała się z głośnym pyknięciem. Wayne wysunął z tubki igłę i założył ją na dużą strzykawkę.

– Zapewne widziałaś już wiele takich rzeczy, skoro tyle czasu spędziłaś w szpitalach. Z twojej dokumentacji wynika, że masz odruch walki, kiedy personel medyczny dotyka cię bez twojej zgody – ciągnęła doktor Kells, lekko unosząc wyskubane brwi. – W czasie swojego pierwszego pobytu w szpitalu – w Providence, po zawaleniu się budynku – uderzyłaś w twarz pielęgniarkę, ponieważ dotykała cię i przytrzymała siłą. – Zerknęła do małego notesu. – A potem uderzyłaś pielęgniarkę na oddziale psychiatrycznym, na który przyjęto cię po

próbie samobójczej.

W tym momencie dwa obrazy zaczęły konkurować ze sobą o miejsce w moich myślach. Pierwszy był bardzo wyraźny i ukazywał mnie stojącą samotnie na pomoście i odejmującą ostrze noża do cięcia kartonów od swoich bladych przegubów. Na drugim, wyblakłym i rozmytym, gdzieś za plecami majaczył Jude, szepczący mi do ucha groźby o zamordowaniu mojej rodziny, jeśli nie będę chciała się pociąć.

Mój umysł skupił się na drugim obrazie. Nie próbowałam popełnić samobójstwa. Jude usiłował je upozorować. A Kells w jakiś sposób chciała, żebym zapomniała, jak było naprawdę.

Wayne schylił się i wyciągnął spod łóżka coś, czego z mojego miejsca nie mogłam dojrzeć. Dopiero kiedy się wyprostowałam, zobaczyłam, że trzyma skomplikowaną uprząż ze skóry i metalu, służącą ewidentnie do unieruchomienia pacjenta. Takie ulepszone kajdanki. Strachu przed zastrzykiem nadal nie czułam.

W tym momencie Kells powiedziała:

– Spokojnie.

Słowo rozbrzmiało w moim umyśle, wypowiedziane

innym głosem.

Spokojnie.

Coś zatrzepotało mi w piersi i monitor obok łóżka piknął. Nic z tego nie rozumiałam. Czy słowo zadziało jak wyzwalacz? Kropla potu pojawiła się na czole Wayne'a. Otarł ją rękawem i przesunął grube paluchy ku zgięciu mojego łokcia. Wzdrygnęłam się w myśli i mięśnie mi się napięły.

Wayne musiał to wyczuć, bo zapytał:

– Jesteś pewna, że... że ona jest stabilna?

Głos miał nerwowy. Dobrze.

Kells spojrzała na moje ramię.

– Maro, chcę, żeby twoje ciało, twoje ramiona i twoje dłonie zwiotczały.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, tak się stało. Zerknęłam na swoje odbicie w sufitowym lustrze. Miałam tępą minę.

– Kiedy widzisz coś, czego się boisz, twój umysł każe ciału zareagować. Każe nerwom uwolnić adrenalinę, a ta przyspiesza rytm twojego serca, puls i oddech. To

przygotowanie do ucieczki od zagrożenia albo do walki z czymś, co ci zagraża – obojętnie, czy twój lęk jest racjonalny, czy nie. W twoim przypadku strach uaktywnia twoją anomalię. Dlatego chcemy teraz sprawdzić, czy lek, który zastosowaliśmy, działa w sposób pożądaný – to znaczy oddziela twoje reakcje umysłowe od fizycznych. Celem jest oczywiście totalne odcięcie – zablokowanie połączenia, które zamienia twoje... – potarła kciukiem podbródek, jakby zastanawiała się, jakiego słowa użyć – ...negatywne myśli – powiedziała w końcu – w reakcję obronną. Anemozyna nie zapobiega takim myślom, ale zapobiega ich fizycznej realizacji, czyniąc z ciebie osobę tak samo nieszkodliwą jak ktoś, kto nie jest nosicielem genu. A teraz ją obróć – powiedziała do Wayne’a.

Wayne z wysiłkiem przełknął ślinę. Obwisłe policzki trzęsły się, kiedy chwycił mnie za ramiona i zaczął obracać. Gdy to zrobił, unieruchomił mnie na łóżku uprzężą tak, że musiałam leżeć na brzuchu, nie mogąc nawet ruszyć głową. Gapiłam się na podłogę, ciesząc się, że nie ma tam lustra. Przynajmniej nie musiałam się oglądać.

Kostki nóg zostały przypięte. Jeszcze tylko ręce miałam wolne. Wayne ułożył je tak, że zwisły po bokach wąskiego łóżka, i spiął mi przeguby pod spodem. Wyglądało, jakbym obejmowała to łóżko.

– Pokaż jej strzykawkę – poleciła doktor Kells.

Wayne podsunął mi igłę pod oczy, ustawiając strzykawkę pod różnymi kątami, żebym mogła się nasycić tym widokiem. Monitor rejestrował coraz szybsze uderzenia mojego serca.

– Czy jej serce powinno tak walić? – zapytał nerwowo.

– To tylko odruch – uspokoiła go Kells. – Ciało nadal reaguje na bodźce, ale jej emocje, jej lęk nie mogą już uruchomić agresji, choćby bardzo tego chciała, świadomie czy nie – wyjaśniła obojętnym tonem.

Wayne zadarł moją białą, szpitalną koszulę. Nie chciałam, żeby mnie dotykał, ale nic nie mogłam na to poradzić. Wtem coś zaszurało, sunąc ku mnie po podłodze. Lustro. Pokazało moją twarz, białą, bezkrwistą. W lustrze sufitowym zobaczyłam swoje odsłonięte plecy. Byłam wychudzona. Wyglądałam niezdrowo.

Nie chciałam oglądać tego, co mi będą robili, i mogłam coś na to poradzić. Zacisnęłam powieki.

– Otwórz oczy – poleciła doktor Kells i natychmiast je otworzyłam. Musiałam. Nienawidziłam tego posłuchu.

Ustawiła lustro tak, żebym widziała, jak Wayne wyjmuje

wacik z metalowego pojemnika przy łóżku i macza go w jodynie. Wzdrygnęłam się, kiedy potarł mi nią plecy.

Znów się zaniepokoił.

– Co to znaczy?

– Nic, reakcja – wyjaśniła Kells. Głos miała o ton wyższy. – Na zimno. – Odwróciła się do mnie. – Jeśli stuknę cię młoteczkiem w kolano, Maro, ono drgnie, prawda? To była twoja odpowiedź na lęk, który usiłujemy stłumić. Jeśli nam się uda, będziesz mogła prowadzić normalne, pełnoprawne życie, nieniekoszona przez irracjonalne lęki, niemuszająca się zadreć, że nieświadomie krzywdzisz tych, których kochasz.

Mętnie pamiętałam, że kiedyś bardzo mi na tym zależało.

– Najpierw pobierzemy porcję twojego płynu rdzeniowego – powiedziała Kells i Wayne zbliżył igłę do moich pleców. – Tylko trochę zaboli.

Od tego momentu wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Igła znalazła się o milimetry od skóry. Potem poczułam, jak zimna stal ją przebiła – najpierw lekkie ukłucie, a potem, w miarę jak się wgłębiała – ostrzejsze klucie, ból, piekący ból, palący

ból; chciałam od niego uciec, ale trwałam nieruchomo, nie mogłam się ruszać, byłam jak sparaliżowana.

Kells powiedziała, żebym patrzyła na swoją twarz w lustrze, i tak robiłam. Nadal była jak maska. Maska z cienkiej skóry, skrywająca wszelkie odczucia. Mój umysł wył z bólu, lecz usta pozostały zamknięte.

Odczułam ciśnienie, kiedy strzykawka wysysała płyn rdzeniowy.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Kells bezbarwnym głosem. – Czyż tak nie jest lepiej, Maro? Nie ma się czego bać. To tylko igła i tylko ból. Ból jest jedynie uczuciem, a uczucia nie są realne.

Wydawało mi się, że minęły godziny, zanim Wayne wyciągnął igłę. Ucisk ustał, ale ból – nie. Coś mokrego i zimnego ściekało mi powoli po skórze. Przestało, kiedy Wayne przycisnął wacik. Mój oddech był głęboki i równy. Nie dusiłam się, nie wymiotowałam. Powinnam tak reagować. A może nie?

Wayne zdezynfekował mi skórę, opuścił koszulę, uwolnił moje przeguby i kostki, a potem delikatnie, w sposób, który przyprawiał mnie o mdłości, obrócił mnie na plecy.

– Wiem, to nie było przyjemne, Maro – powiedziała

Kells. – Jednak pomimo twojego wewnętrznego dyskomfortu test wyszedł świetnie. Teraz już wiemy, że lek pozwala ci oddzielić reakcje umysłowe od fizycznych. Przy tym skutki uboczne są równie interesujące.

Wcale nie wyglądała na podekscytowaną.

– Jestem pewna, że chciałaś zareagować w trakcie zabiegu. Jestem pewna, że miałaś ochotę krzyczeć i płakać. Ale dzięki lekowi twoje odruchy fizyczne pozostały niezmienione i zostały oddzielone od emocji. Innymi słowy, anemozyna sprawi, że jeśli ktoś będzie przy tobie kroił cebulę albo coś wpadnie ci do oka, nadal będziesz płakać w reakcji na taki bodziec. Twoje oczy będą łzawiły, żeby się pozbyć drażniącego je czynnika. Ale nie będziesz więcej płakała ze strachu, bólu czy z rozpacz. To połączenie zostanie odcięte, żebyś nie mogła stracić kontroli nad sobą. – Pochyliła się nade mną. – Wiem, że na razie takie odczucia wydadzą ci się dziwne, ale się przyzwyczaisz. Zwłaszcza że korzyść dla ciebie i innych będzie ogromna. Kiedy już ustalimy odpowiednią dawkę, wystarczy zrobić kroplówkę raz na parę miesięcy. Będziesz mogła wrócić do domu, do rodziny, do terapii ze mną w otwartym ośrodku. Zaczнешь prowadzić normalne życie – takie, jakiego pragniesz – a lek będzie działał i umożliwiał ci to.

Pogładziła mnie po głowie gestem zamierzonym zapewne jako macierzyński. Bardzo zapragnęłam ją ugryźć.

– Teraz podamy ci jeszcze jeden lek, żebyś zapomniała o dzisiejszych nieprzyjemnych przeżyciach. Miłe, prawda? – Uśmiech wpełzł na jej wargi jak wąż, lecz za moment zmarszczyła brwi. – Wayne, jaka jest temperatura w pokoju?

Wayne podszedł do ściany i nacisnął kciukiem jakiś punkt. Na lustrze wyświetliły się cyfry. Niezłe.

– Dwadzieścia jeden stopni.

Kells przyłożyła mi dłoń do czoła.

– Ona jest rozpalona. I spocona. – Wytarła dłoń o pościel.

– Czy to... normalne?

– Nie, jest nietypowe – odparła. – Nie reagowała w ten sposób przy poprzednich testach.

Poprzednie testy? Ile ich było?

Kells wyjęła z kieszeni ołówkową latareczkę i poleciała:

– Nie mrugaj przez chwilę.

Nie mrugałam. Świeciła mi w oczy. Chciałam je zamknąć, ale nie mogłam.

– Źrenice ma rozszerzone. Nie rozumiem. Przecież już po wszystkim. – Głos jej zadrżał nieznacznie. – Wayne, amyletal, dobrze?

Wayne wyjął coś z czarnego pojemnika. Małą strzykawkę z gotowym zastrzykiem. On też był spięty, bo trzęsły mu się ręce i nie potrafił jej odpieczętować. W końcu upadła mu na podłogę.

– Chryste – syknęła Kells przez zaciśnięte zęby.

– Przepraszam, przepraszam.

Sięgnął po nową, ale zamarł, kiedy monitor zaczął głośno pikać.

Kells spojrzała na ekran.

– Spada ciśnienie krwi. To jakaś reakcja. Musisz się tak grzebać?

Nigdy dotąd nie słyszałam w jej głosie takiego zdenerwowania. Ciało miała napięte; ścięgnię drgały w jej szyi jak struny. Może to tylko złudzenie, ale

czułam woń jej strachu.

Była przerażona. Czego się bała? Mnie? Czy o mnie?
Nie wiedziałam, ale podobało mi się to.

Wayne zagryzł zęby, skupił się i odpakował strzykawkę.
Chwycił moje ramię i wbił w nie igłę.

Świat rozmył mi się w oczach i głowa mi zaciężyła.
„Zawieź ją do ambulatorium” – to były ostatnie słowa,
jakie usłyszałam, zanim straciłam przytomność.

WCZEŚNIEJIndie. Nieznana prowincja

W dniu, w którym umarła ciocia, sąsiedzi przyglądali się nam czujnie, kiedy szliśmy przez wioskę, niosąc jej ciało. Powietrze było tak samo martwe jak ona; choroba rzeczna zabrała ją zaledwie parę dni po tym, jak wujek przywiózł mnie do domu. Jedynie ze względu na ciocię tolerowano go tutaj – z jego odmiennym strojem, zawsze niebieskim, odmienną mową i odmiennym wyglądem. Ona była kimś wyjątkowym, tak powiedział mi wujek. Kiedy odbierała poród, dziecko spieszyło na jej spotkanie z łona matki. Wraz z nią straciliśmy ochronę. Nie rozumiałam, co miał na myśli, dopóki nie umarł.

Wieść o nas rozprzestrzeniała się od wioski do wioski. Dokądkolwiek zawędrowaliśmy, zaraza i śmierć zdążyły już zebrać swoje żniwo, stale nas wyprzedzając. Wujek robił wszystko, co mógł, dla tych ludzi, podając leki i kładąc kataplazmy, ale posępna plotka szła za nami krok w krok, siejąc nienawiść. „Mara”, tak nas nazywali. Demony.

Pewnej nocy wujek obudził się i kazał mnie i Siostrze

natychmiast uciekać. Żadnych pytań, musiałyśmy go posłuchać. Wymknęłyśmy się z chaty w ciemność, a kiedy zagłębiłyśmy się w dżunglę, usłyszałyśmy jego krzyk.

Słup dymu wzniósł się w górę, niosąc te krzyki pod niebo. Chciałam biec z powrotem, pomóc mu, ale Siostra powiedziała, że obiecałyśmy uciec i że jeśli wrócimy, spotka nas ten sam los. Zdążyłam tylko zabrać swoją lalkę. Nigdy się z nią nie rozstawałam.

W wilgotnym nocnym upale długie, zmierzwione włosy oblepiły mi szyję i plecy, kiedy biegłam przed siebie wśród drzew. Wycie wuja stopniowo cichło, aż zastąpiły je zwykłe odgłosy dżungli i blask księżyca rozproszył mrok. Tej nocy nie zmrużyłyśmy oka, a kiedy słońce przedarło się przez chmury, głód ścisnął mi żołądek. Pomyślałam, że będziemy musiały zebrać o chleb, jak sieroty. A jednak nie. Siostra przemawiała do drzew, a one dawały nam swoje owoce. Ziemia poiła nas wodą. Cała natura nas żywiła i utrzymywała, dopóki nie dotarłyśmy do miasta.

Siostra udała się prosto do najwyższego budynku w porcie, gdzie urzędował mężczyzna w okularach, pan Barbary. Wparowała razem ze mną do jego biura. Byłyśmy brudne, zmęczone i dziwnie wyglądałyśmy w tym miejscu.

– Tak? – Uniósł głowę, kiedy stanęliśmy przed biurkiem. – Czego chcecie?

Siostra wyjaśniła, czyją jest córką. Od razu inaczej nas potraktował.

– Nie poznałem jej. Urosła – powiedział.

– Tak – odparłam. – Urosłam.

Pierwszy raz powiedziałam coś do obcego człowieka. Wcześniej nie odzywałam się do nikogo poza Siostrą i wujem. Nie musiałam. Ale wiedziałam, dlaczego jestem tutaj, i chciałam wyrzucić wrażenie na Barbarym.

Zadziałało. Najpierw zrobił wielkie oczy, a potem uśmiechnął się szeroko pod śmiesznym wąsikiem.

– No proszę, ona mówi!

Szkoda, że nie wiedział, co jeszcze potrafię!

Zaczął mnie wypytywać o wszystko, co się wydarzyło, i o inne rzeczy. Czego się nauczyłam od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, jakie mam zdolności, czy chorowałam. Potem zmierzył mnie, żeby sprawdzić, ile urosłam. Wreszcie wręczył Siostrze sakiewkę. Z wdzięcznością skłoniła głowę.

– Muszę poinformować waszego dobroczyńcę, że wasza sytuacja się zmieniła, rozumiecie? – powiedział.

Siostra kiwnęła głową, ale twarz miała nieruchomą jak maska.

– Rozumiem – odparła. – Ale jej edukacja jeszcze się nie zakończyła. Przekaż mu, proszę, że jestem gotowa przejąć zadanie ojca, jeśli mi pozwoli.

Pan Barbary przytaknął i dał nam znak, że jego czas się skończył. Siostra wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z budynku. Zastanawiałam się, skąd tak dobrze zna miasto. Przecież wcześniej nie była tu nigdy z wujkiem ani ze mną.

Siostra zapłaciła jakiemuś człowiekowi, żeby znalazł dla nas lokum, a potem kupiła nam ubrania – eleganckie, takie, jakie nosił wujek. I jedzenie, które miałyśmy zjeść w pokoju.

W życiu nie widziałam takiego przepychu. Zachwyciły mnie zwłaszcza wysokie łoża, wyrzeźbione z drewna, zasłane białą pościelą, miękką jak puch. Siostra umyła mnie, przebrała i zasiadłyśmy do jedzenia.

– Wyjdziemy stąd po zmroku – powiedziała, zgarniając kawałkiem chleba wonny, żółty ryż.

W miarę jak napełniałam pusty żołądek, narastała we mnie przyjemna senność.

– Czemu nie zostaniemy tutaj?

Pokój był porządny, czysty, a łóżka zachęcały do snu. Marzyłam, żeby się zaszyć w czystej pościeli.

– Dopóki nie znajdziemy sobie nowego domu, lepiej, żebyśmy jak najmniej rzucały się w oczy.

Nie protestowałam więcej. Ufałam Siostrze. Opiekowała się mną, kiedy byłam mała, i będzie się mną zajmować do swojej śmierci.

To się stało długo po tym, jak zabili wujka, choć nie wiem kiedy dokładnie. Czas nie miał dla mnie znaczenia – jego upływ znaczyły jedynie wizyty u pana Barbary’ego, który sprawdzał moje postępy. Wujek nie używał kalendarza, Siostra tak samo. Nie znałam nawet swojego wieku. Snułyśmy się niczym duchy po obrzeżach miasta, bez ustanku przepędzane z miejsca na miejsce.

– Dlaczego ciągle wędrujemy? – zapytałam, kiedy kolejny raz ruszyłyśmy w drogę. – Dlaczego nigdzie nie pozwolą nam zostać?

Z zawiści, wyjaśniła Siostra. Ludzie, wśród których

żyjemy, nie mają takich zdolności jak my. Są jak zwykłe źdźbła trawy, a my jesteśmy niczym kwiaty, piękne i rzadkie. Wyczuwają tę różnicę i nienawidzą nas. Dlatego musimy udawać kogoś innego, aby nie skrzywdzono nas za to, jakie jesteśmy naprawdę.

A jednak nas krzywdzono. Bez względu na to, jak bardzo usiłowałyśmy nie wchodzić nikomu w drogę, ktoś zawsze nas rozpoznawał albo zaczynał coś podejrzewać. Trzeciego dnia pobytu w ostatniej z wiosek, do jakiej trafiłyśmy, dopadli Siostrę z nastaniem nocy, jak kiedyś wujka. I próbowali dopaść mnie.

Silne ręce chwyciły mnie i porwały z maty. Siostra krzyczała, błagając, żeby nie robili mi krzywdy, i przysięgając, że jesteśmy niewinne, ale zanim zdążyłam oprzytomnieć, urwała w pół słowa. Jeden z mężczyzn roztrzaskał jej głowę kamieniem. Uderzył raz, ale to wystarczyło.

Zwiślam bezwładnie w ramionach napastnika i tamten człowiek zamierzył się na mnie kamieniem. Chciałam, żeby umarł.

Nagłe drgawki wstrząsnęły jego ciałem; coś rozrywało go od środka i krew buchnęła mu z nosa. Upuścił kamień i cofnął się z jękiem.

Inni też odstępili ode mnie. Nie powiedziałam do nich słowa. Nie krzyczałam na nich. Patrzyłam na Siostrę, na jej bezkrwiste usta, bezwładne ciało, krew połyskującą na włosach i bardzo, bardzo chciałam.

Chciałam, żeby poczuli to, co czuła ona. I żeby nigdy już nie zobaczyli wschodu słońca, bo ona go też nie zobaczy.

Siedziałam przy niej, piastując na kolanach jej zmiażdżoną głowę. Ludzie otoczyli nas kręgiem. Ktoś rzucił kamieniem.

Chybił. Kamień uderzył innego wieśniaka.

Podniosły się krzyki i w powietrzu rozszedł się strach. Wioska opustoszała tej nocy, gdyż mężczyźni – mordercy – uciekli, zabierając ze sobą kobiety i dzieci.

Widziałam narzędzia, ale nie skorzystałam z nich. Gołymi rękami wygrzebałam płytki dół w ziemi i pochowałam Siostrę tam, gdzie upadła, a potem zasnęłam obok grobu. Nawet owady nie śmiały mnie niepokoić. Kiedy się obudziłam, ruszyłam samotnie w drogę do Kalkuty. Po drodze mijałam zwłoki wieśniaków. Wokół ust mieli krew, ale nie siadały na niej muchy. Bały się.

Unikałam ludzi. Wędrowałam bocznymi drogami

w swojej zaplamionej krwią, prostej szatce. Las nie chciał mi udostępnić swych darów, więc zakradałam się do wiosek i rabowałam jedzenie. Wszystko było mi obojętne, tylko nie samotność. Brakowało mi Siostry, a także wujka. Ale oni odeszli na zawsze i moja pamięć o nich, moje życie z nimi były już tylko popiołem i kurzem. Miałam jedynie lalkę, którą zrobiła dla mnie Siostra, i słowa, które dał mi kiedyś wujek, których mnie uczył – abym pewnego dnia mogła rozmawiać z moim dobroczyńcą w Anglii.

Ten dzień nadszedł.

Dotarłam do miasta i poszłam do portu, do pana Barbary'ego, po raz pierwszy sama. Popatrzył na moje poplamione ubranie i skołtunione włosy. Wyglądałam jak dzikus, ale mówiłam takim samym starannym, pełnym ogłady językiem jak on. Powiedziałam mu, że moja edukacja została zakończona. Odesłał mnie do pobliskiego gościńca, żebym tam zamieszkała. Powiedział, że zawiadomi mnie, kiedy załatwi mi wyjazd do Anglii.

Tego wieczoru wykąpałam się w czystej wodzie i wyszorowałam ciało kostką ręcznie wyrabianego mydła. Wiedziałam, że istnieje taki luksus, ale pierwszy raz miałam z nim do czynienia. Zachwycała mnie miękka, pachnąca piana na mojej skórze i włosach.

Kiedy skończyłam, położyłam się nago na łóżku, żeby ciało samo wyschło. Miałam wrażenie, że jak wąż zrzuciłam starą skórę i wraz z nową rozpoczynam nowe życie.

Nazajutrz zjawił się pan Barbary z wiadomością, że mój dobroczyńca zmarł w zeszłym tygodniu, ale nie muszę się martwić o swój los, gdyż zdążył mnie zabezpieczyć na wypadek swojej śmierci. Wdowa została powiadomiona o moim istnieniu i zgodziła się wziąć mnie do siebie, wypełniając wolę męża. Pan Barbary zarezerwował już dla mnie bilet na najbliższy wolny rejs do Anglii. Statek powinien odpłynąć w przyszłym tygodniu, a do tego czasu mam miło spędzić czas w mieście.

I tak zrobiłam. Zostawił mi zasobną sakiewkę, więc kupiłam sobie nowe ubranie i dobre jedzenie. W mieście moje ciało wydelikatniało i zaokrągliło się, gdyż nie żałowałam sobie pożywnego jedła i najlepszych słodczy.

Wieczorem, w przeddzień wyjazdu, starannie ułożyłam swoje rzeczy w nowym, podróżnym kuferku. Wyjęłam lalkę spod poduszki, gdzie trzymałam ją w ciągu dnia. Przesunęłam palcami po szwach, dotykając miejsca na szmacianym przegubie, gdzie zaschła niegdyś kropla krwi Siostry. Zastanawiałam się, jak będzie teraz

wyglądało moje życie bez niej.

– Dlaczego biały człowiek płaci za mnie? – zapytałam kiedyś wujka po kolejnej wizycie w Kalkucie, gdzie sprawdzano moje postępy. Monety w mieszkaniu pobrzękiwały z każdym jego krokiem.

– Bo wierzy, że jesteś dla niego cenna. I będziesz, kiedy pojedziesz do niego.

– Kiedy to się stanie?

– Kiedy ty się staniesz – odparł wujek.

– Kim się stanę?

– Sobą.

Ale skoro teraz nie jestem sobą, to kim jestem? – myślałam.

Pierwszą rzeczą, jaką odnotowałam, kiedy się ocknęłam, była krew. Cała byłam we krwi.

Drugą rzeczą, jaką odnotowałam, był fakt, że nie przejęłam się tym tak, jak powinnam.

Nie miałam odruchu, żeby powiedzieć coś, krzyknąć, prosić o pomoc czy zastanawiać się, gdzie jestem i co tu robię. Te reakcje zostały uśpione. Spokojnym ruchem macałam mokrymi palcami po kafelkowej ścianie, aż trafiłam na włącznik. Cztery świetlówki ożyły nad moją głową jedna po drugiej, oświetlając ostrym blaskiem martwe ciało leżące na podłodze półtora metra ode mnie.

Mój umysł najpierw zarejestrował fakty. Mężczyzna. Duży. Leżał twarzą w dół w rozległej, czerwonej kałuży, która wypływała spod niego, mocząc końce kręconych, czarnych włosów. Trzymał coś w ręce.

Jarzeniówki w białej sali pykały i brzęczały. Wstałam z łóżka i pochyliłam się nad nim. Oczy miał zamknięte. Gdyby nie ta krew, pomyślałabym, że po prostu śpi. Tyle jej było! Obok jednej ręki krwawa smuga układała się w jakiś dziwny wzór.

Nie. Nie wzór. Słowa.

WŁĄCZ MNIE.

Przyjrzałam się uważniej ręce. Dłoń zaciskała się na dyktafonie. Odgięłam palce – jeszcze ciepłe – wcisnęłam guzik. Męski głos zaczął mówić.

– Słuchasz mnie? – zapytał.

Znałam ten głos. Nie mogłam uwierzyć, że go słyszę.

– Noah żyje – powiedział Jude.

Teraz już go słuchałam.

– A ty masz mało czasu. Zapewne rozpoznajesz tego trupa na podłodze jako Wayne’a Flowersa. Ja go zabiłem, jeśli cię to interesuje. Dobra wiadomość jest taka, że Wayne to jedna z dwóch osób, które mają dostęp do gabinetu doktor Kells. Drugą jest oczywiście sama Kells. Zła wiadomość jest taka, że aby uzyskać dostęp do gabinetu i w ogóle wyjść z tej sali, musisz mu wyciąć lewe oko.

Co to ma być? Ponury żart? Jakaś zasadzka?

– Zrobiłbym to dla ciebie, ale zabrakło mi czasu. Zdążyłem natomiast podmienić zastrzyk, który zrobili ci

przed nakłuciem lędźwiowym. Stąd twoja... reakcja... kiedy cię testowali, swoją drogą naprawdę dziwna. Ale dobra, do rzeczy. Obok drzwi gabinetu, z prawej strony, jest skaner siatkówki. Wszystkie drzwi w tym budynku mają automatyczne zamki. Kiedy będziesz miała oko, musisz pamiętać, żeby trzymać je wyżej, bo on był większy od ciebie. Jest też kamera – kamery są wszędzie, na to nie ma rady, w którymś momencie Kells cię zobaczy. Może cię obserwować w każdym miejscu – poza tą salą. To, co się w niej dzieje, nie jest rejestrowane. Dlatego cię uśpiłem, zanim tutaj trafiłaś; zdążyłem się wślizgnąć, kiedy ona wyszła, a Wayne jeszcze tu był. Musiałem tak zrobić, bo nie zniosłabyś mojego widoku. W każdym razie, kiedy już wejdiesz do gabinetu Kells, pamiętaj, żeby zamknąć za sobą drzwi. Wyjdiesz tak samo, jak weszłaś, z pomocą oka Wayne'a. W gabinecie znajdziesz wszystko, co cię interesuje. Twoją teczkę – prawdziwą, a nie te spreparowane papiery, które mają chronić ich tyłki w razie wpadki. I mapę, która pomoże ci wydostać się z wyspy. Mam nadzieję, że Kells już wybyła na stały ląd, bo jak nie, to... po prostu nic na to nie poradzę. Przykro mi. W razie czego będziesz jeszcze miała trochę czasu, zanim cię namierzy. Zabiorę stąd twoich przyjaciół. Noah będzie na ciebie czekał. – Rozkaszał się gwałtownie. – Zostawiam ci jeszcze mój zegarek. Wayne ma go w drugiej ręce. Weź go, zanim... zanim stąd wyjdiesz. Jeszcze jedno. Wiem, że nie ma żadnego

powodu, żebyś zechciała mi zaufać. Zrobiłem... no... nie mogę o tym mówić. Chory syf. – Znów zaniósł się kaszlem. Kaszel był mokry i głęboki, a kiedy znów przemówił, z trudem łapał oddech. – Nie mogę o tym mówić. Nie wiem, jak długo tak wytrzymam, jak długo będę sobą, o ile jeszcze nim jestem, ale wszystko jedno. W każdym razie mogę... chcę powiedzieć... że nie zamierzam przeproszać... bo słowo „przepraszam” nic nie znaczy, kiedy nie możesz obiecać, że więcej tego nie zrobisz, a ja nie mogę obiecać. Po prostu... chcę teraz zostawić cię w spokoju. Obiecuję.

Głośnik zamilkł. Ja też milczałam. Gapiłam się na dyktafon z półotwartymi ustami i trwałam w bezruchu.

Drgnęłam, kiedy znów usłyszałam głos Jude’a.

– Nie ma już czego nagrywać.

Dyktafon kliknął i wyłączył się.

Pewnie byłam w szoku, bo nie panikowałam, nie krzyczałam, nie trzęsłam się i nie czułam odrobiny strachu. W mojej głowie wciąż na nowo odtwarzały się dwa słowa:

„Noah żyje”.

Ale powiedział to Jude.

Nie wiedziałam, czy mogę mu wierzyć, ale wiedziałam, że chcę mu uwierzyć. Jedna połowa mnie bała się nowej nadziei, lecz druga jej pożądała. Mój umysł krążył wokół tego wątku jak rekin koło fokii. W końcu przewinęłam nagranie i jeszcze raz posłuchałam słów Jude'a:

„Noah będzie na ciebie czekał”.

Wystarczyło tylko wyjść z tej sali.

„Musisz mu wyciąć lewe oko”.

Wystarczyło tylko wyciąć Wayne'owi lewe oko.

Spojrzałam na niego – kawał krwawego sadła na podłodze, okulary w metalowych oprawkach przekrzywione na twarzy. Powieki drgnęły i oczy spojrzały na mnie zza szkieł.

– O kurwa!

Serce podskoczyło mi w piersi, a ręka uniosła się do ust, tłumiąc okrzyk strachu. To była moja pierwsza normalna reakcja od chwili, kiedy się wybudziłam.

– O kurwa – powtórzyłam już spokojniej.

Małe, świńskie oczka Wayne'a śledziły każde moje

drgnienie. Żył. Był przytomny.

– Ty żyjesz – wyszeptałam.

Bulgoczący jęk wydobył mu się z gardła.

Byłam jak sparaliżowana, i trudno się dziwić. Tkwiałam zamknięta w sali z nieumarłym Wayne'em, a jedyną drogą ucieczki było podsuniecie jego gałki ocznej do skanera.

Dobrze, ale skoro żyje, może załatwię z nim sprawę normalnie? Może Wayne po prostu mi otworzy?

Aby tak się stało, musiałby jednak wstać. Kałuża krwi wokół niego poszerzała się. Metaliczna i zarazem zwierzęca woń coraz bardziej drażniła moje powonienie.

– Wayne – powiedziałam głośno. – Możesz mówić?

– Tak – szepnął.

Dobrze.

– A możesz wstać?

– Chyba... nie... nie mogę.

Niedobrze.

– Słyszałeś nagranie?

– Co... – Na moment zabrakło mu powietrza. – Jakie nagranie?

Minutowa wskazówka zegara przesunęła się. Nie wiem jak, ale usłyszałam to. Kells jest gdzieś w budynku i Noah też. Muszę się spieszyć, żeby go znaleźć, zanim ona to zrobi. Spróbuję podnieść Wayne’a.

Kiedy pochyliłam się nad nim, odbiło mi się głośno – pewnie nadchodziły mdłości – i oczy Wayne’a rozszerzył strach. Z wysiłkiem, ale dość łagodnie obróciłam go na wznak. Inna woń buchnęła mi w twarz. Wnętrznosci wylewały mu się z rozplatanego brzucha.

– Ty żyjesz? – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

Kiedy wsuwałam mu ręce pod spocone pachy, mimo woli zastanawiałam się, czy uda mi się nie dołożyć do jego jelit zawartości mojego żołądka. Szarpnęłam do góry bezwładne ciało.

– Zostaw! – jęknął przeraźliwie. – Błagam!

Zostawiłam go i zaczęłam się rozglądać po

wykafelkowanej sali w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym się posłużyć, ale była prawie pusta. W drugim końcu stał plastikowy stolik i leżały dwa przewrócone krzesła. Trzecie, drewniane, walało się w kawałkach przy ścianie. Kilka kafelków było strzaskanych. Ale coś metalowego błysnęło wśród szczątków zaścielających pomieszczenie, jeszcze niedawno tak białe i sterylne.

Podeszłam bliżej i kiedy odsunęłam nogą ostre odłamki krzesła i kawałki kafelków, wreszcie zobaczyłam, co to jest.

Skalpel. Podniosłam go i otarłam o swoją zbrukaną szpitalną koszulę. Dziwnie było poczuć coś takiego w dłoni. Swoją drogą pasował, jakby był zrobiony specjalnie dla mnie.

Wayne znów zaczął jęczeć, żałośnie i rozpaczliwie. Odwróciłam się ku niemu. Umierał. Już prawie był martwy. Trzymał mnie tutaj wyłącznie fakt, że jego lewe oko jeszcze tkwiło w oczodole. Gdyby nie to, już dawno pobiegłabym szukać Noaha.

Patrzyłam na Wayne'a i usiłowałam sobie wyobrazić, że zamyka oczy i wydaje ostatnie tchnienie. Powinien już dawno umrzeć z upływu krwi albo coś w tym stylu. Czemu jeszcze żyje? Uparcie nie chciał zamknąć oczu.

Cały czas patrzył na mnie.

Powtarzałam sobie w myśli, że w jego stanie śmierć powinna być wybawieniem, aktem łaski. A jednak nie chciałam go zabić. Pamiętałam w czysto informacyjny sposób, że Wayne odegrał swoją rolę w uwięzieniu mnie tutaj. On też mnie dręczył i nawet odnotowałam wrażenie, że sprawiało mu to przyjemność. Jednak pamiętałam to wszystko tak, jak pamięta się nazwisko nauczycielki z drugiej klasy podstawówki (pani Fish-Robinson). W tym momencie było mi obojętne, co robił. Nie chciałam, żeby umarł, i bardzo nie chciałam być tą, która go zabije.

Musiał wyczuć moje rozterki, bo szepnął:

– Dobra z ciebie dziewczyna.

Przechyliłam głowę.

– Nie jesteś aż tak zła, prawda?

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo poderznięłam mu gardło.

Nie byłam z siebie zadowolona – serio, bo cięcie nie wyszło czysto. Zbyt długo deliberowałam i cięłam trochę na ślepo, nie bardzo mogłam patrzeć, jak to robię. Za to zyskałam pewność, że Wayne będzie martwy, kiedy wyłupię mu oko. To już coś, nie?

No i miałam skalpel. Oraz przeczucie, że jeszcze mi się przyda.

Wtem rozbrzmiał niski, rytmiczny dźwięk alarmu. Ostrożnie wyjrzałam z sali, lecz korytarz był pusty. Wcześniej nie widziałam nikogo poza doktor Kells i Wayne'em, ale to nie musiało nic znaczyć. Nie pamiętałam wielu rzeczy.

Gałka oczna Wayne'a ugięła się sprężysto w mojej zaciśniętej pięści. Była większa, niż myślałam, i bardziej okrągła. Część nerwu wzrokowego została przy niej i zwisała mi pomiędzy palców. W każdym momencie mogła się zjawić Kells, więc pobiegłam w lewo, gdzie powinien być jej gabinet. Jarzeniówki pulsowały i brzęczały nad moją głową, a białe ściany zdawały się falować wokół mnie. Nie miałam pojęcia, jak daleko zaszłam ani tym bardziej, czy zmierzam w dobrym kierunku.

Z chaosu pamięci usiłowałam wyłuskać konkretne wspomnienia o rozkładzie budynku, aby przyjąć jakikolwiek kierunek. Niestety, puste korytarze kończyły się zamkniętymi na głucho, stalowymi drzwiami albo zwykłymi drzwiami, za którymi znajdowały się kompletnie puste, bezludne pomieszczenia. Nie było tu żadnych okien, posągów, ozdób, mebli – po prostu niczego, co choćby w zarysie przypominało Horyzonty, jakie pamiętałam.

Wpadałam w coraz większą panikę, skręcając w kolejne odnogi i otwierając kolejne drzwi, za którymi kłuły w oczy pustka, biel i lśniący metal. Niczego nie poznawałam. Czułam się jak szczur w labiryncie; już nie byłam zamknięta w celi, ale nadal byłam więźniem. Chciałam wierzyć, że Jude wyprowadzi stąd Jamiego i Stellę, że Noah żyje i czeka na mnie, ale każdy ślepy zaułek zabijał kolejną iskrę nadziei, aż nie zostało mi prawie nic.

Wtem zauważyłam niewielkie drzwi pomalowane na biało, które zlewały się ze ścianą. Otworzyłam je i zobaczyłam wąskie, metalowe schodki prowadzące do góry.

Wbiegłam na nie, to jasne. Trzeszczały pode mną i serce z wysiłku podchodziło mi do gardła. Kiedy otworzyłam drzwi na górze, zawiasy zaskrzypiały, aż się

wzdrygnęłam.

Coś metalowego upadło ze szcęką na podłogę. Ktoś zaklął szeptem. Znałam ten głos.

– Jamie? – spytałam i otworzyłam drzwi szerzej.

– Mara? Mara? Ja pierdolę!

Głos Jamiego rozbrzmiał echem w metalicznie lśniącym pomieszczeniu, które było nowoczesną, industrialną kuchnią. Poszukałam go wzrokiem, ale widziałam tylko swoje rozmazane, lśniące odbicia w drzwiczkach szafek i w blatach.

– Gdzie jesteś? – zapytałam bezradnie.

Weszłam w głąb pomieszczenia, schylając się, żeby przejść pod wieszakiem na patelnie, i wtedy zobaczyłam odbicie, które nie pasowało do innych, bo widać je było pod innym kątem. Przechyliłam głowę, mrużąc oczy, i odbicie zafalowało nagle, kiedy Jamie pchnął drzwiczki szafki, w której się krył. Wypadł z niej razem z kuchennymi sprzętami i puścił się do mnie biegiem.

– Rany boskie... Maro... kurde, co z tobą?

Uniosłam głowę i zobaczyłam swoje odbicie w szklanych drzwiczkach ogromnego piekarnika.

A konkretnie zobaczyłam:

jeden skalpel (trzymany w ręku);

jeden dyktafon (trzymany w ręku);

jedno ludzkie oko (brązowe) (trzymane w ręku);

jedną koszulę szpitalną, zakrwawioną (na sobie);

jeden złoty rolex (na sobie).

Szczerze żałowałam, że ta głupia szpitalna koszula nie ma kieszeni. Moje odbicie wzruszyło ramionami, choć ja tego nie zrobiłam.

– Krew nie jest moja – wyjaśniłam na początek.

– Nie chciałem pytać...

– Wayne.

– Och, więc wyjątkowo się cieszę, że jesteś zakrwawiona.

A ja wyjątkowo ucieszyłam się na jego widok. Nie wyglądał, jakby był w ciężkiej opresji, i nie miał na sobie szpitalnej koszuli. Przeciwnie, był ubrany normalnie – w spodnie khaki, koszulkę polo i zero

butów, na nogach miał tylko skarpetki. To nie był jego styl. Ubranie nie pasowało na niego. Spodnie kończyły się nad kostką, a koszula była zbyt obszerna. Włosy miał ostrzyżone do skóry.

– Musimy znaleźć Stellę. Masz jakiś pomysł?

Jamie pokręcił głową.

– Nawet nie wiem, gdzie jest mój pokój.

– To jak się z niego wydostałeś?

Miałam cichą nadzieję, że Jude będzie odpowiedzią.

– Siedziałem sam jak w celi, kiedy usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi. Wyrząłem, ale na korytarzu było pusto, więc wybiegłem. Wydawało mi się, że słyszę za sobą kroki, i to mnie mocno zestresowało, więc otworzyłem pierwsze drzwi, które nie były zamknięte, i znalazłem się... właśnie tutaj. – Szerokim gestem wskazał na kuchnię. – I ukryłem się. Ale wcześniej narobiłem piekielnego rumoru.

– A kroki były moje – dodałam.

– A kroki były twoje – powtórzył i jego rysy złagodniały. – Cieszę się, że nie należały do kogoś innego.

– Ja też.

– Naprawdę chciałbym cię uściskać, ale bez obrazy, wyglądasz paskudnie.

Uśmiech uniósł mi kącik ust – prawdziwy uśmiech.

– Ciekawe – stwierdziłam. – Możesz powiedzieć komuś coś obraźliwego, ale uważasz, że jeśli dodasz: „bez obrazy”, to jesteś w porządku, co?

– obraźliwe czy nie, wyglądasz jak rzeźnik – stwierdził, taksując mnie przeciągłym spojrzeniem. – Szpanerski rzeźnik – dodał, zatrzymując wzrok na złotym roleksie na moim przegubie. – Ja wymiękam, co to?

– Jude – odparłam krótko i wyjrzałam na korytarz, zastanawiając się, w którą stronę iść.

– Czy dobrze słyszałem?

– To zegarek Jude’a – wyjaśniłam powoli i dobitnie. – Nagrał się i powiedział, jak mam się stąd wydostać.

Podsunęłam mu rękę pod nos i ostrożnie rozwarłam palce, żeby oko Wayne’a nie wypadło.

– Okej. Po pierwsze – ten numer jest niestrawny, ale to już ci chyba weszło w krew. Po drugie – co to znaczy, że

się nagrał?

Pokazałam mu dyktafon, który trzymałam w drugiej ręce.

– Puszczę ci, ale później. W każdym razie to Jude mnie uwolnił.

Jamie zrobił wielkie oczy.

– On również uwolnił ciebie. Posłuchaj, powiem ci wszystko, ale na razie musimy iść.

– Staram się zrozumieć, Maro. Staram się wczuć w twoją sytuację. Ale zastanów się, co mówisz. Mamy zaufać facetowi, który jest w ogromnym stopniu odpowiedzialny za cały ten koszmar?!

Wzięłam głęboki oddech. Jamie miał rację. Ale nie słyszał, co Jude powiedział o Noahu. I było coraz mniej czasu.

– Nie mam wyboru – powiedziałam. – Zrozum, obudziłam się w jakiejś sali, a obok był trup Wayne’a. No, prawie trup. W garści miał dyktafon, drzwi były zamknięte, a w nagraniu Jude powiedział, że jedynym sposobem wyjścia jest przyłożenie oka Wayne’a do skanera siatkówki, który steruje zamkiem. Mówił, że tak samo wchodzi się do gabinetu Kells, dokąd muszę się

pilnie udać. Pomyślałam sobie: „Mara, już gorzej być nie może” – i zrobiłam to, co radził mi Jude. W ten sposób trafiłam na ciebie.

Zaczęłam iść korytarzem, daremnie usiłując ignorować dotyk śliskiej, galaretowatej kulki w mojej dłoni.

Jamie zrównał się ze mną w paru krokach; znacznie urósł i był teraz dużo wyższy ode mnie, więc miał dłuższe nogi.

– Bardzo się cieszę, Maro, naprawdę. Niemniej jednak nie mogę do końca uwierzyć w dobre intencje naszego wybawcy – stwierdził sceptycznie.

Zatrzymałam się w pół kroku.

– Chcesz zawrócić?

Jamie potarł twarz dłońmi i spojrzał na mnie, zagryzając usta.

– Chcesz? – napierałam.

– Nie – odpowiedział niechętnie.

– W takim razie zamknij się z łaski swojej i pomóż mi.

Nie musieliśmy szukać Stelli. Sama nas znalazła.

Wykonała stary numer z kryjówką w schowku na szczytce – tyle że kiedy przechodziliśmy obok, wyciągnęła rękę i chwyciła Jamiego za rękaw. Wrzasnął z przerażenia, a za nim ja.

– Zwariowałaś? – warknął, odtrącając jej rękę, jakby parzyła.

– Przepraszam! Chciałam tylko zwrócić waszą uwagę, nie wołając was.

– No to ci się udało!

Stella wyglądała mniej więcej tak, jak ją zapamiętałam – nie licząc czyściutkich dżinsów w stylu lat osiemdziesiątych i dziwnie biurowej, jedwabnej bluzki. Nie mogłam uwierzyć, że ubrała się w coś takiego. Na szczęście twarz pozostała ta sama, podobnie jak zdrowa, oliwkowa cera i czarne włosy, lśniące i gładko wyszczotkowane. Stella nie była pokryta krwią ani innymi płynami ustrojowymi. Z nas trojga tylko ja wyglądałam koszmarnie.

– Boże, Maro, cieszę się, że cię widzę, ale wyglądasz...

– Wiem.

– Wierz mi, naprawdę...

– Wiem – ucięłam.

Skręciłam za róg, a potem jeszcze raz, usiłując zmusić oporną pamięć, żeby podsunęła mi bardziej wyraziste obrazy. Niestety, choć coś mi majaczyło, w sumie nie wiedziałam, gdzie jestem. Jamie był równie zagubiony jak ja.

Ale nie Stella. Gdyby nie ona, w życiu byśmy tam nie trafili.

– Kiedyś Kells przyprowadziła mnie tu na jakieś pisemne testy – powiedziała, kiedy przystanęliśmy przed kolejnymi anonimowymi białymi drzwiami.

Przyjrzałam się im i zauważyłam, że przy prawym górnym rogu jest coś w rodzaju małej kamery.

Skaner siatkówki! Był dokładnie tam, gdzie mówił Jude.

– Dawaj! – ponaglił Jamie. – Użyj oka.

Wyciągnęłam rękę, żeby je sobie wziąć.

Cofnął się i potrząsnął głową.

– O nie, ja się brzydzę.

Spojrzałam na Stellę.

– Nie ma mowy.

– Ktoś z was musi to zrobić – stwierdziłam. – Tam jest mapa i nasze kartoteki.

– W takim razie... wejdź z nami.

Zaczęło mnie to wkurzać.

– Nie zauważyliście, że kogoś brakuje? – warknęłam.

Stella i Jamie wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Nie mogę wejść z wami. Muszę znaleźć Noaha.

– Maro... – zaczęła z wahaniem Stella. – Noah...

– Co?

– Nie żyje – dokończył Jamie.

Zignorowałam pierwsze z tych słów.

– On żyje – oświadczyłam z przekonaniem, które ich oszołomiło. – Jude tak powiedział. Mówił, że go szukał, a po drodze znalazł was, więc was uwolnił, zgadza się?

– Jamie otworzył usta, ale nie czekałam na odpowiedź. – Owszem, miałam wejść do tego gabinetu, żeby zabrać nasze teczki – te prawdziwe, abyśmy wreszcie mogli się

dowiedzieć, co tu jest grane. A potem wziąć mapę i z jej pomocą wybyć stąd jak najszybciej. Ale najpierw muszę znaleźć Noaha.

Chciałam im wytłumaczyć, co czułam, kiedy dowiedziałam się, że on żyje, i jak bardzo pragnę, żeby był ze mną, jednak nie byłam w stanie.

– Dlatego ty znajdź teczki – spojrzałam na Stellę – a ty mapę – powiedziałam do Jamiego. – Niedługo do was dołączę.

Jamie uspokajająco położył mi dłoń na ramieniu. Cofnęłam się lekko, choć nie miałam takiego zamiaru.

– Czekaj – powiedział. – Posłuchaj mnie przez chwilę, dobra? Wiem, że bardzo chcesz go znaleźć, ale nie ma sensu, żebyś próbowała tego sama, zanim dowiemy się, o co chodzi i jak stąd wyjść. Dlatego wejdźmy tu razem, zabierzmy teczki, mapę, a potem poszukajmy Noaha. Razem. Nie będziemy się rozdzielać. Okej?

Popatrzyłam na swojego przyjaciela. Zawsze stawał po mojej stronie, nawet jeśli się ze mną nie zgadzał. Nie wierzył, że Noah żyje, ale nie zważał na to. A poza tym miał rację. Jeśli już mam szukać Noaha, lepiej będzie mieć mapę.

Podaliśmy Jamiego dyktafon i rozwarłam drugą dłoń.

Brązowe oko Wayne'a patrzyło nieruchomo. Ujęłam je starannie pomiędzy kciuk a palec wskazujący i stanęłam przed skanerem, lekko unosząc je nad linią moich oczu, jak kazał Jude.

Drzwi otworzyły się i weszliśmy do środka.

Myślę, że każde z nas podświadomie spodziewało się drużyny policyjnych komandosów, zaczajonej tam na nas. Albo samoczynnej wyrzutni zatrutych strzał czy innej pułapki. Ale kiedy weszłam do gabinetu doktor Kells, mając po bokach Jamiego i Stellę, powitały nas mrok i cisza.

Gdy zapaliliśmy światło, okazało się, że w pomieszczeniu nie ma praktycznie nic. Było przygnębiająco białe i ubogie. Na metalowym biurku, a właściwie stole, nie leżały żadne papiery. Mebel stał na wydeptanym perskim dywanie, który dziwnie nie pasował do tego sterylного pokoju. Nie było widać notatników, teczek, skoroszytów, długopisów, nic – nie było nawet biurowego krzesła, tylko mały, metalowy taboret. W ogóle nie wyglądałoby to na gabinet, gdyby nie biurowe szafy, zajmujące całą jedną ścianę. Modliłam się, żeby nie były puste.

– Od czego zaczniemy? – zapytała rzeczowo Stella. – I czego dokładnie szukamy? A przede wszystkim, czy ktoś nas zaraz nakryje?

Zerknęłam na zegarek Jude'a. Dwunasta trzydzieści sześć. Przypuszczałam, że jest dzień. Po drodze nie

widzieliśmy żadnych okien, więc trudno było ocenić, ale tak mi się wydawało.

Jeśli Jude mówił prawdę, Kells wiedziała, gdzie jesteśmy, i pewnie nas obserwowała, więc włączyłam dyktafon i razem wysłuchaliśmy nagrania. Głos Jude'a wydawał się jeszcze dziwniejszy w tym gabinecie niż w sali z na wpół żywym Wayne'em. Teraz zauważyłam szczegóły, które mi wtedy umknęły. Głos Jude'a brzmiał łagodniej niż kiedyś. Bardziej szczerze. Nie był tak wrogi i wredny, nie słyszało się w nim sarkazmu czy zniecierpliwienia. I brzmiał, jakby Jude był chory. Lekko sapał pomiędzy słowami i miał nieprzyjemny, rżący kaszel.

– Nie powiedział, gdzie szukać mapy – stwierdziła Stella, kiedy nagranie się skończyło. – Może być wszędzie. I jest tu tylko jedno wyjście. – Nerwowo zerknęła na drzwi.

– To już wiemy – zauważył Jamie.

Mieli rację, tylko co z tego?

– Dobra, powiedzcie mi, czemu Jude miałby pomóc nam w ucieczce tylko po to, żebyśmy trafili w pułapkę w biurze Kells? Przecież już wcześniej miała nas w ręku.

– Może nie chciał już więcej jej słuchać? – zastanawiała

się Stella. – Może... – Zamilkła i podjęła po chwili: – Wtedy kiedy nas dopadł, szłam po prostu do swojego pokoju, a on złapał mnie i wbił mi coś w ramię. Straciłam przytomność i obudziłam się w ogrodzie zen, związana, tak jak mnie zobaczyłaś.

– To samo ja – dodał Jamie. – Jude nic do nas nie mówił, dopóki ty się nie pojawiłaś. Do tego czasu był po prostu... spokojny. Skoncentrowany.

Stella przymknęła oczy i jej brwi zbiegły się w jedną linię.

– Megan się ocknęła i zaczęła błagać, żeby nie robił jej krzywdy.

Co za Megan? – zapytałam bezgłośnie Jamiego.

– Megan? – podchwycił. – Z Horyzontów? Ta, co była z nami w grupie i się wszystkiego bała?

– A potem Adam... – ciągnęła Stella.

– Ten zwyrol, który ciągle chciał mnie napierdalać – uściślił Jamie na mój użytek.

– ...koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego Jude nam to robi. A Jude po prostu na niego popatrzył, a potem na Megan i na Tarę, która zemdlała. Poderżnął jej gardło,

kiedy była nieprzytomna... ot, tak. – Stella strzeliła palcami.

– I dalej nic nie mówił – dodał Jamie. – Dopiero kiedy cała krew Tary wsiąkała w piasek, powiedział, że jeśli nie będziemy siedzieli cicho, zrobi to samo z nami, z każdym po kolei. Żadnego diabolicznego monologu. Żadnych wyjaśnień. Nic. – Urwał na moment. – To jest tak chore, że się po prostu w głowie nie mieści.

– Wiem. – Mój głos był dźwięczny i stanowczy. – Znam Jude’a o wiele dłużej niż wy.

Przez moment rozważałam, czy nie opowiedzieć im o katastrofie w psychiatryku i nie pokazać blizn na przegubach – żeby wiedzieli, co mi zrobił Jude i do czego mnie zmusił. Uznałam, że tak trzeba, ale na razie nie ma na to czasu.

– Nie twierdzę, że mu ufam – zaznaczyłam. – Chcę tylko powiedzieć, że nie mamy wielkiego wyboru. Błagam, czy nie możemy po prostu poszukać mapy, a potem znaleźć Noaha i spadać stąd jak najszybciej?

Jamie i Stella bez słowa wzięli się do roboty. Otwieraliśmy szafy i sprawdzaliśmy wszystkie szuflady. Były puste.

Czas płynął, pogłębiając moją frustrację i gniew.

Miałam ochotę powywalać te szuflady na podłogę i cisnąć stołem o ścianę. Stella też robiła się nerwowa – przygryzała wargi i przeciągała palcami po włosach, aż wreszcie powiedziała:

– Musimy stąd wyjść.

– Usłyszałaś coś? – zapytał Jamie.

Pokręciła głową.

– Nie, ale chcę stąd wyjść.

Podeszła do drzwi i obróciła klamkę, ale przecież były zamknięte.

– Nie możesz tak po prostu wyjść – powiedziałam, a Stella jęknęła z rozpaczą.

Weszłam pod stół i łąziłam na czworakach po dywanie w nadziei, że coś znajdę.

– Potrzebne jest oko – dodałam.

Oko leżało na blacie nade mną. Wyprostowałam się, żeby je wziąć.

– Au! – syknęłam, bo walnęłam się w głowę.

Jamie zajrzał pod stół.

– W porządku?

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Przecież wiesz, że nic nie jest w porządku!

– Jasne.

Ukląkł przy mnie i pogłaskał mnie po głowie, choć chciałam go ugryźć.

– Hej, Maro, widzisz to? – zapytał nagle.

– Co?

Jeszcze raz przyjrzał się dywanowi i sięgnął po coś. W rękę trzymał klucz.

Stella uśmiechnęła się szeroko, szczerząc wszystkie zęby.

– On musi coś otwierać!

– Klucze zwykle coś otwierają – mruknęłam.

– I na pewno nie szufladę – ciągnęła, ignorując moją uwagę. – Żadna nie była zamknięta.

– Może sejf albo coś w tym stylu? – poddał Jamie.

Podszedł do szafy i zaczął wyjmować szuflady, sprawdzając, czy nic za nimi nie ma. Nie było.

Wzięłam od niego klucz.

– Gdzie dokładnie go znalazłeś? – zapytałam.

– Tam. – Pokazał miejsce pod stołem. – Może był przyklejony taśmą pod blatem i spadł, kiedy rąbnęłaś głową?

Wpatrywałam się z uwagą w wydeptany, wzorzysty dywan, który tak bardzo nie pasował do tego pomieszczenia, i coś zaczęło mi świtać.

– Pomóżcie mi to odsunąć – powiedziałam do Stelli i Jamiego, pokazując na stół.

Stella jeszcze się wahała. Zerknęła na drzwi, ale po chwili dołączyła do nas. Naparliśmy na stół.

Metalowy mebel był pieruńsko ciężki, a my nie mieliśmy za dużo sił, ale w końcu udało nam się zsunąć go z dywanu. Przez chwilę łapaliśmy oddech, aż wreszcie Jamie i ja sięgnęliśmy po róg dywanu i odchyliliśmy go jednym ruchem.

– Ja cię kręcę! – wyszeptał Jamie.

W linoleum podłogi był wycięty prostokąt. U dołu, pośrodku, znajdowała się dziurka od klucza.

Zanim Jamie i Stella zdążyli powiedzieć słowo, włożyłam klucz do dziurki i przekręciłam. W pokoju było tak cicho, że słyszeliśmy szcęk zamka. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że ucichł alarm.

Pociągnęłam klucz i kłapa uniosła się zdumiewająco lekko. Zajrzeliśmy w otwór, ale w mroku niewiele było widać poza pierwszymi szczeblami drabiny.

– Jamie, miej oko na oko – poleciłam.

Mogliśmy go jeszcze potrzebować. Odwróciłam się tyłem i zaczęłam schodzić. Stella przytrzymała mnie za rękaw.

– Dokąd idziesz?

– Na dół. – Strząsnęłam jej rękę.

Drabina miała karbowane szczeble, które uciskały moje boscie stopy.

– Masz dyktafon? – spytałam Jamiego.

Kiwnął głową. A ja nadal miałam skalpel wetknięty za gumkę majtek.

– Zostańcie tutaj i zaczekajcie, aż wrócę z mapą – powiedziałam.

– Nie ma opcji. – Jamie stanowczo pokręcił głową. – Idę z tobą.

– W takim razie widzimy się na dole – rzuciłam i znikłam w ciemnościach.

To było to, czego szukaliśmy. Znaleźliśmy się w obszernym pomieszczeniu o grubych murach, przypominającym bunkier. Całą ścianę przed nami wypełniała wielka mapa świata. Było w nią powpinane tysiące różnokolorowych markerów połączonych nitkami tworzącymi globalną pajęczynę. Przy niektórych markerach były fotografie ludzi – niektórych uśmiechniętych, a niektórych nie; krótkie notki na samoprzylepnych karteczkach lub wycinki prasowe w różnych językach.

– Czyżby o to chodziło? – zapytała Stella, która jako ostatnia zeszła z drabiny i cicho zeskoczyła na podłogę w samych skarpetkach.

Jamie także nie miał butów.

– Nie do wiary – Jamie wypowiedział głośno myśl, która kołatała mi się w głowie. – Tu jest cały świat, a nie Horyzonty.

Wtem dostrzegłam coś znajomego. Białą tablicę konferencyjną, zapisaną zblakłym już, miejscami zatartym, niebieskim markerem. Znałam ten charakter pisma. Widziałam już kiedyś tę tablicę.

Podwójnie ślepa

S. Benicia, ujawniony (G1821, nosici....ochodzenie nieznane). Działanie niepożądane (?): anoreksja, bulimia, samookaleczenia. Dobrze reaguje na leki. Przeciwwskazania spodziewane, lecz nieznane.

T. Bur...ows, n..... nosicielstwo, zgon.

M. Can...on,onelstwo,
uspokajające.

M. Dyer, ujawniający się (G1821, nosiciel, pierwotny). Działanie niepożądane: współwystępujący PTSD, halucynacje, samookaleczenia, ew. schizofrenia/podtyp paranoidalny. Reaguje na midazolam. Przeciwwskazania: spodziewane n.e.s.s.?

J. Roth, ujawniający się (G1821, nosiciel, prawdopodobnie pierwotny), stymulowany. Działanie niepożądane: ew. osobowość typu borderline, ew. zaburzenia nastroju. Przeciwwskazania spodziewane, lecz nieznane.

A. Ken..all: niestwierdzone nosicielstwo, zgon.

J.L.: indukowany, protokół Lenaurda, wczesna stymulacja. Działanie niepożądane: osobowość mnoga (oporna.....), syndrom Aspergera (oporny), migreny,

napady ostrej agresji (jak wyżej). Przeciwwskazania: nieznane.

C.L.: indukowana, protokół Lenaurda, wczesna stymulacja, zgon.

P. Reynard: niestwierdzone nosicielstwo, zgon.

N. Shaw: ujawniony (G1821, nosiciel, pierwotny). Działanie niepożądane (?): samookaleczenia, ew. syndrom opozycyjno-buntowniczy (oporny), zaburzenia zachowania? (oporny); przetestowany: barbiturany typ a (oporny), typ b (oporny); oporny na wszystkie typy; (test m.a.d.), zgon.

Uogólnione działanie niepożądane: mdłości, stany podgorączkowe. Bezsenność, koszmary senne.

Zanim zdążyłam się odezwać, Jamie podbiegł do tablicy i sunąc po niej palcem wskazującym, napisał wielkimi wołami:

P-I-E-P-R-Z-Y-Ć T-O

Z ust mi to wyjął!

Przeniosłam uwagę na stosy książek, papierów, notatników i teczek piętrzące się w całym pokoju. Część książek była niedbale ustawiona na metalowych

regałach, a pod ścianami stały zwinięte w rolki mapy albo plansze. Szklana kula leżała na małym stoliku, niczym niezabezpieczona. W środku miała zatopione coś, co wyglądało jak duże, metalowe ziarnko ryżu. W tym miejscu panował totalny bałagan, który zupełnie nie kojarzył mi się z doktor Kells.

Zaciekawiły mnie te zwoje, więc podeszłam do nich, omijając biurko w kształcie podkowy stojące pośrodku. Wtem usłyszałam pyknięcie i szum, jakby ktoś włączył telewizor. Szybko odwróciłam głowę.

Spod sufitu rozwinął się rolowany ekran i zawisł przed nami. Znów coś się włączyło i pojawiła się na nim doktor Kells. Siedziała przy małym stoliku ustawionym na tle ściany z tapetą w groszkowo-zielone pasy. Jej usta się poruszały, ale nie było dźwięku. Wyglądało, jakby mówiła do kogoś, kto znajdował się poza kadrem. Była bardziej ożywiona niż zwykle. Rękawy białego laboratoryjnego kitla miała podwinięte do łokci i mówiąc, gestykulowała obficie. W pewnym momencie włączył się dźwięk.

– G1821 pod wieloma względami zachowuje się jak rak – powiedziała Kells. – Mogą go uaktywnić pewne czynniki środowiskowe i genetyczne, a kiedy to nastąpi, gen się włącza, jakby ktoś przekręcił włącznik, wyzwalając określone zdolności u nosiciela. Jednak jak

sam zaobserwowałeś, jest również możliwe, że gen wyłącza pewne odruchy, takie jak instynkt samozachowawczy. Niektóre myśli czy zachowania mogą się wtedy stać kompulsywne, jak choćby pęd do samookaleczenia.

Obraz się zaburzył, ale nadal dało się zrozumieć, co mówi Kells.

– Jude miał pobudzić Marę, wystawić ją na działanie tego, czego najbardziej się bała, abym mogła zbadać, czy i kiedy gen się ujawni; abym mogła obserwować rozwój jej zdolności, zarówno w sensie konsekwencji, jak i ograniczeń – powiedziała i sięgnęła po notes. Napisała w nim trzy słowa i pokazała stronę, ale kamera była chyba za daleko i nie dało się tego odczytać. – Jeżeli za ego uznamy świadomą, zorganizowaną część umysłu, w którym superego odgrywa rolę moralizatorską, pozwalając ego odróżniać dobro od zła, to id jest tylko kłębkim instynktów. Id dąży wyłącznie do zaspokojenia własnych, pierwotnych potrzeb, jak głód i seks. Nie wartościuje i nie rozróżnia, co jest moralne, a co amoralne. U normalnych ludzi, którzy nie są nosicielami feralnego genu, ego mediuje pomiędzy id – czyli tym, czego pożąda dana osoba – a rzeczywistością. Zaspokajają nasze instynkty w sposób racjonalny. Superego natomiast działa jak sumienie – karze nas, wywołując uczucia wstrętu czy winy. Te

uczucia oddziałują bardzo silnie i normalnie ego wraz z superego dominują nad id. Jak widziałeś – ciągnęła – Mara wydaje się posiadać zdolność obracania myśli w realne czyny, lecz ta zdolność występuje tylko przy odpowiednim natężeniu stresu lub strachu. Sądzę, że podobnie jest u innych nosicieli. W tym przypadku G1821 obdarza id Mary zdolnością refleksji; jeśli Mara bardzo się czegoś boi, jej ego i superego przestają funkcjonować. A konsekwencje, jak wiesz, mogą być katastrofalne. Jej najbrzydsze, najbardziej destrukcyjne myśli stają się rzeczywistością.

– To nie najlepsze wieści – mruknął Jamie.

Stella uciszyła go syknieniem.

– Mara nie zawsze musi być świadoma tego typu myśli bądź intencji, które się za nimi kryją. Jeżeli zdarzy się sytuacja wywołująca odpowiednią mieszankę stresu i strachu, instynktowne odruchy Mary biorą górę. A teoria freudowska mówi, że oprócz popędu życia – libido – istnieje również popęd śmierci; destrukcyjne pragnienie skierowane przeciwko światu i innym organizmom. Specjalny lek, który stworzyliśmy dla Mary, z powrotem ustanowi barierę pomiędzy jej id a ego i superego – przynajmniej taką mamy nadzieję. Jego celem jest zapobieżenie sytuacjom, w których negatywne zamiary mogą zostać wprowadzone w czyn.

Na razie jednak musimy ustalić dawkę i tu pojawia się pewien problem. Nie mogę badać Mary, gdyż inne leki, które zażywa, zaburzają obraz. Z kolei bez leków jest zbyt niestabilna. Mamy jednak nadzieję, że duże dawki innego eksperymentalnego środka powinny całkowicie przywrócić jej pamięć po epizodach, toteż jeśli tylko uda się bezpiecznie osiągnąć ten stan, Mara powinna sobie przypomnieć, co się dokładnie działo w czasie danego incydentu – a zwłaszcza przypomnieć sobie, co czuła w tamtym momencie. Na szczęście dobrze reaguje też na midazolam, który z kolei podajemy jej, aby zapomniała i nie musiała żyć na co dzień ze swoimi traumami.

Obraz zaczął migać i w tym momencie odezwał się drugi głos, ale tak niewyraźny, że nie dało się rozróżnić słów. Nagle postać Kells wróciła, jeszcze wyraźniejsza niż przedtem.

– Tak, oczywiście, starałam się badać Marę w sposób jak najmniej inwazyjny. Dlatego zanim podjęłam jakiegokolwiek środki, obserwowałam jej zachowania. Zainstalowaliśmy światłowody i kamery w domu Dyerów, aby obserwować i rejestrować na bieżąco jej zachowania oraz ingerować w razie ich eskalacji. Jednak nie będę mogła jej w pełni pomóc, jeśli nie zrozumie, na czym naprawdę polega jej upośledzenie. Korzyści z badań, których tutaj dokonujemy, przewyższają ich

ryzyko. Terapie, które opracowaliśmy dzięki badaniu was i obserwacji waszych zachowań, mają... – w jej głosie zabrzmiała naukowa pasja – ...mają dalekosiężne skutki i korzyści. Tak dalekosiężne, że sama nie znam na razie ich zakresu. Nikt nigdy nie powinien cierpieć tak jak ludzie z G1821, zwłaszcza nastolatki. Słuchaj mnie uważnie – powiedziała do niewidocznej osoby. –

Anemozyna i amyletal zaburzą obraz kliniczny. Wpływają na wyniki badań, które musimy prowadzić, dopóki nie zyskamy ostatecznej pewności, że Marę i innych będzie można bezpiecznie przywrócić normalnemu życiu. Dlatego muszę mieć możliwość badania kogoś z takim genem bez podawania mu leków, aby uzyskać obraz jego mózgu w tomografii i w rezonansie magnetycznym i stwierdzić, jak reaguje na rozmaite bodźce, lęki i stresy. Klucz do zagadki nie znajduje się bowiem we krwi, tylko w mózgu. Dlatego obserwacje bazujące na morfologii niewiele mi dają. Potrzebuję pacjentów w pełni świadomych i nieotumanionych lekami, a jednocześnie współpracujących.

Doktor Kells wychyliła się lekko w przód i przeczesła palcami włosy.

– Potrzebuję ciebie – powiedziała.

– Co mam robić? – usłyszałam pytanie Noaha, zanim

ekran zgasł.

Wpatrywałam się w biały, pusty ekran, jakby sam akt patrzenia miał wywołać na nim Noaha. Niestety. Noah się więcej nie pojawił.

– Widzieliście datę tego nagrania? – spytała Stella, patrząc na nas. Jamie pokręcił głową. – Mara?

Nie zwróciłam uwagi. Ciągłe gapiłam się na ekran. To był głos Noaha. On żył. I był gdzieś tutaj.

– Okej – powiedziała Stella. Wcisnęła klawisz przewijania, ale nic się nie stało. – Nie możemy tego włączyć ani wyłączyć tutaj, co oznacza, że aparaturą steruje ktoś inny i z innego miejsca – stwierdziła.

– W takim razie sprawdźmy, kto i skąd nią steruje – zaproponował Jamie.

Tam mógł być Noah. Czułam to.

– Jude mówił o mapie. – Rozejrzałam się po zabałaganionym wnętrzu i nagle przypomniałem sobie o rulonach.

– Pomożecie? – spytałam, pokazując na nie.

Zaczęliśmy rozwijać jeden po drugim. Były to mapy i plansze, które nie miały nic wspólnego z tą okolicą ani z budynkiem. Zaczęłam tracić nadzieję, bo zostało już tylko parę rulonów.

– Rozwińmy to tutaj. – Ruchem głowy pokazałam na biurko. Stella zgarnęła na bok papiery, żeby zrobić miejsce, i rozpostarliśmy zwój.

Był to dokładny, architektoniczny plan Ośrodka Leczenia Psychiatrycznego „Horyzonty”. Tyle że nie był to zwykły szpital psychiatryczny, ale cały ogromny kompleks, którego zaledwie małą część stanowił ośrodek, jaki znaleźliśmy. Pod nim rozciągała się rozległa podziemna budowla podzielona na różne sektory, które razem tworzyły coś, co nosiło nazwę „Centrum Badawcze”.

– Ożeż ty! – wyszeptał Jamie.

Stella przeanalizowała plany i wyjaśniła nam, gdzie się znajdujemy.

– Myślę, że jesteśmy pod ziemią, na najniższym poziomie tego centrum. Widzicie to? – Pokazała na małe kwadraciki w środku większego zarysu. – To wygląda jak te klitki, w których nas trzymali. Ty znalazłaś Jamiego na poziomie 2.

Przesunęła palcem w stronę pomieszczenia z podpisem KUCHNIA, niedaleko miejsca, gdzie weszliśmy do gabinetu Kells – tego fałszywego.

– Jeszcze niżej jest poziom 3 i tu właśnie jesteśmy – ciągnęła. – I nadal znajdujemy się na No Name Island – dodała.

Zerknęłam na nią spod zmrużonych powiek.

– A gdzie mielibyśmy być?

Stella powiodła palcem wzdłuż długiej linii, która wydawała się oznaczać tunel.

– Są jeszcze trzy inne budowle, z których jedna znajduje się na sąsiedniej wyspie.

Zajrzałam jej przez ramię i przeczytałam podpisy: SEKCJA TECHNICZNA, ZAOPATRZENIE, MAGAZYNY.

– Tu są chyba kable, a tu generatory prądu – mówiła dalej Stella, wpatrzona w plany. – W tej sekcji technicznej. Tam pewnie siedzi Kells.

I prawdopodobnie Noah.

– Jedno wejście i wyjście – dorzucił Jamie, pokazując na

tunel.

Jego wlot znajdował się niedaleko od nas, lecz aby tam wejść, musielibyśmy się cofnąć do fałszywego gabinetu. Już zmierzałam do drabiny.

– Maro, zaczekaj – powiedziała Stella.

– Na co? – zawołałam przez ramię.

– Co robimy, tak po prostu tam idziemy? – spytał Jamie.

– Jak to co?

Stella zrobiła minę.

– Chyba powinniśmy wymyślić jakiś plan, nie?

Zatrzymałam się.

– Wszystko jedno, co zaplanujemy. Kells i tak wie, że tam przyjdziemy. Pewnie cały czas nas obserwuje.

Uniosłam głowę i zaczęłam szukać kamery. Stella podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem i nagle pokazała mi małą lustrzaną kulkę, zawieszoną pod sufitem w najdalszym, prawym rogu pomieszczenia. Patrzyłam na nią przez chwilę, a potem pokazałam jej środkowy palec.

– Myślałem, że pozdrowisz ją jak w Dystrykcie 12 – powiedział Jamie.

– Właśnie, może powinniśmy rozejrzeć się za jakąś bronią – podchwyciła Stella.

Uniosłam koszulę i pokazałam im skalpel.

– Ja mam.

– Trochę skromnie, nie uważasz?

Wayne by tego nie potwierdził.

– Nie zostawiłaby tu niczego, czego moglibyśmy użyć przeciwko niej – zauważyłam.

Stella pokazała na nasze teczki.

– Zostawiła to. – Jakieś kartki sfrunęły na ziemię. Stella schyliła się po nie i na moment znieruchomiała. – Maro, to chyba twoje. – Zebrała je i wręczyła mi.

To były rysunki. Przedstawiały coś, co przypominało ludzi bez rąk i nóg albo twarze z wydrapanymi lub zamazanymi oczami. Kiedy się w nie wpatrywałam, linie na papierze zaczęły się poruszać i układać w obraz, który miał być moją twarzą. Odwróciłam wzrok.

– Pewnie zostawiła te rysunki celowo – powiedziałam. Żeby zobaczyć. Żeby mnie przeraziły. – Słuchajcie, nie musicie mi dalej towarzyszyć – dodałam głuchym głosem. – Nawet nie powinniście. – Zmiałam kartki w kulę i cisnęłam do kosza. Chybiłam.

Wymienili spojrzenia i Jamie przewrócił oczami.

– Oczywiście, że idziemy z tobą – stwierdził.

Stella zgarnęła parę teczek i notesów i wsadziła je sobie pod ramię. Posłałam im blady uśmiech i weszłam na drabinę.

– To nie przypomina planu – powiedział Jamie.

– To nie przypomina niczego.

Próbowaliśmy podążać drogą, którą Stella zapamiętała z rysunku. W ostrym białym świetle technicznych lamp skomplikowany labirynt podziemnej budowli wydawał się jeszcze bardziej mylący. Baliśmy się, że w każdej chwili może zostać wyłączony prąd. Powietrze było duszne i nieruchome.

– Ciągle mam wrażenie, że jesteśmy na muszce setek karabinów – wyznała Stella.

– Całkiem możliwe. – Też czułam się nieswojo. Nasze

kroki rozbrzmiewały echem na metalowym chodniku. – Choć może nie setek.

Doszliśmy do rozwidlenia korytarzy. Mogliśmy pójść w lewo, w prawo albo zejść w dół po wąskich schodkach. Wybrałam to ostatnie. Kiedy schody się skończyły, stanęliśmy przed metalową ścianą. Znajdowały się w niej drzwi o zaokrąglonych kątach, jak w schronie. Na drzwiach straszył czarny znak zagrożenia biologicznego na czerwonym tle. Na mapie to miejsce było oznaczone jako magazyn. Innych drzwi nie było.

– Nic – mruknął Jamie i pokręcił głową. – Nic.

Przyłożyłam ucho do drzwi.

– Czy ona tu jest?

Odskoczyłam, kiedy usłyszałam te słowa. Wypowiedział je Noah. Musiał być za drzwiami. Sięgnęłam do klamki, lecz Jamie mnie powstrzymał.

– Maro – powiedział powoli. – Czy wiesz, co oznacza ten symbol?

– Wiem.

– Czy zechciałabyś wziąć go pod uwagę i nie wchodzić?

– Noah tam jest. Przed chwilą go słyszałam.

Jamie miał sceptyczną minę.

– Jezu – szepnął. – Do kogo mówił?

– Zapewne do Kells – wyjaśniła Stella w chwili, kiedy to pomyślałam.

Popatrzyłam na nich. Stella była blada i wystraszona. Jamie miał zdeterminowaną minę. Ja też byłam zdeterminowana.

Już czas. Najwyższy czas, żeby się rozdzielić. Nabrałam powietrza.

– Nie wiem, co miał znaczyć ten film i dlaczego Kells chciała, żebym go zobaczyła. Nie wiem, czemu Jude nam pomógł, o ile to w ogóle była pomoc. Nic nie rozumiem, ale wiem jedno – muszę otworzyć te drzwi. Muszę! Jeśli nie chcecie wejść tam ze mną, wracajcie.

– Maro, zaczekaj...

– Gdzieś na planie był zaznaczony wjazd, tak?

Stella kiwnęła głową.

– Przy sekcji technicznej. Powinniście tam iść. Razem.

I wyjść na zewnątrz, jeśli się tylko da. Powinnam niedługo do was dołączyć. Albo i nie.

– Moim zdaniem popełniasz błąd – stwierdził z troską Jamie.

Stella podniosła rękę, jak w szkole.

– Ja też tak sądzę, jeśli cię to interesuje.

Uśmiechnęłam się bez wesołości.

– Doceniam.

Jamie podrapał się w głowę.

– Nie chcę cię tu zostawiać samej.

– Nie musisz.

Stella spoglądała to na jedno, to na drugie, nie wiedząc, co robić. Znów sięgnęłam do klamki.

– Stop! – krzyknął Jamie.

– Jamie...

– Maro, kocham cię – dobra, nie patrz tak na mnie, nie w tym sensie – ale jeśli tak ci odwaliło, że zamierzasz olać zagrożenie epidemiologiczne i wejść tam, moje

towarzystwo niewiele ci pomoże. Wolałbym jeszcze pozostać w jednym kawałku.

– W porządku – powiedziałam spokojnie. – Masz rację.

Nie czułam żalu ani urazy, tylko ulgę. Nie chciałam być odpowiedzialna za Jamiego i Stellę. Wystarczyła mi moja własna osoba.

Jamie zmełł w ustach przekleństwo.

– Idź, Jamie.

Chwycił moją twarz w dłonie i ścisnął.

– Jeśli to ebola, masz przesrane. Jeśli nie, to... staraj się nie przebywać tam za długo, dobrze?

Kiwnęłam głową.

– Leć. Powodzenia!

Pocałował mnie w policzek.

– Powodzenia – szepnął i dołączył do Stelli, która już była przy drabinie.

Zaczekałam, aż ucichnie echo ich kroków, po czym przyłożyłam ucho do drzwi.

– Dlaczego ona nie wchodzi?

Znów Noah. Zacisnęłam powieki. Coś było nie w porządku. Noah żył, co do tego nie miałam wątpliwości, ale skoro tak, czemu jeszcze nie pokazał się w drzwiach?

Instynkt alarmował, żebym uciekała, ale ja już obróciłam klamkę. Drzwi otworzyły się powoli.

Pokój był biały i wyłożony białymi kafelkami, jak ambulatorium, w którym się niedawno ocknęłam. Tu też nie było prawie żadnych sprzętów, poza małym, niskim stolikiem i dwoma krzesłami. Na jednym z nich siedziała doktor Kells. Drugie było puste.

– Gdzie jest Noah? – zapytałam głosem, w którym pobrzmiwała twardość stali. Obiegłam spojrzeniem pomieszczenie, ale widziałam tylko monotonne, białe ściany. – Dlaczego powiedziałaś mi, że nie żyje?

Doktor Kells sięgnęła do kartonu, który stał przy jej nogach.

– Bo tak jest – odpowiedziała.

Podniosła coś do twarzy. Maskę przeciwigazową.

– Wybacz.

Nakładana maska stłumiła jej słowa. Rozległ się syczący dźwięk. Zauważyłam dysze w suficie, kiedy osuwałam się na podłogę.

10
WCZEŚNIEJ
Ocean Atlantycki

Stałam oparta o reling, z policzkiem na złożonych rękach, wdychając powietrze pachnące solą i deszczem. Był późny wieczór i pokład już prawie opustoszał. Dwóch młodych majtków śmiało się i przepychało, klarując liny i żagle. Nie zwracali na mnie uwagi, a ja obserwowałam ich kątem oka. Widać było, że są sobie bardzo bliscy; może byli rodziną. Pracowali jednakowymi, zgranymi ruchami, jak Siostra i ja, kiedy gotowałyśmy posiłek. A przecież nie byłyśmy rodzonymi siostrami – i dlatego ja znalazłam się na tym statku, a ona już nie żyła.

Każdej nocy zastanawiałam się, dlaczego stoję tutaj i gapię się na czarny przestwór wód, który zdaje się nie mieć końca, podczas gdy Siostra, wujek i wielu innych gniją w ziemi na drugim końcu świata. Zastanawiałam się, dlaczego mojemu dobroczyńcy – jak nazywali go wszyscy, których znałam – tak bardzo zależało na mnie, że zadbał o mnie nawet po swojej śmierci. Jaką mogłam mieć dla niego wartość?

To była ostatnia noc rejsu i czułam się zbyt

podeksytowana, żeby spędzić ją pod pokładem. W ogóle rzadko tam przebywałam. Wolałam obserwować, jak załoga manewruje linami oplatającymi maszty niczym pajęczyna i jak żagle wydymają się wiatrem. Wcześniej, kiedy zauważono moją stałą obecność na deku, jakiś pan w mundurze ze złotymi guzikami, w okularach jak pan Barbary, zaczął mnie stamtąd przeganiać. Schodziłam pod pokład i snułam się po korytarzach, zaglądając w różne zakamarki i słuchając rozmów, gdyż nikt nie przypuszczał, że rozumiem język.

Jednak tej nocy nikt mnie nie wygonił i doczekałam świtu. Patrzyłam, jak jaśnieje czystym blaskiem na horyzoncie, ale kiedy zbliżyliśmy się do ujścia wielkiej rzeki, w oddali powstała czarna chmura. Gęsty, żarłoczny dym połykał każdy skrawek błękitnego nieba. Kiedy statek dobijał do nabrzeża, pokład zaroił się od ludzi jak woda w dole od ryb.

Rzeka była zatłoczona innymi statkami i łodziami; jej brzegi wypełniały doki i nabrzeża, a na lądzie domy z kopułami, wieżycami i łukami wznosiły się do samego nieba. Kominy wypluwały kłęby czarnego dymu, a w moich uszach dudniły odgłosy miasta – okrzyki, gwizdy, dzwonienia, łomoty, zgrzyty i inne dźwięki, tak mi obce, że nawet nie wiedziałam, jak je określić.

Pobiegłam do kajuty, żeby zabrać rzeczy, a tam ktoś już na mnie czekał.

Czarny strój mężczyzny pasował do jego czarnych oczu ze zmarszczkami w kącikach. Głos miał głęboki, miły i dźwięczny.

– Nazywam się Grimsby – przedstawił się. – Rozumiem, że oboje znamy pana Barbary’ego?

Nie odpowiedziałam.

– Przysłał mojej pani wiadomość, że mam odwieźć cię do jej londyńskiego domu. Czy jesteś gotowa, panienko?

Byłam gotowa.

Kiedy sięgnął po mój kuferek, zeszywniałam. Musiał to zauważyć, gdyż spytał:

– Czy mogę wziąć twoje rzeczy?

Nie – miałam ochotę powiedzieć. Zamiast tego kiwnęłam głową.

Zeszłam po trapie za panem Grimsbym, patrząc, jak mój kuferek kołysze się w rytm jego kroków. Do odgłosów kopyt, kół i kroków dołączył stuk, stuk, stuk moich nowych bucików na brukowanej ulicy. Liczyłam kroki,

żeby się uspokoić.

Chłodne poranne powietrze zapuszczało pazury pod moje zbyt cienkie ubranie. Skrzyżowałam ramiona ciasno na piersi, podążając za swoim opiekunem ku okazałemu powozowi, który na nas czekał. Czarny jak węgiel koń parsknął nerwowo, kiedy się zbliżyłam.

– Spokój, dziewczynko. – Stangret poklepał klacz po lśniącej szyi.

Ostrożnie zrobiłam krok w przód, a klacz zachrapała i załomotała kopytami w bruk. Nie rozumiałam, co się dzieje. Zawsze lubiłam zwierzęta, a one mnie. Jak przez mgłę pamiętałam, że kiedyś karmiłam mały, podając im jedzenie na dłoni, albo że przekraczałyśmy z Siostrą rzekę, jadąc na słońcu.

Klacz chrapnęła dziko i szarpnęła się w uprzęży.

– Nie wiem, co w nią wstąpiło, panie – usprawiedliwiał się zakłopotany stangret.

Wyciągnęłam rękę, żeby ją pogłaskać i uspokoić.

Klacz gwałtownie stanęła dęba. Czarne oczy, błyszczące jak płynne szkło, uciekły w głąb czaszki, ukazując białka, i koń bez ostrzeżenia rzucił się galopem przed siebie.

Pan Grimsby patrzył w osłupieniu, jak powóz rwie środkiem zatłoczonej ulicy, wśród wrzasków i krzyków. A potem usłyszeliśmy łomot i trzask.

Pan Grimsby zapomniał o mnie i rzucił się biegiem w tamtym kierunku. Usiłowałam nadążyć za nim na swoich krótkich nogach i szybko pożałowałam tego pośpiechu.

Zobaczyliśmy przewrócony powóz z kołami jeszcze obracającymi się w powietrzu. Klacz próbowała przeskoczyć żelazną bramę, najeżoną szpikulcami.

Nie dała rady.

Gardło mi się ścisnęło, tłumiąc narastający krzyk. Nigdy dotąd nie krzyczałam ani nie płakałam z rozpacz. Nawet wtedy, kiedy spalono wujka czy ukamienowano Siostrę. Ale teraz, widząc tak niegdyś doskonałe i piękne ciało konia nabite na ostrza, z czarną sierścią połyskującą od krwi, i słysząc strzał, który miłosiernie skrócił mu męki, poczułam napływające łzy. Otarłam je rękawem, zanim zdążyły popłynąć.

Zamrugałam i otworzyłam oczy. Wszystko się kołysało, jakbym bujała się w powietrzu.

– Bardzo, bardzo mi przykro, Maro. – Głos był niewyraźny, stłumiony. Wydobywał się z otworu gębowego stworzenia o wielkich, ciemnych plamach oczu i ryju z dziurkami. Sapnęło i pochyliło się nade mną, usiłując rozewrzeć mi szczęki.

Chciałam krzyczeć, ale moje usta i język były odrętwiałe.

Tym razem nie znajdowałam się w podziemiach. Uświadomiłam to sobie, w miarę jak wracała mi ostrość widzenia. Tu był stół. I szpitalne łóżko na kółkach. I było zimno – tak zimno, że nie czułam rąk ani nóg.

– Przykro mi, że nie dało się tego uniknąć.

Głos należał do doktor Kells i jej postać pojawiła się na peryferiach mojego pola widzenia. Po raz pierwszy była bez makijażu. Wyglądała zdumiewająco młodo, nie licząc dwóch głębokich bruzd okalających z obu stron jej usta. Kosmyki włosów wymykały się z luźnego węzła na karku. Czuć ją było potem i chlorem.

– Chciałam cię naprawić. Łudziłam się, że zdołam cię uratować. – Potrząsnęła głową, jakby nie wierzyła, że mogła być taka głupia. – Myślałam, że dzięki regularnym wlewom anemozyny i amyletalu uda się wreszcie zwolnić cię do domu. Mało tego, liczyłam nawet, że wrócisz do szkoły!

Zaśmiała się gorzko, lekko histerycznie. Nie patrzyła na mnie – prawdopodobnie nawet nie mówiła tego do mnie. I... czyżby płakała?

– Przepraszam, że zasiałam w tobie nadzieję, że Noah żyje. Bardzo cię przepraszam. Wiem, co musiałas czuć, słysząc jego nagrany głos. Niestety, Jude nie dał mi wyboru, rozumiesz? On... niedobrze z nim. Nie miałam pojęcia, że posunie się aż tak daleko, jak tam, w Tamerlane. Nie przypuszczałam. Czasami nawet ja nie potrafię przewidzieć, co zrobi. – Znów się zaśmiała. – Tylko Claire to potrafiła. Ale nikt jej nie przywróci do życia.

Kells otarła wierzchem dłoni zaczerwienione oczy.

– Jude cię uwolnił, a ty... Co się stało z Wayne'em? Mój Boże, Maro, a jeśli coś takiego znów się zdarzy? Wiem, pewnie uważasz mnie za sprawczynię wszelkiego zła. Nie wątpię, że w myślach zabiłaś mnie już tysiące razy, kiedy byłaś świadoma – i Bóg wie ile razy, kiedy byłaś

bez świadomości. Ale myśl o tym, co zrobiłaś dzisiaj. I co zrobiłaś wcześniej. O ludziach, których skrzywdziłaś. O życiach, które się skończyły. – Wpatrywała się w pustkę rozszerzonymi oczami, zgnębionym, przerażonym wzrokiem. – Tak się starałam... ale ty jesteś zbyt niebezpieczna.

Podeszła do rzędu stalowych szuflad i wyjęła coś z jednej z nich. Usłyszałam pyknięcie odłamywanego, plastikowego zabezpieczenia strzykawki.

– Zrobię ci zastrzyk, który zatrzyma akcję twojego serca. Obiecuję ci, Maro, nic nie poczujesz.

Ale ja czułam. Czułam swoje palce u rąk i czułam na piersi dotyk sztywnego materiału szpitalnej koszuli. Powinnam być bardziej przerażona, niż byłam. Powinnam panikować. Tymczasem miałam wrażenie, jakbym tylko obserwowała coś, co przydarza się komuś innemu.

– Potem powiem twoim rodzicom, co zrobiłaś Phoebe.

Przecież ja nic nie zrobiłam Phoebe.

– I Tarze.

Tarze też nic nie zrobiłam.

– Masz dobrze udokumentowaną kartotekę zbrodni dokonywanych w trakcie terapii i zażywania leków uspokajających – powiedziała, ocierając nos i policzki mokre od łez. – Oraz stwierdzoną schizofrenię paranoidalną. Twojej rodzinie będzie ogromnie trudno pogodzić się ze stratą, ale z czasem to przyjmą.

Położyła strzykawkę na metalowym stole obok łóżka. Spojrzałam w dół. Zobaczyłam odpływ w podłodze. Uniosłam głowę i przyjrzałam się dziwnym, wielkim metalowym szufladom, wypełniającym całą ścianę za jej plecami. Po chwili uświadomiłam sobie, na co patrzę i gdzie jestem.

Ta sala była kostnicą.

– Całe lata spędziłam na próbach pomagania takim nastolatkom jak ty, a w twój przypadek zaangażowałam się najbardziej. Jednak nie mogę się dłużej oszukiwać. – Głos się jej załamał. – Nie można cię naprawić. Nie można cię uratować.

Podwinęła rękaw mojej poplamionej szpitalnej koszuli. Palce musnęły skórę, budząc we mnie dreszcz.

Moje ciało jeszcze niedawno było sparaliżowane, ale raz obudzona fala czucia wezbrała, ogarniając ożywczym mrowieniem ramiona, ręce i kark. Nie

sięgnęła natomiast nóg.

Czułam skalpel wetknięty za gumkę majtek pod koszulą; metal był ciepły od ciała. Albo doktor Kells nie wiedziała o nim, albo wiedziała i zapomniała, gdyż zrobiła zdziwioną minę, kiedy wbiłam jej ostrze w szyję.

Zamachnęłam się do ciosu z taką siłą, że spadłam z metalowego stołu i wylądowałam na podłodze, przewracając stolik ze strzykawkami. Kells nie unieruchomiła mnie. Po co miałyby to robić, skoro byłam sparaliżowana? Boleśnie stłukłam sobie lewy bark i z trudem powstrzymałam odruch, żeby nie chwycić się za bolące miejsce. Nie chciałam wypuszczać skalpela z ręki. Kells zatoczyła się pod ścianę i osunęła na podłogę. Trzymała się obiema rękami za szyję, oczy miała dziko wytrzeszczone, a krew ściekała jej spomiędzy palców.

Kazałam swoim nogom się ruszać, lecz nie posłuchały. Musiałam pełznąć. Spojrzałam na drzwi kostnicy. Pewnie sięgnęłabym do klamki, ale drzwi były masywne i obawiałam się, że nie dam rady ich pchnąć.

Maro...

Uniosłam głowę, słysząc ten głos. Głos Noaha. A potem

zobaczyłam jego twarz. O wyrazistych rysach, arystokratyczną i bladą, z tym sarkastycznym uśmiechem, który tak kochałam, i cieniem zarostu na szczęce. To był on. Taki, jakim go zapamiętałam.

Wtem na jego gardle zaczęła się rozszerzać poszarpana szczelina, jakby ktoś chlasnął go zębątem nożem. Nie było krwi, nie było dźwięku, tylko ta rana jak szeroki, postrzępiony uśmiech u podstawy szyi.

To nie był realny obraz. Wiedziałam, że nie jest realny. Ale z jakiegoś powodu musiałam go zobaczyć.

Z furją obróciłam się ku doktor Kells. Była biała jak płótno, ale ciągle przytomna. Mogła się ruszać i powoli odsunęła się od ściany. Podłoga była śliska od jej krwi.

– Gdzie jest Noah? – zapytałam stanowczym, beznamiętnym głosem.

– Nie żyje – szepnęła.

Zgarnęła połę swojego laboratoryjnego fartucha, usiłując zahamować nim krwotok.

– Kłamiesz.

– Zabiłaś go.

– Jude mówił mi, że on żyje.

– Jude jest chory – powiedziała chrapliwie.

W to akurat wierzyłam. Ale wierzyłam również, że Noah żyje. Miałabym przeczucie, gdyby było inaczej, a ja nic nie czułam.

– Powiedz mi, gdzie on jest – zażądałam, przemagając opór nieruchawego języka.

Usiłowałam wymyślić, co mam powiedzieć albo zrobić, żeby Kells zdradziła mi prawdę, jak zmusić ją do tego. Nagle przypomniałam sobie, co kiedyś powiedziała Jude’owi.

Powiedziała mu, że mogę sprawić, aby Claire wróciła. I Jude w to uwierzył. Może słusznie?

– Powiedz mi, gdzie on jest, żebym mogła go sprowadzić z powrotem.

– On już nie wróci.

– Powiedziałaś Jude’owi... że Claire...

– Kłamałam.

Nawet ja, ten potwór, pomyślałam, że postąpiła okrutnie.

Już miałam jej to powiedzieć, kiedy zobaczyłam, że skrycie sięga po strzykawkę. Szarpnęłam się z furią i udało mi się wytrącić ją z ręki Kells. Wyprostowałam się, na ile mogłam.

Pani doktor miała rację. W myślach zabijałam ją tysiące razy, lecz nadal tu była. Nie wiem, jakie środki mi zaaplikowała, lecz musiały działać, gdyż nie byłam w stanie zabić jej siłą swojego umysłu. Ale mogłam ją zabić tradycyjnym sposobem.

Wypuściła z rąk kitel. Krew spływała teraz wolno, cienkim strumykiem.

Ona i tak umrze, szepnął głos w mojej głowie.

– Owszem, ale zanim umrze, może zabić ciebie.

Zwróciłam głowę w kierunku własnego głosu i popatrzyłam na swoje odbicie w jednej ze stalowych szuflad kostnicy. Ona... ja... wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Masz inne wyjście?”.

Ręce mi drżały, niezdolne dłużej utrzymać ciężaru tułowia, ale musiałam wytrzymać, żeby usłyszeć odpowiedź.

– Jak mam znaleźć Noaha?

Kells usiłowała wstać, żeby uciec w kąt, z dala ode mnie, z dala od drzwi, ale nie mogła, bo ślizgała się w czerwonej kałuży. Chwyciłam ją za nogi i wydawało mi się, że skóra została mi w rękach. Nie. Nie skóra, rajstopy.

– Co mu zrobiłaś? Mów!

Nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie, a potem znów, bez ostrzeżenia, sięgnęła po strzykawkę.

W nagłym przypływie sił rzuciłam się na nią i przygniotłam jej pierś i głowę do podłogi. Walczyła o oddech, a ja wyrwałam jej strzykawkę z zaciśniętych palców.

Nie mogłam darować jej życia. Nie po tym wszystkim. Nie zasłużyła na to. Teraz ja trzymałam strzykawkę, ale uświadomiłam sobie, że w ten sposób zafundowałabym doktor Kells bezbolesną śmierć – taką, jaką chciała zafundować mnie.

A ból, który zadawała mi wcześniej? Dzisiaj, wczoraj, dawniej? Torturowała mnie. Twierdziła, że to dla mojego dobra, że miała powody. Wszyscy oprawcy tak twierdzą. Liczy się cierpienie, a nie racje.

Jej usta poruszyły się bezgłośnie – może w modlitwie?

Wszystko, co dotąd myślałam o śmierci, wydało mi się teraz zupełnie abstrakcyjne. To były tylko myśli, niemające odbicia w rzeczywistości. Teraz wszystko było realne. Czułam. Moja twarz była tuż przy jej twarzy. Słyszałam, jak jej serce z wysiłkiem telepie się w piersi, usiłując przepompować tę resztkę krwi, jaka została w ciele. Wdychałam woń jej śmiertelnego potu i niemal czułam metaliczny, palący posmak jej krwi na języku.

Już bowiem w pierwszej chwili, kiedy ocknęłam się w Horyzontach na No Name Island i doktor Kells wyznała, co mi zrobiła, a potem pokazała mi listę, poprzysięgłam sobie solennie, że ją zabiję.

– Nie bój się – powiedziałam. – To prawie nie boli.

Na wpeł pełzałam, na wpeł czołgałam się po metalowym chodniku, a dolna połowa mojego ciała powoli odzyskiwała czucie. Ręce mnie bolały od podciągania się wzdłuż barierek kratowniczowego przejścia. Kiedy dotarłam do rozwidlenia dróg, spojrzałam w lewo, a potem w prawo – i zobaczyłam Jamiego i Stellę stojących niecałe trzydzieści metrów ode mnie.

Nie musiałam nic mówić, bo od razu rzucili się w moim kierunku. Stella poślizgnęła się w skarpetkach i upuściła teczki, które trzymała pod pachą, ale po chwili byli przy mnie. Nie pytali, co się stało. Nie powiedzieli słowa. Po prostu chwycili mnie pod pachy i powlekli dalej, przez okrutne, strome schodki, aż w końcu znaleźliśmy się na zewnątrz.

– Proszę, a martwiliśmy się, że stąd nie wyjdziemy – wysapał Jamie, kiedy całą trójką, ciężko dysząc, usiedliśmy oparci o ścianę betonowego bunkra, z którego przed chwilą uciekliśmy.

– A twoja ebola? – wysapałam.

Jamie rozkaszał się demonstracyjnie.

– Och, cóż znaczy niewielka gorączka krwotoczna przy naszej przyjaźni? Doprawdy, drobiazg.

Uśmiechnęłam się przez łzy.

– Słuchajcie, nie powinniśmy tu zostawać – ostrzegła Stella.

Faktycznie, nie powinniśmy.

– Musimy się ukryć – stwierdził Jamie. – Dopóki nie odzyskasz władzy w nogach, Maro.

Oczywiście miał rację, ale możliwości, jakie mieliśmy, były kiepskie. Budynek, z którego praktycznie mnie wywleczono, stanowił najwyższy poziom podziemnego segmentu technicznego. Niewiele wystawał ponad poziom gruntu i teoretycznie zasłaniały go drzewa, ale już świtało, a roślinność nie była zbyt gęsta. Widać było stąd Horyzonty – oficjalną, terapeutyczną część całego kompleksu, znajdującą się na No Name Island. Niestety, to oznaczało, że ktoś znajdujący się na wyspie również może nas zobaczyć.

Spojrzałam na swoje bezużyteczne nogi, umazane krwią i brudem. Poczułam ukłucie paniki.

– A jeśli nie będę mogła chodzić? – zapytałam histerycznie. – Co... co wtedy...

Stella przyklęła przy mnie.

– Co dokładnie czujesz? – spytała łagodnie.

– Niektóre partie nóg nadal są martwe, ale w innych... czuję mrowienie.

– Dokładnie to samo miałem kiedyś – powiedział Jamie, zerkając czujnie na właz, który zatrzasnęliśmy za sobą. – Obudziłem się i nie czułem nóg.

– Co ona ci zrobiła? – zapytałam, choć bałam się usłyszeć odpowiedź.

– Dlaczego upośledzała naszą zdolność poruszania się? Co tak naprawdę nam robiła?

– To nie Kells, tylko Wayne – wyjaśnił Jamie. – Chyba miał taki nakaz.

Mało pocieszające. Ale przynajmniej Jamie miał sprawne nogi. Co dawało nadzieję, że ja też wkrótce będę chodzić. Na to liczyłam.

– Jak długo dochodziłeś do siebie?

Jamie wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie widziałem żadnych zegarów, ale tak na

wycucie... wystarczyła godzina, może dwie? Potem jeszcze czułem się dziwnie, jakby moje nogi i ręce... lewitowały... unosiły się lekko niczym chmury...

– Może to było znieczulenie zewnątrzoponowe – zasugerowała Stella. – Żebyś nie czuł, co ci robią.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – zapytałam.

– Moja mama jest pielęgniarką.

– Słuchajcie, a ja chciałem tylko powiedzieć, że tak ogromnie się cieszę, że już jej nie ma – oznajmił Jamie, przeciągając ręką po włosach, a potem po twarzy. Zerknął na mnie zza rozczapierzonych palców. – Nie żyje, prawda?

Jasne, nie żyje.

– Tak!

– Co się tam stało? – zapytał.

– To nie był Noah, tylko jego głos. Kells nagrała go, zmontowała i chciała zmanipulować mnie tym nagraniem.

– Jednym słowem, pułapka?

– Tak. Miałaś rację. – Poczułam jego dłoń na ramieniu.

– Przepraszam cię, Maro – powiedział.

– Nie ma sprawy.

– Nie... chodzi o Noaha...

– Noah żyje. – Jamie nie odpowiedział. Z wysiłkiem wsparłam się na uniesionych rękach, prostując tułów. – Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale wiem. On gdzieś tu jest.

– Więc dlaczego nie jest teraz z tobą?

Dobre pytanie! Wszystko bym dała za odpowiedź.

– Kells mówiła, że pawilon się zawalił – dodał Jamie.

– Mnie też to mówiła. Co nie znaczy, że tak było.

Aby to sprawdzić, musielibyśmy wrócić do Horyzontów. Jedno wiedzieliśmy na pewno – nie jest to zwykły ośrodek terapeutyczny. Poza tym, jeżeli katastrofa się wydarzyła, a Jamie i Stella przeżyli, musiałam wierzyć, że ocalał także Noah. On jako jedyny z nas potrafił się uzdrowić. Musiał przeżyć!

– Masz jeszcze ten dyktafon? – spytałam. – Z nagraniem

Jude'a?

– Ostatnio miała go Stella.

Obejrzałam się szybko.

– Dokąd ona poszła?

W tym momencie zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Nerwowo unieśliśmy głowy, ale to była tylko Stella, która wróciła z budynku, taszcząc trzy torby podróżne. Jedna należała do Jamiego, druga zapewne do niej, a trzecia... była torbą Noaha.

W myśli pojawił mi się obraz Noaha, z tą torbą na ramieniu, z pokrowcem gitary w ręku, ociekającego deszczem i czekającego na wprowadzenie do ośrodka. Dał się tu zamknąć, żeby mnie ratować. Serce mi się ścisnęło.

– Gdzie to znalazłaś?

– Trzymała nasze rzeczy w pakamerze niedaleko kostnicy. Pełno tam kartonów – wyjaśniła Stella, wręczając nam torby. – Myślę, że to na wypadek, gdybyśmy zmarli albo coś w tym stylu. Wołała, żebyśmy mieli swoje ubrania, a nie szpitalne czy inne. Takie maskowanie.

Zastanawiałam się, co zrobiła z moimi rzeczami i jak zamierzała zamaskować moją śmierć.

Kurczowo zacisnęłam palce na torbie.

– Skąd wiedziałaś, że to była... – Nie, bez czasu przeszłego! – ...że to torba Noaha?

– Tam były przegrody z naszymi imionami. W tej była też gitara.

Jego gitara. Nie zostawiłby ukochanej gitary. Poczułam bolesny ucisk w gardle, ale przemogłam go.

– Sprawdzałaś w kostnicy? – zapytał Jamie.

– Eem...

Rzuciła mu nerwowe spojrzenie. Czekałam na odpowiedź i zarazem nie chciałam jej usłyszeć.

– Nie – powiedziała w końcu.

– Ktoś powinien sprawdzić. – Głos Jamiego był cichy i łagodny.

Pokręciłam głową.

– Noaha tam nie ma.

– Jeśli nie chcesz iść, ja to zrobię – zaoferował.

Pomyślałam o tym, co tam zastanie – kałużę krwi, ciało Kells – i uznałam, że powinnam mu towarzyszyć, wytłumaczyć wszystko.

Stella postanowiła pójść z nami. Podnieśli mnie za ramiona i podtrzymując z dwóch stron, poprowadzili z powrotem do budynku.

Choć wszyscy byliśmy bez butów, nasze kroki dudniły echem po metalowych kratkach i wiedziałam, że oni także zaczęli wątpić, czy powrót tutaj był dobrym pomysłem. Jeśli ktoś jeszcze został na dole, mógł nas usłyszeć. A jednak parliśmy przed siebie. Musieliśmy sprawdzić tę kostnicę.

Drzwi były lekko uchylone, a koło klamki widać było krwawy odcisk dłoni. Mojej dłoni. Jamie i Stella przez moment patrzyli na niego. Pchnęłam stalowe drzwi.

Kells była tam, gdzie ją zostawiłam. Martwe oczy patrzyły w nicość. Stelli drżał podbródek, kiedy wpatrywała się w tę krwawą scenę.

– Co tu się stało? – wyszeptała.

Jamie odezwał się, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

– Zjrzę do szuflad – stwierdził, ale nie ruszył się, żeby wejść do kostnicy, podobnie jak Stella.

Popchnęłam ich, przełamując zakłęcie. Stanęliśmy przed całą ścianą dużych metalowych szuflad, chcąc i jednocześnie nie chcąc wiedzieć, co w nich jest.

W końcu to Stella otworzyła pierwszą szufladę. Stałam oparta o Jamiego i patrzyłam. Razem wstrzymaliśmy oddech, kiedy wysuwała tacę, i razem go wypuściliśmy, gdy szuflada okazała się pusta. Każdy nerw w moim ciele był napięty i obnażony, kiedy tak wysuwała szufladę po szufladzie. Wszystkie były puste – poza jedną.

Biała płachta okrywała bezkształtną masę. Nie, nie bezkształtną. To miało kształt ciała. Ludzkiego ciała.

Stella nie odchyliła prześcieradła, więc puściłam Jamiego i podeszłam tam, trzymając się ściany. To był Adam. Dupek i sadysta. Którego mogłam uratować... może bym mogła... ale nie zrobiłam tego. A teraz leżał tu martwy jak Kells, Wayne i wszyscy inni, których nienawidziłam.

Ale nie Noah. Nie Noah.

Spaliśmy nad wodą. Plaża była bardziej błotnista niż piaszczysta, usiana pokruszonymi muszlami i poprzerastana korzeniami drzew, ale nie zważałam na to. Byłam śmiertelnie zmęczona. Podłożyłam sobie pod głowę torbę Noaha i zasnęłam natychmiast.

Czucie wlewało się do moich nóg cienką strużką, a nie falą. Kiedy się obudziłam, bolały mnie mięśnie i brzuch, w ustach miałam paskudny posmak. Byłam totalnie nieszczęśliwa i skóra swędziała mnie z brudu. Ale kiedy jasny blask słońca przesiał się przez gałęzie drzew i uświadomiłam sobie, że mogę sycić się tym światłem i ciepłem, moje spierzchnięte usta rozciągnęły się w uśmiechu. Byłam wolna!

Jamie i Stella jeszcze spali. Poranna mgiełka unosiła się z szarego oceanu i wpełzała na plażę, osiadając wśród wysokich wydmowych traw. Podniosłam się powoli z ziemi. Nogi trochę mi się trzęsły, ale mogłam chodzić. Banda mew obsiadła coś na plaży. Zerwały się z krzykiem, kiedy się zbliżyłam.

Moja szpitalna koszula była sztywna od zaschniętej krwi i brudu, utyłana w piasku. Nie miałam swoich rzeczy, więc wzięłam ze sobą torbę Noaha. Zamierzałam obmyć

się w oceanie i przebrać się w coś z jego ciuchów. Jednak moje palce zamarły, kiedy dotknęłam suwaka.

Nie byłam pewna, jak zareaguję, kiedy otworzę te torbę i poczuję jego zapach; kiedy dotknę materiału, który dotykał jego skóry. Wiedziałam, że Noah żyje... wiedziałam na pewno... ale nie było go ze mną.

Wróciłam pod drzewo w chwili, kiedy Jamie się obudził i wyciągnął w górę ramiona, aż dotknął zwisającej gałęzi.

– Czuję się chałowo – stwierdził.

– I chałowo wyglądasz – powiedziała Stella, ziewając.

– Co jest na śniadanie? – zapytał.

Stella przewróciła oczami.

– Dowcipne.

– Kwasy za chwilę wypalą mi dziurę w żołądku – poskarżył się. Stella zrobiła zdegustowaną minę. – Zjadam samego siebie. I w życiu nie czułem się taki obolały.

Stella uniosła się na łokciach.

- Może tu są orzechy kokosowe albo jakieś owoce?
- Nie będziemy teraz szukać orzechów – ucięłam. – Musimy jak najszybciej wybyć z tej wyspy.

Stella kiwnęła głową.

- Zabrałam parę teczek z gabinetu Kells, choć nie miałam czasu sprawdzać, co biorę. Nie wiem, czy nie powinniśmy tam wrócić i spróbować się dowiedzieć, jak Kells wydostawała się z wyspy.

- I co potem? – zapytał Jamie.

- Na No Name Island jest ośrodek wypoczynkowy – powiedziałam. – Jeśli wrócimy na wyspę, możemy stamtąd zadzwonić...

Urwałam, gdyż zdałam sobie sprawę, że to bez sensu. Do kogo mielibyśmy zadzwonić?

- I co byśmy powiedzieli? – dodał Jamie, domyślając się, o co mi chodzi.

- Kells wspomniała o Phoebe i Tarze, zanim... – Zanim ją zamordowałam. – Powiedziała, że to ja je zabiłam i że ma dowody.

- Przecież Jude je zabił – zaprotestowała Stella.

– Na naszych oczach – dodał Jamie.

– A jeśli chodzi o doktor Kells, działałaś w obronie własnej – powiedziała Stella. – Zeznamy tak.

Nabrałam powietrza, próbując się uspokoić.

– Dzięki, ale to nie ma znaczenia. Wszystko i tak jest w mojej kartotece. Nie możemy liczyć, że ktokolwiek nam uwierzy, nawet moi rodzice.

Nawet moi bracia.

– Jeśli Kells wcześniej mówiła o tym komuś czy pokazywała moją teczkę – ciągnęłam – to mamy przechłapanie. W zależności od tego, co tam umieszczono, moja rodzina uzna, że jesteśmy wariatami i nadal znajdujemy się pod jej opieką, albo wariatami, którzy uciekli, albo wariatami, którzy już nie żyją. W każdym razie, bez względu na wersję, rodzina pomyśli sobie, że my wszyscy... że ja... jestem... byłam... ciężko zaburzona.

– I niebezpieczna – dodał Jamie, obrzucając przeciągłym spojrzeniem moją zakrwawioną koszulę.

– I niebezpieczna – przytaknęłam.

Naprawdę powinnam się przebrać.

– Okej, rozumiem – powiedziała Stella. – Czyli do nikogo nie dzwoniemy i nie prosimy o pomoc. Ale przecież na wyspę pływa prom. Co z nim?

Popatrzyłam po sobie.

– Wyglądam trochę...

– Podejrzanie – dokończył Jamie.

– Właśnie.

– Nie ma w torbie Noaha czegoś dla ciebie? – zapytała Stella.

– Ja... jeszcze nie patrzyłam.

Jamie i Stella pomilczeli przez chwilę, po czym Jamie sięgnął do swojej torby. Pogrzebał w niej i wręczył mi szorty bojówki oraz czarny T-shirt ze słowem TROP wypisanym białymi literami i odwróconym do góry nogami.

Stella zmarszczyła brwi.

– Nie chwytam tego.

– Och, może to mylny trop. – Jamie wzruszył ramionami.

– A czytane wspaniale będzie PORT...

– Jezu, ale ty jesteś dociekliwa.

Jamie odszedł na bok, żebym mogła się umyć i przebrać.

Oceaniczna bryza chłodziła mi skórę, kiedy rozebrałam się i zanurzyłam w wodę. Piasek jak muł wchodził mi między palce. Miałam wrażenie, że pływam w jeziorze. Choć woda była płytka, nie widziałam dna. Zaczęłam zmywać brud z ramion i nóg. W ciepłej wodzie znikła gęsia skórka. Mimo woli przypomniałam sobie ciepłą krew doktor Kells i poczułam kłopotliwy dreszcz zadowolenia. To było chore, a jednocześnie upojne.

– O rany! Nie, nie, nieee!

Krzyczała Stella. Błyskawicznie wciągnęłam ubranie na mokre ciało i pobiegłam do niej, żeby zobaczyć, co się stało. Stała obok Jamiego i patrzyli na wodę. Nie, nie na wodę. Na potężny słup dymu wznoszący się w niebo.

Spojrzeliliśmy na siebie tknięci jedną myślą.

– Dobra, głosujmy – zaproponował Jamie. – Jude: niesprawiedliwie osądzany dobry chłopak albo zły chłopak, działający z nieznanymi pobudek. Osobiście głosuję na złego chłopaka.

– Zły chłopak – potwierdziła Stella.

Nie wypowiedziałam się od razu.

– Nie mam zdania – stwierdziłam w końcu. – Sądzicie, że on to zrobił?

– No co ty, Mara? Jasne, że on.

– Pomógł nam stamtąd uciec.

– Owszem, ale...

– Powiedział, że Noah żyje.

Ale powiedział również, że Noah będzie na mnie czekał, a przecież nie czekał. Pokręciłam głową, myśląc intensywnie. Chciałam wierzyć, że Jude mówił prawdę. Co nie znaczy, że mu wybaczyłam. W żadnym razie. Spojrzałam na swoje przeguby, na blizny w miejscach, gdzie kazał mi się pociąć. Zbladły po tym, jak Noah je zaleczył, lecz nadal były widoczne. Nigdy nie wybaczę Jude'owi tego, co zrobił mnie i Josephowi, ale teraz musiałam mu wierzyć, gdyż musiałam wiedzieć, że Noah żyje.

– Hej – powiedział cicho Jamie.

Stella zignorowała go.

– Nieważne, jaki jest albo nie jest Jude. Powiedzcie lepiej, jak się stąd wydostać?

– Hej! – Jamie powiedział to głośniej i strzelił palcami przed nosem Stelli, żeby przyciągnąć jej uwagę, po czym pokazał na ocean. – Czy to łódź?

Popatrzyłam we wskazanym kierunku, osłaniając oczy dłonią.

– Jak na zawołanie – stwierdziłam.

– Aż za bardzo. – Jamie nieufnie przypatrywał się łodzi.

– A może ktoś chce nas dorwać? Ktoś z Horyzontów?

– Mówisz o współpracownikach Kells? – spytała Stella.

– Wątpię. Może policja?

– Czy uważacie, że możemy trafić w jeszcze gorsze miejsce niż to, z którego uciekliśmy? – spytałam retorycznie.

Jamie udał, że się zastanawia.

– Mówisz o pierdlu?

Spiorunowałam go wzrokiem.

– To ma być gorsze?

Wzruszył ramionami.

– Wolałbym nie. Mam inne plany.

Stella osłoniła oczy dłonią i wpatrywała się w przestrzeń.

– Myślę, że to łódź wędkarzy – powiedziała i przygryzła wargę w namyśle. – Możemy poprosić, żeby ten ktoś wysadził nas na Big Pine Key, bo stamtąd są już połączenia mostami z lądem. Tylko jak to zrobić?

– Pomachać mu jak na stopie? – rzuciłam.

Jamie popatrzył na mnie jak na wariatkę.

– Cholera wie – mruknął. – Jestem zielony w kwestiach ucieczek.

Stella odwróciła się do nas.

– Ktoś z nas musi tam popłynąć. Kto na ochotnika?

Jamie stanowczo pokręcił głową.

– Wykluczone. Po pierwsze, rekiny, i po drugie, rekiny.

Stella już ściągała dzinsy.

– Kiedyś byłam w sekcji pływackiej.

– Nie powinnaś płynąć sama – powiedziałam.

– Dlaczego? Myślisz, że ten rybak jest psychopatą?

– Każdy jest trochę stuknięty, tylko niektórzy nie umieją ukrywać tego tak dobrze jak inni.

Zerknęłam na Jamiego, który się uśmiechał, po czym zaproponowałam, że popłynę ze Stellą. Szczerze mówiąc, wolałabym, żebyśmy popłynęli wszyscy troje. Jakoś nie miałam ochoty się rozdzielać.

– Nie, Maro, dosyć już zrobiłaś dla nas. W porządku, dam sobie radę. Tylko skryjcie się w drzewach, dobra? – Pomachała nam i weszła do wody. – Niedługo wrócę! – zawołała, płynąc.

– Bardzo, bardzo szkoda, że to powiedziała – stwierdził z troską Jamie.

– Co powiedziała?

– Że niedługo wróci.

– O czym ty gadasz?

– O nieuniknionym.

– Jest szybka.

– Owszem – przytaknął – ale zaraz pojawi się za nią trójkątna płetwa.

– Wypluj to! – Szturchnęłam go w ramię. – Jesteś beznadziejny.

Milczał przez parę minut, a potem nagle pacnął mnie w plecy.

– Au.

– Komar ci usiadł.

– Nieprawda.

– Ej, patrz.

Kiedy rozmawialiśmy, łódź znacznie się zbliżyła i odgłos silnika zaczął głuszyć nasze słowa. Za sterem stał szpakowaty, starszy mężczyzna. Ten szyper, kapitan czy inny wilk morski miał włosy długie prawie do połowy pleców i nosił naszyjnik ze zwierzęcych zębów nawleczonych na rzemień. Podpłynął bliżej plaży, niż przypuszczaliśmy, a Stella zeskoczyła w płytką wodę i ruszyła ku nam. Za nią brodziło dwóch młodych bysiów w szortach khaki i koszulkach polo. Jeden z nich miał nad oczami plastikowy daszek przeciwsłoneczny. Obaj jawnie pożerali wzrokiem jej tyłek.

Stella dała nam znak i wyłonił się spomiędzy mangrowców.

– Niezłych macie przyjaciół – powitał nas Siwa Grzywa.

– Taa – mruknął Jamie. – Każdy ma jakichś...

– Opowiedziałam mu, jaki numer wycieli nam Wayne i Deborah – pospieszyła z wyjaśnieniem Stella. – Nie mógł się nadziwić, co to za przyjaciele, którzy jadą z tobą na biwak, a potem zmywają się ze wszystkim, co masz cennego.

Nieźle to wymyśliła!

– Cholerne złamasy! – podchwyciłam ochoczo. – Dranie!

– Czy możemy... eee... ruszać? – zapytał Daszek. – Trzeba wracać na łowisko, ryby czekają.

– Bez napinki – uspokoił go Siwa Grzywa. – Podrzucimy ich szybko na wyspę i zaraz będziemy z powrotem.

– Jesteśmy tu tylko do jutra – marudził dalej Daszek, wyraźnie niezadowolony z takiego przerywnika. – Szkoda czasu na podwózki.

– Zwrócę wam kasę – warknął Grzywa i Daszek od razu się udobruchał. – Napijcie się czegoś, dzieciaki?

Boże, jasne. Ochoczo kiwnęłam głową. Jamie też. Grzywa taksował go wzrokiem odrobinę dłużej niż mnie.

– Nie macie jeszcze dwudziestu jeden lat, co?

Oboje jak na komendę wzruszyliśmy ramionami.

– Zresztą i tak mam tylko piwo. Nie mówcie nikomu, dobra?

Uśmiechnęłam się.

– Będę milczeć jak grób.

Grzywa podał mi zaroszoną, zimną puszkę. Umierałam z pragnienia, więc otworzyłam ją, chciwie pociągnęłam łyk – i omal się nie udławiłam. Kto pije takie świństwo? Spojrzałam na Stellę. Musiałam mieć dziwną minę, bo uśmiechnęła się z rozbawieniem.

Nie minęło dwadzieścia minut, a dobiliśmy do Big Pine Key. Po drodze Jamie gawędził sobie z Grzywą, który jak się okazało, miał zaskakujące imię – Leonard. Faceci w polo zagadywali Stellę i mnie. Stella całkiem nieźle udawała miłe dziewczę. Mnie to kiepsko wychodziło.

Zacumowaliśmy przy niewielkiej kei i Grzywa-Leonard wysiadł z nami. Stella włożyła już z powrotem dzinsy i T-shirt. Ja spojrzałam po sobie. Ciuchy Jamiego na razie powinny wystarczyć, ale nie na długo. Poza tym pilnie potrzebowałam prysznic i szamponu.

– Gdzie tu można coś zjeść? – spytałam.

– W No Name Pub. – Grzywa-Leonard pokazał na niewielki żółty budynek ocieniony palmami, ze staromodnym szyldem. – Otwierają o jedenastej. Polecam genialną pizzę krewetkową.

– A bankomat? – spytała Stella.

Grzywa-Leonard zaczął się śmiać.

– Pub ma prąd z generatora. Na wyspę nie doprowadzono linii elektrycznej – miejscowi sobie nie życzą.

Idealnie!

– Nie macie gotówki?

Stella pokręciła głową.

– Była w naszych rzeczach.

– Które zakosili wam przyjaciele?

– Otóż to – przytaknął Jamie.

– Jak się ma takich przyjaciół, nie potrzeba już wrogów – stwierdził sentencjonalnie Grzywa-Leonard i zawołał do kobiety na końcu nabrzeża, którą dopiero teraz zauważyłam: – Charlotte, podaj im pizzę na mój rachunek!

– Nie – zaprotestowałam. – Nie możemy pozwolić, żebyś...

– To żaden problem – przerwał mi, szczerząc zęby w uśmiechu. Paru mu brakowało.

– Słuchaj, my naprawdę chcemy popływać – powiedział Daszek.

Jego kumpel ciągle gapił się na Stellę. Ohyda.

– Wyluzuj, już płyniemy – uspokoił go Grzywa-Leonard. – Dacie sobie radę, dzieciaki?

Zapewniliśmy go chórem, że tak, i pięknie podziękowaliśmy za przysługę. Po chwili jego łajba znów ruszyła na ocean, żeby klienci mogli sobie połować. Zaburczało mi w brzuchu.

– Która godzina? – zapytał Jamie.

Wyciągnęłam złotego roleksa Jude'a z kieszeni torby Noaha. Wcześniej przezornie go tam schowałam.

– Wpół do jedenastej.

– Kiedy wreszcie wrócimy do normalnego miasta, będziemy mogli to sprzedać – zauważyła Stella.

Jamie potrząsnął głową.

– Zero lombardów. Zero bankomatów. Zero kart

kredytowych. Musimy wymyślić jakąś inną strategię. Ale najpierw wejźmy i najedzmy się.

W napięciu obserwowaliśmy wskazówki zegarka, z denerwującą powolnością pełznące ku godzinie otwarcia pubu. Mój żołądek wył z głodu. Z wybiciem jedenastej rzuciliśmy się do wejścia. Lokal był dosłownie wytapetowany banknotami dolarowymi. Zwisły z sufitu, oklejały ściany – zapełniały każdy cal powierzchni poza stolikami i podłogą. Kobieta z nabrzeża zaprosiła nas, żebyśmy usiedli z tyłu.

– Co podać? – zapytała. – Najpierw coś do picia?

– Poproszę wodę.

Ja i Jamie powiedzieliśmy to w tej samej chwili. Po piwie chciało mi się pić jeszcze bardziej. Stella też zamówiła wodę.

Jamie zaczął przeglądać menu.

– Umieram z głodu. Zjem wszystko.

– Ja to samo – przytaknęła Stella. – Może pizzę krewetkową?

– Trefne – mruknął Jamie, nie unosząc głowy.

Stella uniosła brew.

– Gesundheit?

– Nie, po prostu niekoszerne. Zero krewetek.

– Och – zmartwiła się Stella. – To może hawajska?

Jamie znów pokręcił głową, nie odrywając oczu od menu.

– Odpada. Tam jest szynka.

– Pepperoni?

– Jak wyżej.

– No to sam zaproponuj!

– Wegetariańska z podwójnym serem. To mogę.

Kelnerka wróciła i zamówiliśmy dwie pizze z podwójnym serem. Zanim odeszła, Jamie zapytał ją:

– Czy są tu taksówki albo jakiś inny transport?

Kobieta roześmiała się szczerze. Odpowiedź była jasna.

– Nie możecie wrócić w ten sam sposób, w jaki tu dotarliście?

– Nie bardzo – wymamrotał Jamie.

– A jak się tu dostaliście?

– Przypłynęliśmy z... przyjaciółmi. Łodzią. Chcieliśmy tu... – Nie wiedział, co dalej wymyślić.

– Spędzić noc pod gwiazdami. – Stella przejęła pałeczkę.

Trzeba przyznać, że była dobra w te klocki. Okazywało się to coraz bardziej przydatne.

Charlotte zatknęła długopis za ucho.

– Bardzo romantycznie.

– Miało być romantycznie – zełgałam gładko – ale okradli nas w nocy i odpłynęli.

– Taki dowcip – dodała Stella.

– Mało zabawne. – Charlotte pokręciła głową. – Mam telefon. Będziecie mogli zadzwonić do swoich rodziców i poprosić, żeby po was przypłynęli, a do tego czasu możecie gościć u mnie w domu.

– Problem w tym, że my nie jesteśmy stąd – powiedziała Stella.

– A skąd jesteście?

– Z Nowego Jorku – powiedział Jamie.

Zerknęłam na niego, unosząc brew. Chyba przesadził!

– W takim razie macie daleko do domu – przyznała Charlotte.

Nawet nie przypuszczała, jak daleko.

Odeszła, żeby obsłużyć nowych gości, a my musieliśmy czekać, zastanawiając się, czy w końcu zaczniemy pożerać siebie nawzajem. Kiedy wreszcie na stoliku wylądowały pizze, sięgnęliśmy do nich jednocześnie. Porcja w moim ręku parowała, lecz byłam tak głodna, że było mi wszystko jedno. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz czułam smak pożywienia. W ogóle nie pamiętałam, żebym jadła coś w Horyzontach – albo psychotropy upośledziły mi pamięć, albo naprawdę nic nie jadłam.

Jamie trzymał po kawałku w każdej ręce i spoglądał to na jeden, to na drugi, nie mogąc się zdecydować.

– Jak się szybko nie zdecyduję, to umrę z głodu – jęknął.

Stella oderwała się na moment od jedzenia.

– Rzeczywiście, nie masz większych problemów?

Ja nie miałam żadnych rozterek. Po prostu chapnęłam wielki kęs, choć zapiekły mnie usta i język. Ale nie dlatego omal się nie zadławiłam.

– Maro? – Stella spojrzała na mnie z niepokojem.

– W porządku – wykrztusiłam, kiedy odzyskałam oddech. Czułam się, jakbym w ustach miała cement. – Tylko... tylko jakoś mi dziwnie. Nie czuję smaku czy co? Moja pizza nie ma smaku. Wasza też?

Dwie pary oczu spojrzały na mnie.

– Naprawdę nie jest dziwna?

Pokręcili głowami.

– Jednak powinnaś zjeść – poradziła łagodnie Stella.

– Tak, strasznie kiepsko wyglądasz – dodał Jamie niezbyt uprzejmie.

Brązowe oczy Stelli patrzyły na mnie ciepło.

– Wiele ostatnio przeszłaś. Z pewnością więcej niż my.

Jamie jadł na zmianę to jeden, to drugi kawałek.

– Powstrzymam się od oceny, dopóki nie usłyszę twojej opowieści.

Rzeczywiście, chyba nadszedł czas na nią.

Obejrzałam się przez ramię. Pojawili się następni goście. Kobieta z torbą biodrówką i jej mąż w golfowej koszulce. Mężczyzna z wąsikami, w hawajskiej koszuli, siedzący przy barze i gapiący się w telewizor z włączonym kanałem wędkarskim. Nie wyglądało na to, że ktoś chciałby nas słuchać. Bo też nikt, nawet w najśmielszych wyobrażeniach, nie spodziewałby się, co mam do powiedzenia.

Opowiedziałam Stelli i Jamiemu wszystko – od tabliczki ouijskiej do psychiatryka; od Rachel do Jude’a i Claire; od sadystycznego właściciela Mabel do pani Morales. Jamie słuchał ze ściągniętymi brwiami.

A potem opowiedziałam im o Noahu. I dlaczego moim zdaniem nie mógł nie żyć.

– Ponieważ potrafi uzdrawiać – podsumował Jamie.

– Siebie czy innych? – chciała wiedzieć Stella.

– I to, i to.

Dalej opowiedziałam im o Josephie – jak został porwany przez Jude’a i uratowany przez Noaha. O moim ojcu – jak został postrzelony z mojej winy, ale przeżył dzięki Noahowi. Nie wspomniałam tylko o aferze z wróżką ze „zniszczysz go swoją miłością”. Uznałam, że to sprawa zbyt osobista.

– Ale chyba nie powiesz, że przeżyje, kiedy ktoś strzeli mu w głowę? – dociekał Jamie.

Stella szturchnęła go łokciem.

– Jamie!

– Och, nie chcę być nieczuły, ale...

– Właśnie jesteś – mruknęłam.

– Chcę tylko powiedzieć, że...

Pochyliłam się ku niemu, kładąc dłonie płasko na blacie.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Rozumiem. Ale w tej chwili jest zbyt wiele niewiadomych, żeby z całą pewnością stwierdzić, że on... – Wzdragałam się wypowiedzieć te słowa. – Po pierwsze, czy macie dowód, że Horyzonty się zawaliły?

Pokręcili głowami.

– A jednak dzisiaj był wybuch – powiedział Jamie.

Zacisnęłam szczęki.

– Nie było go tam, kiedy to się stało.

– W takim razie gdzie on jest?

Tego musiałam się dopiero dowiedzieć.

Przyszła kolej na opowieść Stelli. Zapowiadała się jako

świetna gimnastyczka i pływaczka. Ale zaczęła szybko dojrzewać i nabierać kształtów. Poszerzyły się jej biodra, urosły piersi i kiedy miała szesnaście lat, przestała z tego powodu jeść. Tak przynajmniej twierdziła jej trenerka, jej matka oraz psycholodzy. Jednak nikt z nich nie wiedział o głosach.

Dla Stelli te głosy były jak myśli innych ludzi. Ale to przecież niemożliwe. Wpadała w coraz większą panikę, a im bardziej była przerażona, tym głośniejsze stawały się obce myśli. Nie dawały jej spać w nocy i nie pozwalały skupić się w dzień. Nie mogła trenować, nie mogła jeść, ale przy okazji zauważyła coś dziwnego. A mianowicie, że im dłużej była bez jedzenia, tym słabsze stawały się głosy. Schudła do czterdziestu paru kilo i wypadały jej włosy, kiedy ojciec wreszcie zmusił matkę (która twierdziła, że Stella tylko „pilnuje wagi”), aby poszukała pomocy dla córki. I tak się stało. Po miesiącach terapii i paru pobytach na oddziałach lekarzom udało się wreszcie znaleźć cudowny lek, który całkowicie zlikwidował jej problemy – i byłoby świetnie, gdyby nagle Federalna Agencja ds. Żywności i Leków nie wycofała go z rynku! Nastąpił szybki regres; na szczęście w samą porę z rodzicami Stelli skontaktowała się doktor Kells.

– Farciara ze mnie. – Stella odgryzła kęs pizzy. – Od momentu, kiedy w programie pojawiliście się wy,

poczułam, że coś jest na rzeczy. W czasie zajęć grupowych nie słyszałam waszych myśli, choć inne tak. Z drugiej strony leki zaburzały mi cały obraz, gdyż przeważnie wycinały wszystkie głosy. Ale kiedy byłam zestresowana czy przestraszona, głosy wracały z jeszcze większą siłą.

– A kiedy byłaś wściekła, też? – chciał wiedzieć Jamie.

– Czy ty tak masz? – spytałam domyślnie.

Jamie wzruszył ramionami, unikając mojego wzroku.

– Zanim zostałem wyklęty i wywieziony do wariatkowa, zdążyłem wiele razy zauważyć, że jeśli mówię komuś, żeby coś zrobił, robi to. Ale nie może to być żądanie w stylu: „Hej, ziom, daj no mi kluczyki do swojego maserati!”. Raczej coś w stylu: „Ciekaw jestem, jak się prowadzi to cudo, więc...”, albo: „Przejadę się i zaraz wrócę”. Przy czym zdarzało się to dosyć losowo, a poza tym nie żądałem od ludzi jakichś szalonych rzeczy. Bądź też coś wyszło przypadkiem... choć nie zawsze wyglądało na przypadek – dodał. – Czasami było bardzo realne. – Spojrzał na mnie i wiedziałam, że mówi o Annie.

Anna, nasza dawna koleżanka z klasy, była potwornie wredna i ciągle go dręczyła – aż pewnego razu Jamie

w gniewie życzył jej, żeby zjechała w przepaść. I wkrótce Anna, prowadząc po pijaku, stoczyła się z wiaduktu.

– Czuję się szalony, nawet kiedy myślę o tym – wyznał.

Popatrzyłam na niego.

– Wszyscy mamy ze sobą coś wspólnego.

– Niby co? – spytała Stella.

Jamie już załapał.

– Tę skazę, ten dziwny gen, G1821, czy cokolwiek to ma być – czynnik, przez który uważają nas za świrów – wyjaśnił.

Albo który robi z nas świrów. Pomyślałam o swoim odbiciu w lustrze. O tym, jak do mnie mówiło.

– To by wyjaśniało, dlaczego nikt nie odkrył tego genu – mówił dalej Jamie i ponownie skupiłam się na jego słowach. – Jeżeli ktoś zdaje się mieć halucynacje, omamy, urojenia albo się głodzi, albo tnie, pierwszym wyjaśnieniem, jakie się nasuwa, jest zaburzenie psychiczne, a nie dziwna mutacja genetyczna...

– Mutacja? – podchwyciłam. – Jesteśmy mutantami?

Jamie uśmiechnął się nieznacznie.

– Tylko nie donieś Marvelowi, bo nas pozwą o plagiat. Ale słuchajcie dalej. Dane geny nie pojawiają się tak po prostu u paru ludzi. To się nie zdarza. One mutują przez wieki. Degenerują się, zmieniają...

– I ewoluują – dokończyłam.

– Właśnie. Więc gen, który posiadamy... kimkolwiek jesteśmy... jakoś musiał się w nas uaktywnić.

– Superman albo Spider-Man – oznajmiłam spokojnie.

Stella spoglądała to na mnie, to na Jamiego.

– Wyjaśnij!

Przypomniałam sobie rozmowę z moim bratem Danielem. Skłamałam mu wtedy, że na użytek Horyzontów mam opisać swoje problemy w formie powieściowej fikcji, i poprosiłam, aby mi w tym pomógł. Dyskutował ze mną o wymyślonej bohaterce, nie wiedząc, że chodzi o mnie.

„– Słowem, może być superbohaterką albo superprzestępczynią – powiedział mój brat. – Czy chodzi o coś w stylu Petera Parkera, czy bardziej Clarka Kenta?

– Nie rozumiem.

– No wiesz, czy twoja bohaterka ma wrodzone zdolności, jak Superman, czy nabyła je, jak Spider-Man?”.

Wtedy nie znałam odpowiedzi, ale teraz już tak.

– Spider-Man zyskał swoje zdolności po ukąszeniu przez napromieniowanego pająka – powiedziałam. – Superman posiadał je od urodzenia...

– Gdyż był kosmitą, Kal-Elem – dokończył Jamie.

Byłam Supermanką. Tak jak myślałam.

Ale kiedy opowiedziałam Noahowi o teorii Daniela, stwierdził, że jego zdaniem nasze cechy musiały zostać nabyte.

„– Ile razy podświadomie życzyłaś komuś śmierci, Maro? Na przykład komuś, kto zjechał ci drogę na autostradzie czy coś w tym stylu?”.

– Pewnie wiele razy życzyłam ludziom śmierci – powiedziałam, pomna na słowa Noaha.

– Każdy tak robi – zapewniła Stella.

– Kiedy Noah był mały, rodzice zauważyli, że jego skałeczenie wygoiło się nienaturalnie szybko, zanim zdążyli zabrać go na zastrzyk, prawda? Dlaczego więc wszystko zaczęło się dziać teraz, skoro podobno się z tym urodziłeś?

Jamie walnął dłonią w stół.

– Chodzi o wyzwalacz! To jest jak rak. Teraz potrafią cię już zbadać genetycznie pod kątem skłonności do raka. Ale to, że jesteś w grupie ryzyka, nie znaczy jeszcze...

– Że musisz zachorować – dokończyłam, jakby brakujący element układanki wskoczył na swoje miejsce.

– No właśnie. Po prostu masz większe szanse na zachorowanie niż inni. A wyzwalaczami, uaktywniającymi rozwój komórek rakowych, mogą być czynniki biologiczne i środowiskowe.

– Albo chemiczne – powiedziałam, a w myślach odtworzyły mi się słowa mamy.

„– Miałaś ciężkie przejścia i zdaję sobie sprawę, że trudno jest nam się porozumieć. Ale chcę, żebyś wiedziała, że to – pokazała na pokój – nie jesteś ty. Przyczyny mogą być natury chemicznej, behawioralnej

czy nawet genetycznej...”.

Na czarnej tafli mojego umysłu uformował się obraz. Fotografia. Czarno-biała. Rozmyta.

„– Przyczyny czego? – spytałam szybko.

– Twojego stanu. Tego, co się z tobą dzieje. To nie jest twoja wina. Wziąwszy pod uwagę PTSD i wszystko, co się stało... Wszystko, co się z tobą dzieje – dodała, wyraźnie starając się unikać słów takich jak »choroba psychiczna« – może być wywołane przez czynniki biologiczne bądź dziedziczne”.

– Tylko nadal nie wiem, co jest tym wyzwalaczem – zastanawiałam się.

Stella popatrzyła na mnie.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

– Jamie?

– Szesnaście.

– Ja też mam siedemnaście, ale za parę miesięcy będę miała osiemnaście – ciągnęła. – Pamiętajcie, że Kells

mówiła coś o dojrzewaniu i o tym, jak rozwija się mózg nastolatków?

– Tak, to ma sens, wiek może być wyzwalaczem – powiedziałam. Stella po raz pierwszy zaczęła słyszeć głosy, kiedy miała szesnaście lat. Ja miałam szesnaście w czasie tamtego seansu spirytystycznego. Rachel i Claire zginęły pół roku później. – Jednym słowem, rozwój naszych zdolności jest na różnych etapach, w zależności...

– W zależności od tego, jak posuwamy się w latach – dokończył Jamie. – Tak mi się jakoś zrymowało – dodał głupio.

Coś udało się wyjaśnić, ale nie wszystko. Opowiedziałam Stelli i Jamiemu o przebłysskach pamięci i wizjach, jakie mnie nawiedzały, dotyczących wydarzeń, których przeżyć raczej nie mogłam.

– Pomyślałam, że może chodzić o pamięć genetyczną – wyjaśniłam i wspomniałam im o książce, którą Noah znalazł kiedyś w samolocie, traktującej właśnie o pamięci genetycznej, ale tak naukowo, że nawet on nie był w stanie przez to przebrnąć.

– Jaki ma tytuł? – zapytał Jamie.

– *Nowe teorie w genetyce*, autor... o, kurka wodna!

– Czy to pseudonim?

– Armin Lenaurd – powiedziałam szybko. – Protokół Lenaurda!

Nagle skojarzyłam. Lista Kells wyświetliła mi się w pamięci. Niedawno ją widzieliśmy.

„J.L.: indukowany, protokół Lenaurda, wczesna stymulacja”.

– Ja się zabiję – powiedziałam spokojnie. – Naprawdę.

– Chyba coś przeoczyłam – stwierdziła Stella, nic nie rozumiejąc.

– Widzieliście listę, tam, na tej tablicy w podziemiach, z naszymi nazwiskami i opisami schorzenia. – Kiwnęli głowami. – Jeżeli przyjmujemy, że inicjały J.L. i C.L. oznaczają Jude’a i Claire Lowe’ów, to musi istnieć jakiś protokół, zawierający procedury badawcze, stworzony przez autora owej nieprzyzwoicie nudnej książki, w którym jest dokładnie opisane, co z nimi zrobiono.

– „Indukowany”, „wczesna stymulacja” – powtórzył cicho Jamie. – Mamy rozumieć, że próbowano wywołać efekt tej mutacji u... u normalnych ludzi, nie?

– Jude raczej nie jest normalny – zauważyłam.

– Może właśnie dlatego – stwierdziła Stella.

– Co?

– Może właśnie przez to jest, jaki jest – wyjaśniła. – Ale zaczekajcie. Jeśli istnieje naukowe dzieło opisujące nasze zaburzenia, może... – W jej głosie pojawiła się nuta podniecenia. – Może jest na to lekarstwo? I on o nim pisze! – Gwałtownie zwróciła się do mnie. – Maro, gdzie jest ta książka?

– Dałam ją Danielowi.

– Komu?

– Mojemu starszemu bratu.

– Jeśli znajdziemy Daniela, znajdziemy też książkę, a z niej dowiemy się...

– Hola, hola, nie jaraj się tak – ostrzegł Jamie. – Po pierwsze, leczenie może być tam opisane, ale nie musi. I to jest „ale” przez bardzo duże „A”. Po drugie, jak rozumiem, rzezony protokół Lenaurda – czymkolwiek by był – został zastosowany w przypadku Jude’a, prawda? I śmiem twierdzić, że Jude kiepsko na tym wyszedł. Dlatego pytam: czy naprawdę chcemy czegokolwiek z tej książki? Pamiętacie przecież, jak Kells plotła, że próbowała nas „wyleczyć”, „ocalić”

i inne takie bzdury. Chyba żadne z nas nie chciałoby jeszcze raz przejść takiego leczenia? – Stella otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Jamie nie dał jej dojść do głosu. – Poza tym ja, kiedy wreszcie doszedłem, co we mnie siedzi, wcale nie jestem pewien, czy chciałbym to zmienić. – Urwał i popatrzył na nas. – Uważacie, że oszalałem?

Milczałyśmy.

– Dobra, wracamy do rzeczy – podjął. – Na razie nie ma szansy, żeby dorwać tę księgę i sprawdzić, co w niej jest – ale mamy inny problem.

– Jude? – podchwyciłam.

– Nie. Znaczący owszem, Jude jest problemem, ale teraz chodzi o coś innego.

– Jak przeżyjemy bez pieniędzy?

– Też nie. Posłuchajcie – powiedział zdesperowanym tonem. – Kells jest badaczką. Prowadzenie takiego ośrodka, jakim były Horyzonty, wymaga ogromnej kasy. Kto był fundatorem? Ile osób wiedziało albo wie o tym? O nas? I czy ktokolwiek z nich się przejął, że zaszlachtowano personel, a króliki doświadczone zwiały? – ciągnął ze wzrastającym ożywieniem. – Skoro już mowa o badaniach, ilu jest jeszcze nosicieli tego

genu? Nie jesteśmy jedyni, na pewno jest nas wielu. Czy spróbujemy ich odszukać? A jeśli oni nas znajdą?

– Mamy dużo więcej problemów, niż się wydawało – podsumowała Stella.

Jamie chciał odpowiedzi. Stella chciała lekarstwa. Ja chciałam Noaha. Oraz ukarania tych, którzy mi go zabrali.

Jamie przygryzł usta.

– Rzeczywiście, sporo. Od czego zaczniemy?

Nie byliśmy zgodni, który problem należy rozwiązać pierwszy, więc spróbowaliśmy ustalić ich wspólny mianownik. Czyli Horyzonty. Stella wyciągnęła teczki, które zabrała z gabinetu Kells, i położyła je na stoliku. Okazało się, że zabrała:

Siedem stron historii choroby zupełnie nieznanych nam pacjentów.

Dwadzieścia dwa zdjęcia, prawdopodobnie przedstawiające wnętrza naszych gardeł i innych miejsc ciała oraz wyniki badań laboratoryjnych naszych włosów, śliny i moczu.

Jeden mój autoportret rysunkowy z oczami zabazgranymi czarnymi kreskami.

Oraz nie-chciało-nam-się-liczyć-ile stron rozliczeń podatkowych Grupy Horyzonty wykonanych przez dyplomowanego księgowego, Irę Ginsberga. Biuro miał w Nowym Jorku.

Skoro mieliśmy tak niewiele (Stella się kajała), Jamie zaproponował, żeby pójść tropem pieniędzy. Przyznałyśmy mu rację. Jednak każde z nas pragnęło

najpierw zobaczyć się z rodzicami.

Nie mieliśmy pojęcia, jaka jest sytuacja w naszych domach, co już samo w sobie było niemałym problemem. Gdzie ich zdaniem się teraz znajdujemy? Co w ogóle wiedzą? Wszystkie trzy rodziny wierzyły doktor Kells i oddały nas pod jej opiekę – w dobrej wierze, a nie z ignorancji czy ze złej woli – lecz na jedno wychodziło. Dlatego nie mogliśmy tak po prostu stanąć w drzwiach naszych domów i oznajmić rodzicom coś w stylu: „Cześć, mamciu, byłam torturowana i przeprowadzano na mnie eksperymenty, ale nie martw się, moi oprawcy już nie żyją. No wiesz, po prostu ich zabiłam”. Nie wiem, jak było w przypadku Stelli i Jamiego, ale mnie powiedzenie prawdy pograżyłoby do reszty.

Jednak Jamie był pewien („Jestem całkiem pewien...”), że dzięki swoim zdolnościom uda mu się przekonać nasze mamy i tatusiów, że mamy się świetnie. Liczył, że do tego czasu nie zgłoszą policji naszego zaginięcia. Chciał również delikatnie wy badać, co właściwie wiedzieli o nas i o naszym pobycie w ośrodku zamkniętym. Może kontaktowali się z kimś jeszcze oprócz Kells? Może w sprawę zamieszani byli jeszcze inni pracownicy Horyzontów? (Stella w to wątpiła). W każdym razie musieliśmy pogadać z rodzicami, żeby się czegoś dowiedzieć.

Był jeszcze czwarty dom, który zamierzałam odwiedzić, ale na razie nie mówiłam o tym Stelli i Jamiemu. Chciałam wiedzieć, w co uwierzyli rodzice Noaha. I czy był pogrzeb. Na samą myśl o tym czułam się chora.

Opuściliśmy No Name Pub z pełnymi żołądkami, ale poza tym zyskaliśmy niewiele. Charlotte chciała nam załatwić podwózkę, lecz jak na złość nikt nie jechał do Miami. Wobec tego zaczęła nas namawiać, żebyśmy przenocowali, ale nie mieliśmy żadnej gwarancji, czy nazajutrz trafi się okazja. Poza tym nie chcieliśmy czekać. Wobec tego Charlotte, ta dobra dusza, zaproponowała, że chociaż upierze nam ubrania. Najpierw skierowała nas do znajdującego się nieopodal małego sklepu dla turystów, który prowadziła z mężem. Tam mogliśmy sobie wybrać po T-shircie z serii I LOVE FLORIDA, występującym w sześciu wzorach – na czas, kiedy nasze rzeczy będą schły po praniu. I zatrzymać sobie na potem. Jamie i Stella mieli w swoich torbach buty, ale ja nie, więc Charlotte podarowała mi swoje klapki. Po tym wszystkim, co przeszłam, myślałam, że nie wierzę w ludzi. Ta kobieta udowodniła mi, że się myliłam.

Stella włożyła już wcześniej zapasową koszulkę Jamiego (tę żółtą, z napisem JESTEM KLISZĄ), więc musieliśmy się poświęcić. W rezultacie Jamie paradował w T-shircie I <3 FLORIDA, a ja

zdecydowałam się na WITAJCIE W SŁONECZNYM STANIE FLORYDA. Wielkiego wyboru nie było.

Kiedy w sklepowej toalecie przebrałam się w to чудо (i spodenki do pary! Ale farciara!), jakiś głos skomentował:

– Wyglądasz debilnie.

Spojrzałam w lustro. Fakt, moje odbicie wyglądało śmiesznie.

– Taa – mruknęłam. – Przyganiał kocioł garnkowi.

Wreszcie, ubrani jak typowi turyści, ruszyliśmy przed siebie poboczem szosy, machając na każdy przejeżdżający samochód, a było ich wiele. Duszny upał i robactwo były nie do wytrzymania, a zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy lunął deszcz.

A właściwie nie deszcz, tylko istny potop. Momentalnie przemokliśmy do suchej nitki; ulewa była tak ciepła, jakby chmury wylewały na nas swój pot. Z nieszczęśliwymi minami stanęliśmy pod ogromnym drzewem, które dawało tylko niewielkie schronienie.

– Odparzyłem sobie nogi – poskarżył się Jamie, zdejmując buty. Stopy miał obtarte i całe w bąblach. – Czy ktoś potrafi rozpalić ogień?

Popatrzyliśmy na niego tępo.

– Więc nie potrafimy rozpaścić ognia – stwierdził. – Ani latać. Ani wytworzyć pola siłowego. Mamy główniane supermoce.

Odgarnęłam mokre włosy z twarzy.

– Dorabiasz teorię – stwierdziłam, choć wiedziałam, czemu to powiedział. – Zresztą Stella nie ma się czego wstydzić.

Stella zerknęła na mnie z ukosa.

– Komplement z twoich ust wiele znaczy.

– Nie dobijaj mnie – jęknęłam.

– Dobra, Jamie ma rację – powiedziała. – Lista naszych niemożności jest nawet dłuższa – nie możemy użyć kart kredytowych, nie możemy zadzwonić do naszych rodziców, nie możemy wynająć samochodu...

– Ale możemy go ukraść – przerwał jej Jamie.

Natychmiast spiorunowaliśmy go wzrokiem.

– Nie, nie chodzi o zwarcie kabli na krótko czy inny włąm – tłumaczył się. – Nawet nie wiedziałbym, jak się

do tego zabrać. Miałem na myśli... Po prostu mógłbym pogadać z kimś, żeby udostępnił nam swój samochód. Co wy na to?

– Znaczy, pożyczył? – podsunęłam życzliwie.

Jamie z entuzjazmem kiwnął głową.

– Tak! Pożyczyć. Do zwrotu, oczywiście.

– A masz chociaż prawo jazdy? – spytała Stella.

Udał zaskoczenie.

– To ma być dowcip, Stello? Czyżby nasze perypetie pogłębiły twoje poczucie humoru?

– Owszem. Gdybyś nie poznał, to dowcip z serii o dzieciach – odparowała. – Masz buzię jak pupa niemowlęcia, dlatego pytam.

Żarty żartami, ale nasze położenie było naprawdę kiepskie – bez podwózki, bez kasy, bez jedzenia. Mijały godziny, a deszcz nie ustawał. Byliśmy mokrzy, zmęczeni, coraz bardziej głodni i z tego wszystkiego zaczęło nam być zimno. Mimo to nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko wlec się przed siebie. Plastikowe klapki torturowały mi stopy.

Przestało padać, kiedy zaczęło zmierzchać. Ostatnie promienie słońca rozświetliły horyzont, barwiąc go w pomarańczowo-różowo-czerwone smugi. Szliśmy poboczem szosy; po obu stronach ciągnęła się gęstwina drzew i krzewów. Po marszu, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność, doszliśmy wreszcie do stacji benzynowej, jeśli można było tak nazwać to miejsce. Był tam tylko jeden dystrybutor i coś w rodzaju szopy przycupniętej w cieniu lasu. Na połamanym drewnianym ogrodzeniu straszyla głowa lalki z jednym okiem, nasadzona na sztachetę.

Jamie przysunął się bliżej do nas.

– To terytorium seryjnego mordercy – szepnął i wziął nas pod rękę. – Połączmy siły, bo inaczej poczują nasz strach.

Usiłowałam udawać, że nie jestem aż tak nerwowa jak on, ale...

Pomacałam pasek szortów, żeby sprawdzić, czy skalpel nadal tam jest. Był. Dotyk stali ogrzanej ciepłem mojego ciała dodał mi otuchy.

W końcu odważyliśmy się wejść do środka. Pomieszczenie było słabo oświetlone, to jasne. W głębi majaczył bar ze stalowym blatem. Siedziało przy nim

trzech mężczyzn. Jeden miał czarny podkoszulek bez rękawów i ciemne okulary zsunięte na czubek łysej głowy. Drugi dla kontrastu nosił flanelową koszulę w kratkę z długim rękawem, a na głowie miał kowbojski kapelusz. Trzeci miał siwe włosy i białą brodę, poplamioną tytoniem. I tylko jedno oko.

Ktoś jeszcze wyłonił się z cienia, wycierając szklanekę brudną szmatą.

– Wyglądacie, jakbyście się zgubili – powiedział do nas.

Spodziewałam się, że Jamie przemówi pierwszy, tymczasem zrobiła to Stella. Opowiedziała facetom naszą rzewną historyjkę – okradzeni, bez pieniędzy, wykończeni, bla, bla, bla – i zakończyła prośbą o podwózkę. Byłam pod wrażeniem. Jamie wyglądał, jakby zaraz miał się rozbeczeć.

– Dokąd chcecie się dostać? – zapytał Kowboj.

– Do Miami – odparła Stella.

– Wy jedźcie na północ. Ja jadę na południe. – Rozłożył ręce, pokazując przeciwne kierunki, jakbyśmy potrzebowali dokładnego wyjaśnienia. Pozostali mężczyźni milczeli.

Jamie skinął głową i odchrząknął.

– Cóż, tak czy owak, dziękujemy, panowie. I do widzenia.

Zgnębieni, opuściliśmy tę stację benzynową, bar albo punkt zborny seryjnych morderców i powlekliśmy się dalej. Było już prawie ciemno. Owady roiły się na nas i wokół nas. Powietrze drgało od ich brzęczenia.

Wtem usłyszeliśmy jeszcze coś – warkot ciężarówki ruszającej spod stacji i zgrzyt żwiru pod jej kołami. Warkot przybliżał się, aż ciężarówka zatrzymała się przy nas.

– Szkoda mi się was zrobiło – powiedział Kowboj. – Wskakujcie.

Nogi mnie bolały, kiedy z ulgą rozsiadłam się na przednim siedzeniu kabiny, obok kierowcy. Jamie wolał być dalej od niego. Stella od razu usadowiła się z tyłu.

Kowboj zrobił nam wielką przysługę, więc postanowiłam być uprzejma i nawiązać konwersację.

– Skąd jesteś? – zapytałam pana Ernsta, bo tak się przedstawił.

– Urodziłem się i wychowałem w Canton, w Ohio. A wy?

– Nowy Jork – odpowiedzieliśmy chórem, zgodnie ze scenariuszem. Byliśmy bardzo wiarygodni.

– A ci przyjaciele, którzy was tak zostawili, też byli stamtąd? – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Stella na wszelki wypadek zmieniła temat.

– Co porabiasz na wyspach?

– Och, jeździmy tu i tam z moją starą dziewczyną. – Czule poklepał kierownicę. – Tylko ja, ona i szosa.

Kiedy wychylił się w fotelu, dostrzegłam metaliczny połysk broni w kaburze na biodrze. Zesztywniałam.

Jamie też to zobaczył. Udał zainteresowanie i zaczął zagadywać o nią kowboja. Ernst chętnie wyjaśnił mu, jaki to typ i model, i dodał mnóstwo innych szczegółów – jak to facet, który chwali się swoją armatą. Nie słuchałam go. Czułam, że coś tu nie gra, i robiłam się coraz bardziej nerwowa.

– Nigdy nie wiadomo, kogo spotkasz w trasie – powiedział Ernst. – Trzeba być czujnym. Niech Bóg błogosławi drugą poprawkę.

Poklepał kaburę i mrugnął do mnie.

Droga ciągnęła się w nieskończoność i od dłuższego czasu nie widzieliśmy żadnych świateł na naszym pasie. Nagle, jak mi się zdawało, po wielu godzinach poczułam, że ciężarówka zwalnia.

Stella też to poczuła. Otarła zaczerwienione oczy. Jamie nerwowo przeczesał palcami czuprynę. Oni też byli spięci.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Stella cienkim głosem.

– Mmm, w samym środku krainy Keys – odpowiedział wymijająco Kowboj. – Mamy jeszcze dobre parę godzin do Miami. – Minęliśmy znak informujący, że za ćwierć mili jest miejsce postojowe. – Następny kibel będzie nieprędko – dodał. – Potem znów mamy kawał pustkowiec, więc lepiej ulżyjmy sobie tutaj.

Jamie nieco zbyt głośno wypuścił powietrze z płuc. Zgromiłam go spojrzeniem.

– Ja idę – powiedziała Stella.

– Ja też – dodał Jamie.

– Masz mapę? – spytałam Ernsta.

Uniósł brwi.

– Mała, jeździłem w trasy, kiedy jeszcze twoja mamusia nie wiedziała, że cię urodzi. Jedyna mapa, jakiej potrzebuję, jest tutaj – powiedział, stukając się palcem w skroń.

– Jasne – przytaknęła Stella, rozglądając się. Ale w tym momencie jasne było dla nas jedno – że coś jest nie tak. Bardzo nie tak.

Kowboj nawijał przez cały czas, aż skręcił na parking, jeśli w ogóle można było tak nazwać to miejsce. Niski blaszak stojący przy drodze był niemal całkowicie porośnięty płataniną pnączy, spod których wyglądały pordzewiałe ściany. Przed nim znajdował się niewielki, niewyafaltowany plac. I pusto, żadnych innych kierowców.

Ernst wyłączył silnik i wsunął kluczyki do kieszeni.

– Dobra, idę się odpryskać – oznajmił. – Ty też? – zwrócił się do Jamiego.

Jamie zerknął na Stellę.

– Taa...

Nie chciał iść sam z Kowbojem, ale nie chciał też zostawić Stelli.

Ernst mrugnął do mnie.

– Tylko uważaj na siebie – powiedział i oddalił się do budynku.

Stella i Jamie wyskoczyli z wozu. Stella ruszyła biegiem; musiało się jej bardzo chcieć. Szkoda mi było Jamiego, który powłókł się za nią, więc też wysiadłam. Kiedy zbliżyłam się do toalet, w nozdrza uderzył mnie smród przepelnionego szamba. Stella była już w środku, ale zrównałam się z Jamiem i zatrzymaliśmy się, patrząc na ten syf. Warstwa brudu pokrywała niebieskie niegdyś oznaczenie toalety dla pań. W wejściu roiły się muchy. Jamie zamachał ręką, odganiając się od nich. Toaleta męska znajdowała się w drugim końcu baraku.

– Niekorzystna opcja – powiedział.

– Co?

– Nie posiadać penisa.

– Oj, fakt.

– Nie możemy tak stać.

– Nie możemy.

– Sam nie wiem, Maro. Nie dam rady wejść tam i stanąć przy pisuarze obok naszego wspaniałego kierowcy. Strasznie mi to nie pasuje. Chyba pójdę w krzaki.

– Mam wrażenie, że złapię złotaczkę już od samego stania tutaj – stwierdziłam.

– Jeśli też chcesz iść w krzaki, mogę stanąć na warcie – zaproponował.

Potałam nos.

– Nie, jednak wejść. Ze względu na Stellę. Babska solidarność, rozumiesz?

– Masz jaja, w przeciwieństwie do mnie.

Jamie wzniosł pięść i przybiliśmy sobie żółwika. Jego kroki zazgrzytały na żwirze, kiedy oddalał się w krzaki.

Spręzałam się jeszcze przez parę sekund, a potem zatkałam sobie nos i pchnęłam nogą drzwi.

Nie było tak źle, jak się spodziewałam. Było sto razy gorzej. Toaleta miała parę przedziałów. Jeden z nich był otwarty i widać było kibel tak przepełniony, że gula stanęła mi w gardle. Lustro nad umywalką było popękane i przeżarte liszajem. Kafelkowa podłoga mogła być kiedyś biała, ale teraz pokrywały ją żółte i brązowe plamy.

O nie. Nie da rady.

Zrobiłam ruch, żeby zawrócić do wyjścia, kiedy usłyszałam za sobą jakiś dźwięk.

Odwróciłam się i zobaczyłam Stellę rozplaszczoną na ścianie, prawie całkowicie zasłoniętą ciałem Ernsta, który zakrywał jej usta dłonią. Zobaczył mnie i wycelował we mnie broń.

– Wyjdź stąd – powiedział. – Albo będziesz następna.

W moje żyły wlał się wrzący ołów. Nie zamierzałam stąd wyjść. Błyskawicznie wyobraziłam sobie Ernsta martwego na podłodze, z rozplatanym gardłem, z krwawą dziurą ziejącą zamiast ust.

– On już robił to wcześniej – wykrztusiła Stella, kiedy na moment cofnął rękę. – Zabije nas.

Ledwie ją słyszałam, ale ona musiała wyraźnie słyszeć jego myśli.

Ernst pokręcił głową.

– Kolorowy chłopak nie. Nie mój typ.

Część mnie została tam, wrośnięta w posadzkę. Druga rzuciła mu się do gardła. Ale tylko w myślach. W rzeczywistości nic się nie działo. W ułamku sekundy zdążyłam wyobrazić sobie sto różnych wariantów jego śmierci. Nie byłam w stanie wdrożyć żadnego z nich.

Co było ze mną nie tak? Leki powinny już dawno

przestać działać! Dlaczego nie mogę go zabić?

I najważniejsze: co się stanie ze Stellą i ze mną, jeśli tego nie zrobię?

– Puść ją – powiedziałam ze spokojem, który nawet mnie przeraził. Nie mam pojęcia, skąd go wygrzebałam.

– Jeśli nie odejdziesz, zaraz zastrzelę was obie – warknął.

Zbliżyłam się jeszcze o krok.

– Robię się zazdrosna – powiedziałam tym samym przeraźliwie chłodnym głosem, który zarazem należał do mnie i nie był mój.

– Spadaj.

Nie posłuchałam. Jeszcze jeden krok.

– Od początku myślałam, że lecisz na mnie. Przecież dlatego usiadłam obok ciebie.

Otaksował mnie spojrzeniem.

– Przyjdzie twoja kolej, mała.

– Ja pierwsza – nalegałam. – Ona nie potrafi tego co ja.

Te słowa wreszcie na niego podziały. Przesuwał wzrokiem ode mnie do Stelli i z powrotem, aż wreszcie puścił ją i cofnął się o krok. Nadal celował we mnie.

– Ty – powiedział do Stelli – odejź na bok. Stój i czekaj.

Stella w panice wycofała się pod umywalkę. Nogi same poniosły mnie w stronę Ernsta, choć nie zdążyłam im wydać takiego rozkazu.

– Tylko nie krzycz – ostrzegł.

Wcisnął mi lufę pod żebra i rozpląszczył mnie na ścianie, wprawnym ruchem unieruchamiając mi przeguby rąk. Kowbojski kapelusz spadł mu z głowy i wylądował na brudnych kafelkach. Myślałam, że serce zacznie mi walić, że obleję się potem. Myślałam, że będę krzyczeć i rozpaczać.

Nic takiego nie nastąpiło.

– Nie dotykaj mnie – powiedziałam zamiast tego.

Zaczął się śmiać. To był śmiech chłopczyka, prawie chichot.

– Mam cię nie dotykać? Dobry żart! Gdybyś była taka niedotykańska, tobyś nie nosiła tych szortów! Przecież

one zapraszają do tańca! Żywa reklama! Panienska z ogłoszenia!

Obleśnie klasnął językiem i wyobraziłam sobie, że odcinam go skalpelem.

– Ściągaj je – nakazał, pokazując na te głupie szorty.

– Nie mogę – odparłam szczerze. – Muszę mieć wolne ręce.

Jego chwyt zelżał i uwolniłam jedną rękę. Zawędrowała do majtek, gdzie czekał ciepły skalpel. Druga promieniała bólem, wykręcona za plecami, co powodowało, że musiałam przyłgnąć do mężczyzny. Wziął to za dobrą monetę.

– Czułem, że masz chcię – tchnął mi w ucho i perwersyjnie polizał policzek.

– Lubię z języczkiem – powiedział ktoś moim głosem.

Spojrzałam w potrzaskane lustro za głowami jego i Stelli. Moje odbicie odpowiedziało spojrzeniem. Z niesmakiem pokręciło głową. Wydawało się, że Stella ani Ernst niczego nie zauważyli.

Coś drgnęło i w moją dłoń nagle wskoczył skalpel. Przycisnęłam ostrze do skóry. Było tnące i ciepłe

zarazem.

Przełknęłam z wysiłkiem i powiedziałam:

– Bez rąk sobie nie poradzę. Nie mam jak tego zrobić, rozumiesz?

Pchnął mnie lufą pod żebra, po czym cofnął ją i szybko skinął głową.

Moje ręce były wolne. Błyskawicznie wsunęłam palce pod gumkę idiotycznych bokserów z napisem WITAJCIE W SŁONECZNYM STANIE FLORYDA. Pan Ernst obserwował wszystko, ale zdecydowanie za mało uważnie. Stella uciekła. Zanim zdążył zareagować, wbiłam mu skalpel w oko. Wrzeszczał, dopóki nie rozciąłam mu gardła.

Kiedy było po wszystkim, zabrałam mu kluczyki i broń. Zanim wyszłam, spojrzałam w ciemne, popękane lustro. Kretyński T-shirt z Florydą był poplamiony krwią Ernsta podobnie jak moja skóra. Miałam krew na włosach i pod paznokciami. Upstrzyła mi twarz.

Patrzyłam na swoje odbicie, czekając, aż zareaguje niesmakiem, przerażeniem albo żalem – ale nie doczekałam się żadnej reakcji.

Wiedziałam, jak wyglądałam, kiedy spokojnym krokiem ruszyłam do ciężarówki. Jamie i Stella właśnie wracali po mnie.

– Ożeż! – wykrzyknął Jamie, kiedy mnie zobaczył.

– Nic mi nie jest. Wsiadamy.

– Czy on...

Tak. Właśnie tak.

– Mam kluczyki – powiedziałam. – Musimy jechać.

Stella sięgnęła po nie. Ręka jej drżała.

– Daj – szepnęła, kiedy Jamie pomógł mi wsiąść.

Sięgnęłam do kieszeni i cisnęłam jej kluczyki.

– Co... co się stało? – odważył się zapytać Jamie.

Spojrzałam przez okno i zobaczyłam swoje odbicie w bocznym lusterku. Wzruszyło ramionami.

– Popełnił błąd – wyjaśniłam spokojnie.

Krew zasychała mi na skórze. Czułam, że się lepię. Byłam brudna, zbrukana. Zwinęłam włosy w węzeł. Na nich też była krew.

– Ernst? Czy cię dotknął? – dopytywał się Jamie.

– Próbował – odpowiedziałam ledwie słyszalnie.

– Maro...

Przełknęłam z wysiłkiem.

– Nic mi nie jest. – Nie kłamałam. Nie miałam żadnych obrażeń. – Wziął mnie za kogoś innego.

Jamie zmarszczył czoło.

– Za kogo?

– Kogoś, kto nie stawia mu oporu. Słuchajcie, musimy jechać.

Wyjęłam pistolet Kowboja zza gumy szortów i wepchnęłam go do schowka. Jamiemu opadła szczęka.

– Zastrzeliłaś go? – Stella wpatrywała się w podłogę kabiny. Jej głos brzmiał głucho, jakby dobiegał spod ziemi.

Pokręciłam głową.

– Miał broń. Trzymał mnie na muszce. Dziabnęłam go, kiedy próbował mnie... rozbierać.

– Powinienem iść tam z wami – powiedział Jamie udręczonym głosem. – Cholera!

Pierś Stelli wznosiła się gwałtownie i opadała. Twarz miała białą, jakby odpłynęła z niej cała krew.

– Mara mi pomogła – powiedziała, jakby mówiła do siebie. – A potem musiała ratować siebie. To była samoobrona. – Powoli skinęła głową. – Widziałam większość tego, co się działo, zanim pobiegłam po ciebie, Jamie. Dlatego możemy zadzwonić na policję i powiedzieć im...

– Nie możemy zadzwonić na policję – przerwał jej Jamie. Głos miał stłumiony, gdyż wcisnął głowę pomiędzy kolana. – Przecież wiesz, że nie możemy.

Stella zacisnęła powieki.

– Racja. Racja. Okej. Mara nie zrobiłaby czegoś takiego, gdyby nie musiała. Ale musiała.

Musiałam.

– Tylko teraz jest problem – dodała, patrząc na moje dłonie. – Masz jego DNA pod paznokciami. I pewnie na całym ciele. To już nie są Horyzonty. Mamy jego ciężarówkę. Jeśli zostawimy ją tutaj, znów będziemy musieli wlec się po szosie. Jeśli nią pojedziemy, łatwo nas namierzą.

– I tak nie mamy jej gdzie schować. Jeśli zostawimy ją tutaj, sprawa szybko się wyda – stwierdził Jamie. – Proponuję odjechać stąd i zostawić wóz w mniej trefnym miejscu. A potem zastanowimy się, co dalej.

– Tak, spalimy to ubranie albo coś w tym stylu – dodała Stella, zerkając na moją zakrwawioną koszulkę. – I jakoś cię obmyjemy. Będzie dobrze. – Brzmiało to tak, jakby chciała przekonać bardziej siebie niż mnie.

– W takim razie ruszajmy – powiedział Jamie.

Stella przekręciła kluczyk w stacyjce.

– To był cały ciąg błędnych decyzji – stwierdził Jamie, kiedy dochodziliśmy do małego hoteliku na Key Largo.

Wokół było ciemno i pusto. Porzuciliśmy ciężarówkę niecałe siedem mil wcześniej i wkrótce po tym znów zaczęło lać. Deszcz nie zdołał zmyć całej krwi z mojego T-shirta i skóry, ale wystarczył, żeby zrobić z tego marszu udługę. Stella drapała tysiące miejsc po ugryzieniach komarów, a Jamie przez całą drogę mamrotał coś o lembasach i potrawce z królika.

– Dobra, zaczynamy przedstawienie – powiedział, kiedy stanęliśmy pod drzwiami jasno oświetlonego, zielonego, drewnianego budynku w wiktoriańskim stylu, wyglądającego urokliwie ze swoimi żółtymi żaluzjami i ornamentami wycinanymi na deskach. Z bliska było widać, że ściany obłazą z farby, a drewno jest miejscami spróchniałe. Wszędzie panoszyły się pnącza. – Maro, ty raczej stań z boku, żeby...

– Słucham?

Uniosłam głowę. Nie zwracałam uwagi, co mówi, zajęta wyskubywaniem zaschniętej krwi spod paznokci.

– Nie można powiedzieć, że nie rzucasz się w oczy – wyjaśnił oględnie. – A ja nigdy dotąd świadomie nie wkręcałem kogoś w stylu Jedi. – Głos drżał mu lekko.

– Mówisz o manipulowaniu umysłami? – upewniłam się.

– Tak bym tego nie nazwał.

– Jak zwał, tak zwał, ale na pewno ci się uda. Poproś tylko o trzy pokoje.

Jeszcze nie widziałam go tak zdenerwowanego. W końcu wziął mnie za rękę, nie zważając już na mój żałosny i makabryczny wygląd. Całą trójką weszliśmy do holu, zostawiając mokre ślady na bordowym chodniku prowadzącym do lady recepcyjnej, pomalowanej na soczysty, ciemnozielony kolor. Nad naszymi głowami leniwie wirował wentylator. Zaczęłam drżeć z zimna w podmuchach powietrza.

W recepcji oczywiście nikogo nie było. Był za to srebrny dzwonek, taki prawdziwy, staroświecki, który stał na podstawie z wykaligrafowanym napisem: „Proszę dzwonić”.

– I co? – Stella spojrzała na Jamiego.

Jamie się spłoszył.

– Nie wiem, czy potrafię...

– Potrafisz – zapewniłam łagodnie.

– Dobrze, ale jeśli nie... Chodzi o to, że jeśli zawałę sprawę, ktoś może zawołać policję i...

– Więc lepiej nie zawał sprawy – poradziłam z uśmiechem.

– Dobrze ci mówić – mruknął, ale w końcu też się uśmiechnął.

Zadzwonił. Wyglądał, jakby gotów był zwać stąd w ułamku sekundy.

– Momencik!

Usłyszeliśmy szuranie i w głębi holu otworzyły się drzwi. Wyłoniła się z nich starsza kobieta w okularach i powitała nas uśmiechem. No, nie wszystkich.

– O Boże – powiedziała, kiedy przyjrzała mi się dokładniej. – Kochanie, nic ci nie jest?

Przywołałam na twarz najbardziej radosny uśmiech, na jaki mogłam się zdobyć. Efekt był marny.

– Eee... chcielibyśmy prosić o pokój – powiedział

szybko Jamie, widząc, że kobieta przyciska rękę do serca. Stella dała mu kuksańca. – To znaczy dwa pokoje. Trzy – poprawił się.

– Kochanie, co ci się stało? – drążyła kobieta. – Może potrzebujesz lekarza?

– Um... nie. Po prostu... Jamie! – syknęłam, nie przestając się upiornie uśmiechać. – Zrób coś.

Widać było, jak zaskoczenie i zatroskanie kobiety zmieniają się w napięcie, a potem strach. Popatrzyła na nas nerwowo.

– Trzy pokoje, mówicie? – Głos jej lekko zadrżał. – Myślę, że będę miała. Muszę tylko wyjść na chwilę, żeby sprawdzić, czy są gotowe, bo dawno nie mieliśmy w nich gości. Zaczekajcie, zaraz wrócę.

– Nie ma potrzeby sprawdzać – powiedział nagle Jamie.

Nie mówił głośno, lecz miało się wrażenie, że jego głos jest jedynym dźwiękiem w tym pomieszczeniu.

– Pokoje będą dla nas idealne. Na którym są piętze?

– Na drugim – odparła kobieta i zamrugła nieprzytomnie. – Drugie piętro, pokoje 311, 312 i 313.

– Doskonale, bierzemy je.

Kobieta kiwnęła głową, nadal lekko oszołomiona.

– Tak. Świetnie. Poproszę tylko o wasze nazwiska.

Otworzyła rejestr gości, wzięła długopis i wyczekująco popatrzyła na Jamiego.

Coś w niego wstąpiło. Wyprostował się i wysunął podbródek.

– Barney. – Zerknęłam na niego spod oka. – Rubble.

Stella ścisnęła rękami głowę.

– A to – dodał, z szerokim uśmiechem przygarniając do siebie Stellę – jest Betty. – Stella uśmiechnęła się blado.

– I nasza córeczka. – Jamie położył mi rękę na głowie.

Tup! Przydeptałam mu stopę.

– Au! – syknął, nie przestając się uśmiechać.

Kobiecina klasnęła w dłonie i momentalnie się rozkrochmała.

– Jaką ma pan uroczą rodzinę, panie Rubble. – Zielone oczy jej błyszczały, kiedy wpisywała do rejestru nasze

nazwiska. – Potrzebuję jeszcze pańskiej karty kredytowej, albo prawa jazdy, dobrze? – poprosiła Jamiego.

– Już pani dawałem – odparł gładko.

– Ach, oczywiście! – wykrzyknęła, kręcąc głową. – Proszę wybaczyć. W moim wieku pamięć nie jest już tak sprawna jak dawniej. Na jak długo państwo chcą się zatrzymać?

Jamie spojrzał na mnie. Wzruszyłam ramionami.

– Bezterminowo – poinformował z olśniewającym uśmiechem.

Kobieta wręczyła mu trzy klucze. Jamie dał jeden Stelli, drugi mnie, a trzeci zachował dla siebie.

– Jeszcze jedno, pani...

– Beaufain – przedstawiła się.

– Proszę nam powiedzieć, pani Beaufain, czy są tutaj kamery?

– Niestety, nie. Kiedyś była jedna, przy wejściu, ale się zepsuła, a syn rzadko tu bywa i nie ma kto tego naprawić. Ja nie mam czasu zajmować się takimi

drobiazgami. Szkoda życia!

– Święte słowa – przytaknął Jamie i podziękował jej.

Stella i ja ruszyliśmy na górę.

– Zaraz do was dołączę – powiedział. Zrobił się szary na twarzy i drżał lekko.

– Nic ci nie jest?

– N-nie... nie wiem. Pani Beaufain, czy na dole jest łazienka?

Pokręciła głową.

– Tylko w pokojach, panie Rubble.

Czar Jamiego musiał nadal działać, bo wydawała się nie zwracać uwagi na jego stan.

Jamie skinął głową i szybko zawrócił do wyjścia. Patrzyliśmy, jak jednym pchnięciem otwiera szklane drzwi, dopada żywopłotu i wymiotuje gwałtownie.

– Uch. – Stella się wzdygnęła. – Co z nim jest?

– Może zaczekajmy na niego – zaproponowałam.

Zaledwie wypowiedziałam te słowa, drgnęłam jak ktoś,

kto czuje, że jest obserwowany. Spojrzałam na Stellę.

– Co jest? – spytała.

– Nic.

Obejrzałam się za siebie. Skóra mnie mrowiła; miałam wrażenie, że jest ściągnięta, napięta na kościach. Nawet kiedy pojawił się Jamie, który już wyglądał normalnie, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że coś jest bardzo nie w porządku.

– Masz dziwną minę – stwierdził, kiedy wchodziliśmy na górę. – Dobrze się czujesz?

W milczeniu kiwnęłam głową. Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć.

Otworzyliśmy pokoje, ale zebraliśmy się w jednym, żeby spokojnie pogadać o wszystkim. W zasadzie mówili Jamie i Stella. Ja miałam zbyt rozbiegane myśli, a mój język sprawiał wrażenie, jakby był z drewna.

Wstałam i podeszłam do torby Noaha, którą zostawiłam pod ścianą. Rozsunęłam suwak, zanim zdałam sobie sprawę, co robię. I namacałam w środku znajomy przedmiot. Twarda okładka, spiralny grzbiet – wyjęłam z torby mój szkicownik. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go widziałam.

Słyszałam, że Jamie wypowiada moje imię, lecz zignorowałam go. Otworzyłam szkicownik. Serce mi się ścisnęło, kiedy zobaczyłam portrety Noaha, które rysowałam w Croyden. W każdej linii ołówka, w każdej smudze węgla wyczuwało się ostrożne szczęście albo tłumione podekscytowanie. Miałam wrażenie, jakby rysował je ktoś inny, w innym życiu.

Kartkowałam je szybko, sama nie wiedząc czemu, aż przewróciłam kolejną stronę i zamarłam.

Patrzyłam na obraz narysowany w stylu negatywu. Cała strona była czarna, oprócz postaci znajdującej się w centrum. Był to bez wątplenia Noah, odtworzony w bieli – ze swoimi niesfornymi włosami i senną miną. Powieki miał zamknięte i myślałam, że narysowałam go we śnie, dopóki nie spojrzałam na jego pierś.

Miał otwartą klatkę piersiową. Żebra odchylone na boki sterczały, przebijając skórę i odsłaniając serce.

Czas rozciągał się i rozplątywał wokół mnie. Świat pędził przeze mnie, ale ja byłam nieruchoma. Nie wiedziałam, czy jestem w stanie czuwania, czy uśpienia, dopóki nie pojawił się Noah i nie wziął mnie za rękę.

Wyprowadził mnie z pokoju, a potem z hotelu. Kiedy otworzył przede mną drzwi, znalazłam się w Nowym

Jorku. Szliśmy w środku dnia przez zatłoczone ulice, trzymając się za ręce. Nie spieszyło mi się – mogłabym spacerować z Noahem w nieskończoność – ale jemu tak. Ciągnął mnie coraz szybciej za sobą, zdeterminowany, bez uśmiechu.

Kluczyliśmy wśród ludzi, jakimś cudem nie dotykając nikogo. Drzewa były zielone, niektóre kwitły. Musiała być późna wiosna, prawie lato. Silny poryw wiatru strząsnął deszcz płatków z gałęzi nad naszymi głowami. Zignorowaliśmy je.

Noah zaprowadził mnie do Central Parku, który roił się od ludzi. Kolorowe piknikowe koce ubarwiały trawniki. Leżały i poruszały się na nich blade ciała, jak robaki ucztujące na owocach. Przeszliśmy przez mostek; złote refleksy słońca pełgały po powierzchni jeziora usianej łódkami. Tam Noah sięgnął do swojej torby i wyjął małą szmacianą lalkę. Tę, która należała do mojej babci. Tę, którą spaliliśmy. I wręczył mi ją.

Wzięłam od niego lalkę.

– Przepraszam – powiedział, kiedy zacisnęłam na niej palce. I rozciął mi gardło.

Obudziłam się, rozpaczliwie łapiąc oddech. Mokra. Ciepła woda spływała po mnie. Byłam w ubraniu,

a woda wokół mnie była ciemnoróżowa. Kurczowo zaciskałam palce na krawędzi staromodnej wanny. Czułam jakieś ręce trzymające mnie za przeguby.

– Już wszystko w porządku – powiedziała Stella, klęcząc przy wannie.

Ona też była w ubraniu i też była mokra. Nie miałam pojęcia, co robimy w tym miejscu.

Rozejrzałam się, a przynajmniej próbowałam.

– Co... co się stało?

– Byłaś... – Starła się dobierać słowa. – Źle się poczułaś.

Spojrzała na moją koszulkę, tę ze sklepu turystycznego. Tyle jeszcze pamiętałam.

– Ta krew... wyraźnie cię denerwowała, ale... nie byłaś w stanie dojść do łazienki.

– O czym ty mówisz?

Włosy skręciły się jej od gorąca i pary, ale twarz miała bladą.

– Co zapamiętałaś jako ostatnie?

Przymknęłam oczy.

– Weszliśmy do pokoju. To pamiętam. Otworzyłam torbę Noaha i znalazłam w niej swój szkicownik.

To, co działo się dalej, wymykało się mojej świadomej pamięci. Im bardziej usiłowałam sobie przypomnieć, tym bardziej się rozplątywało.

Stella powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Wszystko było dobrze, aż nagle, dosłownie w jednej chwili, odpłynęłaś.

– Straciłam przytomność?

Pokręciła głową.

– Nie. Nie od razu. Miałaś otwarte oczy, ale patrzyłaś w pustkę. I usiłowałaś ściągnąć z siebie ubranie.

To przerażyło mnie bardziej niż cokolwiek innego.

– Próbowałam mówić do ciebie. Byłaś świadoma, to na pewno. Patrzyłaś na mnie, kiedy mówiłam. I kiedy Jamie mówił. Jakbyś słyszała, ale nie mogła odpowiedzieć. W końcu zaciągnęliśmy cię tutaj, bo pomyślałam, że jak zmyję z ciebie tę krew, wszystko ci przejdzie. Ale kiedy włożyliśmy cię do wanny, naprawdę straciłaś

przytomność.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Pieprzyć to. – Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić.

– Już dobrze. – Stella pocieszająco ścisnęła mi rękę.

Wcale nie było dobrze. Spojrzałam po sobie. Byłam w strasznym stanie, fizycznym i psychicznym.

– Dzięki – powiedziałam do Stelli. – Za wszystko.

Zmarszczyła brwi, aż zbiegły się nad nosem.

– To ja ci dziękuję. Posypałam się w tej ciężarówce po tym, jak... po tym. Ale słyszałam jego myśli. On by nas zabił. Gdybyś nie...

Zabiła go. Zaszlachtowała.

– Nie byłoby mnie tutaj – dokończyła.

Chciałam powiedzieć, że nie musi mi dziękować, ale język odmawiał mi posłuszeństwa.

– Czy... czy dasz mi chwilę? – spytałam chrapliwie. – Muszę zdjąć te cholerne łachy.

Wsparła się o wannę i szybko wstała.

– Jasne. Chcesz, żebym zaczekała pod drzwiami?
Gdybyś mnie potrzebowała?

Gdybym jej potrzebowała. Gdybym chciała, żeby mnie umyła. Ledwie się znałyśmy, ale kto wie, co by się ze mną stało bez jej pomocy?

– Już mi lepiej. Myślę, że dam sobie radę. Ale dzięki, naprawdę.

Usłyszałam szczepek zamykanych drzwi.

Przez chwilę tępo gapiłam się na ścianę łazienki. Woda w wannie zaczęła stygnąć. Wyciągnęłam zatyczkę palcami nogi, rozebrałam się i dopiero teraz zrobiłam sobie prawdziwą kąpiel. Bez niczyjej pomocy.

Kiedy wyszłam z wanny i wytarłam się, niepewnie spojrzałam w lustro, nie wiedząc, kogo zobaczę. Ale to byłam tylko ja. Oczy wydawały się jeszcze większe w wymizerowanej twarzy, a obojczyki sterczały mi pod skórą bardziej niż przedtem. Gorąca kąpiel dodała mi rumieńców i zabarwiła blade usta. Wyglądałam lepiej niż w Horyzontach, ale nie za dobrze. Nie przypominałam dawnej siebie. I nie czułam się dawną sobą. Uświadomiłam też sobie, że po raz pierwszy od czasu Horyzontów jestem sama.

Owinięta w biały ręcznik, przeszłam po białych

kafelkach i znalazłam się w pokoju. Stara, drewniana podłoga zaskrzypiała pod moimi stopami. Torba Noaha, nadal otwarta, stała na okrytym koronkową narzutą łożu z baldachimem. Obok leżał mój szkicownik. Zamknięty.

Nieufnie podeszłam do torby, obserwując ją czujnie, jakby miała mnie ugryźć. Usiadłam na łóżku i musnęłam palcami czarny nylon. Miałam potrzebę zajrzenia do środka. Mogło tam być coś, co pomogłoby mi namierzyć Noaha, dowiedzieć się, czemu nie ma go z nami i dlaczego...

Zamknęłam oczy i przygryzłam dolną wargę, usiłując zahamować gonitwę myśli. Nie uniosłam powiek; macałam na ślepo, wyczuwając jego ubrania, laptop...

Dziwne, że zostawił laptop, zamiast mieć go przy sobie. A może chciał, tylko nie mógł go zabrać, bo...

Stop! Dosyć. Puściłam komputer i moje palce natrafiły na coś innego. Wyjęłam to. Był to biały T-shirt, ten z dziurami. Zmięłam go w dłoniach i przycisnęłam do twarzy.

Wdychałam słabą już, delikatną woń Noaha – mydło, drzewo sandałowe i papierosy. W tym momencie nie czułam braku, lecz przeraźliwą potrzebę. Noah dał się zamknąć na wyspie dla mnie, kiedy zostałam tam sama

i bez pomocy. Wierzył mi, kiedy nikt nie chciał mi wierzyć. Przecież nie może go nie być, myślałam, ale oczy zaczęły mnie piec, a ciężar przygniótł pierś. Skuliłam się na łóżku, podciągając kolana pod brodę, i czekałam na łzy, które nie napłynęły, i na sen, który przybył.

20
WCZEŚNIEJ
Londyn, Anglia

Pan Grimsby musiał w końcu wynająć rozklekotany powóz z wiekowym woźnicą na koźle, zaprzężony w dwa równie stare muły – gdyż żadne konie nie chciały mnie wozić. Sapiąc, wgramolił się do niewygodnego pojazdu i wyciągnął do mnie rękę. Kiedy dotknął mojej dłoni, wzdrygnął się niedostrzegalnie.

Milczeliśmy, kiedy powóz włókł się londyńskimi ulicami. Przygryzłam dolną wargę, aby nie było widać, że drży. W nozdrza wciskał się smród zgnilizny i dopiero kiedy oddaliliśmy się od doków, zastąpiła go gryząca woń dymu. Ciągle pokasływałam.

– To dym węglowy – wyjaśnił pan Grimsby. – Z czasem można się przyzwyczać.

Wyglądałam przez okno, przyglądając się mojemu nowemu światu; powolny stęp mułów pozwalał dobrze obejrzeć szczegóły. Wszyscy ludzie, których mijaliśmy, mieli białą skórę – byli bladzi jak rybie brzuchy. Mężczyźni chodzili w spodniach i w dopasowanych płaszczach, podczas gdy kobiety tonęły pod warstwami

kolorowych tkanin. Dzięki temu było im pewnie ciepło. Ciaśniej skrzyżowałam ramiona na piersi.

Po pewnym czasie smród zelżał i tłumy zrzędyły. Znaleźliśmy się wśród zielonych parków i ogrodów, spośród których wyrastały okazałe budynki z kamienia i cegły. Nasz nędzny pojazd zatrzymał się przed największym z nich.

Pan Grimsby wysiadł i wręczył woźnicy hojną zapłatę. Oszołomiony mężczyzna odprowadzał nas wzrokiem, kiedy szliśmy do bramy. Człowiek w liberii skinął głową na widok pana Grimsby'ego i otworzył przed nami bramę, nawet nie spojrzawszy na mnie. Pan Grimsby zaprowadził mnie do domu.

Dom był z kamienia, a wejście zdobiły białe kolumny. Wznosił się wysoko, na parę pięter. Mój opiekun wbiegł na frontowe schody i stanął pod lśniącymi drzwiami. Otworzyły się przed nim natychmiast, tak samo jak brama.

– Proszę, panienko. – Zaprosił mnie gestem do środka.

Weszłam. Lampy były zapalone, choć był dopiero środek dnia. Mój przewodnik poprowadził mnie przez krótki, ciemnawy korytarz, na którego końcu znajdował się duży pokój.

Szare światło wpadało przez okna z drapowanymi, grubymi, kremowymi zasłonami. Z sufitu zwisał imponujący żyrandol z kryształkami, które zwielokrotniały blask palących się w nim świec. Wokół miał plafon z motywami roślinnymi. Biały marmurowy kominek był tak wysoki, że mogłabym wejść do niego jak do bramy.

Wtem, jakby znikąd, pojawiła się kobieta z lichtarzem w ręku. Miała brązową suknię i siwe włosy upięte na karku w luźny węzeł. Na jednej ręce, powyżej łokcia, nosiła czarną opaskę.

– Ach, pani Dover. – Pan Grimsby skinął jej głową.

– Pan Grimsby – odparła. – Jak widzę, odebrał pan przesyłkę ze statku.

Mężczyzna odchrząknął.

– Czy twoja pani jest w domu?

– Jeszcze nie wróciła z kościoła – wyjaśniła pani Dover, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Niech no się jej przyjrzę. Podejdz do mnie, dziewczynko.

Spojrzałam na pana Grimsby'ego. Skinął głową. Zrobiłam krok w stronę pani Dover.

– Ładniutka – oceniła z aprobatą. – Choć trzeba jej nowych ubrań i porządnej kąpieli.

– Proszę przygotować młodą damę na przybycie pani.

– Tak, panie Grimsby. – Kobieta zwróciła się do mnie: – Jak masz na imię, dziewczynko?

Zawahałam się.

– Jest trochę nieśmiała – wyjaśnił.

– Rozumiem. Każę jednej z pokojówek zanieść twoje rzeczy do pokoju. Chodźmy, dziecko. Musisz się umyć po podróży.

Podeszwy moich trzewików stukotały na parkietach. Pani Dover zaprowadziła mnie do tylnej części domu, gdzie u podnóża schodów warował jakiś pies, który na mój widok wyszczerzył kły.

– Dash! Cicho! – skarciła go pani Dover.

Machnęła na niego, żeby sobie poszedł, ale się nie ruszył.

Kobieta spojrzała na mnie dziwnie, po czym zawołała:

– Panno Smith!

Pojawiła się zabiegana młoda posługaczka ze smugą sadzy na policzku, wycierająca dłonie w spódnicę.

– Tak, pani Dover?

– Proszę, zabierz stąd Dasha.

– Tak, pani Dover.

Dziewczyna chwyciła psa za obrozę. Warknął na nią, ale nie przejęła się tym. Po prostu chwyciła go za kark, aż zaskomlił, odciągnęła od schodów. Pani Dover ruszyła na górę, a ja za nią. Zerknęłam za siebie. Pies obserwował mnie czujnie.

Na trzecim piętrze pani Dover skręciła w korytarz o ścianach wykładanych rzeźbioną boazerią.

– Każdy pokój został nazwany od swojego koloru. Mamy zatem pokój niebieski, czerwony, lawendowy, szary i tak dalej. W zielonym mieszka nasza pani. Niebieski, jak sądzę, będzie twój.

Otworzyła drzwi i popchnęła mnie do środka. Ściany miały dokładnie taki sam kolor jak ubrania, które nosił wujek. Aż wstrzymałam oddech, tak znajomy był ten odcień. Duża, miedziana wanna czekała już na mnie w rogu, buchając parą.

Pozwoliłam, żeby pani Dover mnie rozebrała, a potem bezlitośnie wyszorowała szczotką. Zaciskałam zęby i ani razu się nie poskarżyłam – nawet kiedy szarpała grzebieniem moje splątane, mokre włosy.

Kiedy skończyła, ubrała mnie i otworzyła mój kuferek.

– Hmm – mruknęła z dezaprobatą, wyjmując ubrania, które kupiłam sobie w Indiach. A potem wyciągnęła lalkę, trzymając ją w dwóch palcach. – Co to jest?

– To moje – odpowiedziałam.

– O, zdaje się, że nasza panna mówi! – zauważyła z rozbawieniem pani Dover. – Trzeba tę lalę koniecznie uprać, choć obawiam się, że nic jej nie pomoże.

Wyrwałam jej lalkę z ręki.

– Pani Dover – odezwał się energiczny, szorstki głos za moimi plecami – czy jest jakiś kłopot?

Wyraz zaskoczenia pojawił się na twarzy kobiety.

– Nie, skądże, szanowna pani.

Odwróciłam się i zobaczyłam postać w czerni. Kobieta miała twarz zasłoniętą czarnym welonem, który nie odbijał światła. Z tego samego materiału była jej suknia.

Szeleściła cicho przy każdym drobnym, lekkim kroku swojej właścicielki. Ta czarna dama zdawała się płynąć nad podłogą.

– Powinnam przyjrzeć się dziewczęciu, które mój mąż kazał przywieźć aż z drugiego końca globu – powiedziała, odrzucając welon z twarzy.

W moich wspomnieniach jej mąż był stary i kruchy, ale ta kobieta była zupełnie inna. Miała jasnopopielate włosy, upięte na głowie w koronę z warkoczy. W uszach dyndały czarne kolczyki. Kamienie połyskiwały w mdłym świetle świec.

– Jesteś starsza, niż myślałam – powiedziała. – Ile masz lat, dziecko?

Opuściłam wzrok.

– Nie wiem, proszę pani.

Kobieta klasnęła w ręce.

– Jakie to słodkie! Mówisz, jakbyś była urodzona i wychowana na West Endzie, a nie w dżunglach Indii. Widzę, że mój mąż zadbał o twoją edukację.

Pomyślałam o wuju i o Siostrze.

– Tak, proszę pani.

– Szkoda, że tego nie dożył. – Westchnęła. – Wiele pisał mi o tobie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam.

– No cóż, teraz jesteś pod moją opieką i będę traktować cię jak własną córkę. Dopilnuję, żeby pan Bray jak najszybciej przygotował papiery oddające cię pod moją kuratelę, jak chciał mój mąż. Nie będziesz jednak miała obowiązku opłakiwać go i nosić po nim żałoby. Nie chcę, aby początki twojego pobytu u nas spowił aż taki mrok.

W milczeniu skłoniłam głowę.

Pani powiodła spojrzeniem po pokoju, w którym stałyśmy.

– Mąż pouczył mnie wyraźnie, że mam umieścić cię w niebieskim pokoju, ale pomyślałam o innym. Chodź, dziecko.

Poszłam za kobietą w czerni, która zaprowadziła mnie do jeszcze większego pokoju. Ściany miały kolor jasnej mięty, a zdobiły je złote świeczniki z odbłaśnicami w kształcie liści. Pośrodku stało wielkie, kremowe łóżko z baldachimem, zasłonami i falbanami. Nic dziwnego,

że tak mnie wypucowano!

– Tak – powiedziała dama i kiwnęła głową. – Ten pokój jest o wiele bardziej odpowiedni dla młodej dziewczyny. Dużo bardziej słoneczny. Pani Dover, kotary proszę.

Pani Dover szybkimi ruchami rozsunęła kotary. Odsłoniły z pół tuzina łukowych okien podzielonych na mniejsze szybki. Pani uśmiechnęła się.

– Stąd masz widok na ogród. Chodź, zobacz, kochanie!

Podeszłam i stanęłam z nią przy oknie. Ogród był brunatny o tej porze roku, a jedno z bezlistnych drzew obsiadły tłumnie czarne ptaszydła.

– Przed kolacją przedstawię cię domownikom i reszcie służby. Chłopcy – Elliot i Simon – są w tej chwili z nianią, ale poproszę panią Dover, aby zawiadomiła kucharza, że dzisiaj zjedzą z nami. Będiesz miała okazję ich poznać.

Gospodyni lekko skłoniła głowę.

– Tak, proszę pani – powiedziała i natychmiast wyszła.

Czarna dama znów obdarzyła mnie serdecznym uśmiechem.

– Jutro powinien już się zjawić twój nowy guwerner, zgodnie z wolą mego męża. Przyznaję, że gdyby nie poprosił mnie o to na łożu śmierci, nie pomyślałabym o dalszej nauce dla ciebie. Niemniej jednak zamierzam honorować wszystkie jego życzenia, nawet najbardziej nieortodoksyjne. Nikt jednak nie musi o tym wiedzieć, rozumiesz?

Kiwnęłam głową.

– Dobra dziewczynka. Wszystko zostało już załatwione i guwerner nie może się doczekać lekcji z tobą.

– Tak, pani.

Znów się uśmiechnęła.

– Wolałabym, żebyś nazywała mnie ciocią Sarah. W końcu niedługo będziemy rodziną.

– Tak, ciociu Sarah.

– Mądra dziewczynka – pochwaliła. – Nadal jednak nie wiem, jak mam się do ciebie zwracać. Dziwne, ale mój mąż nigdy mi nie powiedział, jak masz na imię.

Bo kiedy mnie znał, jeszcze nie wybrałam sobie imienia.

– Pan Barbary też nie – dodała. – Powiedz mi, kochanie,

jak mam się do ciebie zwracać?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, stado ptaków uniosło się z wrzaskiem w powietrze, odwracając na moment uwagę cioci Sarah.

To dało mi chwilę do namysłu.

„W imieniu jest moc” – powiedziała Siostra. Nie chciałam zdradzać imienia, którym dzieliłam się tylko z wujkiem i Siostrą – dlatego jeśli pytał mnie ktoś inny, podawałam imię, które dałam swojej lalce, zanim dowiedziałam się, co naprawdę znaczy.

– Mara – powiedziałam do czarnej damy wpatrzonyj w czarne ptaki odlatujące w szare niebo.

Kiedy się obudziłam, było jeszcze ciemno. Ubrałam się w rzeczy Noaha – jego T-shirt, który zwisał mi z chudych ramion, i dżinsy, które musiałam podwinąć. Było mi wszystko jedno, jak wyglądam; po prostu chodząc w jego rzeczach, czułam się bliżej niego. Poza tym potrzebowałam nawet cienia tej bliskości ze względu na to, co zamierzałam za chwilę zrobić.

Serce tłukło mi się w piersi, kiedy otworzyłam laptop Noaha i włączyłam go. Powinnam w nim znaleźć jakiś trop, wskazówkę, które pomogłyby mi w poszukiwaniach. Już się nie wahałam. Potrzeba wiedzy była przemożna. Musiałam wiedzieć, czy z Noahem jest wszystko dobrze.

Komputer poprosił o hasło, ale wpisałam niewłaściwe – raz, drugi, trzeci – w sumie osiem błędnych. Nic nie działało – ani jego imię, ani wariacje jego imienia, ani imiona jego psów, ani jego data urodzenia, ani nawet moja data urodzenia. W końcu ze złością zatrzasnęłam laptop, wrzuciłam go do torby i jeszcze przed wschodem słońca zapukałam do drzwi Stelli. Otworzyła mi, ziewająca i zaspana.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Nie bardzo.

– Chcę, żebyśmy jak najszybciej wyruszyli.

Stała nieruchomo przez dobrą minutę, przetrawiając moje słowa, aż w końcu skinęła głową.

– Dziesięć minut.

Jamie nie odpowiedział na pierwsze ani na drugie stukanie; wydawało mi się, że czekam pod jego drzwiami w nieskończoność, zanim wreszcie się obudził.

– Co?

– Pakuj się. Chcę jechać.

– Czemu?

– Bo muszę znaleźć Noaha.

Jamie zamrugał i pomyślałam, że zacznie się kłócić, ale powiedział tylko:

– Pięć minut – i zatrasnął mi drzwi przed nosem.

Opuściliśmy hotel bez śniadania wliczonego w cenę pokoju. Stella narzekała, że jest głodna i niewyspana.

Jednak jazda do Miami trwała na tyle długo, że zdążyła pospać w samochodzie. Po drodze udało nam się ukraść – przepraszam, „pożyczyć” – auto należące do hotelowego gościa, rannego ptaszka takiego jak my – oczywiście dzięki Jamiemu. Bryka była duża i wygodna, ale Jamie ostrzegł, żebyśmy się do niej nie przywiązały, bo musimy zostawić ten wóz po wjeździe do Miami. Trzeba będzie pożyczyć następny, żeby pojechać do domu Noaha. Potem mieliśmy po kolei odwiedzać naszych rodziców.

Stella gapiła się z otwartymi ustami, kiedy jechaliśmy przez most prowadzący do ekskluzywnej enklawy na wyspie, gdzie mieszkał Noah. Im dalej się posuwaliśmy, tym bardziej ekstrawaganckie były posiadłości. Rezydencja rodziców Noaha królowała pośrodku ogromnego trawnika ozdobionego fontannami i rzeźbami w pseudoantycznym stylu. Obsadzony palmami podjazd prowadził do strzeżonej bramy.

Kamera obróciła się i wycelowała w nas. Wcześniej poinstruowałam Jamiego, co ma mówić.

– Dzień dobry – wyrecytował, jakby czytał z listy dialogowej. – Czy zastałem Noaha? Jestem jego przyjacielem ze szkoły.

Rozległo się kliknięcie i głos przemówił przez

interkom:

– Niestety, w najbliższym czasie nie przewidujemy wizyt gości.

Znałam ten głos.

– Albert?

To był lokaj i odźwierny Shawów. Widywałam go wcześniej. Modliłam się, żeby mnie pamiętał.

– Jestem Mara Dyer... Mam coś dla Noaha i...

– On... jest aktualnie niedostępny, panienko.

Niedostępny... Niedostępny żywy czy martwy?

– A gdzie teraz jest? – naciskałam.

Chwila ciszy.

– Niestety... – Serce podeszło mi do gardła. – Niestety, nie jestem upoważniony do udzielania informacji.

Usiłowałam zachować spokój. Musiałam być spokojna, jeśli chcieliśmy uzyskać jakiegokolwiek informacje, a nie odejść stąd z kwitkiem.

– Czy mogę zostawić coś dla niego?

Nie było odpowiedzi, ale brama się rozsunęła. Z ulgą odchyliłam głowę na fotel, kiedy Jamie wjeżdżał na posesję.

– Nie wiem, czy dam radę – powiedział. Za każdym razem to powtarzał.

Obserwowanie, jak rozwija swoją zdolność, było fascynujące. Zanim zaczął, był spięty, niepewny, cały w nerwach i zastanawiał się na głos, czy mu się uda, mamrocząc coś o konsekwencjach. Nieodmiennie przypominało mi to książkę o nurkach bijących rekordy zanurzenia bez aparatu. Taki gość musi najpierw wprowadzić się w stan hiperwentylacji, aby dostarczyć więcej tlenu do organizmu. Ponieważ nasze zdolności wyzwalają stres, strach i być może ból, Jamie świadomie wprawiał się w nerwowy rezonans, rozważając straszne skutki swoich niepowodzeń.

Albert czekał na nas przed wejściem do domu. Stał, splótnął ręce za plecami. Mimo woli zastanawiałam się, jak zareaguje, widząc, jak Jamie po skończonej rozmowie rzyga do jednej z monstrualnych donic z bukszpanami.

– Uda ci się – szepnęłam jak zwykle.

Jamie ruszył do akcji.

– Cześć, Albercie – powiedział tym swoim spokojnym, przekonującym, dźwięcznym głosem. – Nazywam się Jamie Roth, choć kiedy już się pożegnamy, nie będziesz pamiętał mnie, mojego nazwiska ani treści tej rozmowy.

– Tak jest, proszę pana.

– A zatem zrobimy tak: będę ci zadawał pytania, a ty udzielisz mi szczerych odpowiedzi, dobrze?

– Dobrze.

– Jakie jest twoje drugie imię?

Stella i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Eugene.

– Masz prawo jazdy?

– Tak.

– Daj mi swój portfel, proszę.

Albert posłuchał. Jamie sprawdził.

– Faktycznie, na drugie ma Eugene – powiedział do nas.

– Okej, Albercie. A teraz będą dziwne pytania. Gotów?

– Gotów na dziwne pytania.

– Czy Noah Shaw żyje?

Minęła niekończąca się sekunda, zanim Albert odpowiedział:

– Tak, proszę pana.

Miałam ochotę odstawić gwiazdę na trawniku. Chciało mi się latać. Chciałam wystrzelić do słońca.

– A gdzie przebywa?

– W Ośrodku Leczenia Psychiatrycznego „Horyzonty”, proszę pana.

Nie. Nieee!

– Jesteś pewien, Albercie?

– Tak, proszę pana. Sam go tam zawoziłem.

– Kiedy?

– Trzy tygodnie temu.

Niedługo po tym, jak sama tam trafiłam.

– Orientujesz się może, czy chodzi tylko o badania, czy o dłuższy pobyt?

– Nie mam pojęcia, proszę pana.

– Czy rodzice martwią się o niego?

– Nie, nie bardzo.

To było do przewidzenia.

– Czy są teraz w domu? – indagował Jamie. – Możemy z nimi porozmawiać?

– Niestety, w tej chwili są w Europie.

– A Katie? – podsunęłam.

Jamie powtórzył moje pytanie.

– Panienska też – poinformował Albert.

Jamie spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

– Coś jeszcze?

Nie miałam więcej pomysłów. Ale przynajmniej zyskaliśmy jedną ważną informację – nie było pogrzebu. Co oznaczało, że dla rodziny Noah żyje. Jednak sądzili, że nadal przebywa w Horyzontach. Dał się tam zamknąć ze względu na mnie. Żeby być ze mną. A teraz...

Noah zginął. Przeze mnie.

Jamie i Stella próbowali mnie pocieszyć, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

– Nie załamuj się – mówili. – Znajdziemy go.

Na próżno. Narastało we mnie poczucie beznadziei i zwątpienia, że cokolwiek się uda. Nie miałam się czego ucześcić, więc ucześciłam się samej siebie. Przyciskałam rękami do brzucha jego koszulkę, usiłując sobie wyobrazić, co by Noah powiedział, gdyby tu ze mną był. Zamknęłam oczy i próbowałam go sobie wyobrazić – jak by wyglądał i co by mówił, gdyby siedział obok mnie w samochodzie.

Przypomniałam sobie jego spokojną minę i lekko kpiące spojrzenie spod zmierzwionej strzechy włosów, kiedy uświadamiał mnie, że jego rodzice są idiotami. Że nie interesuje ich, gdzie jest i co robi, nawet jeśli akurat są w domu. Przypomniałam też sobie, jak ostrzegał, że bym w nic nie wierzyła, jeśli nie będę miała na to dowodów. Kiedyś kłóciłabym się z nim, że nawet jeśli masz na coś dowody, nie znaczy, że to istnieje. Ale dzisiaj bym tak nie powiedziała. Dzisiaj potrzebowałam uwierzyć, że Noah miał rację.

Jamie wymyślił mało wiarygodne wyjaśnienie, które miał serwować naszym rodzinom, kiedy pojawimy się w drzwiach naszych domów. Brzmiało tak: „Nadal przebywamy w Horyzontach. Wszystko jest w porządku. Wpadliśmy tylko po rzeczy, bo zaraz wybieramy się w północne dzicze, na terapię naturą. Będziemy śpiewać wszystkimi głosami gór i malować wszystkimi kolorami wiatru”. Wiedziałam, że Jamie potrafi sprawić cuda, ale moją mamę niełatwo było przekonać. Czarno to widziałam.

Ale to nie mój dom poszedł na pierwszy ogień. Mama i tata byli o tej porze w pracy, a Joseph w szkole. Za to mama Stelli mogła być w domu, ponieważ jako pielęgniarka często pracowała na nocne zmiany. Ojciec zostawił je, kiedy Stella była mała, więc mieszkały tylko we dwie. Jamie zagadał do pani Benicii i wszystko poszło gładko. Następnie przejechaliśmy do niego. Nie miałam pojęcia, jak mu się udało, gdyż nie zaprosił nas do środka. Ale chyba dobrze, bo wrócił, niosąc dużą torbę „zapasów”. Co tam było, nie pytałam. Po drodze do samochodu (już trzeciego!) otarł usta i pokazał nam wzniesione kciuki.

– Siadaj z tyłu – nakazał Stelli.

– Cały czas tam siedziałam – zaprotestowała.

– Ale to ja załatwiam dla nas bryki. I robię naszym starym pranie mózgu. No już, śmigaj – sapnął. – Z tyłu jest duszno, a ja nie czuję się za dobrze.

– Jak poszło? – zapytałam.

Jamie wzruszył ramionami.

– A jak miało pójść? Z początku trochę się zdziwili na mój widok, ale nafutrowałem ich tymi bzdurami i przełknęli gładko. – Strzelił palcami. – Ot, tak!

– Ot, tak – powtórzyłam. – Jesteś całkiem pożyteczny.

– Zgadza się. A teraz rzygnę i jedziemy do ciebie.

Nareszcie. Popołudniowe światło, przesiane przez liście palm i dębów, kładło się na asfalcie ślepej uliczki, przy której stał nasz dom. Kiedy podjechaliśmy, szybko sprawdziłam stan aut. Na podjeździe stały wszystkie – taty, mamy i Daniela, co oznaczało, że Joseph też jest w domu. Jamie stwierdził, że to mu ułatwia sprawę – może zaserwować wszystkim tę samą gadkę, hurtem, dzięki czemu nie ma groźby późniejszych przekłamań.

W czasie tej wizyty musieliśmy współpracować we trójkę, bo nie chodziło tylko o zbajerowanie moich rodziców. Potrzebowaliśmy także zabrać Danielowi *Nowe teorie w genetyce*. Ustaliliśmy, że kiedy Jamie

będzie nawijał, Stella zagada mojego brata, a ja zabiorę książkę. Bułka z masłem.

Kiedy wysiedliśmy, uświadomiłam sobie, że nie mam klucza do domu, a rodzice nie mieli zwyczaju zostawiać zapasowego pod wycieraczką, w donicy na tarasie albo w innym tajnym miejscu.

Spojrzałam na Jamiego i Stellę.

– I co, mam po prostu zapukać?

– Tak bym sugerował.

– A potem?

– A potem powiem twojej rodzinie to samo co mamie Stelli i moim starym.

Stella położyła mi dłoń na ramieniu.

– Będzie dobrze. Nie martw się.

Dodali mi trochę otuchy, ale ręka mi się trzęsła, kiedy uniosłam ją, żeby zapukać do drzwi.

Otworzyła mama. Na mój widok zrobiła wielkie oczy.

– Mara! Co ty tu robisz?

Nie wiem czemu, ale poczułam, że zaraz się rozpłaczę. Chciałam rzucić się jej w ramiona i usłyszeć, jak mówi, że mnie kocha i że wszystko będzie dobrze. Ale nie mogłam się ruszyć ani wykrztusić słowa.

Na szczęście Jamie zachował sprawność umysłu.

– Wszystko w porządku – zapewnił gładko, kiedy mama zaprosiła nas do środka.

Obserwowałam jej twarz, gdy wciskał jej tę głupią gadkę, wyjaśniając, jak się tu nagle znaleźliśmy i dlaczego musimy zaraz zniknąć. Mama przyjmowała to wszystko ufnie, nawet z zadowoleniem. Poleciała Jamie i Stelli usiąść przy kuchennym stole i podała nam coś do jedzenia. Jamie nie przestawał gadać. Sytuacja wydawała się do znudzenia normalna, choć wcale nie była. Wiedziałam, że musimy tak działać, lecz nadal czułam przemożną potrzebę wtulenia się w objęcia mamy i wykrzyczenia jej, że nic nie jest w porządku, że ze mną nie jest dobrze i pewnie już nigdy nie będzie.

Kiedy Joseph z tatą weszli do kuchni, Jamie natychmiast skupił się na nich i powtórzył swój przekaz słowo w słowo. Przedstawił Horyzonty jako fajne, młodzieżowe kolonie, skwapliwie pomijając fakt, że zabiłam dwoje opiekunów.

Znów się spięłam ze strachu przed podejrzliwą reakcją mojej sceptycznej mamy, lecz ta powtórka wcale jej nie zdziwiła. Słowa Jamiego wchodziły w umysły moich rodziców jak nóż w masło, gładko usprawiedliwiając moją przyszłą nieobecność w ich przyszłych myślach, jakby to był jakiś drobiazg. Bardziej mną to wstrząsnęło, niż myślałam.

Jamie skończył, przeprosił na chwilę i wyszedł. Teraz pałeczkę powinna przejąć Stella.

– A gdzie jest Daniel?

Usłyszałam jej głos zadający pytanie. Zdałam sobie sprawę, że nie patrzę już na swoją rodzinę. Od dłuższego czasu wpatrywałam się w pustkę.

– W Nowym Jorku – odparł tata.

To przywróciło mi czujność.

– Pojechał, żeby odwiedzić parę uczelni – dodała mama, podchodząc do lodówki, żeby dorobić kanapki. – Zdaje się, że nie może się zdecydować pomiędzy Columbią a Princeton.

– Myślałem, że pomiędzy Columbią a Yale – powiedział tata.

– A kiedy wraca? – spytałam, usiłując ukryć niepokój.

Tata wzruszył ramionami.

– Nie wiem, może w przyszłym tygodniu? Albo za dwa tygodnie?

Mama usiłowała sobie przypomnieć.

– Powiedział, że chyba zahaczy jeszcze o Harvard i Brown...

– I myślę, że Dartmouth – dodał tata. – Tak, wspominał coś o Dartmouth.

Moi rodzice najwyraźniej nie mieli pojęcia, gdzie są i co robią ich starsze dzieci. Zwłaszcza mama. Coś tu było nie tak. Jamie wrócił z łazienki i poczęstował się kanapką.

Czyżby to, co im zasugerował, zaburzało inne sprawy w ich pamięci? Poczułam kopnięcie pod stołem. Jamie nieporadnie próbował dać mi sygnał, że musimy pogadać na osobności.

– Zaraz wracam – powiedziałam do rodziców. – Stella?

– Ja jeszcze jem – odparła, pakując sobie do ust frytki.

Siedziała z Josephem na podłodze i przyglądała się, jak mój młodszy brat gra w strzelankę. Zaprowadziłam Jamiego do swojego pokoju i zamknęłam za nami drzwi. Od razu zaczął mówić.

– No i mamy problem – oznajmił. – Boję się, że kiedy Daniel wróci i rodzice powtórzą mu te moje bzdury o tobie, a na dodatek zobaczy, że wcale się o ciebie nie martwią, od razu się zorientuje, że coś tu nie gra.

– Jak to?

– Pomyśl, jak zareagowaliby twoi rodzice – a zwłaszcza mama – na wiadomość, że wybierasz się w jakieś dżicze, gdyby nie było mnie tutaj?

Racja.

– Ale co możemy z tym zrobić?

Jamie pokręcił głową.

– Praktycznie nic. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Daniela, ale nie jestem pewien, czy mój umysł potrafi oddziaływać zdalnie. Zwłaszcza że nigdy tak naprawdę z nim nie rozmawiałem. Taki telefon byłby podejrzany i gdyby Daniel mi nie uwierzył, zaraz zrobiłby totalne śledztwo i wziął na spytaki resztę rodziny.

– Jednym słowem, musimy gnać do Nowego Jorku z nadzieją, że nie miał czasu zadzwonić albo rodzice nic mu nie powiedzieli – podsumowałam.

– Myślę, że tak.

– Cóż, z braku laku... – Westchnęłam.

– Tak, nie jest to idealne wyjście.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich Stella.

– Mamy problem – oznajmiła.

– Wiemy – przytaknęłam. – Daniela tu nie ma.

– Właśnie. Daniela tu nie ma. I książki też nie.

– Och, na pewno sobie żartujesz – jęknął Jamie.

– Tak sądzisz? Niestety, muszę cię zmartwić – odpowiedziała Stella i nasze spojrzenia się spotkały. – Poprosiłam Josepha, żeby pokazał mi dom. Oczywiście zaczęliśmy od jego pokoju, a potem przeszliśmy do Daniela. Patrzyłam na biurku, na półkach, wszędzie. Nie było jej tam.

Nie do końca mnie przekonała. Nie знаła Daniela i nigdy wcześniej nie była w jego pokoju, więc postanowiłam, że muszę zweryfikować to osobiście. Jamie i Stella towarzyszyli mi w tej robocie. Sprawdziłam we wszystkich możliwych miejscach, aż w końcu musiałam się poddać.

– Kurka wodna! – zakląłam.

Jamie uniósł głowę znad jednej z szuflad, którą przeglądał.

– Tak przy okazji, twój brat ma tu niezłą kolekcję pornosów.

– Fuj. – Skrzywiłam się. – Ale nie, jednak nie wierzę.

Jamie roześmiał się sztucznie.

– I słusznie, bo żartowałem. Przecież mnie znasz.

Podeszłam i szturchnęłam go w ramię.

– Au!

– Żartowałam. Przecież mnie znasz – powtórzyłam.

– To nie to samo – mruknął, rozcierając ramię.

– Przepraszam, że wam przerywam – wtrąciła Stella – ale skoro książki tutaj nie ma, podobnie jak samego Daniela, przyszła mi do głowy genialna myśl, że zabrał ją ze sobą.

Tylko mój brat mógł zabrać sześćsetstronicową naukową cegłę jako lekturę podrózną. Cały Daniel, cały on.

– Czemu miałby to robić? – zdziwił się Jamie. – Przecież on nic o tobie nie wie, nie?

Przytaknęłam.

– Na dodatek sądzi, że ta książka jest z założenia bzdurą.

– Założenia mogą być...

– Czytałam ją. A przynajmniej próbowałam dowiedzieć się z niej, co autor mówi o pamięci genetycznej, gdyż ciągle mam sny, wspomnienia, przebłyski pamięci czy jak to nazwać – dotyczące lalki babci i w ogóle Indii. Ale Daniel twierdzi, że pamięć genetyczna to pseudonaukowa bzdura. – Urwałam na moment. – Noah też tak uważa. Ale...

– Nazwisko autora było na liście, którą Kells miała w Horyzontach. I przecież wiemy, że przeprowadzała eksperymenty, prawda? – Stella wypowiedziała głośno to, co sama myślałam. – Dlatego sądzę, że twój brat mylił się co do książki – dodała.

– Możliwe – przyznał Jamie. – Ale nie możemy rozsądzić, bo jej nie czytaliśmy. Musimy jak najszybciej do niej dotrzeć.

– Myślisz, że Daniel zabrał tę książkę nie bez powodu? – dociekała Stella.

– Nie wiem, tak tylko powiedziałem. Wiecie co? Spytajmy Google'a – powiedział Jamie. – Mara, masz tu komputer, nie?

– Zasugeruj mojej mamie, żeby dała ci swojego laptopa. Ja muszę się pakować – ucięłam. Nie miałam siły martwić się teraz o książkę.

Byłam zbyt spięta – z powodu Daniela, Noaha, wszystkiego. Musiałam jak najszybciej stąd wybyć. Ruszyć się. Działać.

Mój pokój. Zastanawiałam się, kiedy zaczęłam myśleć o nim w ten sposób. Nie tak dawno przeprowadziliśmy się do Miami; jeszcze w grudniu zeszłego roku mieszkałam w Laurelton. Jeszcze żyła Rachel, a Jude był moim chłopakiem. Boże, aż trudno w to uwierzyć!

Zgarnęłam zapas bielizny i ubrań na parę tygodni i zapakowałam je do szarej turystycznej torby, którą mama pożyczyła mi kiedyś na szkolną wycieczkę, a potem pozwoliła zatrzymać, bo bardzo tę torbę polubiłam. Gardło mi się ścisnęło. Usiłowałam wytłumaczyć sobie, że ten stan niepewności i zawieszenia nie będzie trwał wiecznie – że znajdziemy odpowiedzi, lekarstwa, Noaha, a potem wrócę do domu i wszystko będzie jak dawniej. Jednak nie do końca w to wierzyłam. Z trudnością mogłam sobie przypomnieć czasy, kiedy byłam normalna.

Zabrałam torbę i zaczęłam iść długim korytarzem, mając poczucie, że po raz ostatni patrzę na rodzinne fotografie wiszące na ścianie. Nie wpatrywałam się już w zdjęcie babci. Ostatnio aż za często ją widywałam.

Usiłowałam być na luzie. Na pożegnanie uścisnęłam

tate, mamę i młodszego brata. Z ciężkim sercem zamknęłam za sobą drzwi. Mogłam okłamywać ich, ale nie siebie. Czułam, że to jest prawdziwe pożegnanie.

Teraz Stella usiadła za kierownicą, ale jeszcze nie uruchomiła silnika.

– Nie możemy znaleźć tej książki w internecie? – zapytała.

– Zapewne nakład został wyczerpany – stwierdził Jamie.
– Słuchajcie, w Coral Gables jest dobra księgarnia. Mają tam wszystko, a jeśli nawet nie mają, to mogą sprowadzić.

– Dobra, jedźmy tam. – Stella popatrzyła na mnie z nagłym niepokojem. – Mara? Hej, co ci jest?

Nie chciałam o tym mówić.

– Jedź.

– Maro...

– Jedź!

Ruszyła. Po godzinie jazdy w korkach zaparkowaliśmy przed księgarnią. Zanim weszliśmy, Jamie kupił nam porcje lemoniady w ulicznym barku.

Gdybym miała lepszy humor, pomyślałabym, że jestem w niebie. Księgarnia była cudowna – ze lśniącymi drewnianymi podłogami i rzędami książek wypełniającymi wszystkie ściany.

– Czemu wcześniej tu nie trafiłam? – powiedziałam z żalem.

– No nie? – podchwycił Jamie. – Tu jest super.

– Mogę wam w czymś pomóc?

Ekspedientka podeszła do nas z uprzejmym uśmiechem. Miała na sobie firmowy T-shirt Books & Books, a na ramionach kolorowe tatuaże przedstawiające ilustracje z dziecięcych książeczek. Ciemne włosy były luźno upięte na czubku głowy.

– Tak, prosimy – powiedział Jamie i siorbnął przez słomkę.

Wyjaśnił jej, czego szukamy. Pracownica wróciła za biurko, żeby poszukać książki.

– Jak ten tom wyglądał? – Jamie zwrócił się do mnie.

Przymknęłam oczy i wysiliłam pamięć.

– Czarna okładka – powiedziałam. – Grzbiet z płótna.

Tytuł złotymi literami.

Kobieta energicznie stukała w klawiaturę.

– Nazwisko autora brzmi Lenaurd? – upewniła się.

– Tak – potwierdziła Stella, bujając się na piętach.

– Hmm... – Kobieta przygryzła kciuk. – Chwila, spróbuję inaczej.

Wpisywała, szukała, wpisywała, szukała, aż w końcu westchnęła, wyraźnie sfrustrowana.

– Dziwne – stwierdziła.

– Co takiego? – spytał Jamie.

– Nie ma najmniejszej wzmianki w bazach danych. Szukałam nawet artykułów, na wypadek gdyby to dzieło istniało wyłącznie w obiegu akademickim, ale bez skutku. Nie ma ani tytułu, ani autora. Jeśli sobie życzyście, mogę jeszcze zadzwonić do paru antykwariuszy specjalizujących się w rzadkich wydaniach? Jeśli czegoś się dowiem, zawiadomię was.

Stella wyraźnie upadła na duchu. Jamie podziękował kobiecie i wyszliśmy z księgarni. Zamówił kanapki. Nie tknęłam swojej.

– W takim razie – powiedział, opierając ręce na biodrach niczym kowboj – walimy do Nowego Jorku, co nie?

Jasne, walimy jak w dym!

Stella chciała lecieć samolotem, żeby nie tracić czasu. Miała swoją koncepcję co do *Nowych teorii* i chciała jak najszybciej dopasować brakujące elementy układanki. Jeśli Daniel jest w Nowym Jorku, rozumowała, książka też tam jest. Z kolei Jamie miał inne powody – chciał dotrzeć do źródła funduszy wspierających Horyzonty i koniecznie namierzyć odpowiedzialnego księgowego – a ten miał przecież biuro w Nowym Jorku. Jednak lot samolotem oznaczał bramki, kamery, agentów i cały system bezpieczeństwa, a do tego tłumy ludzi. Dlatego po namyśle Jamie uznał, że z punktu widzenia takich zbiegów jak my byłoby to nierozsądne. Też tak sądziłam.

Dlatego wybraliśmy stare, poczciwe cztery kółka. Jechaliśmy godzinami. W West Palm Beach „pożyczyliśmy” kolejny samochód, a potem jeszcze wiele razy zmienialiśmy auta, na wypadek gdyby zauważono naszą nieobecność w Horyzontach i ktoś by nas szukał.

Zieleń drzew i szarość nieba zlewały się w wilgotną,

parującą zupę. W pewnym momencie pojawiła się mgła i zaczęło padać. Posuwaliśmy się niemal po omacku po autostradzie międzystanowej I-95, sunąc przez bagienne pustkowia Florydy. Ocknęłam się z chwilowej drzemki, uniosłam głowę i zobaczyłam, że w tym mleku ledwie widać drogę. A głupia Stella nie raczyła zwolnić. Zwróciłam jej uwagę, ale mnie zignorowała.

Jamie wychylił się i sięgnął do pokrętła radia, ale nie łąpało żadnej ludzkiej stacji, tylko kanały modlitewne.

- Kiedy dojedziemy? – zapytał jak znudzone dziecko.
- Przestań marudzić – warknęłam. – Nie wypada.
- Coś humorzasta dzisiaj jesteś – zauważyła Stella. – Myślałam, że drzemka poprawi ci nastrój.
- Goń się.
- Może ona ma okres? – zastanawiał się Jamie.
- Aleś wymyślił! – Odwróciłam się ku niemu gwałtownie.
- Faktycznie jesteś nie do życia – stwierdził.
- A nie mówiłam? – podchwyciła Stella.

– Nienawidzę was – burknęłam, opierając policzek o zimną szybę.

Oblewały mnie siódme poty. I naprawdę byłam humorzasta. Rozdrażniona. Przewrażliwiona. Czyżbym miała okres?

– Który dzisiaj jest? – spytałam.

– Dwudziesty pierwszy – odpowiedziała Stella.

Policzyłam sobie. Hmm... Dziwne. Nie miałam miesiączki od... od czasu przybycia do Horyzontów. Ponad miesiąc temu.

Zaraz, a może po prostu nie pamiętam, że ją miałam. Co nie znaczy, że jej nie miałam.

Ale... jeśli naprawdę nie miałam?

To było niepokojące. Okres nigdy mi się nie spóźniał. Z drugiej strony nigdy nie brałam tyłu leków i nie eksperymentowano na mnie. Czyżby to był powód?

Wpatrzyłam się w drogę. Po chwili spytałam Stellę:

– Kiedy ostatni raz miałaś okres?

Jamie skrzyżował ramiona i zrobił minę.

– Niezły temat – skomentował.

Uszczypnęłam go w ucho.

– Um... chyba trzy tygodnie temu. – Zerknęła na mnie. –
A ty?

– Miesiąc temu – skłamałam.

Znów to jej spojrzenie.

– Co jest? – spytałam.

– Nic. – Chwilę milczała, aż nagle zaklęła. – Cholera,
nie spakowałam tamponów. A ty?

Pokręciłam głową.

– Ja zapomniałam.

– Ta rozmowa jest pasjonująca – wtrącił Jamie –
niemniej jednak chciałbym spytać, dlaczego ją
prowadzicie?

Nie miałam na to dobrej odpowiedzi, ale chciałam coś
wymyślić. Zauważyłam, że Stella skręca w stronę zjazdu
z autostrady.

– Myślałam, że zatrzymamy się w Savannah –

powiedział Jamie. – To jeszcze godzina jazdy.

– Mamy już prawie rezerwę – wyjaśniła. – Poza tym chce mi się siusiu.

Kłamała. Pewnie pomyślała, że ja potrzebuję do toalety, tylko głupio mi prosić, więc wymyśliła pretekst, żeby się zatrzymać. Kochana dziewczyna!

Dzięki – powiedziałam bezgłośnie. I naprawdę byłam jej wdzięczna. Dzięki temu będę miała okazję zadać jej parę pytań, których nic chciałam zadawać przy Jamiem.

Na stacji Stella stwierdziła, że idzie do łazienki, i zostawiła Jamiego, żeby zatankował. Kupiłam tampony, których niestety nie potrzebowałam, i ruszyłam za Stellą. Już miała wejść do kabiny, kiedy ją zatrzymałam.

– Jesteś pewna, że to było trzy tygodnie temu? – zapytałam.

– Tak, bo pamiętam, jak prosiłam Wayne’a o tampony. Tak się zaczerwienił, aż myślałam, że para pójdzie mu uszami. – Zachichotała, ale natychmiast spoważniała. – Czemu pytasz? Coś nie tak?

Przygryzłam wargę.

– Spóźnia mi się.

– Ile?

– Nie wiem, serio. Upływ czasu mi się miesza. Może... jakieś dwa tygodnie? Albo nawet trzy.

– Dużo – skwitowała.

Milczałam.

– Nigdy mi się tak nie spóźniał.

Nadal milczałam. Najwidoczniej z nią było inaczej niż ze mną.

Na twarzy Stelli zaciekawienie zastąpiła troska.

– Dobrze się czujesz?

– Teraz tak, ale wcześniej nie. Nawet bardzo nie.

– Wyglądasz... dziwnie – powiedziała.

Popatrzyłam na siebie w lustrze. Wyglądałam okropnie, taka była prawda. Twarz miałam białą jak kreda, usta szare, a pod oczami cienie jak siniaki.

Stella tak nie wyglądała. Stella wyglądała zdrowo. Normalnie. Czemu nasz wygląd tak się różni, skoro ona

też jest odmieńcem jak ja?

– Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. – Stella zerknęła na drzwi. – Może zawołam Jamiego? Tak, idę po niego.

Chciałam zaprotestować, ale pomieszczenie zaczęło wirować; nie mogłam wykrztusić słowa i nie byłam w stanie ustać na nogach. Złapałam się umywalki, ale kolana tak mi się trzęsły, że osunęłam się na podłogę.

WCZEŚNIEJ
Londyn, Anglia

Ciocia Sarah dotrzymała obietnicy i rzeczywiście traktowała mnie jak własne dziecko. A nawet lepiej. Mówiła, że zawsze marzyła o córce – o dziewczynce, która będzie miła i wrażliwa; niepodobna do Elliota i Simona, nieokrzesanych chłopaków, którzy ciągle mocowali się i tarzali po ziemi albo pojedynkowali się na patyki.

Jadałam z nią prawie codziennie. Czesła mi włosy i zaplatała je, choć od tego miałam pokojówkę. Byłam jej hinduską księżniczką, mówiła; pośmiertnym darem męża, który pozwolił wypełnić pustkę po jego odejściu. Spędzałyśmy razem prawie każdą wolną chwilę i ciocia uczyła mnie rozmaitych zasad.

Musiałam się nauczyć, co, kiedy i jak jeść. Co kiedy nosić i jak się ubierać. Jak się zachowywać. Jak się zwracać do kobiet, jak do mężczyzn, a jak do ludzi najwyższej rangi i utytułowanych. Musiałam znać hierarchię domowej służby, odróżniać lokaja od kamerdynera oraz różne rodzaje pokojówek. Wpajała mi, z kim wypada się pokazywać i co wypada robić

damie, a czego nie.

Jadłyśmy razem śniadania, a po południu przyjmowałyśmy gości na herbatce. Wieczorami, zanim poszłam spać, ciocia uczyła mnie gry w karty i tańca. Szybko przywykłam do smaku wykwintnych potraw, podawanych na olśniewająco białych obrusach. Wychodziłam z ciocią Sarah na długie spacery. Często bawiłam się z chłopcami. I wreszcie trzy razy w tygodniu, w wielkiej tajemnicy, w ciągu dnia zjawiał się profesor, żeby mnie uczyć.

Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, wydał mi się dziwnie znajomy. Miał ciemną karnację i był przystojny. Przysięgłabym, że już wcześniej widziałam tę twarz. On jednak nic o tym nie wspominał, a ja uznałam, że niegrzecznie byłoby pytać.

Pan Grimsby wprowadził go do domu bez zbędnych ceremonii i przyszedł nauczyciel skłonił się przede mną. Dygnęłam grzecznie, a on się uśmiechnął. Pan Grimsby powiedział, że lekcje będą się odbywały w bibliotece, i pokazał profesorowi drogę.

To było moje najbardziej ulubione pomieszczenie w domu. Kochałam zapach książek i smugi światła, w których tańczył kurz. Tu czułam się jak w innym świecie.

Usiedliśmy.

– No cóż, Maro – zaczął po angielsku z niemal niedostrzegalnym obcym akcentem – powiedz mi teraz wszystko, co wiesz.

– Skąd znasz moje imię?

– Zadajesz niewłaściwe pytania, więc otrzymasz niewłaściwe odpowiedzi. Pozwolę ci zadać trzy pytania, zanim zaczniemy lekcję.

Nikt dotąd mnie tak nie potraktował, przynajmniej od przyjazdu do Londynu, i byłam mocno wzburzona.

– Kim jesteś? – dopytywałam się.

Profesor uśmiechnął się, pokazując białe zęby.

– Osobą. Człowiekiem. Mężczyzną. Byłem ojcem i synem, mężem i bratem, a teraz jestem twoim nauczycielem. Czy o to naprawdę chciałaś mnie zapytać?

Rozdrażniona, wyrzuciłam z siebie:

– Dlaczego tak znajomo wyglądasz?

– Bo już kiedyś się spotkaliśmy. To jest trzecie z kolei spotkanie. A teraz...

– Czekał! Nie odpowiedział mi jeszcze na pierwsze pytanie – powiedziałam uparcie, krzyżując ramiona na piersi.

Znów się uśmiechnął.

– Znam twoje imię – rzekł – gdyż zaanonsował cię pan Grimsby, zanim się pojawiłaś.

Spojrzałam na niego spod zmrużonych powiek.

– A jakie jest twoje imię?

– W imieniu jest moc. Zadałaś cztery pytania, a umówiliśmy się tylko na trzy, ale ze względów praktycznych odpowiem ci. Możesz nazywać mnie po prostu Profesorem. A teraz zacznijmy.

Przeważnie Profesor uczył mnie o świecie i ludziach. O tym, które kraje i miasta znajdują się w stanie pokoju, a które wojny. Uczył mnie dziejów świata i wszechświata, matematyki i nauk przyrodniczych. Ale od czasu do czasu robiliśmy zupełnie coś innego. Na przykład grał ze mną w karty, choć zupełnie inaczej niż ciocia Sarah. Nigdy nie nauczyłam się reguł tej gry. Kazał mi przełożyć, a potem wykładał swoje karty, z dziwnymi liczbami i obrazkami. Albo też podawał mi różne przedmioty, jak ptasie pióra czy kamyki, a raz była to nawet szpada, którą wyciągnął ze swojej laski,

i kazał mi wymyślać historie o nich. Innym razem przedstawiał mi różne zagadki czy problemy i pytał, jak bym je rozwiązała. Nigdy nie odpowiadał na moje pytania o te przedmioty bądź o karty. Często powtarzał, że dostałam swoje trzy pytania i zmarnowałam je. I że w przyszłości powinnam być bardziej uważna. W takich momentach go nienawidziłam.

W inne dni byłam po prostu lalką cioci Sarah, jej rozrywką, jej zabawką i manekinem, który stroiła w ciuszki. Moja własna lalka leżała nie całkiem zapomniana w kuferku, który trzymałam pod łóżkiem. Coraz słabiej pamiętałam, co było wcześniej – dni spędzone z Siostrą pod gorącym słońcem czy noce z wujkiem, kiedy pokazywał mi gwiazdy. Stałam się stworzeniem domowym, jak Dash, foxshound zmarłego pana Shawa, który musiał zamieszkać w kwaterze dla służby, gdyż znienawidził mnie od pierwszego dnia.

W miarę jak zmieniały się pory roku, obserwowałam swoje odbicie w lustrze nad marmurowym kominkiem. Ogród rozkwitł różami i rozkwitała moja kobiecość. Kiedy po roku skończyła się żałoba cioci Sarah, moja opiekunka zaczęła wspominać o zaprezentowaniu mnie na dworze, aby mogła poszukać dla mnie dobrej partii.

Nie obawiała się, że nie zostanie uznana przez najznacześniejsze londyńskie rody z powodu odcienia

skóry bądź niedostatku rodziny i majątku.

– Twojej urodzie niczego nie brakuje, a buzię masz po prostu słodką! Jesteś tak egzotyczna, z tymi pełnymi wargami, włosami czarnymi niczym krucze skrzydło i wielkimi oczami! Jesteś oryginalną pięknnością, Maro, a ja się postaram, żebyś miała imponujący posąg. Mężczyzna, który cię dostanie, będzie się mógł uważać za wyjątkowego szczęściarza! – powiedziała, muskając palcami medalion z kosmykiem włosów zmarłego męża, który nosiła na szyi.

Jednak Profesor usiłował zniechęcić ją do tego pomysłu. Nie podobała mu się idea wprowadzenia mnie na salony. Ciocia Sarah lubiła obstawać przy swoim, lecz Profesor potrafił być bardzo przekonujący i ciągle ją urabiał. Natomiast jednego nie był w stanie jej wyperswadować – zamiaru wydania mnie za mąż.

Zapewniłam go, że jest mi wszystko jedno. Widziałam damy i dżentelmenów w Hyde Parku, przechadzających się parami czy przesiadujących na ławkach i jedzących sobie z dzióbków. Całkiem mi się to podobało. Czemu miałabym nie spróbować? Oczywiście nie śmiałam tego wyznać Profesorowi. „Zwierzęta nie łączą się w pary na całe życie, a my jesteśmy zwierzętami, choćbyśmy temu zaprzeczali i udawali, że jest inaczej” – mówił mi nieraz.

A jednak w końcu zostałam przedstawiona na dworze i pół roku później byłam już zaręczona. Mój narzeczony był uroczy, nieśmiały i bardzo zakochany we mnie. Nasze narzeczeństwo trwało trzy miesiące. Umarł w noc poślubną, przed świtem.

Jamie patrzył z przerażeniem, jak nadchodzę, wspierając się na Stelli. Byłam zbyt słaba i drżąca, żeby stać o własnych siłach. Stella uciszyła go, zanim zdążył się odezwać.

– Mara jest chora – powiedziała – a ty prowadzisz.

Rzuciła mu kluczyki i pomogła mi usiąść z tyłu.

Byłam wdzięczna Stelli za pomoc, a z drugiej strony wściekła, że muszę z niej skorzystać. Nie miałam nawet sił, żeby nabrać obrzydzenia do siebie samej. Byłam zbyt wykończona, zbyt przerażona i zbyt chora, żeby zrobić cokolwiek. Opadłam na siedzenie i zamknęłam oczy, pozwalając się wieść.

Było wczesne popołudnie, kiedy po godzinie jazdy znaleźliśmy się w Savannah. Zatrzymaliśmy się w motelu przy autostradzie.

Kiedy wydano nam klucze, Stella powiedziała do Jamiego:

– Słuchaj, muszę pogadać z Marą. Ty idź.

– Koniecznie teraz? – spytałam. – Muszę do łazienki.

Tak naprawdę nie musiałam, ale nie miałam ochoty rozmawiać ze Stellą o tym, o czym chciała pogadać. Marzyłam tylko, żeby się położyć i spać. Chciałam spać. W łóżku. Po prostu.

– Przecież niedawno byłaś – przypomniał mi Jamie.

Rzuciłam mu poirytowane spojrzenie i już bez komentarzy wręczył mi klucz do pokoju.

Stella poszła tam za mną, lecz od razu wślizgnęłam się do łazienki i odkręciłam kran, aby nie słyszała, że nie siusiam. Niestety, po chwili dobiegły mnie głosy zza drzwi – to przyszedł Jamie. Niech ich szlag!

Nie mogłam dłużej się ukrywać. Obmyłam twarz, wzięłam parę głębokich oddechów i wyszłam z łazienki.

– Mój klucz nie otwiera – oznajmił Jamie, przenosząc spojrzenie to na mnie, to na Stellę. – Ehem... może przeszkodziłem?

– Tak – powiedziała Stella w momencie, kiedy ja mówiłam: – Nie.

– Musimy o tym pogadać, Maro – nalegała.

Teraz już byłam naprawdę wkurzona.

– Nie ma o czym gadać – ucięłam.

– Marze spóźnia się okres o trzy tygodnie – poinformowała Jamiego.

– To niefajnie – wymamrotał, wycofując się do drzwi. – Dobra, ja... idę.

– Nie możemy tego ignorować, bo jeśli...

– Nie jestem w ciąży – zapewniłam, z góry uprzedzając pytanie, które zapewne zamierzała zadać.

Uniosła brwi.

– Jesteś drażliwa. Masz zmienne nastroje – wyliczała na palcach. – Mdłości...

– To Jamie ma mdłości. I wszystkim nam chce się rzygać. Wszyscy mamy pieprzone nastroje.

– Ale nie tak jak ty – podkreśliła Stella. – Kiedy po raz pierwszy... po raz pierwszy zorientowałam się, co się ze mną dzieje, kiedy zaczęłam słyszeć głosy, myślałam, że oszalałam. Nie wiedziałam, co jest grane, ale czułam, że coś jest nie tak. Byłam kompletnie zdezorientowana i miałam wrażenie, jakby moje ciało należało do innej

osoby. Przestałam jeść, bo tylko to mi pomagało. A potem zaczęłam brać leki. I leki pomogły. Przestałam słyszeć głosy. Znow zaczęłam jeść. Ale nawet w najgorszych momentach – a te najgorsze momenty były naprawdę upiorne, wierz mi! – nie mogłam się równać z tobą.

Tego już nie dodała, ale byłam pewna, że myśli o tym, co zrobiłam doktor Kells. Wayne'owi. Panu Ernstowi.

Co miałam jej odpowiedzieć? Powiedziałam tylko:

– O Jezu, naprawdę nie jestem w ciąży. Jestem dziewicą, Stello.

– Albo uważasz, że jesteś – mruknęła.

– Co chciałaś przez to powiedzieć? – spytałam ostro.

– Albo uważasz, że jesteś – powtórzyła głośniejszym głosem. – Tam, w Horyzontach, byłaś ciągle zamulona. Wszyscy byliśmy. Eksperymentowali na nas. I jeśli...

Nie.

– Nie, Stello.

– Ale jeśli...

– Noah z nią nie był – wtrącił Jamie.

– Noah to jedna sprawa – odpowiedziała. – A jeżeli...

Nie.

Stella z wysiłkiem przełknęła ślinę, zanim znów przemówiła.

– A jeżeli nie Noah?

Miałam wrażenie, jakby jej słowa wyssały cały tlen z pokoju. Jedno spojrzenie na Jamiego upewniło mnie, że pomyślał dokładnie to samo.

Nie byłam w stanie mówić; mogłam tylko pokręcić głową.

– Nie dowiesz się, dopóki nie zrobisz testu – powiedziała.

Nie mogłam uwierzyć, że taka rozmowa w ogóle mogła się odbyć. Co się ze mną działo? Desperacko przeszukiwałam swoją kulawą pamięć, poszukując czegokolwiek, choćby przebłysku, który mógłby mi pomóc w znalezieniu odpowiedzi na to pytanie. Zmuszałam się, żeby myśleć o Horyzontach. Tam robiono mi różne rzeczy. Ale jakie konkretnie?

Stella musi się mylić. Znów zrobiło mi się niedobrze. Zaraz się porzygam. Zakryłam usta ręką i rzuciłam się do kibla. Ledwie zdążyłam.

Kłęczałam na kafelkowej podłodze, drżąc i oblewając się potem. Poczułam dłonie na głowie, kiedy Stella odgarniała mi wilgotne włosy z twarzy.

– Jeszcze nie jest za późno – powiedziała łagodnie. – Możesz to usunąć.

Znów zwymiotowałam.

– Musisz wiedzieć, Maro. Tak czy owak, musisz.

– O Boże! – jęknęłam.

Kiedy już nic nie zostało mi w żołądku, wstałam chwiejnie i obmyłam twarz. Nawet umyłam zęby. Powiedziałam dobranoc Jamiemu i Stelli. Głos miałam jak robot. Jak kosmita. Brzmiał, jakby nie wychodził ze mnie, ale to już mnie nie dziwiło. Od pewnego czasu miałam poczucie, że moje ciało nie jest moim. Czasami robiłam rzeczy, których nie chciałam robić, albo mówiłam to, czego nie chciałam powiedzieć. Czasem bez powodu zbierało mi się na płacz, a czasem warczałam na ludzi, na których mi zależało. Od dawna zdręczałam się, że tracę rozum, ale teraz miałam wrażenie, że tracę także i ciało. Czułam się jak obcy byt.

A jeśli rzeczywiście noszę coś w sobie?

Następny przystanek powinien wypaść w Waszyngtonie, ale nie ułatwiałam im zadania.

Nie mogłam znieść jazdy samochodem. Pociłam się straszliwie, choć Jamie ustawił klimę na granicy zamrznięcia. Niemal co godzina wymiotowałam i nie zawsze byłam w stanie to kontrolować. Stella i Jamie zmieniali się za kierownicą i zawsze jedno z nich siadało ze mną z tyłu.

Poza tym była to spokojna jazda. Nikt nie wspominał o wczorajszej rozmowie, a już zwłaszcza ja. A jednak Jamie w pewnym momencie przerwał jazdę i zatrzymał się w środku dnia przed jakimś motelem, aby zmienić samochód. Jak się okazało, zrobił to ze względu na mnie. Tym razem namówił właściciela kabrioletu, żeby nam go pożyczył. Liczył, że w powiewach świeżego powietrza poczuje się lepiej. Kiedy właściciel rzucił mu kluczyki, Jamie odszedł na bok i zwymiotował za krzakiem.

Z coraz większą pewnością posługiwał się swoim darem, lecz nadal widziałam u niego momenty, kiedy wbijał paznokcie w dłonie albo przygryzał dolną wargę do krwi. Paradoksalnie zmagania Jamiego pomagały mi

w walce, którą toczyłam ze sobą. Towarzystwo innego świra sprawiało, że czułam się mniej świrowato. Może faktycznie wszyscy byliśmy chorzy, jak mówiła Kells. Widziałam, że czasami Stella obserwuje mnie nerwowo, jakbym mogła ją zarazić.

Jamie nigdy się tak nie zachowywał. Rozmawialiśmy o tym wieczorem, w moim pokoju w jednym z moteli, które obsiadły okolice zjazdu z autostrady. Stelli nie było; poszła znaleźć coś bardziej smacznego niż jedzenie z fast foodu.

– Myślę, że Stella trochę się ciebie boi – powiedział, kiedy przebierałam się do spania w łazience.

– A ty nie? – zapytałam zza drzwi.

– Ciebie? Ty masz duszę małego kotka!

Wytknęłam głowę zza drzwi.

– Kotka?

– No dobra, kotka mordercy – uściślił.

Pierwszy raz od dawna śmiałam się tak szczerze. Jamiego nie oburzały rzeczy, które robiłam, jakby wcale mu to nie przeszkadzało. Jakby moje czyny były równie oczywiste jak fakt, że niebo jest niebieskie.

Nigdy nic do mnie nie miał; nigdy go nie wkurzyłam i nie przeraziłam. W pewien sposób było mi łatwiej rozmawiać z nim niż z Noahem.

– Co masz zamiar ze sobą zrobić? – zapytał bez ogródek.

– W jakim sensie?

– W takim, że w jednej chwili potrafisz przejść od zera do zabójstwa.

– Jestem żywiołowa.

– Jesteś maniakalna – poprawił mnie.

– Obiecuj, że mnie nie porzucisz, nawet gdyby miał ze mnie wyskoczyć Obcy.

– Słuchaj, moim zdaniem Stella naprawdę uważa, że tak się stanie. Normalnie nakręca się na horror!

– Jamie, nie jestem w ciąży. Nie urodzę kosmity ani w ogóle niczego.

Jamie szybko zmienił temat.

– Wiem, myślałem o twojej...

– Ty myślisz?

– O twojej zdolności – dokończył, ignorując moje słowa. – Powiedz mi, czy kiedykolwiek próbowałaś... myślałaś... żeby stało się coś dobrego?

– Oczywiście.

– I...?

– Nic. – Urwałam, zastanawiając się, czy powinnam teraz zapytać o coś, co właśnie przyszło mi na myśl. Och, czemu nie? – A czy ty myślałaś o przypadku Anny?

– Nie – odparł bez zastanowienia, co oznaczało, że kłamie.

Rozumiałam dlaczego. Czasami łatwiej jest uwierzyć w kłamstwa niż w prawdę.

Jamie znów zmienił temat.

– Szkoda, że nie możesz sobie zażyczyć... po prostu sprawić, żebyś została prezydentem.

– W wieku siedemnastu lat?

– Dobra, nieważne. Po prostu chodzi o to, że... jeśli twoje myśli potrafią się stać rzeczywistością, mogłabyś

zmienić świat.

– Nie sędzę, że chciałabym być prezydentem.

– Serio? – zdziwił się. – Boże, co ja bym za to dał!

– Czemu?

– Ktoś musi zostać przywódcą wolnego świata. Równie dobrze mógłbym to być ja.

– I co byś zrobił z taką wielką władzą? Przecież wiesz, że łączy się z równie wielką odpowiedzialnością.

– Wprowadziłbym nowy porządek świata – powiedział, szczerząc białe zęby. – Świry zawładną Ziemią!

– To byłaby dyktatura, a nie demokracja.

– Demokracja się przeżyła.

– Mówisz jak prawdziwy dyktator. Szkoda, że nie możemy się zamienić zdolnościami.

– A żebyś wiedziała, że coś takiego by mi się marzyło. Bardzo niestosownie, prawda?

– Cała ta rozmowa jest niestosowna. – I pewnie dlatego tak się nam fajnie rozmawiało.

Jamie zmarszczył czoło.

– Musimy uczcić nasz sojusz stosowną muzyką. –
Rozejrzał się. – To laptop Noaha?

Otworzyłam obie torby i z jednej wystawał komputer.

– Tak.

– Czy... robiłaś coś z nim?

Pokręciłam głową.

– Nie mam hasła.

– Nie możesz się włamać?

– Nie umiem.

– Dasz spróbować?

Wzruszyłam ramionami. Pewnie jemu też się nie uda,
ale nie zaszkodzi spróbować.

Po niecałych pięciu minutach Jamie przymknął oczy
i przygryzł wargę. Nie dał rady. Tak jak
przewidywałam.

– Nie udało się?

– Nie, wszedłem – odparł dziwnym głosem.

– Serio? – Poczułam nerwowy tik w żołądku. – Jakie było hasło?

Jamie zawahał się na moment.

– Marashaw.

Przez chwilę nie mogłam złapać powietrza. Spuściłam głowę i objęłam ją rękami. Drgnęłam, kiedy Jamie otoczył mnie ramieniem.

Nie spodziewałam się tego. To było stanowczo zbyt słodkie jak na Noaha. Gdyby w tej chwili był tu ze mną, obśmiałabym się i z uciechą wytknęłabym mu, że układając hasło, myślał o mnie jako o swojej żonie.

Ale nie było go tutaj. Nie mogłam się z nim droczyć. Poczułam się nieznośnie. Sięgnęłam po laptop.

– Może już pójdę? – zapytał Jamie.

Skinęłam głową, nie patrząc na niego. Słyszałam, jak wychodzi.

Trzęsącymi się rękami klikałam na pliki i foldery Noaha, szukając czegokolwiek, co mogłoby mnie naprowadzić na jego trop. Nic nie znalazłam. W końcu

zaczęłam sprawdzać na chybił trafił. Wreszcie coś znalazłam. I pożałowałam.

To był plik nazwany MAD.

Zbieram moje liście

Splatam je w korony

Pozwól mi być królem twego lasu

Wspinaj się po moich konarach

Znajdę twoją kryjówkę

Gdzie śpisz w cieniu

Mojego szczodrego drzewa

Wstrzymywałam oddech, czytając wiersz za wierszem z całego zbioru, który Noah napisał dla mnie – w tym dawne, inspirowane *Welwetowym królikiem* i *Lolita* oraz jeden świętuszący...

Chwyciłam się rękami za zdławione gardło, ale nie płakałam. Nie mogłam. Zamiast tego zakipiał we mnie gniew. Gdyby Noah mógł być tu ze mną, już dawno bylibyśmy razem. Najwidoczniej nie mógł. Poprzysięgłam sobie, że zabiję tego, kto nie daje mi

wrócić do mnie.

Odkręciłam kran i zamknęłam drzwi łazienki. Rozbierałam się powoli, wdychając gorącą parę i próbując się uspokoić. Pozwoliłam sobie pomarzyć, że Noah jest ze mną, kiedy stoję tu naga.

Wyobrażałam sobie, jak ściąga koszulkę przez głowę; wyobrażałam sobie grę mięśni pod jego skórą. A potem wchodzi do wanny, ubrany tylko w ten swój uśmieszek, i czeka, aż do niego dołączę. Z uśmiechem przymknęłam oczy, a kiedy je otworzyłam, odskoczyłam z wrzaskiem.

Noah leżał w wannie, a woda była czerwona od jego krwi. Miał przecięte żyły w przegubach.

Wyskoczyłam z łazienki, ubrałam się w gorączkowym pośpiechu, chwyciłam laptop z łóżka, pobiegłam do pokoju Jamiego i zaczęłam walić w drzwi.

– Włącz muzykę – nakazałam, kiedy mi otworzył, wciskając mu komputer do rąk.

– Mara...

– Zrób to, Jamie.

Ogłuszający wir myśli kłębił mi się w mózgu,

a wszystkie były straszne. Musiałam je natychmiast zdusić.

– Myślisz, że nie miałby nic przeciwko temu?

Pokręciłam głową, nie podnosząc wzroku.

Słyszałam klikanie, kiedy Jamie przeglądał pliki.

– Na co masz nastrój?

Przymknęłam oczy.

– Coś, żebyśmy mogli tańczyć.

Po paru minutach wyczekiwania usłyszałam wstęp do *Sympathy for the Devil*. Jamie wskoczył na łóżko i wyciągnął do mnie rękę. Dałam się wciągnąć i zaczęłam podrygiwać z przylepionym do twarzy uśmiechem, który nie sięgał oczu. Jamie zrzucił buty; ja też.

Nie słyszeliśmy, kiedy otworzyły się drzwi i ktoś wszedł – darliśmy się ile sił w płucach razem z Mickiem Jaggerem. Było dobrze.

– Przykro mi, że przerywam – powiedziała Stella, przenosząc wzrok z jednego na drugie – ale mam jedzenie.

– Och, dzięki Bogu. – Jamie jednym susem znalazł się przy niej. – Umieram z głodu.

Cokolwiek pachniało w plastikowych torbach, które przyniosła, wywołało burczenie w moim żołądku.

– Ja też. – Zajrzałam do torby, którą trzymała w ręku. – Co tam masz?

– Dania meksykańskie.

– Mniam!

Sięgnęłam i wyciągnęłam zawinięte w folię burrito. Jedliśmy, a playlista Noaha grała w tle. Gadaliśmy o niczym i chichotaliśmy, żeby choć na chwilę oderwać się od problemów. Kiedy wyszliśmy z pokoju Jamiego, Stella wręczyła mi małą plastikową torebeczkę.

– Kupiłam to dla ciebie – powiedziała, zamykając za nami drzwi.

– Aha... dzięki.

Oddaliła się szybko i pomachała mi, nie odwracając głowy. Zajrzałam do torebki.

Był tam test ciężowy.

No pięknie, tego mi jeszcze trzeba, myślałam, wpatrując się w zawartość torebki. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że wyjmuję teraz ten test i czytam instrukcję. W moim umyśle wyświetliła się scena: jestem w łazience, drżącymi rękami rozrywam opakowanie, instrukcja wypada na mokrą kafelkową podłogę. Podnoszę ją i usiłuję przeczytać rozmyty tekst. Już wiem. Siadam na kiblu i zmuszam się, żeby nasikać na pasek. A potem czekam na wyrok losu. Jezu, naprawdę mam to zrobić?

Stella i Jamie domyślali się, że nie zrobiłam testu, i atmosfera dalszej podróży, odbywanej w kolejnych kradzionych/pożyczanych samochodach, których były już setki, stawała się coraz cięższa i trudniejsza do zniesienia. Za każdym razem, kiedy mdłości podchodziły mi do gardła, Stella i Jamie wymieniali porozumiewawcze spojrzenia i miałam ochotę ich zamordować, a przez takie myśli czułam się jeszcze bardziej chora. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrzanej ścianie lobby hotelu w Georgetown, który załatwił dla nas Jamie. Wyglądałam jak nieumarła. Doprawdy dziwne, że nikt nie chciał mi ściąć głowy.

– Czekał sobie – powiedziała do mnie dziewczyna w lustrze.

– Zamknij się!

Jamie i Stella spojrzeli na mnie. Widocznie powiedziałam to głośno.

Ledwie zdążyłam się rozpakować, kiedy zapukał Jamie. Wszedł i od razu walnął się na moje łóżko.

– Maro, dziecinko, możesz mi podać menu?

– Masz.

Cisnęłam mu kartę.

– Zamawiam kolację do pokoju – wyjaśnił.

Usiadłam w fotelu.

– Jeszcze nie ma szóstej.

– Wiem, co robię. Jestem już dużym chłopcem. – Sięgnął po pilota. – O, maraton Tarantino!

Spojrzałam na ekran.

– *Pulp Fiction*? Nie przepadam.

– Błędnie!

– Wolę *Kill Billa*.

– Hmm. Może być. – Łaskawie skinął głową. – Cholera, można zamawiać dopiero od siódmej. Chamy.

Cisnął pilotem, aż ten podskoczył na materacu.

– Zachowuj się!

– Kocioł garnkowi przygania. Gdzie barek?

Pokazałam na przeciwległą ścianę.

– Podasz mi coś?

– Sam sobie weź.

Na ekranie Samuel L. Jackson recytował ustęp 25,17 z Księgi Ezechiela: „Dokonam na nich wielkiej pomsty za pomocą srogich kar. Wtedy poznają, że Ja jestem Pan, gdy dokonam na nich pomsty”.²

Jamie na moment zasłonił mi widok.

– Rozumiem, że nie zrobiłaś tego?

– Czego? – spytałam z roztargnieniem, patrząc, jak John Travolta i Sammy opróżniają magazynki, waląc

w nieszczęsnego gościa.

– No... testu.

– Och...

Test ciążowy. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, coś odwróciło już uwagę Jamiego.

– O, proszę.

Cisnął mi małe, czarne pudełeczko. Złapałam je odruchowo, nie patrząc.

– Co to jest?

– No... niezbędnik do seksu.

Otworzył paczkę cukierków Skittles i wepchnął garść do ust.

Odrzuciłam mu pudełeczko.

– To ty chyba powinieneś tego potrzebować?

– A ty nie, bo w twoim łonie już się lęgnie kosmita, co?

– Nic. Się. Nie. Lęgnie – powiedziałam dobitnie. – Jestem dziewicą. Nadal. Przecież mówiłam ci to. Wiele razy.

– Stella chyba jednak ci nie wierzy. I nie mogę jej za to winić. Naprawdę trudno sobie wyobrazić, że ty i Noah nie ulegliście takiej pokusie.

– Nie jesteś zabawny.

– Owszem, jestem. To ty masz gówniane poczucie humoru. Tylko ty jesteś zdolna zejść w ciążę, zapomniawszy wcześniej o stosunku.

– Wiesz, że moje życie ostatnio jest wybitnie gówniane.

– Dobra, to mogę przyznać. Ale... mówiąc serio... czy możesz mi wyjaśnić, czemu jeszcze tego nie robiliście?

Najlepszą metodą obrony jest atak.

– A dlaczego ty jeszcze tego nie robiłeś?

– Chcę być nietknięty w dniu ślubu – odpowiedział Jamie, wsypując sobie nową porcję cukierków do ust.

– Serio?

– Tak. Prawdopodobnie. Możliwe. Nie wiem. Poza tym nie rozmawiamy o mnie. Czy ty... czy chcesz tego? Spać z Noahem? Oczywiście abstrahując od aktualnej sytuacji.

Zauważyłam, że Jamie przerzucił się z czasu przeszłego

na terazniejszy, ale zignorowałam to.

– Jasne, że chcę – odparłam spokojnie.

– Więc co was powstrzymywało? Oczywiście abstrahując od aktualnej sytuacji.

Zastanawiałam się, jak mu wytłumaczyć, że nie doszło do zbliżenia jeszcze przed Horyzontami. Jak bałam się, że mogę skrzywdzić Noaha. I te słowa wróżki, w które jakaś część mnie wierzyła do dzisiaj.

– Bałam się, że... że go skrzywdzę.

Jamie uniósł brew.

– Uważaj, bo uwierzę!

– Dobra, to był dowcip.

– Słuchaj, pytam serio. Chyba możesz mi powiedzieć?

Czułam się głupio, opowiadając o tajemnicy pocałunków; bałam się, że Jamie uzna mnie za jeszcze bardziej popieprzoną, niż jestem. A jednak nie; słuchał uważnie i nie kpił ze mnie, kiedy skończyłam.

– Myślisz, że naprawdę o to chodzi? – zapytał.

– Sama nie wiem. Oczywiście całowałam się z Noahem wcześniej...

– Oczywiście. Nie był chyba aż tak święty, żeby unikać nawet tego!

Zignorowałam tę uwagę.

– I zauważyliśmy, że coś... coś się dzieje. Możliwe, że było to związane z moim stanem emocjonalnym albo... nie wiem, w każdym razie sędzę, że nie chodziło o zwykłe cmoknięcie w policzek, ponieważ...

– Ponieważ nie jest namiętne.

– No właśnie.

– Mogłabyś spokojnie cmoknąć mnie albo Stellę i nic by się nie działo, prawda?

– Stella by pomyślała, że chcę ją ugryźć. Chybaby mnie załłukła.

Jamie zachichotał.

– Celne! Wracając do waszych namiętnych pocałunków – może jest tak, że kiedy twoje emocje się nasilają, coś zaczyna się dziać z twoim darem. Nadmiar energii lub coś w tym stylu.

– Aha. I dlatego zwykle cmoknięcie nie działa.

– Raczej nie.

Zaryzykowałam i cmoknęłam Jamiego w policzek.

– A kysz! – wrzasnął, ocierając twarz. – A gdybyś tak mnie zabiła?

Cisnął we mnie skittlesem. Cukierek trafił mnie w czoło.

– Au!

– Spróbuj tęczy, jędzo!

– Nie zachowuj się jak dziecko.

– A właśnie, że będę. Zaraz zamknę się w łazience i będę beczał.

Rzeczywiście, wszedł do łazienki i zamknął drzwi. Nie wiedziałam, czy płacze.

Usłyszałam szum spuszczonej wody i Jamie wrócił.

– Zostawiłem ci coś na szafce – powiedział.

– Boję się pytać co.

– Naprawdę powinnaś to zrobić.

– Znów ci chodzi o test ciążowy? Nie.

– Maro, bez względu na wynik musisz wiedzieć. W razie czego jakoś sobie poradzimy. Ale nie możemy udawać, że nie ma sprawy.

– Muszę przyznać, że słowo „my” dało mi pozytywne wzmocnienie.

– To był niezamierzony efekt, ale dobrze, bo pozytywne wzmocnienie będzie ci zaraz potrzebne.

Chciałam się z nim jeszcze kłócić, ale nie było sensu. Jamie miał rację. Jeśli wynik okaże się negatywny, będę musiała poszukać innych przyczyn swojego stanu. A jeśli pozytywny...

Jeśli będzie pozytywny, wszystko stanie na głowie.

– Nie myśl o tym – poradził, wyjadając resztki skittlesów. – Pewnie będzie tak, jak powiedziałaś... że nie jesteś w ciąży. Zawsze to ulga, nie?

Tak. Jasne.

Wstał i dość bezceremonialnie wepchnął mnie do łazienki.

– Odrywasz pasek i po prostu siusiasz na niego –

poinstruował, po czym zamknął za mną drzwi.

Popatrzyłam na opakowanie. Jamie już je otworzył i wyjął instrukcję. Przeczytałam ją. Znak plus – wynik pozytywny; znak minus – negatywny. Proste. Rozdarłam opakowanie i usiadłam na sedesie. Niemal słyszałam nerwowy oddech Jamiego za drzwiami.

Czułam się jak skazaniec, czekający na ogłoszenie wyroku. Upłynęły sekundy, może nawet minuty, zanim rozległo się pukanie.

– Nie słyszę siusiania – zameldował Jamie.

– Spływaj – mruknęłam.

– Wyszło coś?

– Zostaw mnie – powiedziałam głośniej.

Głos miałam schrypnięty, a pęcherz zaciśnięty. Nie byłam w stanie siusiać, wiedząc, że Jamie podsłuchuje pod drzwiami. Powiedziałam mu to i poprosiłam, żeby sobie poszedł. O dziwo, posłuchał.

Od razu się udało. Szybko odłożyłam pasek na krawędź umywalki. Nie mogłam się zdobyć, żeby na niego spojrzeć; miałam ochotę uciec. Mogłabym uciec. Zwiąć z tego pokoju, z hotelu, okłamać Stellę, Jamiego

i siebie; po prostu udawać, że nie było sprawy.

Jednak mama zawsze mi powtarzała, że każde kłamstwo i tak kiedyś nas dopadnie. Zawsze tak jest.

Dlatego zmusiłam się, żeby zamknąć oczy i sięgnąć po test. Postanowiłam twardo, że policzę do trzech i zobaczę.

Raz.

Dwa.

Otworzyłam oczy.

Wynik był negatywny.

Powiedziałam im o tym w drodze na dworzec w Waszyngtonie. Stella, która przez cały czas jazdy taksówką udawała, że mnie nie zauważa, zafundowała mi z tej okazji uśmiech.

– I co, nie jest ci lepiej?

I tak, i nie. W każdym razie nie dręczyło już mnie najbardziej ohydne, przerażające podejrzenie, że w czasie mojego pobytu w Horyzontach stało się coś, co spowodowało zajście w ciążę. Wzdrygałam się przed słowem „gwałt”, ale nie wiedziałam, o co jeszcze mogłoby chodzić. Zresztą nieważne. Najgorsze obawy się nie spełniły.

Jednak ulga nie trwała długo. Zaczęło mnie mdlić w taksówce; na czerwonym świetle uchyliłam drzwi i zwymiotowałam na jezdnię. Taksówkarz się przeraził.

Nie byłam w ciąży, ale coś mi było. Nie miałam pojęcia co. A może chodzi o ten cholerny gen? Widocznie moja mutacja rozwijała się inaczej niż u Stelli czy Jamiego i tak już miało być.

Nie była to przyjemna myśl i czułam się podle, kiedy

szłyśmy za Jamiem do kasy. Cokolwiek się ze mną działo, mój stan gwałtownie się pogarszał i musieliśmy zmienić środek komunikacji, żeby szybciej znaleźć się w Nowym Jorku.

– Trzy bilety do Nowego Jorku. W jedną stronę – powiedział Jamie do kasjerki.

Pociąg był zatłoczony i długo szliśmy przez wagony, zanim znaleźliśmy wolne miejsca, które w przybliżeniu znajdowały się obok siebie. Dwa razy się potknęłam i dwa razy Jamie mnie podtrzymał.

Praktycznie osunęłam się na siedzenie. Cała się trzęsłam. Skrzyżowałam ramiona na piersi i zgarbiłam się, żeby to ukryć. Nie pomogło.

– Zimno ci? – zapytał Jamie, siedzący naprzeciwko.

Nie było mi zimno, ale odpowiedziałam, że tak, aby to jakoś usprawiedliwić.

– Zaraz wrócę – powiedział, wstając. – Popilnuj mi rzeczy, dobrze?

Kiwnęłam głową i oparłam czoło o szybę. Ludzie tłoczyli się na peronie, usiłując wepchnąć się do wagonów. Patrzyłam na nich jak zahipnotyzowana, aż widok zaczął mi się rozplýwać w oczach. Nagle coś

przywróciło mi ostrość widzenia.

Nie coś. Ktoś.

Mężczyzna wyróżniał się w tłumie. Nie dlatego, że wyglądał inaczej niż inni. Dlatego, że go znałam.

Abel Lukumi przyglądał się, jak pociąg rusza ze stacji. Miał na sobie ten sam ciemny garnitur, w którym widziałam go w szpitalu – po tym, jak Jude kazał mi podciąć sobie żyły. Ten sam co w Małej Hawanie, kiedy Lukumi zabił kurczaka i dał mi jego krew do wypicia. Kiedy moje usta rozchyliły się, żeby coś powiedzieć albo wydać krzyk, wrócił Jamie, a Lukumi znikł.

Trwałam wpatrzona w okno, przyglądając się tłumom na kolejnych stacjach. Czego chciał? Dlaczego mnie śledził?

Nie wiedziałam, co robić ani co powiedzieć Jamiemu i Stelli. Nie opowiadałam im o Lukumim, bo i tak by nie zrozumieli. Noah by rozumiał, ale jego tu nie było.

– Pocisz się – powiedziała Stella i usiadła koło mnie, gdyż zwolniło się miejsce.

Pociłam się. I miałam dreszcze.

– Masz gorączkę?

Wzruszyłam ramionami.

Jej spojrzenie złagodniało.

– Spróbuj zasnąć, jeśli możesz.

Nie mogłam.

– Boję się – wyznałam, choć nie chciałam tego mówić głośno.

– Wiem – powiedziała.

Chciałam wykrzyczeć jej w twarz, że nic nie wie i nigdy nie zrozumie, bo nie przeżyła tego co ja. Chciałam wykrzyczeć, że to było straszne i nie powinno się nigdy więcej wydarzyć, ponieważ zabijałam ludzi, a od tego nie sposób się uwolnić. Nawet jeżeli ci ludzie zasłużyli na śmierć. Ale nie miałam siły. Czułam się wykończona, a moi przyjaciele też byli zmęczeni. Choć nie w pełni rozumieli, co się ze mną dzieje, widzieli, jak cierpię. Okłamywali mnie i udawali, że wszystko jest w porządku, lecz obawa w ich oczach świadczyła o czymś innym. Było ze mną coraz gorzej. A czas uciekał.

Kiedy obudziłam się godzinę później, byłam mokra od potu. Uniosłam głowę i ruch ożywił sceny ze snu, które jeszcze miałam w pamięci. Lukumi stojący na peronie,

z czarnym ptasim piórem w rękę. Ja na drugim peronie, z ludzkim sercem w dłoni. Odzielające nas tory, zawałone martwymi ciałami, nietkniętymi, nie licząc strużki krwi, która spływała z nosa każdego trupa. Gula rosła mi w gardle. Wstałam, przytrzymując się siedzenia. Stella spała, ale Jamie zauważył, że chcę wyjść. Wyciągnął słuchawki z uszu.

– Dokąd idziesz?

– Do kibla – powiedziałam.

Nie byłam pewna, czy znów dostanę mdłości, ale przezorny zawsze ubezpieczony. Poza tym musiałam zmienić koszulkę, bo ta była kompletnie przepocona. Wzięłam torbę i powlekłam się do malutkiej pociągowej toalety.

Kiedy tam weszłam, zobaczyłam, że omyłkowo zabrałam torbę Noaha. Moja była szara, a jego czarna. Zamrugałam. Świat rozmazywał mi się w oczach i pewnie dlatego wszystko widziałam na szaro. Opuściłam deskę i usiadłam na niej, podpierając głowę rękami. Zamrugałam parę razy w nadziei, że wróci normalne widzenie. T-shirt nieprzyjemnie lepił mi się do ciała.

W końcu doszłam do wniosku, że torba jest mi obojętna.

Noah nie miałby nic przeciwko, gdybym przebrała się w jego koszulkę.

Rozpięłam suwak, ale nie potrafiłam odróżnić jednych ubrań od drugich. Zagryzłam usta, usiłując się skupić. W tym momencie moje palce namacały w głębi torby coś, co nie było ubraniem. Wyjęłam to.

Podsunęłam sobie przedmiot do oczu i nagle rozrósł się w polu mojego widzenia. Brzytwa. Brzytwa Noaha. Pamiętałam, jak kiedyś pytałam go, czemu jej używa. Powiedział wtedy, że jest bardzo ostra.

Rozłożyłam ostrze. Zabłysło w blasku świetlówki. Brzytwa była solidna, a uchwyt pasował mi do ręki. Przestałam się trząść. Mogłam swobodnie wstać.

Wstałam i popatrzyłam na siebie w lustrze. Ból przeszył mi brzuch – cały dół, jakby łukiem. Od lewej do prawej.

Nikt inny nie odczuwał czegoś takiego. Z nikim innym nie działo się to co ze mną. Ani ze Stellą, ani z Jamiem. Miałam w sobie coś innego.

Coś w moim ciele.

Miałam coś w środku.

Popatrzyłam na swoją twarz w lustrze.

– Masz w sobie coś obcego – powiedziało odbicie.

Ostrze brzytwy zawisło tuż nad brzuchem. Potężny szum wypełnił mi uszy, jakby tysiące ludzi naraz szepnęło: Tak. Presja była straszna, ale ręce już mi nie drżały. Znów popatrzyłam na siebie.

– Wyciągnij to – polecilo mi odbicie.

To musiał być jakiś przeskok w czasie. W jednej sekundzie stałam tam, patrząc w lustro i słuchając, co mówi moje odbicie. W następnej chwili przeciągnęłam brzytwą po brzuchu.

To była tylko cienka kreska. Mogła mieć milimetr, nie więcej. Maleńkie kropelki krwi pokazały się w rozcięciu, błyszczące, podobne do klejnotów. Żywe. Cała scena była żywa i wyostrzona. Żadna mgła nie zasłaniała już mojej wizji. Już nie czułam się źle i przestałam się pocić. Dziwne było tylko to parcie na moje palce, która nakazywało im ponownie przeciągnąć ostrzem po brzuchu.

Powstrzymało mnie pukanie do drzwi toalety.

– Mara? – Dobiegł mnie stłumiony głos Jamiego. – Dojeżdżamy.

Mechanicznym ruchem wytarłam brzytwę w dolną cześć

koszulki, złożyłam ją i wrzuciłam do torby Noaha. Wytarłam skaleczenie papierowymi chusteczkami i zmieniłam koszulkę na nową, czarną. Wyszłam z toalety, czując się niezwykle lekka. Niemal jak na haju.

– Lepiej ci? – zapytał Jamie.

– Tak – odpowiedziałam energicznie, czując strumyczek krwi spływający po brzuchu. – O wiele lepiej.

W Nowym Jorku nie byłam od dzieciństwa i zapamiętałam go zupełnie inaczej.

Praktycznie, jako jedyni w całym pociągu nie mieliśmy garniturów i garsonek. Dopiero kiedy wyszliśmy z dworca, wtopiliśmy się w o wiele mniej biurowy tłum wypełniający Penn Station. Jakiś facet z dredami do pasa walnął mnie torbą w biodro i przeprosił, ale zaraz najechał na mnie wózek z dzieckiem, pchany przez młodą matkę o szklistym, martwym spojrzeniu. Opuściliśmy to miejsce jak najszybciej.

Do taksówek była kolejka. Staliśmy stłoczeni pomiędzy parą paplających głośno przyszczatych smarkaczy i parą starych ludzi w identycznych tenisówkach, pochylonych nad mapą i kłócących się w języku, którego nie znałam.

– Uch – mruknął Jamie.

– Gorzej ci? – spytała z troską Stella.

– Nie – odparł spokojnie. – Ale żona tego gościa przed chwilą powiedziała do niego: „Gdyby twój mózdzek dali kurczakowi, od razu pobiegłby do rzeźnika”.

– Rozumiesz ich?

– Hebrajski – wyjaśnił Jamie i wreszcie podjechała nasza taksówka. – Dokąd najpierw, drogie damy?

– Pod prysznic – zażyczyła sobie Stella.

– Hotel? – poddałam.

Stella okręciła na palcu pasmo włosów.

– Trudno, jeśli trzeba. Ale nie bardzo lubię, kiedy robisz te swoje sztuczki, Jamie.

– Oj tam, przesada. Ale dobra, moja ciocia mieszka w Upper West Side. Możemy jechać do niej.

– Teoretycznie możemy, ale chyba się zdziwi, kiedy jej siostrzeniec pojawi się w progu z dwiema dziewczynami, i to w okresie szkolnym?

– Nie ma jej tu. Aż do lata siedzi w swoim drugim domu na Florydzie.

– A jak tam wejdziemy? – dopytywała się Stella.

– Nie bój się, coś wykombinuję – zapewnił Jamie. – Poza tym ona nie jest prawdziwą ciotką, tylko przyszywaną. To serdeczna przyjaciółka mojej mamy.

Nawet gdyby nas szukali, nie znajdą powiązań z tym miejscem.

Mnie przekonał i Stellę chyba też. Podał adres kierowcy i ruszyliśmy. Nie zwracałam zbytniej uwagi na otoczenie. Moje spojrzenie raz po raz wędrowało do brzucha. Nadal trochę krwawiłam, bo na T-shircie była niewielka czerwona plama. Całe szczęście, że wybrałam czarny. Miałam nadzieję, że nikt nic nie zauważy.

Wsunęłam kciuk pod spodnie i przesuwałam go tam i z powrotem wzdłuż cienkiej linii. Nagle uświadomiłam sobie, że macam szew. Nie mogłam przestać. Myślałam o pociągu, o ostrzu brzytwy Noaha i o uldze – o poczuciu uwolnienia się – kiedy przycisnęłam je do skóry. Głos w moich myślach szepnął:

„Coś w nas. Wyjmij je”.

Nerwowo zerknęłam na Stellę. Nie patrzyła na mnie; spoglądała przez okno z lewej, a Jamie patrzył w drugie. Ucisnęłam palcami dół brzucha. Nadal niczego nie mogłam wyczuć, ale... zaraz, chwila. Przesunęłam dłoń niżej i w lewo, bliżej pachwiny, naciskając mocniej. I trafiłam na coś. Coś jakby drgnęło, przesunęło się niedostrzegalnie, jakbym trąciła napięty mięsień, ale bardzo mały. Co to mogło być?

– Brzuch cię boli? – spytała Stella.

Wpadłam.

– Uhum.

Skrzyżowałam dłonie na brzuchu i skuliłam się, jakby rzeczywiście mnie bolało.

– Zaraz będziemy – powiedział Jamie.

Wstyd walczył we mnie z nasilającym się nakazem. Nie mogli się domyślić, że zamierzam się pociąć. Musiałam tak wykombinować, żeby na dziesięć, może nawet na dwadzieścia minut zostać sama.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku i Jamie powiedział tym swoim specjalnym głosem:

– Nigdy nas nie widziałeś.

– Nigdy was nie widziałem – powtórzył oszołomiony kierowca.

– Wiozłeś niesamowicie seksowną modelkę bielizny z południowego Teksasu. Miałeś ochotę polizać jej bufory.

– Miałem ochotę polizać jej bufory.

– Ale z ciebie skunks – mruknęła Stella, kiedy wysiadaliśmy z taksówki.

– Lubię być wredny, kiedy mogę.

Gdy czekaliśmy na zielone światło, Jamie skorzystał z okazji i zwymiotował do kosza na śmieci.

– Faj! – pisnęła z obrzydzeniem dziewczyna w miniówce, na niebotycznych obcasach.

Jamie, nie wysuwając głowy z kosza, pokazał jej fuckersa.

– Faj! – powiedział, prostując się i ocierając usta rękawem. – W życiu się nie przyzwyczaję.

– Nikt tego od ciebie nie oczekuje – powiedziała Stella.
– Tak naprawdę nie powinieneś tego robić.

Dom cioci okazał się sporym budynkiem z piaskowca, stojącym przy dość spokojnej, ocienionej drzewami ulicy. Weszliśmy na frontowe schody i zajrzeliśmy przez szklane drzwi. Budynek był cichy i ciemny.

– No i jak wejdziemy? – znów spytała Stella.

– Kuzynka opowiadała mi kiedyś, że wróciła za późno z imprezy, ale udało się jej wejść po cichu do domu

z pomocą zapasowego klucza ukrytego pod sztucznym kamieniem, donicą czy czymś w tym stylu.

Jamie zbiegł do furtki prowadzącej do ogródka. Były tam przywiędłe rośliny, jakaś paczka z napisem „Produkt łatwo psujący się” i...

– Sztuczny kamień! – zawołał, przykucając na kamiennej ścieżce. – Mam!

Triumfalnie pokazał nam klucz i po chwili drzwi otworzyły się przed nami.

Dom był fantastyczny. W salonie zachowała się większość dawnych ozdób – gipsowy plafon pośrodku sufitu, rzeźbiona boazeria w przejściu łączącym go z kuchnią oraz ogromny kominek z lustrem nad gzymsem. Stella aż gwizdnęła.

– Niezłe, co? – powiedział Jamie. – Łazienki i sypialnie są na górze. Wybierajcie, które chcecie. Przed wejściem jest jakaś paczka dla cioci, pójdę ją przynieść. Spotkamy się na dole za godzinę i pogadamy o żarciu, dobra?

Stella kiwnęła głową. Ja też, choć nie czułam głodu.

– Jak się czujesz? – zagadnęła, idąc za mną po schodach.

– Trochę lepiej – skłamałam i wciągnęłam powietrze,

marszcząc nos. – Przydałby ci się prysznic – stwierdziłam. Musiałam się jej pozbyć.

– Oj, marzę o nim! – przyznała. – Czuję się cholernie brudna.

– Przez grzeczność nie zaprzeczam.

Wybrałyśmy swoje pokoje i tak jak liczyłam, Stella od razu pognęła do łazienki. Kiedy zza jej drzwi zaczęły wydostawać się kłęby pary, postanowiłam działać. Rzuciłam torbę Noaha na łóżko. W tylnej kieszeni dzinsów ciągle miałam brzytwę, ale nie sądziłam, że może mi się przydać. Otworzyłam torbę, wsadziłam rękę pod warstwę jego ubrań i wyciągnęłam zrolowany T-shirt, który włożyłam na samo dno. Odwinęłam go i ukazał się skalpel. Tego potrzebowałam!

Miałam wrażenie, że prąd przeszedł mi przez palce, kiedy dotknęłam metalu. Obiektywnie zdawałam sobie sprawę, że to, co zamierzam zrobić, jest kompletnie szalone, ale nogi same niosły mnie do łazienki. Zamknęłam drzwi od środka, żeby nikt mi nie przeszkodził, odsłoniłam brzuch i zaczęłam operację.

– Boże, Boże, Stella, chodź tu!

Zamrugałam, otworzyłam oczy i zobaczyłam majaczącą nade mną postać Jamiego.

– Co się stało? – zawołała z daleka.

– To... Mara! Coś sobie zrobiła!

Chwycił ręcznik i poczułam, jak przyciska mi go do brzucha.

Wyjęłam je czy nie? – zastanawiałam się gorączkowo.

– Tylko nie próbuj nic mówić, kretynko! – warknął.

Położył moje bezwładne ręce na ręczniku, żeby trzymały go przy brzuchu, i zawrócił do drzwi.

– Co się stało? – W polu mojego widzenia pojawiła się Stella. – Och... O rany...

– Potrzebowałem laptopa Noaha, więc zapukałem do niej, ale nie otwierała – wyjaśniał w pośpiechu Jamie. – Zapukałem jeszcze raz, głośniej, i znów nic. Miałem złe przeczucie, więc wziąłem igłę z zestawu do szycia

i udało mi się włamać. Zobaczyłem, że ona...

– O matko – szepnęła Stella.

– ...właśnie tak leży.

– Boże, Maro, co ty zrobiłaś?

„Coś jest we mnie” – usiłowałam powiedzieć.

– Niczego w tobie nie ma, Maro. – Łzy załśniły jej w oczach. – To istnieje tylko w twoim umyśle. W twoim umyśle.

Poczułam ucisk na brzuchu i zrobiło mi się ciemno w oczach.

– Zadzwoń na 911, Jamie.

„Wyjmijcie je!”.

– Ale... – Jamie się wahał.

– Nie mogę sprawdzić, jak głębokie jest cięcie – denerwowała się Stella. – Mara usiłuje zakryć je rękami, ale traci dużo krwi. Jest błada i drżąca.

– Uwierzcie mi – szepnęłam.

– Co ty... O Boże. – Oczy Jamiego rozszerzyły się

gwałtownie.

– Nic nie mów, Maro. – Stella objęła mi głowę od tyłu i uniosła ją lekko. – Jamie?

– Mamy coś w domu – odpowiedział i odwrócił się do wyjścia.

– Co? Jamie, jesteś mi potrzebny. Ona naprawdę źle...

– Zobaczyłem jakąś paczkę przy wejściu do ogrodu – przerwał jej. – Było tam ostrzeżenie, że towar szybko się psuje, więc otworzyłem ją. W środku była skórzana torba i kartka.

– O czym ty mówisz? – zapytała niecierpliwie.

– Myślałem, że to jakaś przesyłka dla ciotki, ale na tej kartce napisano... napisano...

– Co?

„Uwierzcie jej”.

Stella popatrzyła na mnie, a potem na Jamiego.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Ktoś wie, że jesteśmy tutaj. Ta wiadomość... torba...

ona jest dla nas.

– Zajrzałeś do środka?

– Już mówiłem, myślałem, że jest dla cioci. Zaraz ją przyniosę.

– Nie, Jamie. Potrzebuję cię... och, ty!

Ucisk ma moim brzuchu zelżał. Zatrzepotałam powiekami i usłyszałam wracające, pospieszne kroki. Coś opadło na podłogę.

„Wyjmijcie je”.

– Ona ciągle to powtarza... ciągle – powiedział Jamie.

– Ona nie wie, co mówi.

– Ale na tej kartce napisano, że mamy jej uwierzyć. Czy nie o to chodzi, Stello?

– Skąd mam wiedzieć? Jestem tak samo skołowana jak ty.

– A jeśli... jeśli naprawdę Mara ma coś w środku? – Usłyszałam szczękniecie otwieranego zamka, a potem: – Jezu Chryste! Stella, Stella, zobacz!

– Co...?

– Tu jest... zestaw chirurgiczny. Rękawiczki, nici, gaza, skalpele. Jezu, kto to tu podrzucił?

– Jakieś leki, zastrzyki?

Znów poczułam ucisk na brzuch. Stella usiłowała odsunąć moje ręce.

– Nie. Zaraz... Tak, są.

– Podaj mi inny ręcznik! Ten już przesiąkł krwią.

Załomotały drzwiczki szafek.

– Masz – powiedział po chwili.

– Zmień mnie, to zajrzę do torby, dobra?

Ucisk znikł na moment i kurczowo wciągnęłam oddech.

– Uciskaj – poleciła Stella.

– Robię to.

– Mocniej.

– Chcesz dzwonić na 911? – zapytał.

Stella nie odpowiedziała od razu.

– Chyba nie będzie trzeba.

– Jak to?

– Daj, zerknę jeszcze raz na jej brzuch.

Ucisk zelżał.

– Nadal krwawi, ale już mniej, a rozcięcie nie jest zbyt głębokie. Spróbuję sama je zaszyć, ale...

– Mara mówiła, że coś tam jest.

„Jest, jest!”.

– Czy możesz... Przytrzymaj jej mocno ręce, żebym mogła dokładnie sprawdzić – poleciła Stella.

Palce zamknęły się na moich przegubach, przygważdżając je do podłogi.

– Maro. – To był głos Jamiego. – Pozwolisz nam sprawdzić, dobrze?

Trzymał mnie mocno, a Stella grzebała mi w ranie czymś ostrym. Moje ciało napięło się i wyprężyło.

– No i co?

– Miała rację. Kurewską rację – powiedziała Stella.

– Skąd wiedziała?

– Właśnie, skąd?

Kolejny spazm bólu. Chyba krzyczałam, bo któreś z nich zakryło mi usta ręką.

– Maro, musisz wytrzymać. Jamie, sprawdź, czy w torbie są zastrzyki.

– Nie mogę tam zajrzeć, kiedy ją przytrzymuję.

Cień Stelli uniósł się i usłyszałam brzęk metalu, kiedy grzebała w torbie.

– Podam jej to, żeby się nie ruszała.

– Nie trzeba do szpitala?

– Mówiłam ci, że rana nie jest głęboka. Myślę, że sobie poradzę. Dobra, Maro... Maro? Słyszysz mnie?

„Tak”.

– Zamierzam zszyć to... hmm, rozcięcie. Na moment poczujesz się tak, jakbyś nie mogła oddychać, ale to minie. Szybko dojdiesz do siebie.

„Wyjmij je”.

– Tak, wyjmę – obiecała i poczułam, jak wkłuwa mi igłę w ramię.

31
WCZEŚNIEJ
Londyn, Anglia

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, obudziwszy się po nocy poślubnej, była krew, która zbryzgała nasze małżeńskie łóżce.

Zapaliłam łojową świecę; woń dymu i siarki wypełniła mi nozdrza, kiedy migotliwy płomyk wyłuskał z mroku Charlesa, mojego męża. Zarys jego pleców, obnażonych do pasa, był gładki i nieruchomy. Nie unosiły się i nie opadały wraz z oddechem – bo nie oddychał. Leżał na brzuchu, z głową wykręconą w bok, a przy jego twarzy lśniła kałuża krwi. Oczy miał otwarte, niewidzące.

W ciszy, jaka panowała w sypialni, słyszałam tylko szum krwi w uszach i swój nierówny oddech. Odrzuciłam okrycie. Charles się nie poruszył. Patrzyłam, jak kropla krwi skapuje mu z nosa; nie otarł jej. Stłumiłam łkanie, okryłam jego ciało i bezradnie przeciągnęłam palcami po włosach. Szarpnęłam mocno jedno pasmo, w nadziei, że się obudzę. Zabolało, ale nie pomogło, gdyż to nie był sen.

Jednak na tyle otrzeźwiałam, że usłyszałam jeszcze inny

dźwięk – coś stuknęło w szybę okna sypialni. Drgnąłam i spojrzałam w tamtym kierunku, ale nic nie zobaczyłam.

Trzęsącą się ręką sięgnęłam po mosiężny lichtarz. Kropla gorącego łoju kapnęła mi na palce i skrzywiłam się z bólu – lecz ten ból był błogosławiony. Pozwolił mi na moment odpędzić strach i pomyśleć o czymś innym. Bez drżenia podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz, poza obraz płomienia, który pełgał na szybie.

Pod domem Charlesa – pod naszym domem – stał Profesor. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie w kręgu światła gazowej latarni po drugiej stronie ulicy. Podniósł rękę i oskarżycielsko wytknął mnie palcem.

To jakiś obłąd! Zachichotałam histerycznie, a mój śmiech zgasił świecę. Nie widziałam Profesora od sześciu miesięcy, od kiedy się zaręczyłam. Jego obecność tutaj, w takiej chwili, była dla mnie równie bezsensowna i niezrozumiała jak wszystko, co się zdarzyło.

Coś znowu uderzyło w szybę. Spojrzałam pytająco na Profesora i zobaczyłam, że nie wskazuje już na mnie, tylko na boczne wejście prowadzące do uliczki ze stajniami. Chciał, żebym otworzyła bramę.

A służba? O Boże, służba! Co im powiem? Jak im to wytłumaczę?

Znów wczepiłam palce we włosy, zmuszając się, żeby pomyśleć. Gdybym zeszła frontowymi schodami i wyszła głównym wyjściem, nie musiałabym przechodzić koło kwatery dla służby. Klucz do bramy wisiał w kuchni. Jeśli będę poruszała się cicho i ostrożnie, może uda mi się nie ściągnąć niczyjej uwagi.

Mało brakowało, a zeszłabym na dół w koszuli skąpanej we krwi mojego męża. Jednak z pośpiechu nastąpiłam na rąbek i groza wróciła. Zaczęłam półprzytomnie grzebać w szafie; wyjęłam czystą suknię i niezgrabnie zaczęłam się w nią przebierać. Od dawna nie ubierałam się sama i już prawie zapomniałam, jak to się robi.

Zeszłam główną klatką schodową bosą, z suknią płaczącą się wokół kostek. Rozpuszczone, zmierzwione włosy opadały mi na twarz. Nie zważałam na to. Wszelkie zasady przyzwoitości poszły w kąat wobec wspomnienia twarzy męża w kałuży krwi. Trzęsąc się ze strachu, nasłuchiwałam każdego skrzypnięcia podłogi; najmniejszy odgłos wtlaczał mi oddech z powrotem do płuc. Sunęłam palcami po ścianach, żeby nie zgubić drogi w ciemności.

Wreszcie dotarłam do kuchni, wzięłam klucz i cicho

wymknęłam się tylnymi drzwiami. Otworzyłam bramę prowadzącą do stajni. Profesor już tam na mnie czekał.

Czarne jak węgiel niebo pochłoneło gwiazdy i pożarło prawie cały księżyc, pozostawiając tylko wąziutki sierp rzucający słabą poświatę. To wystarczyło, abym zobaczyła postać mężczyzny w czarnej kamizelce i czarnej koszuli. Spokojnym gestem dał mi znać, bym weszła za nim do pustej stajni. Od kiedy zaręczyliśmy się z Charlesem, nie mógł tu trzymać koni. Kaleczyły się, miotając się w boksach i kopiać w drzwi w furii lub w przerażeniu, które nakazywało im uciekać przed złowrogim fatum. Musiał przenieść je do stajni przy innej ulicy.

Festony pajęczyn zwisały w kątach pustego, cichego pomieszczenia. Lekki wiaterek zwiewał z kamiennych stopni liście, które wirowały u stóp Profesora. Zadrżałam z chłodu.

– Musimy dzisiaj wyjechać – powiedział.

Otworzyłam usta, ale byłam zdolna wymówić tylko dwa słowa:

– Mój mąż... mój mąż...

– Gdzie jest?

Nic więcej nie byłam w stanie powiedzieć. Powtarzałam tylko te słowa jak modlitwę, która miała przywrócić Charlesa do życia.

Profesor chwycił mnie za ramiona i potrząsnął. Nigdy dotąd mnie nie dotykał. Skuliłam się, kiedy powiedział:

– Twój mąż nie żyje.

On wiedział. Wiedział!

– Twój mąż nie żyje – powtórzył. – Musisz opuścić ten dom. I Londyn.

Milczałam, więc Profesor mówił dalej.

– Życie tutaj nie jest już dla ciebie. Jeśli nie wyjedziesz, stracisz wszystko, co dotąd miałaś. Zostaniesz potępiona, wygnana i wyklęta. Nawet jeżeli nie potraktują cię jak zbrodniarkę, doświadczysz nienawiści, prześladowań i nędzy. Kobieta bez majątku, bez męża, z ciężką nad nią klątwą mężobójczyni...

Te słowa otrzeźwiły mnie wreszcie.

– Ale moja rodzina...

– Nie masz rodziny. Już zapomniałaś, skąd się tu wzięłaś?

Pytanie mnie przeraziło.

– Skąd wiesz, jak tu trafiłam?

Nie odpowiedział, ale miał wiele racji. Zajęta wystawnymi ucztami, balami, wizytami na dworze, zaręczynami i ślubem, zapomniałam o przeszłości. Od dawna już wyręczano mnie we wszystkim; przywykłam do tego, że ubierano mnie, żywiono, uczono różnych rzeczy – a wszystko pod życzliwą kuratelą cioci Sarah. Bez tego czułam się bezradna.

– Nie mogę... Nie mogę stąd wyjechać.

Jego głos był spokojny, ale stanowczy.

– Możesz i zrobisz to. – Nagle przechylił głowę, jakby coś usłyszał. – Musimy...

– My? – spytałam ostro.

Jego słowa otworzyły żyłę, w której tętnił gniew. Nawet nie wiedziałam, że ją mam.

– A gdzie dotąd byłeś? Zostawiłeś mnie bez słowa, a teraz...

– Musiałem odejść, ponieważ wtedy zrobiłem dla ciebie wszystko, co mogłem. Teraz też robię, co mogę. Nie

jesteś jedyną osobą, nad którą mam pieczę – dodał nieco zgryźliwie. – Jest jeszcze ktoś w Christ College w Cambridge. Zjawiłem się tutaj najszybciej, jak mogłem. A teraz zbieraj się szybko, póki trwa noc.

– To jakieś szaleństwo – powiedziałam. – Mój mąż...

– Twój mąż nie żyje, bo go zabiłaś – przerwał mi Profesor i zamilkłam gwałtownie. – Nie jesteś tą, za którą uważał cię Simon Shaw – dodał łagodniej.

Oczy zaszkliły mi łzy.

– Za kogo mnie uważał?

– Za lekarstwo.

– A jestem...?

Opuścił wzrok.

– Jesteś chorobą. – Zawahał się i omiótł spojrzeniem pustą stajnię. – Konie wiedziały.

Twarde występy prymitywnych drzwi stajni wpijały mi się w plecy. Nie zdawałam sobie sprawy, że wparłam się w nie z taką siłą.

– A skąd ty wiedziałeś?

– Zobaczyłem.

– Gdzie?

– W twojej przyszłości.

Zamarłam.

– Kim jesteś?

– Wiesz, kim jestem.

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

– Czym jesteś?

– Twoim nauczycielem – odparł z prostotą. – Dlatego musisz mnie słuchać. Przebierz się, najlepiej w ciemny strój. Nie zabieraj niczego z domu. Nie zabieraj niczego z tego życia. – Zerknął na niebo, na którym pojawiły się złowrogie zwiastuny dnia. – Musimy zacząć przed świtem.

– Co zacząć? – spytałam szeptem.

– Twoją prawdziwą edukację.

Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął stamtąd coś, czego nie mogłam zobaczyć z miejsca, w którym

stałam. Przesunął się w smugę bladego księżycowego światła, padającą z okienka, i rozwarł dłoń. Podeszłam i zobaczyłam srebrny błysk. Wisiorek, który był na wpół ptasim piórem, na wpół sztyletem.

– Dobra, odpłynęła.

„Nieprawda”.

– Co jej wstrzyknęłaś?

– Chyba morfinę.

– Chyba?

– Nie wiem. To, co było w strzykawce.

– Skąd wiedziałaś, jak to zrobić?

– Z filmików na YouTube.

– Ha!

– Dobra, teraz zobaczmy. Wokół mają jakby błonkę...

„Co ma błonkę?”.

– Chyba się porzygam.

– Może najpierw podaj mi skalpel, co?

– Który?

– Nie wiem. Nie, czekaj, nie ten. Tamten. Taa... myślę, że ten będzie dobry.

– Myślisz? A jeśli przetniesz jakąś arterię albo coś takiego?

– Jamie, przestań mnie denerwować.

– Sorki! Może jednak zawieziemy ją do szpitala?

– Kurczę... Sama nie wiem. Czekaj...

Coś rozbiło się o ścianę.

– Dobra, dobra. Dzwon.

„Nie, nie, nie, wyjmijcie to!”.

– Cholera jasna, Jamie, ona się rusza! Trzymaj ją, bo...

– Nie mogę!

– Grzebie! Chryste, ona chce wygrzebać...

– Daj jej jeszcze morfiny albo czegoś. Rany!

– Boję się, że przedawkuję!

– Jezu, bo wydrze sobie flaki!

– Bez przesady. Nie dramatyzuj.

Ich głosy rozplynęły się w ciszy, a moje ręce rozplynęły się w ciepłe. Zrobiło mi się czerwono pod powiekami, znów poczułam ból, ale moje dłonie nie próżnowały – gmerały, naciskały, aż poczułam...

– Ej, patrz... Ja piernicę, co to?

„Co to? Co to? Co to?”.

– Są dwa. O Boże!

– Miała rację. Miała cholerną rację.

– Czy... może przez to była chora?

– Nie wiem. Myślę... chyba uda mi się to wydłubać.

– Będzie ciężko.

– Dobra, daj mi tamten ręcznik.

„To boli, boli, przestańcie, błagam!”.

– Stella, usta jej sinieją.

– Lepiej uciśnij tutaj.

– Chyba nie powinna mieć takich drgawek?

– O nie! Odpływa...

– Co mam robić?

– Mara? Mara, popatrz na nas, proszę! Tylko patrz na nas.

Chciałam, ale nie mogłam. Ich słowa pochłonęła ciemność. I mnie też.

33
WCZEŚNIEJ
Londyn, Anglia

Uciekając z Londynu przed świtem, nie posłuchałam Profesora w jednej sprawie. Kiedy wybiegłam z domu, ścisnęłam w drżącej dłoni lalkę, którą zrobiła dla mnie Siostra. Mrugając zażwawionymi oczami, podejrzliwie popatrzyłam na dorożkę, którą wynajął Profesor. Konie były nerwowe, ale nie szalały. Wyjaśnił, że dał im coś na uspokojenie. Wtem zobaczył lalkę.

– Maro...

– To nie jest moje prawdziwe imię – wyjaśniłam ochrypłym głosem.

Chciałam zmienić temat, aby nie zmuszał mnie do zostawienia lalki.

Spojrzał na mnie uważnie.

– Sama je sobie wybrałaś?

Skinęłam głową.

– Więc tak powinienem do ciebie mówić?

– A ty jak masz na imię? – zapytałam, kiedy dorożka potoczyła się po bruku, ku wschodzącemu za dymami słońcu.

Profesor lekko uniósł brew.

– Używałem wielu imion.

– Ale jakies chyba wybrales dla siebie?

Uśmiechnął się.

– Wybierałem wiele – Abraham, Alexander, Alim, Abel, Arthur, Armin, Abdul, Aldis, Alton, Alonzo, Aloysius...

– Wszystkie na A? Czemu?

– Jesteś równie dociekliwa jak wtedy, kiedy udzielałem ci lekcji. Gdybyś prowadziła życia takie jak ja, też byś chciała się rozerwać od czasu do czasu.

Nie widziałam w tym nic zabawnego, ale nie ciągnęłam tego tematu. Moje myśli były zbyt zajęte. Zastanawiałam się, co się zacznie dziać o świcie, kiedy służba wstanie i znajdzie zwłoki mojego męża; co powie ciocia Sarah i co zrobi, kiedy się zorientuje, że uciekłam. Poczulałam dławienie w gardle i mocniej ścisnęłam w dłoni lalkę, aż zbieleły mi kłykcie.

– Jak mnie znalazłeś?

– W Anglii czy w Indiach?

Popatrzyłam na niego wielkimi oczami.

– W Indiach?

– Tak, przy studni – wyjaśnił niedbałym tonem. – Byłaś wtedy dużo młodsza.

Gorączkowo przeszukiwałam pamięć, polując na jakieś wspomnienie, przebłysk. Mętnie przypominałam sobie kobietę, która pokazywała na mnie i coś szeptała. Był z nią mężczyzna, ale nie zapamiętałam jego twarzy.

– To byłeś ty? – I zanim zdążył odpowiedzieć, dodałam:

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Simon Shaw zapłacił mi, abym wyjaśnił to, co uważał za tajemnicę nieśmiertelności. – Profesor uśmiechnął się nieznacznie.

– Myślał, że ja jestem...

Lekkie skinięcie głową.

– Znałem człowieka, którego ty nazywałaś wujkiem. Zasugerowałam panu Shawowi, żeby najął go do opieki

i czuwania nad tobą do czasu, aż dorośniesz, ponieważ nikt nie miał pojęcia, jak się będziesz zmieniać z wiekiem.

– Myślałam, że widziałeś moją przyszłość?

– Widziałem tylko pewne przebiegi... i tylko w pewnych okolicznościach. Jednak wiele rzeczy jest ukrytych, nawet przede mną.

– Skąd znałeś wujka?

Profesor wydał wargi.

– Nie jest nas wielu i jesteśmy... – Urwał, szukając słowa. – Powiązani ze sobą.

Dorożka zwolniła i zatrzymała się. Profesor wysiadł i wyciągnął do mnie dłoń. Chwyciłam ją i wysiadłam z jego pomocą; w drugiej ręce ściszałam lalkę.

– Profesorze?

– Tak?

– Czym jestem?

Spojrzenie, którym odpowiedział, było pełne smutku, lecz także nadziei. Poczułam, że nigdy go nie zapomnę.

– Jesteś dziewczyną, Maro. Dziewczyną błogosławioną i przekłętą.

Światło zmieniło się z czarnego na jaskrawoczerwone.

– Rusza się, patrz.

– Hej tam!

Głos Jamiego. Próbowałam mu odpowiedzieć, ale czułam się, jakbym w gardle miała piasek. Zmusiłam się, żeby otworzyć oczy. Światło w pokoju było oślepiające. Na jego tle zarysował się cień i pochylił nade mną.

– Stella? Może trochę wody?

W jednej chwili u boku Jamiego pojawił się drugi cień i wręczył mu coś. Coś zimnego i twardego dotknęło moich warg – szklanka. Byłam zbyt słaba, żeby sama ją utrzymać, więc Jamie przechylił ją i zaczęłam chciwie pić. Lodowata strużka spłynęła mi po brodzie i poczułam, że ja też lodowacieję.

– Zimno – wykrztusiłam pomiędzy łykami.

Mój głos był zachrypnięty i urywany, ale przynajmniej go miałam. Wzrok również mi się wyostrzył. Im

bardziej byłam świadoma świata wokół siebie, tym bardziej czułam się sobą. Trzęsło mną, robiło mi się niedobrze, ale nie byłam już taka chora.

– Co się stało? – zapytałam.

Jamie i Stella wymienili spojrzenia.

– Co pamiętasz? – spytała ostrożnie.

Wyteżyłam pamięć, przywołując mgliste wspomnienia ostatnich paru dni – podróż samochodem, chorobę, jazdę pociągiem, brzytwę...

– O Boże – jęknęłam. – Przecież... się pocięłam.

Policzki zapłonęły mi ze wstydu.

Wtedy Jamie oznajmił:

– Wyjeliśmy je.

Zamrugalam.

– Miałaś absolutną rację, Maro. Było coś w tobie.

Groza.

– Boże, co to było?

– Rodzaj kapsułek, coś w tym stylu – wyjaśniła Stella.

– Macie je?

– Tak. Jamie?

– Mam je w pokoju. Moment.

Wyszedł, a kiedy po chwili wrócił, podsunął mi wyprostowaną dłoń.

Dwie kapsułki, niewiele większe od ziaren ryżu, przezroczyste. Jedna miała w środku coś miedzianoczarne, a druga – miedzianoczerwone.

– Skąd wiedziałaś, że są w tobie? – spytała Stella.

Zastanowiłam się chwilę i przypomniałam sobie swoją twarz w lustrze. I ten szept.

„Wyjmij je. Proszę, przestań”.

Otworzyłam usta, żeby im powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zrezygnowałam.

– Po prostu czułam to – wyjaśniłam i wzdrygnęłam się.

Stella zarzuciła mi koc na plecy.

– Napędziłaś nam cholernego stracha, wiesz?

Jasne, że wiedziałam. Ale nie miałam wyboru. A przynajmniej tak mi się wydawało. Dobrze pamiętałam, jak się czułam w pociągu i wcześniej, kiedy ocknęłam się w Horyzontach na wyspie. To znikło. Czułam się teraz jak... po prostu czułam się sobą.

– Lepiej wyglądasz – zauważył Jamie, lustrując mnie uważnie wzrokiem. – Jak się czujesz?

– Lepiej.

Chciało mi się pić, byłam zmęczona, trochę mnie mdliło i byłam głodna, wszystko naraz. Ale czułam się normalnie. No, powiedzmy normalnie jak na mnie.

– Posłuchaj – zaczął Jamie – musisz jeszcze coś wiedzieć.

Uniosłam brwi.

– Kiedy... kiedy zajmowaliśmy się tobą, znaleźliśmy coś jeszcze.

Spojrzał na Stellę, która sięgnęła do kieszeni.

– Ktoś zostawił wiadomość przy drzwiach.

– Wręczyła mi kartkę.

„Uwierzcie jej”.

Nie znałam tego pisma.

– „Jej”, czyli mnie?

Jamie kiwnął głową.

– To było obok torby ze sprzętem lekarskim.
A konkretnie chirurgicznym.

Znów zrobiło mi się zimno.

– Ktoś wiedział, że mi to wszczepiono!

– I wiedział, że jesteśmy tutaj.

– Co oznacza, że musimy się stąd wynosić – stwierdziła
Stella. – Jak najszybciej.

– Dobrze, ale ktokolwiek to podrzucił, prosił, żebyście
mi uwierzyli. I miał rację.

– Owszem. Jednocześnie ten ktoś musiał wiedzieć, co
jest z nami nie tak. Dlaczego więc po prostu nas nie
ostrzegł, skoro chciał pomóc?

W moim umyśle wyświetlił się obraz mężczyzny,
którego znałam jako Abła Lukumiego. Gdyby tu był

Noah, skomentowałyby zapewne, że wychwytyję koincydencje i mylę je z faktami. Ale Noaha tu ze mną nie było. Byłam tylko ja, Stella, Jamie i szlak z okruszków, który prowadził prosto do kapłana Santerii.

Dlatego postanowiłam im wszystko powiedzieć. Opowiedziałam o dziwnym sklepie w Małej Hawanie i o tym, jak Lukumi mnie tam rozpoznał, a potem praktycznie wyrzucił stamtąd, podawszy mi wcześniej do picia dziwny napój, po którym przypomniałam sobie w końcu, co zrobiłam Rachel i Claire. Opowiedziałam, jak z Noahem na próżno usiłowaliśmy odnaleźć kapłana i to miejsce po tym, jak wybiłam wszystkie owady w zoo w Miami. Nie pominęłam informacji, że widziałam Lukumiego w szpitalu, do którego trafiłam po tym, jak Jude kazał mi pochłastać sobie przeguby, oraz na peronie, kiedy pociąg ruszał z dworca w Waszyngtonie. Kiedy skończyłam, Jamie siedział na łóżku z głową w dłoniach.

Opuścił ręce i spojrzał na mnie.

– Jednym słowem, chcesz mi wmówić, że jakiś nawiedzony kapłan kubańskiego wudu z południowej Florydy śledził cię – a właściwie nas – przez całą drogę do Waszyngtonu, a teraz wie, że jesteśmy w Nowym Jorku, ale nie zamierza się z nami przywitać?

– Właśnie tak.

– Dlaczego miałyby to robić? Co chce osiągnąć?

Przypomniałam sobie zdanie, które wypowiedział kiedyś Noah, ale teraz było moje: „Nigdy nie wiadomo, jakiej korzyści ktoś się spodziewa”.

– Nadal nie rozumiem – stwierdziła Stella. – Dlaczego tylko podrzucił tę torbę? Gdyby naprawdę chciał nam pomóc, to mógł po prostu wejść i pomóc, do cholery!

– Może nie mógł – podsunął Jamie.

– Albo nie chciał – dodałam i razem ze słowami w mojej głowie uformowała się myśl. – Może on też... czuje się odpowiedzialny.

– Odpowiedzialny? Za co? – zapytał Jamie.

– Może po prostu on też za tym stoi – wyjaśniłam. – Jeżeli... jeżeli prowadzono na nas eksperymenty czy cokolwiek by to było, wtedy śledzenie nas, kontrola mogą być dalszym ciągiem całego procesu. Rozumiecie, obserwują, co robimy, jak się zachowujemy, jak reagujemy i co się z nami dzieje w momencie, kiedy reagujemy. – Pomyślałam o wszystkim, co widziałam w Horyzontach, i o tym, co powiedziała nam doktor Kells. – Może on jest... tą

osobą, która to finansowała.

– Czemu w takim razie podrzucił torbę? Czemu chciał pomóc w usunięciu tych kapsułek? – zastanawiała się na głos Stella.

– Może Kells wszczepiła ci je bez pozwolenia – zasugerował Jamie. – À propos... – Popatrzył na mnie. – Myślisz, że reszta też ma coś takiego?

– Nie czuję, żebym miała coś obcego w sobie – stwierdziła Stella. – A ty?

Jamie przełknął ślinę.

– Sam już nie wiem, co jest we mnie „obce” czy „inne” – przyznał. – Pewnego dnia obudziłem się tam, na wyspie, i nie mogłem chodzić – tak jak ty, Maro. Ale potem nie czułem się wcale chory. Dlaczego?

– Jesteś chory – powiedziała spokojnie Stella. – Tylko jesteś o rok młodszy od nas i być może znajdujesz się w pierwszej fazie tego czegoś.

Momentalnie przypomniały mi się słowa wypisane na białej tablicy, którą widziałam, kiedy pierwszy raz ocknęłam się na wyspie.

„J. Roth, ujawniający się”.

– To coś dopiero się ujawnia – powiedziałam głośno. – Pamiętacie tę listę Kells, nie? Było tam napisane, że u Stelli i Noaha już się ujawniło. Kells notowała wszystkie wyniki.

– Jaki z tego wniosek? – zapytał Jamie.

– Taki, że zaczniesz czuć się gorzej – wyjaśniła Stella. – Ze mną było tak samo – najpierw mi się pogorszyło.

– Chodzi ci o okres, kiedy...

– Tak, kiedy to się ujawniało. Głosy nie zawsze były takie głośne. Z początku udawało mi się je ignorować. Czasami nawet ich słuchałam – powiedziała spokojnie Stella. – Słyszałam rzeczy, których normalnie słuchać nie powinnam, i czasami... robiłam różne rzeczy – dodała. – Wykorzystywałam tę wiedzę, choć w głębi duszy wiedziałam, że nie powinnam tego robić. Oszukiwałam na klasówkach. Ujawniłam klasie sekrety dziewczyny, która mnie dręczyła. Za każdym razem, kiedy coś takiego robiłam, głosy stawały się głośniejsze. I było ich więcej. W końcu sama już nie wiedziałam, które myśli są moje, a które podsłuchane u innych. Czułam, że wariuję. Wariowałam. Zwariowałam. – Gwałtownie zwróciła się do Jamiego: – Nie używasz swojego daru bezkarnie, choć tak ci się wydaje – rzygniesz sobie, i już. Owszem, na razie

dobrze ci idzie i są z tego korzyści, więc masz szczęście, ale kiedyś to się obróci przeciwko tobie.

Jamie nie odpowiedział.

– Jeżeli masz coś wszczepione jak Mara – ciągnęła Stella – to można przypuszczać, że w pewnym momencie się wzbudzi, tak jak u niej, i będziesz musiał przejść przez ten sam koszmar.

Jamie przewrócił oczami, ale wydawał się nieporuszony.

– Co ma być, to będzie – stwierdził filozoficznie. – Co teraz robimy?

Postanowiłam włączyć się do rozmowy.

– Dzisiaj omal nie umarłam – powiedziałam. – Jutro musimy się dowiedzieć, kto omal mnie nie zabił.

Była prawie jedenasta, kiedy następnego ranka wreszcie zwlekliśmy się z łóżek. Mogłam chodzić, ale powoli, bo bardzo bolało mnie przy każdym ruchu. Naszym jedynym tropem były dokumenty finansowe, które Stella zabrała z biura Kells, z pieczętą księgowego. I ten trop postanowiliśmy zbadać.

Taksówka wysadziła nas gdzieś w otchłani śródmieścia. Staliśmy i wpatrywaliśmy się w przysadzisty, brzydki budynek, wciśnięty pomiędzy pralnię samoobsługową a firmę przesyłkową. Tu mieściło się biuro Iry Ginsberga, kreatywnego księgowego obsługującego złowrogie korporacje, takie jak Horyzonty.

– Dobra, jaki mamy dokładnie plan? – chciała wiedzieć Stella.

– Zapytamy go, dla kogo pracuje – odpowiedziałam.

Poskrobała się w nos.

– A jeśli nie będzie chciał udzielić takiej informacji... dobrowolnie?

– Wtedy Jamie go zachęci. A jeśli mu się nie uda, ja

wkroczyć do akcji i zmuszę gościa.

Czułam się wyjątkowo zdrowa, silna i pewna siebie. Cokolwiek doktor Kells próbowała ze mną zrobić, nie udało się. Byłam sobą, żyłam, a to, co mi wszczepiono – czymkolwiek było – znikło. Na dodatek mieliśmy adres człowieka, który umożliwił jej takie eksperymenty. Posuwaliśmy się do przodu na drodze do wyjaśnienia sprawy. Na drodze do znalezienia Noaha. Czułam to.

Jamie odchrząknął.

– Wchodzimy?

Jasne. Portier wręczył nam identyfikatory dla gości, które posłusznie sobie przyczepiliśmy (ja na piersi, Stella na biodrze, a Jamie na lewym półdupku). Weszliśmy do windy i wjechaliśmy na wskazane piętro. Poczekalnia wyglądała jak u doktora, łącznie z żującą gumę recepcjonistką uczesaną w koński ogon. Stella zerknęła na Jamiego i dyskretnie pokazała na Balonówę.

– Jesteście mi cholernie dużo winne. Nie wiem, jak zdołacie się odwdziaczyć – mruknął.

– Nazwiska? – zażądała recepcjonistka.

– Jezus – odpowiedział Jamie.

– Maria – przedstawiła się Stella.

– Szatan – powiedziała, wymijając ją i wchodząc bez pukania do gabinetu Iry Ginsberga.

Pomieszczenie było do bólu nijakie, podobnie jak sam Ira. Miał lekko ciastowatą twarz, która wylewała się z przyciasnego kołnierzyka koszuli i krawata. Wstał, kiedy weszliśmy z recepcjonistką depczącą nam po piętach.

– W porządku, Jeanine – powiedział. – Powiedz klientowi na pierwszej linii, że do niego oddzwonię.

– Tak, panie Ginsberg – odparła i wyszła, pożegnawszy nas spojrzeniem.

– W czym mogę wam pomóc? – zagadnął pan Ginsberg.

Jamie przysunął sobie krzesło stojące przed biurkiem.

– Miło, że pytasz. – Podsunął księgowemu rozliczenia wykradzione przez Stellę. – Kto cię do tego wynajął?

– Przykro mi, ale nie mogę ujawniać spraw moich klientów, panie...

– Jezus – przedstawił się Jamie.

Stłumiłam prychnięcie.

– Panie Jezus – dokończył Ira bez uśmiechu.

Jamie z powagą skinął głową.

– Rozumiem. W takim razie inaczej sformułuję pytanie:

– Kto cię do tego wynajął?

Tym razem przemówił ostrym, rozkazującym tonem i pan Ginsberg tylko na ułamek sekundy zawahał się z odpowiedzią. Zaczęło się odpytywanie.

– Firma Horyzonty jest spółką całkowicie zależną; reprezentant spółki matki skontaktował się ze mną z pytaniem, czy nie poprowadziłbym jej finansów. Czemu pan pyta?

– Wiesz, czym się zajmują?

– Nie – odparł pogodnie pan Ginsberg.

– Ktoś z Horyzontów musiał to podpisywać, czy nie tak?

– Tak, upoważniony przedstawiciel.

– Kto?

Księgowy poskrobał się w brodę.

- Nie pamiętam nazwiska. Było raczej pospolite.
- Ale widnieje na sprawozdaniach, które dla nich przygotowywałeś?
- Oczywiście.
- W takim razie daj nam te dokumenty.

Głos Jamiego ciął powietrze jak bicz.

- Och, z pewnością bym dał, ale ich nie mam. Wszystko, co dotyczy EIC – spółki matki – jest przechowywane w archiwum, nie u mnie w biurze.
- W archiwum?
- Tak, w repozytorium dokumentów dotyczących korporacji i jej spółek córek. Z tym że te archiwa są zakodowane. Bez klucza dostępu może pan sobie szukać w nich do końca świata.

Jamie obrzucił pana Ginsberga surowym spojrzeniem.

- W takim razie podaj nam ten klucz.

Pan Ginsberg patrzył mu prosto w oczy.

- Nie mogę. Już go nie mam.

Wymieniłam spojrzenia ze Stellą.

– Co z nim zrobiłeś? – drążył Jamie.

– Rozliczenia odesłałem niedawno razem z kluczem. Poinstruowano mnie, abym przesłał klucz pocztą, na adres jednego z wydziałów Uniwersytetu Nowojorskiego.

– Kto cię poinstruował?

– Nie wiem. Proszę zrozumieć, to są procedury operacyjne korporacji. Jedna upoważniona osoba dostarcza mi kod dostępu – a ja po zrobieniu rozliczeń przesyłam swój klucz dostępu pozwalający tej osobie na zlokalizowanie potrzebnych dokumentów w archiwum. Bardzo pożyteczne w razie kłopotów prawnych.

Jamie wychylił się w krzesło.

– Wyjaśnij!

– Bez tego klucza kontrola nasłana przez konkurencję albo jakiś urząd ma szansę utonąć w papierach i przez lata nie dojdzie, o co tam chodzi – powiedział Ginsberg z chytrym uśmieszkiem. – A koszty rosną – dodał. – Prawnicy mają stawki za godziny.

Nie potrafiłam przyjąć do wiadomości, że pokonaliśmy

tak długą drogę i tyle przeszkód tylko po to, żeby
zabrnąć w kolejny ślepy zaułek.

– Powiedz nam w takim razie, komu przesyłasz klucz –
powiedziałam, tracąc resztki cierpliwości. – I podaj nam
adres archiwum.

Pan Ginsberg nie zareagował, jakby mnie nie słyszał.
Jamie musiał powtórzyć pytanie.

Księgowy westchnął.

– Nie mam nazwiska, tylko lokalizację na Uniwersytecie
Nowojorskim, na konkretnym wydziale, i to wszystko.

– Jaki to wydział? – zapytał Jamie.

– Katedra Literatury Porównawczej.

Już spieszyłam do drzwi.

Wyszliśmy z biura Ginsberga z dwoma adresami – archiwum oraz Uniwersytetu Nowojorskiego, Katedry Literatury Porównawczej.

– Dokąd najpierw? – zapytał Jamie, kiedy stanęliśmy na ulicy. – Chyba archiwum, nie?

– Pierwszy uniwerek – zasugerowała Stella w tym samym momencie. – Jeśli dowiemy się, komu na uczelni Ginsberg dostarczał klucz, jego nazwisko może nam potem ułatwić przekopywanie się przez miliony stron tego podejrzanego archiwum – dodała.

– Dobra, ale jak dojdziemy do tego nazwiska? – martwił się Jamie. – Ktoś, kto dostarczał kod Ginsbergowi, jedynie odbierał od niego klucz i był anonimowy, więc jak namierzemy go na wydziale? A ja muszę, chcę, teraz, zaraz, jak najszybciej znaleźć jakiegokolwiek trefne dokumenty, choćbym miał przekopać cały wielki magazyn z papierami. A ty co myślisz, M.?

Wzruszyłam ramionami.

– To samo co Stella – odparłam. – Uniwerek wydaje mi się łatwiejszym zadaniem niż szukanie igły w stogu

siana tego archiwum.

Jamie rozłożył ręce w geście rezygnacji i ruszyliśmy do metra. Na miejscu musiał przekonać strażnika, żeby wpuścił nas bez identyfikatorów. Udaliśmy się na piętro, gdzie naukowo porównywano literaturę różnych narodów, i zapytaliśmy rezydującą za biurkiem sekretarkę o pustym spojrzeniu, gdzie wykłada się pocztę. Wskazała nam karton po mleku wypełniony po brzegi listami.

– Dostarczam pocztę profesorom w czasie ich dyżurów. Reszta listów, które nie są adresowane do konkretnych pracowników, trafia do dziekana wydziału, pana Petera McCarthy'ego.

Stella i ja uniosłyśmy brwi.

– A gdzie jest gabinet profesora McCarthy'ego?

– Ostatnie drzwi po lewej.

Okazało się, że drzwi są zamknięte.

– To było do przewidzenia – mruknęła Stella, szarpiąc klamką. – Jasne, że zamknięte.

– Czekaj.

Jamie wyjął z kieszeni coś, co wyglądało jak spinka do włosów, włożył drut w zamek i zaczął nim delikatnie manewrować. Wstrzymaliśmy oddech, aż usłyszeliśmy ciche kliknięcie.

– Zapraszam do środka – powiedział, szarmanckim gestem otwierając przed nami drzwi.

Weszłam pierwsza.

Pod ścianami stały regały przeładowane książkami, papierami i setkami przypadkowych przedmiotów, które zajmowały każdą wolną, a nawet zajętą już przestrzeń. Przywiedła roślina zwisała z doniczki podwieszanej u sufitu. Jamie podszedł do półek.

– Czego dokładnie szukamy? – spytał.

– Klucza dostępu, jak rozumiem.

Stella ostrożnie podniosła plik papierów z biurka.

Jamie zrobił minę.

– A może to jest dosłownie klucz?

Sięgnęłam po kasetkę na listy stojącą na półce i częściowo zawaloną papierami.

– Nie sędzę. Ginsberg mówił, że tutaj przysyłał kody dostępu. Czyli musiał to robić listownie. – Wyjęłam plik kopert i rozdzieliłam go pomiędzy Jamiego i Stellę. – Pomyślnych łowów!

– Otwieranie cudzej korespondencji jest przestępstwem
– zauważyła Stella.

– Podobnie jak współudział w morderstwie – dodał Jamie. – O, proszę, co my tu mamy? – Uniósł brwi i pokazał nam grubą kopertę. – Brak adresu zwrotnego.

– Otwórz – zachęciłam.

Otworzył delikatnie, podważając palcem miejsce sklejenia. Zajrzał do środka i wyciągnął gruby, kolorowy katalog IKEA.

Pracowaliśmy w milczeniu. Przebierałam listy i papiery, wypatrując nazwiska księgowego albo czegokolwiek, co mogło być wskazówką. Na próżno.

– Nie mogę! Kolejny ślepy zaułek! – jęknęła Stella.

Doskonale wiedziałam, co czuje. Frustracja i złość kipiały we mnie. Porzuciłam stertę pobieżnie przejrzanych kopert i zabrałam się do pierwszego z brzegu stosu studenckich prac, notesów i teczek, zawalających ten zasyfiony, bałaganiarski gabinet.

Nadzieja, z którą tu przybyłam, topniała z każdą chwilą. To mi tylko dawało przedsmak archiwum. Jak mogliśmy cokolwiek znaleźć – tutaj czy tam – skoro nie wiedzieliśmy nawet, czego i gdzie szukać?

Stella i Jamie także porzucili listy i pod moim przewodnictwem przeszukiwali zwały papierzysk na podłodze.

– Te prace wyglądają jak wypracowania z liceum – skomentowałam. – Co w ogóle wykłada ten gość?

– „Płeć kulturowa u wyspiarzy Pacyfiku w latach 1750–1825” – przeczytał Jamie.

– To jest bez sensu – powiedziałam, wstając z kucek. – Jeżeli klucz został przysłany tutaj, adresat musiał go dawno odebrać. Zapewne szukamy czegoś, czego już tu nie ma.

– Czyli zmywamy się stąd? – spytała Stella.

– Czyli wyszło na moje – stwierdził Jamie. – Od razu mówiłem, że trzeba szukać w archiwum. Tam oczywiście jest o niebo więcej śmieci do przejrzenia, ale większa szansa, że trafimy na coś, co nam wskaże, kto za tym wszystkim stoi. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Z niechęcią musiałam przyznać, że ten trop okazał się

ślepy.

– Dobra, zrobmy tu trochę porządku, żeby wyglądało mniej więcej jak przedtem, i zmywajmy się, zanim ktoś nas nakryje.

Stella miała przygnębioną minę. Za to Jamie, ożywiony perspektywą nowego otwarcia w archiwum, ostro wziął się do porządków. Wyrównałam stos papierów leżący w rogu biurka. Kiedy odwróciłam się, żeby przejść dalej, potknęłam się o drewnianą figurkę, którą wcześniej odstawiłam na podłogę. Chwyciłam za półkę, żeby nie upaść. Udało mi się, ale wstrząs zrzucił coś z góry, prosto na moją głowę.

Zakłęłam, pocierając bolące czoło, i udałam, że kopię głupi regał. Jamie schylił się po przedmiot, który spadł na mnie.

– Nie przypuszczałem, że masz na tyle twarde łeb, żeby rozbić szkło – zazartował, pokazując mi fotografię w ramce.

– Ty się śmiejesz, a ja mam pewnie wstrząs mózgu – mruknełam.

– Przesada, nie masz żadnego wstrząsu mózgu. – Obrócił zdjęcie w palcach. – Ktoś pamięta, gdzie to stało?

– Chyba na samej górze regału – powiedziałam.

Jamie zaczął ustawiać fotografię na szczycie regału, uważając, żeby znów nie spadła. Teraz było ją dobrze widać. Przedstawiała coś, co wyglądało na ceremonię wręczenia dyplomów. Szpakowatym facetem na podium musiał być McCarthy. Ale nie to przyciągnęło mój wzrok. Za nim, z lewej strony w pierwszym rzędzie, pośród abiturientów w togach i naukowców w garniturach, stał ktoś, kogo znałam. Jednym ruchem wyrwałam mu ramkę z ręki.

– Co tam zobaczyłaś? – zapytał Jamie.

– Nie „co”, tylko kogo – odparłam, pokazując na Abła Lukumiego.

Stella przestąpiła stos akademickiej prasy leżący na podłodze i podeszła do nas.

– Kogo tu mamy zobaczyć? – spytała rzeczowo.

– Człowieka, który jest odpowiedzialny za wszystko – powiedziałam bez wahania. Nie mogło być innego wyjaśnienia. – To Abel Lukumi.

– Zaraz... ten gość z Miami? Z Małej Hawany? – upewniła się Stella.

– No przecież, że nie ze Szwecji! – prychnął Jamie.

– Zamknij się! – Dała mu kuksańca.

Jamie wyciągnął fotografię z ramki, schował ją, a potem szybko ogarnął resztę gabinetu. Pomieszczenie wyglądało mniej więcej tak jak na początku. No, prawie.

– Naprawdę myślisz, że on w tym siedzi? – zagadnął Jamie, kiedy wyszliśmy z budynku.

Wzruszyłam ramionami.

– To chyba jasne. Jest na zdjęciu z profesorem,

dziekanem wydziału, na adres którego Ginsberg wysłał klucz dostępu. Był na peronie w Waszyngtonie. I w szpitalu, do którego trafiłam po tej przygodzie z Jude'em. Śledzi nas od dawna.

– Nie nas – powiedział spokojnie Jamie.

Miał rację.

– Dobra, śledzi mnie. Od momentu, w którym go spotkałam. – Moje myśli pędziły szybciej, niż byłam w stanie mówić. – To on, któż by inny? Musiał podrzucić do domu torbę lekarską z wiadomością. Co by oznaczało, że znał mój stan i wiedział, co mi wszczepiono, czyli...

Czyli powinien też wiedzieć, gdzie jest Noah. Może to nawet on go przetrzymywał.

– Możliwe, ale czemu w takim razie potrzebowałyby klucza dostępu? – Jamie pogładził nos palcami. – Jeżeli rzeczywiście jest tym, który rządzi, organizuje, finansuje, śledzi nas i monitoruje, to przecież powinien mieć swobodny dostęp do archiwum, nie? Czemu więc potrzebuje klucza?

– Może to jest zupełnie inaczej zorganizowane – powiedziałam. – Powiedzmy, że Lukumi chce pozostać anonimowy, więc organizuje system działania

korporacji finansującej Horyzonty w ten sposób, że tylko jedna osoba naraz może mieć dostęp do archiwum – dlatego sam, jeśli chce tam wejść, musi mieć klucz. W ten sposób nawet ludzie, którzy dla niego pracują, nie wiedzą, kim jest; operuje sam, korzystając z klucza, który jest przysyłany tutaj, na uniwersytet, do jego kumpla.

– Jeśli tak, nieźle to przemyślał – przyznał Jamie.

Stella nakręciła pasmo włosów na palec.

– Słyszałam jeszcze bardziej spiskowe teorie. Ale zaraz... to by znaczyło, że w tej chwili ma kody? Jeżeli do archiwum może w danym czasie wejść tylko jedna osoba, jest szansa, że...

– Że aktualnie tam jest – dokończyłam. – Właśnie teraz.

Popatrzyliśmy na siebie i powiedzieliśmy jednym głosem:

– Jedziemy!

Wpadliśmy do pociągu, kiedy już zamykały się drzwi. Stałam ściśnięta pomiędzy starszą panią o fioletowych włosach, przyciskającą do piersi torbę, a chasydzkim nastolatkiem z pejsami, zaczytanym w *Buszującym w zbożu*. Jamie bezczelnie parodiował gościa w garniturze, który kiwał się w rytm czegoś, co

pulsowało w jego słuchawkach, ale poza tym jazda przebiegła spokojnie. Kiedy wyszliśmy z metra, słońce już zachodziło. Otoczenie było brudne, industrialne i ponure. Niewielu widziało się tu ludzi.

– Dobra – powiedział Jamie. – Dwie przecznice na wschód, potem trzy na północ i jesteśmy na miejscu.

Kiedy szliśmy, słońce zdążyło się schować za wyszczerbiony miejski horyzont. Dotarliśmy na miejsce, gdy było już prawie ciemno.

– To tu – oznajmił, spoglądając na rozległy budynek dawnego magazynu.

Miał wielkie, przemysłowe okna zajmujące dwie kondygnacje; część była zabita deskami, a część po prostu ciemna. Adrenalina zaszumiała mi w żyłach. To był nasz cel. Czułam to.

– Jak tam wejdziemy?

Stella kopnęła w stalową żaluzję zasłaniającą coś, co musiało być wejściem.

– Jeśli ktoś tam jest, już nas usłyszał – syknął Jamie. Pochylił się nad drzwiami. – Patrzcie, ktoś upieprzył kłódkę.

– Czyli ktoś musi być w środku – stwierdziła Stella. – Lukumi?

– Możliwe – stwierdziłam.

Albo Noah.

Jamie spojrzał na mnie.

– Jesteś pewna, że powinniśmy wejść?

– Nie – wyznałam szczerze, spoglądając na budynek. – Lukumi wyprzedza nas o lata świetlne. Wie, co zrobimy, zanim nawet pomyślimy o tym. Więc pewnie na nas czeka.

Stella szarpnęła kosmyk włosów.

– Nie podoba mi się to.

– Mnie też, ale alternatywą jest jałowe kręcenie się po Nowym Jorku, a potem powrót do domu – powiedziałam. – A tego ostatniego sobie nie wyobrażam.

Jamie popatrzył na mnie, a potem przykucnął i z wysiłkiem uniósł żaluzję. Zgrzyt był tak głośny, że słyszano go chyba w Miami. I nic. Staliśmy bezradnie przed pordzewiałymi drzwiami z okienkiem zalepionym

gazetą.

– Nieźle – mruknęła Stella. – Jeśli wcześniej nie wiedział, gdzie jesteśmy, to teraz już wie.

Położyłam rękę na klamce. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Weszliśmy. Ciemność na zewnątrz była niczym w porównaniu z nieprzeniknioną ciemnością wewnątrz. Można ją było niemal krajać nożem. Człowiek nie widział własnej ręki.

– Może gdzieś jest włącznik – szepnęła Stella.

– Boisz się ciemności? – spytał Jamie.

– Nie, tylko nie chciałabym się potknąć o twoją nogę i złamać sobie karku.

Jamie obrócił się i zaczął macać ścianę. Chwilę trwało, ale...

– Bingo! – zawołał i pstryknął włącznikiem.

Rzędy świetlówek zapalały się jeden po drugim, oświetlając ogromną przestrzeń z regałami sięgającymi prawie do sufitu. Coś z hukiem upadło na podłogę.

– Auć!

Jamie i Stella spojrzeli na siebie. Żadne nie powiedziało słowa.

A ja patrzyłam przed siebie, oniemiała, z otwartymi ustami. Znałam tego „Aucia”.

– Daniel?

– Co... Mara?! – W głosie Daniela brzmiało totalne zaskoczenie.

Zobaczyłam jego głowę wysuwającą się zza regału na poziomie mojego pasa. Ruszyłam z miejsca jak sprinterka. Mój brat klęczał na betonie, rozcierając sobie kolano. Padłam obok niego i rzuciliśmy się sobie w ramiona.

– Co ty tu robisz? – zapytałam z nosem w jego ramieniu.

Przymknęłam oczy. To było nieprawdopodobnie cudowne uczucie – znaleźć się w objęciach ukochanego, starszego brata!

– Usłyszałem zgrzyt otwieranej żaluzji, więc zgasilem światło i ukryłem się za regałem. A potem zapaliliście światło i potknąłem się o stółek.

– Jesteś genialny – powiedziałam z uśmiechem.

– Powiedz lepiej, co ty tu robisz?

Wzięłam oddech i słowa popłynęły niepowstrzymanym strumieniem. Opowiedziałam mu o wszystkim – co się

wydarzyło na wyspie i potem, nie pomijając niczego. Tama runęła i nic już mnie nie hamowało. Wyraz twarzy Daniela przechodził fazy zdumienia, szoku, grozy, współczucia i oszołomienia, kiedy wreszcie skończyłam, z płonącymi policzkami i bez tchu.

– Chcesz powiedzieć, że... – Daniel zaczął niepewnie. – Że to wszystko zdarzyło się naprawdę? – Zaśmiał się nerwowo. – Nic z tego, co mi mówiłaś i o czym pisałaś w wypracowaniu dla Horyzontów, nie było zmyślane? Bohaterka nie była fikcyjna? Ty naprawdę mówiłaś o sobie!

Uśmiechnęłam się, bo pomyślałam, co Noah by powiedział, gdyby to słyszał. Jego zdaniem koncepcja z wypracowaniem i wymyśloną bohaterką była zbyt naiwna i łatwa do rozszyfrowania. Uważał, że Daniel od razu się domyśli, o kogo chodzi. Żałowałam, że go tutaj nie ma i nie mogę mu powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

Zamiast tego powiedziałam do brata:

– Wtedy się bałam, że mi nie uwierzysz.

– Słusznie... Serio, jak to jest możliwe?

– Nie wiemy – odparł Jamie. – Dlatego przyszliśmy tutaj, w nadziei, że się dowiemy.

Daniel przymknął oczy.

– Chwila, niech się zastanowię. – Potarł oczy wierzchem dłoni. – Tylko mi nie mów, że potrafisz jeszcze latać albo coś w tym stylu.

– Nic z tych rzeczy – zapewniłam.

– Nie potrafisz śmigać po wieżowcach i wystrzeliwać pajęczyny z palców?

Pokręciłam głową.

– Dobra – powiedział Daniel. – Dobra.

Zmarszczył brwi i rozejrzał się; sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz zauważył Stellę i Jamiego.

– Nie znam cię – powiedział do niej. – Ale ciebie znam.

– Wpatrzył się w Jamiego. – Ty jesteś gość od eboli, nie?

– Daniel! – syknęłam.

– Zgadza się – przytaknął Jamie i uśmiechnął się nieznacznie. – Jamie Roth.

Wyciągnął rękę. Daniel uściskał ją z roztargnieniem, ciągle oszołomiony.

– Stella Benicia – przedstawiła się Stella. – A teraz, kiedy już wiemy, kim jesteśmy, może raczysz nam powiedzieć, co ty tu robisz?

Daniel drgnął zaskoczony.

Westchnęłam.

– Spodziewaliśmy się...

– Kapłana Santerii – Jamie wszedł mi w słowo. – Nie widziałeś przypadkiem kogoś takiego, kiedy tu przyjechałeś?

Daniel pokręcił głową. O ile to było możliwe, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdezorientowanego.

– Nie. Nikogo poza mną tu nie było.

– A jak tu trafiłeś? – zapytał Jamie.

– To długa historia.

– Na szczęście mamy czas – powiedziałam.

Daniel zmierzył mnie spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– To dobrze. Idziemy, siostrzyczko.

*

Daniel poprowadził nas po kręconych, trzęsących się metalowych schodach, a potem wąskim korytarzem przeszliśmy na tył budynku. Tam otworzył jakieś drzwi i wprowadził nas do niewielkiego pomieszczenia o surowych, ceglanych ścianach, oświetlonego gołą żarówką. Pośrodku stał stół kreślarski, a za nim były metalowe półki z porządnie poustawianymi książkami i segregatorami. Parę z nich leżało na stole.

– Tu musiała być wcześniej szwalnia – powiedział, przysuwając sobie stołek.

Pod drugą ścianą stało parę zakurzonych, starych maszyn do szycia, a w rogu była sterta skrzynek. Wzięliśmy je sobie do siedzenia. Usiedliśmy i Daniel zaczął mówić.

– Pierwszy raz pomyślałem, że coś jest nie w porządku, kiedy Noah nie wrócił z Horyzontów.

Serce podskoczyło mi w piersi, kiedy wymówił to imię. Daniel powiedział, że wszyscy w szkole wiedzieli o incydencie z Lolitą. Media nagłośniły fakt, że Noah trafił do psychiatrycznego ośrodka zamkniętego po tym, jak wepchnął mężczyznę do basenu orki. Daniel sądził, że chodzi o Horyzonty – zwłaszcza że ja tam byłam – lecz nie potrafił tego potwierdzić; w ośrodku zbywano

go, powołując się na ochronę prywatności pacjentów. Wobec tego wykonał następny, logiczny krok – wybrał się do rodziców Noaha. Przyjechał do rezydencji i został przyjęty przez pana Shawa.

– Co? Poznałeś starego Shawa? – zapytałam z podnieceniem, wychylając się ku niemu.

Daniel kiwnął głową.

– Powiedział, że Noah pozostanie w ośrodku, aż go tam „ustawią”, po czym uprzejmie wyprosił mnie za drzwi. Notabene, czemu Noah nie jest z tobą?

– Był z nami w Horyzontach – powiedział Jamie. – Potem wydarzył się ten horror z Jude’em, ale nie zostałem tam do końca. Pomagałem Stelli, którą Jude zranił, i Noah kazał nam uciekać. Od tamtej pory go nie widziałem.

– Kells powiedziała nam, że zginął – dodała Stella. – Że przygniotły go walące się mury ośrodka.

– Oczywiście kłamała – wtrąciłam. – Kłamała przez cały czas, o wszystkim.

– Więc gdzie on jest? – Daniel powiódł po nas spojrzeniem.

– Nie wiemy – odparłam. – Ale zamierzamy go znaleźć.

Daniel zmrużył oczy.

– Nie podobał mi się jego ojciec. Wiem, że obaj panowie raczej się nie lubią, ale zsyłka własnego syna do psychiatryka to już przegięcie.

– Nasi rodzice też mnie tam zesłali – przypomniałam.

– Wiem, Maro, ale ty miałaś...

– Co?

– No... objawy – odpowiedział ostrożnie.

Noah też miał.

– W każdym razie – podjął po chwili – zainteresowałem się panem Shawem.

– No i...? – Jamie był niezwykle zaciekawiony.

– Wszystkie ujawnione publicznie dokumenty wydają się w porządku. I nie ma śladu powiązań z Horyzontami, ani jawnych, ani ukrytych. Mimo to postanowiłem się tam wybrać i...

– Zaraz, byłeś na wyspie? – spytałam nerwowo. –

Kiedy?

– Parę tygodni po twoim wyjeździe zacząłem maglować tatę i mamę na temat twojego pobytu, ale każda wzmianka o tym wprawiała ich w nerwowy stan, zwłaszcza mamę. Praktycznie nie była w stanie rozmawiać o tym, co sobie... co jej zdaniem sobie zrobiłaś. – Daniel zerknął na moje przeguby. – W końcu powiedziałem mamie, że zamierzamy z Sophie pożyczyć łódź od jej ojca i popłynąć na jednodniową wycieczkę. Zamiast tego wybrałem się do Horyzontów.

Opowiedział, jak przybył na wyspę i ochrona nie chciała go wpuścić, choć nalegał, że chce się ze mną zobaczyć. To go tak sfrustrowało, że rozpoczął regularne śledztwo dotyczące ośrodka. Codziennie po powrocie ze szkoły przekopywał się przez wszystko, co mógł znaleźć w internecie, na temat spółki Horyzonty.

– I od razu złapałem trop – ciągnął. – Pamiętałem, jak mama mówiła, że ośrodek Horyzonty istnieje dopiero od roku, a tymczasem dokumentacja spółki dotyczy wielu lat nieprzerwanej działalności. Przekopałem się przez setki sprawozdań finansowych, raportów i bilansów. Tak trafiłem na pewnego księgowego w Nowym Jorku...

– Myśmy też u niego byli – wtrącił Jamie. – Ale mów, co

dalej.

– Zadzwoiłem do niego.

– Tak po prostu, zadzwoniłeś?

– Przedstawiłem się jako jeden z pracowników Kells i powiedziałem, że kazano mi ściągnąć dokumenty niezbędne do jednego z „programów”.

Popatrzyłam na Daniela wielkimi oczami.

– I zadziałało?

– Nie.

– Och...

– Powiedział, że muszę mu podać kod dostępu i przejść niezbędną procedurę, cokolwiek by to miało znaczyć. Zrozumiałem, że będę musiał pojechać do Nowego Jorku i dalej szukać tam, ale nie chciałem jechać, zanim się upewnię, że mam szansę zdobyć to, czego potrzebuję. Więc grzebałem dalej, przeglądając wszystkie dostępne publicznie dokumenty, ale niczego ciekawego nie znalazłem. Aż któregoś dnia wróciłem bardzo zmęczony i poszedłem do swojego pokoju, żeby pograć na pianinie. A na pianinie leżało to.

Daniel sięgnął do jednego z pudeł stojących za nim i wyjął książkę *Nowe teorie w genetyce*.

– Po twoim wyjeździe zupełnie o niej zapomniałem, a ponieważ się znalazła, otworzyłem ją i zacząłem czytać. Teoria jest pokrętna, ale tak pasjonująca, że nie mogłem się oderwać od lektury.

Zrobiłam zdziwioną minę.

– Tylko ciebie coś takiego jest w stanie wciągnąć.

– I całe szczęście, że mnie wciągnęło, bo wreszcie ruszyłem z miejsca.

Daniel opowiadał, jak w pewnym momencie skojarzył, że liczby, które powtarzają się w książce, mogą być kodem dostępu, o którym wspominał księgowy. Intuicja była słuszna. Ożywił się i zaczął szczegółowy wykład, używając tak nieznośnego naukowego żargonu, że praktycznie przestałam go słuchać – do momentu, kiedy usłyszałam: „tysiąc osiemset dwadzieścia jeden”.

– Co powiedziałaś? – przerwałam mu natychmiast.

Daniel spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Chodzi ci o te liczby? Powtarzające się sekwencje? Autor, Linaur, przedstawia je jako markery genetyczne

– oznaczające liczbę zmutowanych genów, która powoduje anomalie zmieniające badanych pacjentów. W jednej z prac, którą wydał własnym nakładem, twierdzi, że badani wszędzie widzą te liczby i obsesyjnie wyławiają z otoczenia sekwencję jeden-osiem-dwa-jeden-dwa lub trzy. Może to przybrać formę zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Wtedy widzą sekwencję nawet tam, gdzie jej nie ma, i nie zdają sobie z tego sprawy. To jeden z najwcześniejszych symptomów.

Zastanawiałam się, czy wystąpił u mnie. Jeśli tak, nie byłam tego świadoma.

– Dalej pisze o degradacji i ewolucji owych genów i twierdzi, że badał pod tym kątem rodowody niektórych badanych, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o sekwencjonowaniu genomu. W sumie to śmieciowa teoria, tak samo jak ten kit o pamięci genetycznej...

– Jaki kit? – zainteresowała się Stella.

– Czasami gen koduje dodatkowe białko. Lenaurd określa pacjentów z takim genem jako G1821-3 i dowodzi, że trzecia proteina pozwala im zachować pamięć genetycznych przodków, co jest po prostu śmieszne.

– To wcale nie jest śmieszne – zaprotestowałam

spokojnie. – To prawda.

– Co?

Opowiedziałam Danielowi o swoich snach, retrospekcjach, cudzych wspomnieniach czy jak tam je zwał – czyli o Indiach i lalce babci.

– Nie mam pojęcia, co to może znaczyć – powiedział, kiedy skończyłam.

– To znaczy, że teorie Lenaurda wcale nie są śmieciowe – powiedziałam. W oczach Stelli zabłysła nadzieja.

– Lenaurd twierdzi również, że ludzie z taką anomalią posiadają „dodatkowe, niezwykle zdolności”. – Daniel powiódł po nas spojrzeniem. – Na podobieństwo superbohaterów.

Milczeliśmy długo, aż Jamie powiedział:

– Daleko nam do superbohaterów.

Omam nie wykopałam spod niego skrzynki.

– Ale potraficie... – Daniel zawiesił głos, czekając na nasze wyjaśnienia. Nikt się nie odezwał – ...robić różne rzeczy, prawda? – dokończył.

Jamie z wolna kiwnął głową.

– Taa...

– Chcecie mi powiedzieć, że naprawdę potraficie...

– Czytać w twoich myślach – powiedziała Stella.

– Sprawić, żebyś robił tylko to, co ja chcę – powiedział Jamie.

– A Noah potrafi uzdrawiać – dodałam.

Niemal widziałam, jak trybiki obracają się w umyśle Daniela. Znałam jego następne pytanie i nie byłam na nie przygotowana. Ale nie było wyjścia.

– A ty? – zwrócił się do mnie.

Zerknęłam na Stellę i Jamiego. Odwrócili wzrok.

– Potrafię robić różne rzeczy... oddziaływać umysłem – wyjaśniłam kulawo.

Daniel przechylił głowę.

– Tak jak... Carrie?

W pewnym sensie.

– Czy wiesz, co mi zrobił Jude tamtej nocy, kiedy runął Tamerlane?

Daniel kiwnął głową. Jabłko Adama skakało mu w szyi.

– Tak.

– I właśnie dlatego to zrobiłam – wyjaśniłam spokojnie, patrząc, jak ściąga brwi. – Byłam przerażona. I wściekła. Budynek się zawalił, bo tego chciałam.

Daniel z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Mówisz, że...

– Tak, zabiłam Rachel i Claire. – Daniel otworzył usta, żeby temu zaprzeczyć, ale ubiegłam go. – I panią Morales. Zginęła, bo się wkurzyłam, że mnie oblała.

– Maro, ona umarła z powodu wstrząsu anafilaktycznego!

– Bo życzyłam jej, żeby się zadławiła własnym językiem.

Na to już nie miał odpowiedzi. Co mógł powiedzieć?

Stella w końcu przerwała bolesną, niezręczną ciszę, która zapadła po moim wyznaniu.

– Czy wyczytałeś tam, jak można nas wyleczyć? – zapytała z nadzieją.

Daniel pokręcił głową.

– To nie tak, jak myślicie. Zmutowany gen nie... Po prostu jest z nim podobnie jak z chromosomem X czy Y.
– Spojrzał mi w oczy. – Stanowi nierozdzielalną część ciebie.

„Nie jesteś zepsuta” – powiedział Noah, kiedy wieki temu prosiłam, żeby mnie naprawił.

Może miał rację.

Stella potrzebowała chwili, żeby dotarł do niej sens słów Daniela. Zapytała, czy może pożyczyć książkę.

– Wszyscy powinniście ją przeczytać – stwierdził Daniel, podając jej opasy tom. – Może coś jeszcze wam się nasunie albo znajdziecie coś, co uszło mojej uwadze.

Jamie podniósł się ze skrzynki.

– Co tu znalazłeś? – zapytał.

– Niewiele rzeczy, które mogłyby potwierdzić teorię Lenaurda, za to bardzo dużo na temat Deborah Susan Kells. – Wstał i wyciągnął z jednego z pudeł plik teczek.

– Kiedy tu przyjechałem, wiedziałem bardzo niewiele i nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Najbardziej kojarzyłem Kells, więc użyłem kodu dostępu i w ten sposób znalazłem w archiwum jej kartotekę.

– Od jak dawna tu jesteś? – spytałam, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu pełnym stosików z wiedzą, którą zgromadził mój brat i pedantycznie usystematyzował.

– Konkretnie tutaj czy w ogóle w Nowym Jorku?

– I to, i to.

– Wystarczająco długo, żeby dowiedzieć się paru ciekawych rzeczy. Kiedy przybyłem do miasta, kazałem księgowemu przesłać klucz dostępu profesorowi Uniwersytetu Nowojorskiego, z którym korespondowałem.

– Zaraz. – Jamie powstrzymał go gestem. – Czy to znaczy, że Lukumi nie przypadkiem znalazł się na zdjęciu?

– Jasne, że tak. Tu nie ma przypadków – odparłam.

Daniel popatrzył na jedno i na drugie.

– Chwila, o co chodzi ze zdjęciem i Lukumim?

– Później ci powiem. Mów dalej – zachęciłam.

– Dobra... W każdym razie byłem już wcześniej umówiony z tym profesorem. Przyszedłem jak gdyby nigdy nic, a on pokazał mi wydział i próbował mnie rekrutować. Na szczęście udało mi się niepostrzeżenie zabrać z jego gabinetu list z tym kluczem.

– Proszę, jaki śmiały złodziej! – powiedziałam ze śmiechem. – I pewnie nakłamałaś rodzicom na temat powodów wyjazdu do Nowego Jorku, co? Jestem pod

wrażeniem.

– Przecież byłem na uczelni, nie? Więc nie jest to tak do końca kłamstwo.

– Moja mama mawia, że półprawda jest całym kłamstwem – stwierdził Jamie.

– Święta racja – przytaknęłam z satysfakcją.

– Dobra, powiedzmy, że się zbuntowałem.

– Czekał, a jeśli kod dostępu się zmienia? – spytała trzeźwo Stella.

– To będę ugotowany.

– Wszyscy będziemy ugotowani – powiedziałam. – Nie możemy stąd wyjść bez informacji. Musi tu być coś, co pomoże nam znaleźć Noaha.

Daniel skinął głową.

– Powinniśmy zebrać wszystko, co dotychczas wykryłem, a potem jedno z nas zacznie robić listę tego, czego potrzebujemy. Nie możemy sprawdzić wszystkiego, ale jeśli będziemy zadawali właściwe pytania, jest nadzieja, że uzyskamy właściwe odpowiedzi.

– Mógłbyś zostać naszym Gandalfem – zaproponowałam, przypomniawszy sobie naszą dawną rozmowę.

– Jestem tylko rok starszy od ciebie. Propozycja jest zaszczytna, ale skoro już, to wolałbym zostać Dumbledore’em.

– Jak sobie chcesz. – Wzruszyłam ramionami. – Ale Dumbledore jest bardziej martwy.

– Racja – przyznał.

– Nic z tego – wtrącił Jamie, unosząc głowę nad papierów, które przeglądał. – Jesteś mugolem, więc...

– Ej!

– Możesz być co najwyżej Gilesem – dokończył Jamie.

Daniel rozważał przez moment jego sugestię.

– Kupuję to.

– No dobra. Mara... – Jamie wręczył mi stos teczek. – Bierz się do roboty.

Stella i Daniel w ekspresowym tempie przeglądali papiery, sporządzając listę. Obok nich na stole rosły

sterty spisanych dokumentów. Ja i Jamie siedzieliśmy w kącie pokoju, otoczeni setkami, tysiącami stron wywiadów, wydruków i opisów chorób. Wchłaniałam informacje, aż nasyciłam się nimi tak, że przestawałam cokolwiek kojarzyć. Palce miałam odrętwiałe od przerzucania kartek, a głowę zapychała mi masa informacji, w większości nieprzydatnych. Miałam nieszczęście trafić na dokładną, konkretną do bólu dokumentację wczesnego etapu życia doktor Kells – opinie z przedszkola, świadectwa z podstawówki, niektóre szkolne prace. Zastanawiałam się mimo woli, czemu ci ludzie – kimkolwiek byli – zadali sobie trud gromadzenia tego śmiecia, choć w sumie mało mnie to obchodziło. Połowałam na odpowiedzi, pożądałam ich, jak wędrowiec na pustyni pożąda wody. Wiedziałam, że gdzieś tu muszą być i prędzej czy później je znajdę.

– Mara – powiedział cicho Jamie – spójrz na to.

Albo one znajdą mnie.

Jamie podsunął mi grubą teczkę.

– Tylko nie zgub miejsca, które założyłem.

Zaczęłam oglądać dokumenty. Wyglądały na raporty medyczne – przyjęcia i wypisy szpitalne, karty leczenia, sprawozdania z badań kontrolnych i wizyt w...

– Oddział ginekologii i położnictwa – przeczytałam na głos i sprawdziłam nazwisko osoby, której to wszystko dotyczyło.

Kells, Deborah S.

– U pacjentki stwierdzono ciążę. Nastąpiło poronienie. Dokonano oczyszczenia macicy.

– Na razie doliczyłem się sześciu poronień – powiedział Jamie. – Potem przeskoczyłem do przodu. W rezultacie zdiagnozowano u niej niepłodność idiopatyczną – czyli taką, której przyczyny nie są znane.

– Czyli...

Jamie wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Potrzebujemy więcej danych.

Sprawdziłam daty dokumentacji – 1991, 1992, 1993. Ale teczek jest więcej.

– Czy powinniśmy od razu przejść do późniejszych lat?

– spytał Jamie.

– Jakich?

– Chcę wiedzieć, jak trafiła do Horyzontów.

Miał rację. Nieświadomie przeglądaliśmy jej historię pod kątem nurtującego nas pytania: Dlaczego? Dlaczego nas tam sprowadziła? Dlaczego nas dręczyła? Nie było sensu grzebać w papierach z przedszkola. Musieliśmy dojść, jak dowiedziała się o Horyzontach i kto ją tam przyjął do pracy.

Jamie szukał dalej i trafił na płyty w papierowych okładkach.

– CD? Nie, DVD – powiedział. – DSK Wywiady 11-3-1999, 10-2-1999, 09-2-1999... Co to...

– DSK – Deborah Susan Kells – podpowiedziałam.

Jamie uniósł brew.

– Słusznie. Ile tego jest?

Zaczęłam grzebać w kasecie, w której znalazł płyty.

– Cała kupa. Jeszcze rok 1998 – poinformowałam.

Jamie wstał i popatrzył na inne pudła.

– Widzę jeszcze rocznik 1997 i 1996.

Sprawdzaliśmy dalej. Okazało się, że najwcześniejsze DVD są datowane na 1994 rok – nagrania zaczęły się niedługo po tym, jak skończyły się wizyty w szpitalu.

– Umieram z ciekawości, co tam jest – wyznałam.

– Ja też.

– Wywiady nagrywano mniej więcej o tej samej porze każdego miesiąca, więc musiał to być jakiś eksperyment, nie? – powiedziałam.

To by pasowało. Kells, zanim zaczęła eksperymentować na nas, sama przeszła testy.

– Możliwe.

– Powinniśmy je zabrać.

– Wszystkie?

Ogarnęłam gestem pokój.

– Tu nie ma ich jak obejrzeć.

Jamie podszedł do drzwi, otworzył je i spojrzał na mnie.

– Poszukamy jeszcze?

Powinniśmy to zrobić.

– Tak, chciałabym wiedzieć, ile ich ostatecznie jest. I czy są jakieś z tego roku.

Mogła powiedzieć coś o nas. O mnie.

Spakowaliśmy nasze materiały i w pośpiechu opuściliśmy duszne, zakurzone pomieszczenie. Na korytarzu zderzyliśmy się z Danielem i Stellą.

Daniel dramatycznie odskoczył do tyłu.

– Co się stało?

– Znaleźliśmy coś – powiedziałam i Jamie zaczął szybko wyjaśniać.

– Wow! – powiedział Daniel, kiedy stanęliśmy przed domem. – Co robi twoja ciotka?

– Uczy w szkole – wyjaśnił Jamie. – I mądrze inwestuje w nieruchomości.

– To widać.

– Jestem głodna – oznajmiła Stella. – A wy?

– Umieram z głodu – przyznałam, choć uświadomiłam to sobie dopiero teraz. Nie jedliśmy przez cały dzień.

– Zamówimy do domu?

Daniel pokręcił głową.

– Im mniej przyciągamy uwagę, tym lepiej.

Miał rację. Wspólnymi siłami upichciliśmy posiłek z produktów kupionych w pobliskim sklepie. Kiedy się wzmocniliśmy, Daniel wcielił się w rolę guru i rozdał nam materiały do przejrzenia. Ja jednak chciałam najpierw obejrzeć nagrania.

Daniel zrobił niezadowoloną minę.

– Więcej przerobimy, jeśli rozdzielimy pracę.

– Ja wolę oglądać – powiedziałam uparcie.

– Ja też – poparł mnie Jamie.

Daniel spojrział na Stellę, która bezradnie rozłożyła ręce.

– Kupiliśmy popcorn – powiedziała. – Mam zrobić?

– To nie jest noc filmozerców – mruknął Daniel.

Zachichotałam.

– Tak, zrób – powiedziałam do Stelli.

Aby tradycji stało się zadość, Jamie przyniósł nam koce i poduszki.

– Od którego zaczynamy? – zapytał, kiedy Stella przyniosła miskę popcornu.

– A który jest najwcześniejszy?

Jamie przejrzał płyty.

– Ósmy stycznia 1994.

– To dawaj.

Jamie starannie wsunął płytę do Xboksa (coraz bardziej pragnęłam poznać jego ciocię!), zgasił światło i usadowił się w fotelu.

Z początku obraz mżył, aż pojawiła się bardzo młoda doktor Kells, siedząca przy małym stoliku na tle ściany z tapetą w groszkowo-zielone pasy. Widok wydał mi się znajomy. Po chwili uświadomiłam sobie dlaczego.

To był pokój, który widziałam na wideo w Centrum Badawczym Horyzontów; Kells z pomocą tego filmu zwabiła mnie do kostnicy. Zatem musiał tam istnieć od 1994 roku.

– Proszę się przedstawić pełnym imieniem i nazwiskiem
– poleciał męski głos. Nie rozpoznałam go.

– Czy ona zeznaje pod przysięgą? – skomentował Daniel.

Uciszyłam go syknięciem.

– Deborah Susan Kells.

– Czy używałaś kiedykolwiek innego nazwiska?

– Tak, panińskiego.

– Jak ono brzmi?

– Lowe.

– O cholera! – szepnęłam.

– Ja pierniczę! – wykrzyknął Jamie.

Niemożliwe. Przecież poznałam rodziców Jude’a i Claire. Widziałam ich na pogrzebie. Jakim...

– Data urodzenia?

– Zaraz, trzeba to spauzować, musimy porozmawiać – powiedział nerwowo Jamie, podczas gdy Kells wymieniała adresy, chyba swojego zamieszkania.

– Cholera, gdzie jest pilot?

– Przebieg kariery naukowej?

– Doktorat z wyróżnieniem z genetyki na Harvardzie. Pierwszym miejscem pracy był...

Jamie wyciągnął rękę w stronę telewizora i doktor Kells zamarła w połowie zdania.

– No i mamy – powiedział. – Deborah Susan Lowe. To samo nazwisko co...

– Jude Lowe – dodał Daniel.

– Co tu jest, kurwa, grane? – powiedziałam bez tchu. – Co. Jest. Grane?

Jamie miał zniesmaczoną minę.

– Kto się chciał ożenić z tą suką?

– Naprawdę znałam mamę Jude’a i Claire – powiedziałam cicho. – Tatę też. Bywałam u nich w domu.

Wtem przypomniałam sobie coś, co powiedział Noah.

– Ale... okazało się, że to nie był ich dom.

Daniel przechylił głowę.

– Co masz na myśli?

– Noah był tam jeszcze przed Horyzontami – wyjaśniłam. – Zanim...

Podsunęłam mu pod nos przeguby. Cofnął się, jakbym chciała go uderzyć.

– W Laurelton? Serio?

Kiwnęłam głową.

– Chciał znaleźć rodziców Jude’a i sprawdzić, czy coś

wiedzą, bo wtedy uważaliśmy, że Jude mnie prześladowuje. Ale nie znalazł nikogo. To znaczy nie było tam rodziców Jude'a. Człowiek, który mu otworzył, powiedział, że mieszka w tym domu od osiemnastu lat. Noah stwierdził, że musiałam pomylić adres.

– Zaraz. – Stella uniosła palec. – Skoro ludzie, których uważałaś za jego rodziców, nie byli nimi, to kim byli?

– Jezu, jak daleko to sięga? – Jamie był coraz bardziej przejęty.

– Jude i Claire przeprowadzili się do Laurelton na rok przed jej śmiercią – powiedziałam. – Claire była w mojej klasie, a Jude...

– W mojej – dokończył Daniel.

– Dobrze go znałeś? – spytała Stella.

– Bardzo słabo – przyznał z zakłopotaniem. – A szkoda. Gdybym lepiej go znał, może...

– Nie – przerwałam mu szybko. – Nawet ty byś nie przewidział, co będzie.

– O co tu chodzi? – zastanawiał się głośno Jamie. – Widzieliśmy w jej papierach całą dokumentację niedonoszonych ciąży. Myślicie, że mogła być jego

matką?

Przypomniałam sobie wszystkie spotkania z doktor Kells. Wysiłałam pamięć, szukając jakiegokolwiek zaczepienia, skojarzenia, czegokolwiek. Na próżno. Zawsze była chłodna, beznamiętna. Sterylna.

Z wyjątkiem naszego ostatniego spotkania.

– Lowe jest dość pospolitym nazwiskiem – powiedział Jamie.

Spojrzeliliśmy na niego wszyscy.

– Może to jednak zbieg okoliczności? – dodał niepewnie.

Wychyliłam się ku niemu.

– Chyba nie mówisz serio?

– Sam nie wiem – przyznał. – Może nie jest jego matką, ale są spokrewnieni? Musimy obejrzeć tego więcej. Na razie zaliczyliśmy tylko pięć minut.

Słusznie.

– W takim razie robimy maraton.

– Płył są setki – westchnęła Stella.

Jamie potarł czoło.

– I nie jest to *Władca Pierścieni*.

– A my nie jesteśmy pieprzoną Drużyną Pierścienia! – warknęłam. – Lepiej zacznijmy od razu.

– Zaraz.

Daniel wstał, poszedł do kuchni i po chwili wrócił z czterema notesami, które musiał kupić w sklepie. Dał każdemu po jednym.

– A długopisy? – spytałam.

Cisnął mi całe pudełko i zabraliśmy się do pracy.

Ślęczeliśmy do piątej rano, a jeszcze nie skończyliśmy się przebijać przez młodość doktor Kells. Przespaliśmy się trochę, po czym o dziesiątej Daniel znów zagonił nas do roboty. Nie chcieliśmy podzielić zadania w obawie, że komuś coś umknie i nikt tego nie zauważy. Dlatego oglądaliśmy razem. W przerwach pomiędzy jednym filmem a drugim Stella i Daniel przeglądali dokumenty, które odpowiadały mniej więcej datom wywiadów – choć nie zawsze płyty były dokładnie opisane. Sekwencja 18213 była kluczem kodowym i dzięki niemu

znajdowaliśmy właściwe teczki. Zwłaszcza Jamie był w tym świetny; mógłby z powodzeniem pracować w dziale szyfrów. Daniel i Stella wyławiali odpowiednie dokumenty i podrzucali mi do czytania. W ten sposób stopniowo udało nam się ustalić, że doktor Kells była nosicielką genu G1821, choć nigdy się on nie ujawnił. To był przypadek jeszcze innego rodzaju, co słusznie zauważył Daniel. Z tym genem było trochę jak z rakiem – do jego uaktywnienia potrzebne były czynniki środowiskowe. Dlatego nawet jeśli ktoś był nosicielem, mógł sobie spokojnie żyć, jeśli nic nie wzbudziło zmian.

To doprowadziło nas do następnej rewelacji – choć trochę się już domyślaliśmy – Kells miała obsesję na punkcie skorygowania „anomalii”, która powodowała jej bezpłodność. W wywiadach wspominała, że współpracowała z jakimś facetem – farmakologiem, jak domyślał się Daniel – który tworzył dla niej różne leki mające przeciwdziałać wpływowi genu i niwelować jego działanie bez względu na to, czy ujawni się u nosiciela, czy nie. Jednak nic się nie działo... przynajmniej u niej. Wobec tego Kells postanowiła sprawdzić, jak leki podziałają na innych. Nie mogła jednak tak po prostu eksperymentować na kobietach, które jak ona usiłowały zająć w ciąży i mogły być nosicielkami. Pary decydujące się na kurację bezpłodności były raczej zamożne i stać by je było na

adwokatów.

Nikt natomiast nie przejmował się sierotami i Kells stała się matką adopcyjną. Kiedy już zrozumiałam, czego mam szukać, szybko trafiłam na teczki A. i B. Lowe, C. i D. Lowe, E. i F. Lowe oraz G. i H. Lowe. Wszystkie pary były bliźniętami jednojajowymi. Chłopcami. I wszyscy już nie żyli.

Te dzieci były pod jej opieką. Umierały w różnym wieku, miały różne objawy, ale pod koniec cechą wspólną była wysoka gorączka i „śmierć z przyczyn naturalnych”, jak głosiły raporty patomorfologów w ich kartotekach. Serce mnie bolało, kiedy oglądałam je na zdjęciach; ośmiomiesięczny Abraham ogryzający ogon zielonego stegozaura, którego trzymał w rączkach; Benjamin, który przeżył swojego bliźniaka o rok, przykucnięty na tłuściutkich nóżkach, pchający plastikową ciężarówkę; Christopher, zmarły w wieku dwóch lat, wystawiający język do obiektywu; David, jego bliźniak, który przeżył trzy lata, na zdjęciu otoczony przez kaczki w parku; Ethan, adoptowany w wieku czterech lat, który po pół roku już nie żył, i jego brat bliźniak Frederick, zmarły w wieku lat pięciu; Garret, lat sześć, siedzący na znudzonym, kudłatym kucyku, którego trzyma za uzdę jego braciszek, Henry. Garretowi niewiele zabrakło do siedmiu lat, a Henry odszedł w dniu swoich siódmych

urodzin.

A potem było zdjęcie ośmioletniego chłopca z nazbyt szerokim, szczerbatym uśmiechem, ze stadem piegów na nosie i dołeczkami w policzkach, szczerzącego zęby spod daszka za dużej bejsbolówki Patriotsów, przekrzywionej na jasnych włosach.

Pacjent dziewiąty: Jude Lowe.

Jude i Claire Lowe, para piąta, bliźnięta dwujajowe. „Sztucznie indukowane w wieku ośmiu lat” – jak napisano w ich dokumentacji – i tym razem były to prawdziwe dane. Innymi słowy, podano im któryś ze środków, z jakimi eksperymentowała Kells, aby wywołać objawy identyczne z G1821.

– Chwila – powiedział Jamie, unosząc głowę znad dokumentów. – A gdzie jest I. Lowe?

– Nie ma tu I.

Jamie strzelił palcami.

– Właśnie!

Stella wzruszyła ramionami.

– Może nie lubiła imion męskich zaczynających się na „I”?

– Jak „Ignatius”? – wtrącił Daniel.

– Albo „Ira” – dodałam.

– Co prowadzi nas do następnego wniosku – orzekł

Jamie i odgryzł kawałek paznokcia z kciuka. – To nie są prawdziwe imiona tych dzieci. Nie mogą być. Prawdziwe są na ich aktach urodzenia.

– Nie ma tu żadnych aktów urodzenia – stwierdziłam. – Tylko akty zgonu. W nich i w innych dokumentach występują tylko te ksywki czy jak je tam nazwać.

– Zatem Kells musiała nadawać dzieciom nowe imiona. Tylko jak zmusić sześć- czy siedmiolatka, żeby zaakceptował nowe imię?

– I okłamać w tej sprawie cały personel medyczny? – dodałam.

Myślałam o archiwach, które dotąd przejrzałam, i uświadomiłam sobie, że nie było tam nazwy żadnego szpitala.

– Daj mi to – powiedziałam do Jamiego.

Wręczył mi jedną z teczek personalnych. F. Lowe. Frederick.

– Te dokumenty pochodzą z Mount Tom Hospital. Niech ktoś sprawdzi w Google’u.

Daniel sprawdził.

– Nie ma takiego. – Urwał. – Czyżby te dokumenty były sfalszowane?

– Bardzo możliwe – przytaknęła Stella. – Tylko po co fałszować całą dokumentację medyczną danej osoby? Zwłaszcza że i tak nie umieszcza się w niej prawdziwych danych personalnych?

Nagle zaświtało mi coś.

– To kolejna zasłona dymna – stwierdziłam. – Nie tylko imiona, ale wszystkie dane osobowe są fałszywe. Bo gdyby były prawdziwe, to te dzieci, ich losy byłyby zbyt łatwe do prześledzenia. Myślę jednak, że Stella ma rację – reszta jest prawdziwa. Symptomy, leczenie, skutki, te sprawy – po prostu cała strona medyczna została realnie opisana. Natomiast kartoteka z prawdziwymi danymi osobowymi dzieci też musi być gdzieś w archiwum, ale zapewne głęboko ukryta. Wątpię, czy w ogóle byśmy ją znaleźli.

Daniel z namysłem kiwnął głową.

– Dlatego żaden z tych dokumentów nie mógłby posłużyć jako dowód w sądzie. Kells była realną osobą o realnej tożsamości. Gdyby ktoś chciał przeświecić jej życie i znalazłby te dokumenty, a potem próbował, jak ja zamierzam, nagłośnić tę sprawę, dysponowałby tylko

fikcyjnymi kartotekami fikcyjnych dzieci, które nigdy nie istniały.

– Sprytne – powiedział Jamie.

– Bardzo.

– Ale jakim cudem udało się jej adoptować tyle dzieci? Zwłaszcza że marły u niej jak muchy? – dziwiła się Stella.

– W ten sam sposób, w jaki pozyskała nas – powiedziałam. – I eksperymentowała na nas bezkarnie, bez żadnego nadzoru.

– A poza tym wiadomo, jak traktuje się dzieci z sierocińców – dorzucił Jamie.

Spojrzałam na postać Kells na ekranie i wcisnęłam „Play”.

– J. obudził się dwa dni po zaindukowaniu i skarżył się na złe samopoczucie. Termometr wskazywał 37,5. Miałam nadzieję, że to tylko przeziębienie, ewentualnie grypa, ponieważ inni mieli ponad 38, zanim ekspirowali.

– Ekspirowali? Chryste, co za słownictwo. – Jamie aż się wzdrygnął.

– Natomiast Claire ma się dobrze – ciągnęła Kells, całkowicie spokojnie, bez cienia z troskania.

– Przewiń do przodu – polecił Jamie i tak zrobiłam.

Teraz Kells była spięta i zmartwiona.

– U J. gorączka wzrosła. W większości te same objawy co u innych, lecz jest parę kluczowych różnic. Wydaje się zdezorientowany. Często używa trzeciej osoby, mówiąc do siebie, a czasami do mnie. Chciał zobaczyć Claire, ale nie zgodziłam się, bo nie chcę, żeby się zaburzyła. Zależy mi, żeby dobrze współpracowała i chętnie poddawała się dalszym testom, nawet jeśli Jude ekspiruje.

Zastopowałam nagranie.

– Claire była w mojej klasie – powiedziałam, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– A Jude w mojej – dodał Daniel.

Stella sięgnęła po dokumenty.

– Ale tu jest napisane, że byli bliźniętami dwujajowymi. Para piąta.

Kiwnęłam głową.

– Kolejne kłamstwo. Po co?

Ponownie puściłam film. Dalej Kells przekierowała rozmowę-wywiad, wideodokument czy cokolwiek to było – na wykład o zaletach amyletalu. Daniel i Stella oglądali, podczas gdy ja i Jamie wybieraliśmy dalsze płyty DVD odpowiadające kolejnym zapisom z kartoteki Jude’a. Kiedy nagranie się skończyło, uruchomiliśmy następne.

Tym razem Kells promieniała, siedząc przy stoliczku na tle pasiastej tapety.

– Nazywam się Deborah Susan Kells – powiedziała do kamery. – Dziś jest poniedziałek, piąty marca, dwa miesiące po zaindukowaniu pacjenta J.L. zgodnie z protokołem Lenaurda, co można już poczytać za sukces.

Popatrzyliśmy na siebie.

– Po serii iniekcji zaczął się wspaniale, błyskawicznie rozwijać – mówiła z żarem Kells, wychylając się w krześle. – Ponad moje największe oczekiwania.

Rozprawiała o postępach Jude’a, o jego rozwoju, fizycznym, psychicznym i każdym innym. Okazało się, że ma „dar” – tak to określiła – i była z niego bardzo dumna, tak samo jak z własnych dokonań. A jednak to

go zmieniało. Początkowo niezauważalnie, potem coraz wyraźniej. Kiedy miał dziesięć lat, zaczęła się martwić.

– Jest depresyjny, humorzasty, bywa nawet agresywny. Zaobserwowałam rozwój drugorzędnych cech płciowych – obniżenie tembru głosu, pojawienie się zarostu na twarzy i klatce piersiowej. Mimo wczesnego wieku zdaje się wchodzić w proces pokwitania. Zarządziłam dodatkowe badania i ewentualnie będę ingerować. W następnym miesiącu złożę raport na ten temat.

Wyłączyła kamerę.

W pośpiechu włączyliśmy następne nagranie.

– Psychiatry postawił diagnozę zaburzeń zachowania – poinformowała, wyraźnie przygnębiona. – Nieprawidłowe zachowania J. pogłębiają się. Staje się coraz bardziej aspołeczny i wyjątkowo agresywny. Claire doniosła, że przyłapała brata na oskubywaniu wróblego pisklęcia, które wypadło z gniazda. Zaordynowaliśmy amyletal, próbując zahamować... skutki uboczne... ujawnienia.

– Teraz rozumiem – powiedział spokojnie Daniel.

– Co rozumiesz?

– Dlaczego kłamała na temat jego wieku. Jeśli zaczął pokwitanie w wieku dziesięciu lat, musiał wyglądać na dużo starszego niż siedemnaście lat. – Sięgnął po papiery i mówił dalej, zerkając do nich. – Testowała na nim wszystkie możliwe środki, nie tylko typowe psychotropy, lecz także leki hormonalne, oczywiście eksperymentalne. – Uniósł głowę i po kolei popatrzył nam w oczy. – Dlatego właśnie wyglądacie na starszych, niż jesteście. O ile pamiętam, w *Nowych teoriach* była mowa o przyspieszonym dojrzewaniu. Zaczyna się w wieku lat osiemnastu i trwa do dwudziestego pierwszego roku życia.

– Żadne z nas nie ma osiemnastu lat – przypomniała mu Stella.

Jamie miał sceptyczną minę.

– Ludzie zawsze mają mnie za młodszego, niż jestem. Może to jest tak jak z tymi hormonami w mleku, od których mogą ci wcześniej wyrosnąć włosy łonowe?

Szkoda, że Noah nie mógł tego słyszeć!

– Mnie też podawała amyletal – powiedziałam do Daniela, przypomniawszy sobie, co mi mówiła Kells. – Twierdziła, że po nim będzie lepiej.

Daniel popatrzył na mnie.

– I podziałał? Czujesz się lepiej?

Czułam się lepiej, ale nie zawdzięczałam tego lekom ani implantom. Jak miałam opisać wszystko, przez co musiałam przejść, żeby znaleźć się tutaj? Ten koszmarne stan, kiedy czułam się tak strasznie chora i nie byłam sobą, który trwał od chwili, gdy ocknęłam się w Horyzontach? I który skończył się w momencie, gdy pozbyłam się implantów?

– Nie – powiedziałam. – Nie było mi lepiej.

– A twoja... zabójcza moc?

Jamie się zachnął.

– Musisz być taki dosłowny?

Nie odpowiedziałam bratu, gdyż właściwie nie miałam pojęcia, czy moja zdolność działa, czy nie. Nie miałam okazji jej wypróbować od czasu...

– Zaczekaj – rzuciłam i zerwałam się z miejsca.

Skacząc po dwa schody, wpadłam na górę, do swojego pokoju, i rozejrzałam się w pośpiechu.

Mała szara torba leżała na krześle. Zaczęłam w niej grzebać, aż znalazłam. Implanty, kapsułki czy inne

świństwo, które nosiłam w sobie, póki Stella tego nie wydlubała. Zacisnęłam je w pięści i zbiegłam na dół. Daniel starannie obejrzał kapsułki pod światło.

– To było w tobie? – upewnił się.

– Aha.

– Gdzie dokładnie?

– Chyba w żołądku.

– Gdyby były w żołądku, umarłabyś, próbując je usunąć.

– Dobra, powiem. Znajdowały się czterdzieści dwa stopnie na południe od lewego jajnika, pod trzynastym żebrzem.

– Człowiek ma po dwanaście żeber z każdej strony.

Pokazałam bratu środkowy palec.

– Nie bądź taka drażliwa – powiedział z lekką urazą. – Dobrze, w każdym razie były w tobie, kiedy opuściłaś Horyzonty, tak?

– Tak.

– I od tego czasu twoja zdolność nie działała?

– Zgadza się.

– A próbowałaś?

Pomyślałam o Ernście. I o tym, co mu zrobiłam, kiedy chciał skrzywdzić Stellę i mnie.

– Tak. Próbowałam jak cholera użyć swojej mocy.

– I co się działo? – drążył Daniel. – Kogo próbowałaś...

– Urwał. – Kto próbował cię skrzywdzić?

Jamie demonstracyjnie splótł ramiona na piersi i już prawie gwizdał pod nosem. Stella wypatrywała czegoś na podłodze.

– Nic takiego – zapewniłam z udawanym spokojem. – Wszystko dobrze się skończyło.

Daniel oddał mi implanty i spojrzał na stos dokumentów.

– Okej. Wiemy już, że anomalia uaktywnia się na skutek stresu lub silnego lęku. Czy zatem nie miało być tak, że za każdym razem, kiedy twój system nerwowy zalewała fala adrenaliny albo kortyzolu, te rzeczy reagowały, blokując twoją zdolność? Taki zawór bezpieczeństwa, który miał sprawić, że będziesz bezpieczniejsza, normalniejsza po zwolnieniu z Horyzontów.

Ale nie sprawił, pomyślałam. Pamięć podsunęła mi obraz skrwawionego Ernsta. Zamrugałam, licząc, że zniknie spod moich powiek.

Daniel starannie dobierał słowa.

– I byłaś bezpieczniejsza – w tym sensie, że nie mogłaś przypadkiem... kogoś skrzywdzić. Oczywiście, nie mogłaś już w ten sposób bronić się przed zagrożeniem, ale sama nie zagrażałaś innym.

Gdybyż to była prawda!

– W każdym razie doktor Kells uważała się za człowieka nauki, badaczkę. Planowała odesłanie cię do domu, tak?

– Tak przynajmniej mówiła.

– Te implanty musiały być częścią jej planu. Wszczepiła ci je i obserwowała, czy łagodzą objawy; za wszelką cenę szukała sposobów, jak przeciwdziałać anomalii – i tak było, dopóki nie uciekliście.

I dopóki jej nie zabiłam. Jednak Daniel miał rację. Wszystko, co Kells robiła nam, a w szczególności mnie, miało służyć poprawie, poszukiwaniu idealnego leku. Nawet jeśli eksperyment początkowo nie wychodzi, musisz próbować, wciąż próbować. Kiedy zrozumiała,

że poniosła klęskę i Jude pomógł mi zbiec, postanowiła uspić mnie jak zwierzę, żebym nie mogła kolejny raz wyrwać się z klatki i zabijać.

Dalsze nagrania uświadomiły nam dobitnie, że Daniel ma rację. Jude był coraz gorszy, choć Kells robiła, co mogła, żeby go zmienić. Zwiększała wysiłki, w miarę jak dorastał i robił się coraz bardziej niebezpieczny, ale środki, którymi go szpikowała, nie zawsze łagodziły jego zachowania. Były też inne objawy. Czasami miała wrażenie, że nie wie, kim naprawdę jest; zdiagnozowano u niego dysocjacyjne zaburzenie tożsamości i kiedy pojawiał się ten inny „ktoś”, jedynie Claire potrafiła dotrzeć do brata – do tego prawdziwego Jude’a. Daniel przypuszczał, że dlatego Kells postanowiła ją także adoptować, nie zważając na płęć.

Słuchanie i oglądanie Kells w tej serii nagrań jeżyło włos na głowie. Widać było, że sprawy wymykają się jej z rąk, ale nie chce się do tego przyznać. Jude miał być jej wielkim sukcesem po latach niepowodzeń. Nie była w stanie pogodzić się z myślą, że próbując leczyć, doprowadzała swoich pacjentów do jeszcze gorszego stanu. W sumie jej jedynym konkretnym sukcesem było utrzymanie Jude’a i Claire przy życiu po indukcji. Claire, pomimo wysiłków Kells, pozostała całkowicie normalna. Dlatego Kells sądziła, że dziewczyna nie jest nosicielką zmutowanego genu. Inaczej mutacja

uaktywniłaby się u niej, tak jak u brata.

– To by wyjaśniało, dlaczego Jude przetrwał katastrofę psychiatryka, a Claire nie – powiedział Daniel. Po czym dodał już ciszej, jakby do siebie: – Tylko co z jego rękami?

Ręce Jude’a. Których nie powinien już mieć, bo zatrzasnęły się na nich potężne stalowe drzwi izolatki w Tamerlane, oddzielając go ode mnie, a jego dłonie i przeguby od ramion.

– To nie ma sensu – mruknął Daniel.

– Dlaczego nie? – Stella popatrzyła na mnie i na Jamiego. – Jude ma zdolność samouzdrawiania.

– Noah też miał – powiedział Jamie. – Ma – poprawił się, widząc moje spojrzenie. – Noah też ją ma.

I dlatego byłam pewna, że żyje.

– I dlatego musimy go szukać, bo gdzieś tu jest – powiedziałam głośno.

– Z tym że Jude nie może się uzdrowić, nie uśmierciwszy przedtem kogoś – sprecyzowała Stella. – Kiedy przytrzasnęły go drzwi, nie mógł skrzywdzić ciebie, bo ty byłaś... inna.

– O Chryste – powiedział cicho Daniel.

– Co? – Spojrzałam na niego.

– Rachel i Claire – odpowiedział. – Były normalne, nie posiadały wadliwego genu. I były razem z wami w psychiatryku. Jude wyzdrowiał dzięki nim. To on je zabił, a nie...

Ja. Nie ja.

Przełknęłam ślinę. Nigdy pewnie się nie dowiemy, co się tam naprawdę stało ani kto jest bardziej odpowiedzialny za katastrofę. Chciałam, żeby coś się stało. Życzyłam Jude'owi śmierci. Budynek runął, ale on nie zginął – za to jego dar kosztował życie Rachel i Claire. Zginęły, bo jego ciało musiało się uzdrowić. Ale tak by się nie stało, gdybym ja wcześniej nie sprawiła, że stracił ręce. Z kolei gdyby mnie nie napastował... i tak dalej. Kto więc był winien? A czy to ważne?

– Jeszcze czegoś nie rozumiem. – Stella przerwała milczenie. – Może mi ktoś wytłumaczy, dlaczego nie dziewczynki? Dlaczego Kells stale adoptowała chłopców, bo przecież Claire tu nie liczymy? Chodzi o to, że skoro Mara i ja mamy gen, do tego ujawniony, czemu...

– I nie dość, że chłopcy, to jeszcze bliźniaki, nie? – wszedł jej w słowo Daniel.

Stella skinęła głową.

– W *Nowych teoriach* jest coś o chromosomie Y i zdolności uzdrawiania – powiedział Daniel i wstał, żeby przynieść książkę. – Większość ponadprzeciętnych zdolności różnych typów jest związana z chromosomem X lub Y, ale nie ta. W tym przypadku może to być tylko chromosom Y.

Pomyślałam o dzieciach, z którymi eksperymentowała Kells. Ośmiu małych chłopców, kiedyś zdrowych, a teraz już nieżyjących. Próbowала rozwiązać problem i naprawić wadę, jak mówiła. Chciała stworzyć kogoś, kto potrafi uzdrowić siebie, a przy okazji innych – w tym także ją.

Próbowала stworzyć Noaha, a zamiast tego stworzyła Jude'a.

Powiedziałam im, o czym pomyślałam. Przyjęli to w milczeniu, ale wiedzieli, że mam rację. Byłam pewna, że mam rację. Próbując znaleźć lekarstwo na chorobę, Kells sprawiała, że jej pacjenci byli jeszcze bardziej chorzy. Gdyby żyła, dalej by to robiła.

W miarę jak upływały kolejne godziny nagrań, nasza wiedza o poczynaniach Kells rosła. Okazało się, że w pewnym momencie namierzyła moją babcię jako nosicielkę (metodami, o których nie mówiła) i zaczęła obserwować moją rodzinę. Wszystko było zaaranżowane – przeprowadzka Jude’a i Claire na Rhode Island, zapisanie ich do mojej szkoły, aby oboje mogli być blisko mnie, i tak dalej. Daniel znalazł nawet dowody finansowania przez spółkę Horyzonty wynajmu domu przy 1281 Live Oak Court. Kiedyś myślałam, że jest to dom Jude’a. Ludzie, których Noah tam zastał, nie byli jego rodzicami, ale kłamali, że mieszkają w tym miejscu od wielu lat.

– Nie mogła przeprowadzić tego wszystkiego sama – powiedział Daniel. – Jest zresztą jasne, że nie. Te nagrania robiła dla kogoś, dokumentując je badaniami, których również nie wykonywała sama. Ktoś ją

wspierał, finansował, ułatwiał załatwianie spraw.

– Lukumi – orzekłam.

– Tak myślimy – dodał Jamie.

Daniel potarł oczy pięściami, jak małe dziecko.

– To przedsięwzięcie musi mieć ogromną skalę, nieograniczającą się tylko do paru dzieciaków – stwierdził Daniel. – Pomyślcie o archiwach. Tam są dziesiątki, setki tysięcy dokumentów! I pamiętacie, jak Kells mówiła, że badała dziedziczenie w naszej rodzinie i namierzyła babcię, nie? W takim razie muszą być jeszcze inni nosiciele, tacy jak ty – dodał i popatrzył na mnie. – Wielu nosicieli. Jeśli jednak przyjmiemy, że tak jest, pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego nikt inny nie trafił dotąd na wasz ślad?

Nikt nie był bardziej kompetentny niż ja, żeby udzielić mu odpowiedzi.

– To proste, gdybyśmy chcieli powiedzieć prawdę, uznano by nas za wariatów.

– Fakt, Maro, masz absolutną rację. Wszystkie drogi prowadzą do Lukumiego – stwierdził Daniel. – Jego nazwisko ciągle się pojawia.

– To nie jest jego prawdziwe nazwisko – powiedziałam.

– Że co? – Stella na moment uniosła głowę znad papierów.

– Szukaliśmy go z Noahem – wyjaśniłam. – Pojechaliśmy jeszcze raz do Małej Hawany, szukaliśmy w Google’u. Okazało się, że w Sądzie Najwyższym toczyła się kiedyś sprawa przeciwko Kościołowi Lukumi; ta nazwa występuje w kulcie Santerii, ale nie jest nazwiskiem konkretnej osoby.

Jamie kiwnął głową.

– Kolejny mylny trop.

– Kimkolwiek jest ten Lukumi – powiedział w zamyśleniu Daniel – on jeden może poświadczyć o waszej niewinności.

Nie nazwałabym tego niewinnością.

– On jeden wie o was.

On jeden żyje i wie o nas.

– Idę o zakład, że wie również o Noahu.

Ja też byłam gotowa się założyć.

Dalej oglądaliśmy nagrania, przeglądaliśmy dokumenty i ślęczeliśmy przez całą noc, przeczesując wszystko, co przytaszczyliśmy z archiwum. Dokumenty najmu, dokumenty katastralne, wypisy z księgi wieczystej naszego domu, oficjalny przydział mojego ojca do sprawy Lassitera, dokumentacja medyczna z lat sześćdziesiątych i dziewięćdziesiątych, zdjęcie z pobierania wymazu z gardła Jamiego („A to na cholere?” – skomentował). I nadal brakowało mnóstwa elementów układanki.

Moje myśli były jak luźne końce nici, niepowiązane i splątane. Byłam kompletnie wyczerpana. Oparłam głowę na rękach i wpatrzyłam się tępo w dokument leżący przede mną. Słowa na stronie rozplýwały się w dziwne figury. Walczyłam z sennością, lecz szybko uległam.

WCZEŚNIEJ
Cambridge, Anglia

Minął ponad wiek od chwili, kiedy uciekłam z Londynu z Profesorem, a on nadal traktował mnie jak dziecko.

Tego dnia był w wyjątkowo ponurym nastroju. Ten stan podkreślała pogoda, jak zwykle podła, oraz jego gabinet: zimny, wilgotny i zapuszczony. Profesor rozgrzewał się butelką whisky, swojej ulubionej trucizny, pisząc jak szalony w jednej z ksiąg. Podarte kartki i już zapisane podniszczone tomy walały się po brudnej, drewnianej podłodze. Obserwowałam go w milczeniu.

Coś niedawno go natchnęło, skupiło jego myśli w sposób, jakiego wcześniej u niego nie widziałam. Nadchodzący przełom, tak to nazwał. Sądził, że odkrył sposób jego wywoływania. Ale więcej nie chciał mi powiedzieć.

Opiekował się mną, kiedy leżałam powalona nawrotami gorączki, podczas gdy mój „dar” rozwijał się we mnie, a moje ciało zmieniało się, aby go przyjąć. Kiedy jedzenie straciło dla mnie smak, zmuszał mnie, żebym

jadła. Uspokajał, kiedy budziłam się z nocnych koszmarów, i czuwał nade mną, powstrzymał mnie, kiedy po raz pierwszy próbowałam zrobić sobie krzywdę.

Ale teraz już go nie potrzebowałam – od wielu, wielu lat. Przeszłam długą drogę – od młodej dziewczyny, uciekającej z Londynu w mroku nocy i opłakującej męża, który nie przeżył nawet jednej doby, po kobietę, jaką byłam teraz: silną, pewną siebie, potrafiącą doskonale się kontrolować. Jeśli tylko chciałam.

Ale już nie chciałam.

Miałam dosyć udawania, że jestem kimś innym, po to, żeby nie zagrazać otoczeniu. Chciałam być tym, kim byłam. Nikt nie znał mnie tak jak Profesor, dlatego najlepiej czułam się z nim. I pragnęłam się z nim związać. Niestety, zbywał nawet najmniejszą wzmiankę na ten temat. Zbywał mnie. Dotąd nie zdradził mi nawet, jak się nazywa.

Drgnęłam, słysząc huk i odgłos tłuczonego szkła. Profesor siedział wyprostowany przy biurku, patrząc w pustkę.

Nie. Nie w pustkę. Podążyłam za tym spojrzeniem i napotkałam portret Profesora wiszący na przeciwległej

ścianie. Mówił, że namalował go jego student – i choć nie powiedział który, domyślałam się, gdyż styl był bardzo charakterystyczny. Obraz ociekał whisky, przez co Profesor na płótnie wyglądał, jakby wyszedł z wody. Woń alkoholu mieszała się z wonią starych książek.

– Co się stało? – spytałam łagodnie.

Nie odpowiedział, więc stanęłam pomiędzy jego biurkiem a portretem. Patrzył na mnie, jakbym była ze szkła.

Ale dziś nie zamierzałam być przezroczysta. Dzisiaj zamierzałam zaistnieć.

Przysiadłam na krawędzi biurka i przesuwałam się, aż znalazłam się tuż przy nim.

– Jak się nazywasz? – zapytałam, bynajmniej nie łagodnie. – Mów!

Uśmiechnął się nieznacznie. Zadawałam to pytanie od niepamiętnych czasów i za każdym razem udzielał mi innej odpowiedzi.

Ale tym razem, tego dnia, sięgnął po skrawek papieru – kawałek podartej mapy. Mój puls przyspieszył. Profesor napisał coś w języku, którego formy pisanej nigdy się nie nauczyłam, i podsunął mi pomięty papier.

Musnęłam palcem nieznane mi słowa i powiedziałam:

– Kocham cię.

– Ja cię wychowałem – odpowiedział, nie patrząc mi w oczy.

– Nie ty. Sarah Shaw mnie...

– Do osiemnastego roku życia, a potem ja cię przejąłem. Uczyłem cię...

Przyłgnęłam do niego i pogłaskałam go po policzku. Odsunął się. Ja się nie poruszyłam.

– Wiem, że obserwowałeś mnie, kiedy byłam młoda. Wiem, że czujesz się za mnie odpowiedzialny. Ale nie jesteś moim rodzicem, a ja już nie jestem dzieckiem.

– To nie jest w porządku. – Jego głos był matowy, pusty.

Usiadłam mu na kolanach.

– Wcale nie – powiedziałam.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko nasze oddechy i szelest paska wysuwanego z klamry. Pocałowałam go w dołek pod brodą. Wciągnął powietrze, a ja pocałowałam go w usta – raz, krótko.

Wystarczyło.

Profesora nie było koło mnie, kiedy obudziłam się rano. Dziewięć miesięcy później urodziłam córkę. Nie widziałam go przez następne dwadzieścia jeden lat.

*Laurelton, Rhode Island
Dwadzieścia jeden lat później*

Profesor zapukał do drzwi mojego domku rano, w dniu, w którym Indira miała odebrać dyplom Uniwersytetu Browna. Nie chciałam go wpuścić, ale wiedziałam, że nie mam wyjścia. Nie wyglądał ani trochę starzej niż wtedy, kiedy widzieliśmy się ostatni raz. Ja zresztą też.

– Znalazłem go – oznajmił, a oczy błyszczały mu dziecięcym podekscytowaniem, kontrastującym z czarnym garniturem, który miał na sobie. Wyglądał jak przedstawiciel zakładu pogrzebowego.

– Co ty tu robisz?

– Znalazłem tego jedyne!

– Proszę, odejź – mruknęłam z niechęcią.

– Maro...

– Nie wymawiaj mojego imienia! Nie masz prawa odzywać się do mnie!

Przymknął oczy.

– Czy mogę wejść?

– Nie.

– Proszę.

Miałam ochotę zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale znałam go i wiedziałam, że nie odpuści. Że będzie tam tkwił, spał na ganku, chodził za mną, aż ulegnę i go wysłucham.

– Zostawiłeś mnie – powiedziałam z pretensją, wpuszczając go do środka.

Spuścił wzrok i wpatrzył się w swoje stopy.

– Zobaczyłem, co z nią będzie, jeśli zostanę. Odszedłem dla dobra was obu.

– Wygodne wytłumaczenie, nie ma co! W ten sposób możesz usprawiedliwić każde swoje postępowanie. Nie miałeś wyboru, bo przecież chciałeś jak najlepiej. Czego chcesz teraz? Lepiej zniknij stąd, zanim Indi cię zobaczy.

– To młoda dziewczyna. Chcę, żebyś się z nią zaprzyjaźniła. Jest żywa, wrażliwa, superinteligentna, ale sceptyczna. – Mówił coraz szybciej i jeszcze nigdy nie widziałam go w stanie takiego podekscytowania. – Ona mnie nie posłucha. Tylko ty będziesz w stanie namówić ją do tego, co powinna zrobić, żeby mieć to dziecko.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo twoja córka jest w ciąży.

Zamurowało mnie.

– Co?

– Chciała ci o tym powiedzieć dopiero po odebraniu dyplomu. Zamierza wyjść za swojego chłopaka, ale boi się, że go nie zaakceptujesz.

Opadłam na krzesło i siedziałam z głową na rękach wspartych o kolana.

– Gen jest recesywny, Maro. Jej dziecko może być...

Gwałtownie poderwałam głowę.

– Widziałeś coś?

– Los dziecka jest zbyt związany z moim, więc

trudno mi oddzielić wątki. Ale wiem jedno – potrzebujemy chłopaka, którego urodzi Naomi. Potrzebujemy Bohatera. Na wypadek gdyby Indira okazała się...

Cieniem. Jak ja. Nie musiał tego mówić.

– Twój dar osłabnie, w miarę jak dziecko Indiry zacznie ujawniać swoje cechy. Ale jeśli Naomi urodzi chłopca, wtedy pojawi się wyjście... Gdybyś zginęła z jego ręki, mogłabyś to odwrócić. Zatrzymać koło.

– Gdybym...

– Nie ma gwarancji – przyznał. – Wiesz o tym.

– A ta dziewczyna? Co z nią będzie?

– Będzie miała wybór. Rozważy go. Umrze.

To było ryzykowne. Ale gotowa byłam podjąć ryzyko ze względu na dobro córki. Nazajutrz poleciałam z Profesorem do Londynu.

– On tu jest! – wrzasnął Daniel. – Jest w Nowym Jorku!

Ciężkim ruchem uniosłam głowę znad kuchennego stołu, przemagając sztywność karku. Czyżbym zasnęła?

– Która godzina? – wychrypiałam.

– Pobudka! – zawołał rześkim tonem.

Był ogarnięty, w dzinsach i w koszulce z długim rękawem i guziczkami; stał u boku Stelli. Ona również była denerwująco przytomna i wkurzająco wystrojona.

– Zastanawiałam się, czy nie obudzić cię i zaprowadzić do łóżka – powiedziała, sięgając po sok pomarańczowy.

– Ale Daniel stwierdził, że nie ma sensu.

– Wyglądasz dość żałośnie – dodał mój brat.

Nie miałam na tyle pary, żeby mu się odszczeknąć. Na szczęście wyręczył mnie Jamie, który wszedł do kuchni, przecierając oczy.

– Kto jest w Nowym Jorku? – zapytał sennie.

– Lukumi, a kto miałby być?! Ma wykład na Columbii.

Daniel uruchomił laptopa, żeby pokazać mi ogłoszenie Wydziału Literatury Porównawczej. Dla ułatwienia przeczytał je na głos, choć czytałam je sama: „Dziewczyna totalna: Jungowskie archetypy w popkulturze – wykład dr. A. Lukumiego. Bilety dostępne w Biurze Spraw Studenckich”.

Jamie oparł się plecami o lodówkę.

– Skończyłeś? – zapytał agresywnie.

Daniel zmrużył oczy.

– Tak.

– Czy wobec tego ktoś może mi powiedzieć, czemu w lodówce nie ma sera?

Daniel zignorował jego uwagę.

– Ten wykład jest dzisiaj – powiedział. – Wychodzę o czwartej.

Spojrzałam na zegar. Do czwartej brakowało dwóch godzin. Poczułam przyływ energii i wstałam. Miałam jeszcze czas, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Musiałam być na tym wykładzie.

– Co robisz? – spytał brat.

– Idę się umyć po filmowym maratonie. A potem wychodzę z tobą, to chyba jasne?

Daniel pokręcił głową.

– On tylko na to czeka. Zawsze wie, gdzie jesteś, Maro, skoro był w szpitalu i na peronie. Na pewno cię śledzi, prawda?

– Tak...

– Więc na pewno cię zauważy...

– Ciebie też. Naprawdę nie wiesz, o co chodzi? On chce nas do siebie zwabić. Wie wszystko o każdym z nas, o całej naszej rodzinie. Z całą pewnością wie, jak wyglądasz.

– Możliwe, ale nie zamierzam pchać mu się w rękę. A zresztą, gdyby nawet mnie zobaczył, to co? Odwiedzam różne uczelnie i nie ma nic dziwnego w tym, że...

– Że pójdziesz na wykład? – podchwycił Jamie. – Nie powiedziałbym, że to naturalny odruch kogoś, kto nie jest studentem.

– Ale naturalny dla Daniela – powiedziałam, wyjmując bajgla z torby na blacie. – Jest jeszcze masło

orzechowe? – spytałam Jamiego.

Jamie zrobił zdziwioną minę.

– Chcesz smarować bajgla masłem orzechowym?

– Tak, a co?

– Jak możesz, Zmoro Dyer?

Zbyłam go machnięciem ręki.

– Jaki jest dokładnie ten twój wielki plan? – zapytałam brata i ugryzłam wielki kęs bajgla. – Wparujesz na katedrę i dasz mu w łeb?

– Mam zamiar wysłuchać wykładu, a potem pójść za tym gościem. Chcę wiedzieć, gdzie się zatrzymał, gdzie mieszka, co robi, wszystko.

– I co dalej, dzielny Scooby-Doo?

– Zmuszę go, żeby powiedział mi, jak ci pomóc – odparł z powagą Daniel.

To mnie na moment zastopowało. Dawniej rzeczywiście chciałam, aby ktoś mnie naprawił. Uratował. Błagałam Noaha, żeby to zrobił. Powiedział, że nie może, bo nie jestem popsuta.

Odwróciłam się do Stelli, która zrobiła się dziwnie cicha i tylko słuchała naszej rozmowy.

– Stello, a ty?

– Chcę go poznać. Ja też chcę, żeby mi pomógł – powiedziała z powagą.

Hmm. Znow zwróciłam się do Daniela.

– Dlaczego sądzisz, że zdołasz zmusić Lukumiego do współpracy, skoro on pociąga za sznurki?

– Jeśli Lukumi naprawdę za tym wszystkim stoi, musi mu zależeć na tajemnicy. Możemy zagrozić, że upublicznimy jego wizerunek, nazwisko....

– Jego fałszywe nazwisko – uściśliłam.

– Wszystko jedno. Rozpowszechnimy, co się da. – Szerokim gestem ogarnął kuchenną wyspę, na której piętrzyły się stosy teczek i notesów. – To, co się działo z wami, co z wami robiono, ten podejrzany ośrodek – wszystko wyjdzie na jaw. Zrobię mu też zdjęcie w trakcie wykładu. Nie znalazłem niczego na jego temat w sieci.

– Jest jeszcze zdjęcie z biura McCarthy’ego – powiedział Jamie, wyciągając telefon.

– Pokaż!

Jamie podał mu komórkę.

– To on? Ja już go gdzieś widziałem – powiedział Daniel.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Nie mogę sobie przypomnieć, ale jestem prawie pewien, że musiałem go widzieć.

Na pewno. Omal nie powiedziałam tego głośno.

Daniel pokręcił głową, jakby nie mógł zebrać myśli.

– Nieważne – powiedział. – Prędzej czy później sobie przypomnę. Teraz najważniejsze jest, żeby go śledzić i dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Jakie jest jego prawdziwe nazwisko, tożsamość, abyśmy mogli połączyć jego osobę z Horyzontami, a wam przywrócić normalność.

Brat przez cały czas patrzył na mnie. I mówił to do mnie. Dla mnie. To ja bowiem potrzebowałam Lukumiego o wiele bardziej niż ktokolwiek z nas. Oni byli niewinni. Ja nie.

– Jak myślicie, przed kim czy przed czym on się

ukrywa? – spytał Jamie, ale nikt mu nie odpowiedział. Nie mieliśmy o tym pojęcia.

– Będziemy musieli porozmawiać z prawnikiem – stwierdził Daniel, przekrzywiając głowę. – Zdajecie sobie z tego sprawę?

Nie pomyślałam o tym, ale oczywiście miał rację.

– Rzeczy, które robi... – Urwał i poprawił się: – Rzeczy, które się z wami działy, i wszystko, co robiono w ośrodku, musimy to wyciągnąć na światło dzienne, ale ostrożnie, bo trzeba będzie udowodnić, że byliście torturowani i działaliście w obronie własnej...

Nie zawsze, pomyślałam, ale ugryzłam się w język.

– Kiedy prawnik powie nam, jak was zabezpieczyć, upublicznimy sprawę.

– Skończ tę gadkę – powiedział nagle Jamie.

Wszyscy troje spojrzeliśmy na niego.

– Przestań mówić, że musimy być naprawieni. Lubię siebie takim, jaki jestem. Nie mam potrzeby zmiany. Nie jestem popsuty.

Z tymi słowami wyszedł z pokoju.

Daniel oparł łokcie na stole i potarł twarz.

– Rozumiesz, o czym mówię, Maro?

Oczywiście, że rozumiałam – lecz Jamie powiedział głośno to, czego ja nie byłam w stanie, bo nie pozwalało mi poczucie winy.

Ja też nie chciałam, żeby mnie naprawiono. Coraz bardziej podobałam się sobie taka, jaka byłam.

Aby rozładować napiętą atmosferę, Daniel zaproponował przerwę. Byliśmy zmęczeni, rozdrażnieni i zdezorientowani. Ten maraton i kiblowanie w czterech ścianach domu wyraźnie nam zaszkodziły. Daniel postanowił dalej przeglądać dokumenty, zostawiając nam wolną rękę. Jamie uznał, że trzeba iść po zakupy.

Ponieważ nie mieliśmy samochodu i umówiliśmy się, że nie zamawiamy jedzenia do domu, pojechaliśmy metrem do ekologicznego marketu (na co nalegał Jamie) i wracaliśmy, taszcząc torby z zakupami. Peron był dziwnie pusty, nie licząc dwóch hipsterów, którzy sikali na stertę czegoś, co wyglądało jak łachmany. Dyskutowałam właśnie ze Stellą na temat artystycznych zalet graffiti (moim zdaniem to sztuka; jej zdaniem – wandalizm), ale przerwałam na moment, żeby głośno poinformować tych gości, że to, co robią, jest niesmaczne. Nie odpowiedzieli. Nawet wtedy, kiedy Jamie kazał im przestać. Wówczas zdałam sobie sprawę, że ta sterta jest człowiekiem.

Jamie też to zauważył.

– Do jasnej kurwy nędzy, co wy wyprawiacie?! – ryknął i ruszył ku nim.

Deptałam mu po piętach, a Stella trzymała się za mną. Teraz widzieliśmy wyraźnie tę osobę – bezdomną kobietę skuloną przy ścianie; jej żalosny dobytek walał się wokół jak śmieci. Nie była już młoda, miała brudną twarz i nie spała. Miałam nadzieję, że jest pijana i nie zdaje sobie sprawy, co jej robią, ale kolejny rzut oka upewnił mnie, że wie. I że się wstydzi.

Zatrzęśłam się ze złości. Wtedy jeden z tych sukinsynów wyszczerzył zęby do Jamiego w paskudnym uśmiechu gównojada i warknął:

– Lepiej stąd spadaj, bo...

Nie dokończył zdania, ponieważ walnęłam go z całej siły w piegowatą gębę. Drugi, którego w myśli nazwałam Blondasem, uniósł rękę, żeby mi oddać, kiedy Jamie wrzasnął „Stop!” tym swoim niesamowitym głosem. Obaj znieruchomieli jak posagi, ale nie upośledziło im słuchu. Na pewno usłyszą, co zaraz powiem.

Zacisnęłam pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w skórę.

– Ona jest człowiekiem – powiedziałam. – Jak można zrobić coś takiego człowiekowi?

– Odpowiedzcie jej – polecił chłodno Jamie. – Mówcie

całą pieprzoną prawdę.

– Bezdomni są plagą – powiedział Piegus i przełknął z wysiłkiem, jakby słowa stanęły mu w gardle.

Blondas tylko się skrzywił. Wcale nie czuł wstydu.

Stella uklękała przy kobiecie i usłyszałam, jak pyta, czy nie jest głodna. Postąpiłam krok w stronę jej dręczycieli, którzy stali teraz dalej od swojej ofiary i bliżej torów.

– Jest o wiele bardziej człowiekiem niż wy – powiedziałam.

Słyszałam, jak kobieta cicho łka.

– Stella, pomożesz jej?

Nie sprawdziłam, czy przytaknęła, ale usłyszałam szelest, kiedy kobieta wstała.

– Daj jej coś zjeść – zaproponował Jamie.

Stella spojrzała na nasze torby z zakupami i kiwnęła głową. Podała kobiecie ramię.

– Jak się nazywasz?

– Maria – odpowiedziała bezdomna.

Stella dała jej coś z naszych toreb, po czym spytała:

– Idziemy?

– Nie – odpowiedziałam. Popatrzyłam na Piegusa i Blondasa. – Jeszcze chwila.

– Maro – powiedziała Stella przez zaciśnięte zęby. – Chodź.

Jamie przysunął się do mnie.

– Ja też jeszcze zostanę.

Piegus parsknął śmiechem.

– Chyba nie mówicie serio, że zamierzacie nas ukarać?

Nic o nas nie wiedzieli. Zerknęłam na Stellę.

– Potrzebujesz nas jeszcze?

– Nie – burknęła.

Przeniosłam spojrzenie na Blondasa i Piegusa, a potem powiedziałam do niej:

– W takim razie idź. Szybko.

Nie posłuchała. Wysunęła ramię spod łokcia Marii.

– Co chcecie im zrobić?

– Powiedzmy, że chcę zobaczyć, jak Mara mówi „Crucio!” i wykręca im dupy – wyjaśnił.

Chłopaki zachichotały.

– Wystarczy zwykłe abrakadabra – powiedziałam.

Stella krążyła spojrzeniem ode mnie do Jamiego.

– Nie mówicie tego poważnie?

– Zasłużyli sobie – odpowiedziałam spokojnie.

Blondas parsknął śmiechem.

– Dwie dziewczyny i dzieciak? – Obciął Jamiego spojrzeniem. – Ile masz lat?

– Dość, żeby skopać ci tyłek.

Piegus zarżał śmiechem.

– Mogłabym wyciąć ci oko, żeby zobaczyć, czy ładnie wygląda w mojej dłoni – powiedziałam, czym rozbawiłam go jeszcze bardziej.

Fajnie. Nie musiał mi wierzyć. Na razie...

– Przecież nie... Chyba nie myślicie...

Ton głosu Stelli świadczył, że wcale nie ma pewności.

Wzruszyłam ramionami.

– Tak byłoby sprawiedliwie.

Stella zwróciła się do Jamiego.

– Jamie?

Nie odpowiedział.

– W takim razie każ im usiąść na peronie i nasikaj na nich. Tak by było sprawiedliwie – podsunęła.

Jamie pokręcił głową.

– Och, gdybyś nasiusiała na mnie...

– Nigdy bym na ciebie nie nasiusiała, Jamie.

Stella odrobinę się odprężyła. Myślała, że Jamie się z nią droczy. Może i tak było.

– Doceniam, ale przyjmijmy, że tak byś zrobiła. Wtedy, zgodnie z Kantem, ja mógłbym nasiusiać na ciebie.

Byłaby to sprawiedliwa odpłata za popełniony czyn.

Jamie znów zwrócił się do chłopaków, którzy dalej trwali nieruchomo, tak jak im kazał. Ale łypali na nas czujnie.

– Jednak siusianie na osobę bezdomną to już zupełnie inna sprawa – ciągnął. – Gorsza. Są różne stopnie ohydy, a ten jest jednym z najwyższych.

Absolutna racja. Dawno nie byłam w takiej furii i nie odczuwałam takiej przyjemności. Moje nerwy wibrowały. Lawinowo tworzyły się nowe, fascynujące synapsy. Czułam się teraz zupełnie inaczej i byłam ciekawa, czy tak też wyglądam. Wykręciłam głowę, żeby zobaczyć swoje odbicie w błyszczących kafelkach ściany. Czekałam, aż mój obraz coś mi powie, jak dawniej, ale milczał. Hm...

Tymczasem Jamie tłumaczył Stelli, dlaczego ci hipsterscy dranie zasłużyli na surowszą karę.

– To tchórze i sadyści – powiedział. – Wyzywają się na słabszych, postępując obrzydliwie i amoralnie. Każdy, kto robi coś takiego, zasługuje na dotkliwą karę. Samo nasikanie na nich nie wystarczy.

Racja, nie wystarczy. Podmuch ciepłego powietrza wyleciał z tunelu, nasuwając mi pewną myśl.

– Pociąg się zbliża – powiedziałam do Jamiego.

Popatrzył mi w oczy. Zrozumiał.

– Słuchajcie uważnie – powiedział do chłopaków. Słuchali, bo nie mieli wyboru. – Teraz zejdzicie z peronu na tory – ale tak, żeby nie stanąć na trzeciej szynie.

Oczy Stelli rozszerzyły się gwałtownie.

– Nie – powiedziała, wpatrując się w Jamiego. – Nie!

Już jej nie słuchał. Chłopcy podeszli do żółtej linii i napisu kategorycznie zakazującego zbliżania się do torów i tunelu. Zeskoczyli z peronu i stanęli na torach, unikając trzeciej szyny, jak im kazał. Dwa szczury umknęły w popłochu, przeskakując torbę po chipsach i zabłąkaną na torach czerwoną wstążkę, po czym znikły w czeluści tunelu.

– Idźcie za nimi – polecił Jamie, pokazując kierunek. – Wejdźcie do tunelu.

– Jamie, nie możesz tego zrobić – powiedziała Stella drżącym głosem. – Jamie!

Odpowiedziałam za niego:

- Oni postąpili źle.
- Ale nie zasłużyli na coś takiego.
- Tak sądzisz? W takim razie powiedz nam, co myśłą.

Stella znieruchomiała. Obserwowałam, jak się skupia, jak zmieniają się jej rysy, kiedy słuchała głosu ich myśli w swojej głowie.

- Nieważne, co myśłą – powiedziała spokojnie.

Z tonu jej głosu wynikało, że nie podoba się jej to, co usłyszała.

- Myśli nie są czynami.

Ale ja byłam dociekliwa.

- Jamie, możesz sprawić, żeby powiedzieli głośno, co myśłą?

- Spróbuję – powiedział i podszedł do krawędzi peronu.
- Chcemy was usłyszeć, dupki. Wypowiedzcie każdą myśl, która przechodzi przez wasze mózdzki.

Kolejny powiew zmierzwił nam włosy. Piegus obejrzał się przez ramię i krzyknął do Jamiego:

– Wal się!

Blondyn dorzucił swój bluzg.

Widziałam, jak rysy Jamiego stężały.

– Och, proszę dalej – zachęcił. – Powiedzcie mi, co naprawdę czujecie.

– Jesteście pasożytami – powiedział Blondas. – Leniwymi i bezwartościowymi. Powinniście być moimi niewolnikami.

Twarz Stelli straciła wyraz. Głos się jej trząśł, kiedy znów przemówiła.

– To durnie, Jamie. Bezmyślni i głupi.

Jamie stał spokojnie.

– Zabicie tych typów bardziej zaszkodzi tobie niż im – przekonywała. – Poza tym pomyśl o ich rodzinach.

Peron zaczął drżeć pod naszymi nogami. Łomot narastał. Stella powiedziała coś do Jamiego, ale już nie słuchałam. Patrzyłam na tę kobietę. Na Marię.

– Przestań – powiedziała cicho. Tak cicho, że niemal niesłyszalnie. – Puść ich – poprosiła Jamiego.

W tym momencie jego fasada runęła. Nadal był wściekły, ale to był inny gniew. Zimny. Zrezygowany. Wiedziałam, co zaraz usłyszę, zanim jeszcze to powiedział:

– Wyłaźcie stamtąd. Z powrotem na peron. – I dodał, patrząc na nich z obrzydzeniem: – Ona jest lepszym człowiekiem od was.

Maria była lepsza. Jamie też. Ale ja nie.

Byłam pewna, że Jamie nie dałby im zginąć. Chciał ich tylko przstraszyć. A ja chciałam ich zabić. To, co zrobili, nie było karalne, ale było groźne. Któregoś dnia popełnią coś gorszego, skrzywdzą innych niewinnych ludzi. Chciałam ich zatrzymać, zanim do tego dojdzie. Zastanawiałam się, czy mi się uda.

Zastanawiałam się, a tymczasem Piegus wyciągnął pomocną dłoń do Blondasa, żeby pomóc mu wyjść z tunelu. Pociąg nadjeżdżał – widziałam już światło w oddali. Kiedy się zbliży, Blondas zejdzie już z torów. Nie bardzo wiedziałam, czego mam chcieć, co myśleć, a to jeszcze bardziej mnie wkurzało. Nie mogli tak po prostu ująć stąd cało. To było niedopuszczalne.

Piegus zaklął i popatrzył na Blondasa, którego twarz wykrzywił grymas bólu. Z nosa pociekła mu krew.

– Rany, co jest? – krzyknął Piegus, widząc, jak strużka spływa kumpłowi na wargi.

Blondas potoczył wokół dzikim wzrokiem i zacisnął nos w palcach, żeby powstrzymać krwotok.

Stella patrzyła na mnie ze zgrozą.

– Mara.

Jamie też na mnie patrzył. Wiedzieli.

Piegus wywlóknął Blondasa z tunelu i nogi się pod nim ugięły. On też zaczął krwawić.

Stella szarpnęła Jamiego za ramię.

– Jamie, powiedz jej... niech przestanie! Zrób coś!

Maria w przerażeniu zakryła usta i wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.

Pociąg wjechał na stację i wysypała się z niego gromada ludzi. Mały tłumek otoczył Piegusa i Blondasa. Ze zdumieniem zobaczyłam, że wśród tych ludzi jest Maria. Zostawiła Stellę i nas i teraz gorączkowo szukała jakichś służb na stacji, aby pomogli ludziom, którzy niedawno się nad nią pastwili. To mnie poruszyło. Postanowiłam darować tym draniom życie.

Przynajmniej dzisiaj.

Jamie omal nie wyrwał mi ramienia ze stawu, tak szybko ciągnął mnie po schodach do wyjścia. Serce waliło mi w piersi. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, przymknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Musiałam się uspokoić. Nagle coś sobie uświadomiłam.

– Musimy tam wrócić – powiedziałam.

Jamie stanowczo pokręcił głową.

– Nie, Maro.

– Zostawiliśmy zakupy.

Popatrzył na mnie jak na wariatkę, a potem machnął na taksówkę. Za jazdę zapłacił gotówką, którą nie wiadomo skąd miał. Kiedy znaleźliśmy się w Upper West Side, otworzył drzwi domu ciotki i weszliśmy do holu w momencie, kiedy Stella zmierzała na górę. Twarz miała bladą i zapłakaną. Odwróciła się na schodach i popatrzyła na nas.

– Jak mogłaś to zrobić? – powiedziała do mnie.

Nie musiała wyjaśniać. Wiedziałam, o co chodzi.

– Zasłużyli sobie.

Zeszła spokojnie na dół i stanęła przede mną. Zauważyłam cios dopiero wtedy, kiedy zapiekł mnie policzek.

– Chryste, Stella, co cię ugryzło? – spytałam, chwytając się za twarz.

– A ciebie co ugryzło?

– Świat byłby lepszy bez nich – powiedziałam, rozcierając policzek.

– Nie możesz tego wiedzieć. Ludzie się zmieniają.

Powoli pokręciłam głową.

– Nie. Nie zmieniają się. Jesteśmy tym, czym jesteśmy.

– Dlaczego tak krzyczycie? – zapytał Daniel, pojawiając się u szczytu schodów. Zszedł na dół i popatrzył na mnie, a potem na Stellę. – Co się stało?

– Był... mały wypadek – wyjaśnił Jamie.

– Nie czujesz się winna? W ogóle? – krzyknęła Stella, zaciskając pięści przy biodrach.

– Za to, że ich nastraszyłam?

– Za to, że ich dręczyłaś.

Nie, nie czułam się winna. Miałam już dosyć kajania się za rzeczy, które sobie pomyślałam i których chciałam.

– Zmieniłam się – powiedziałam.

Stella zacisnęła usta i pognała na górę, spychając z drogi osłupiałego Daniela. Znienacka zatrzymała się w połowie schodów, spojrzała na naszą trójkę i powiedziała gorzko:

– Myślałam, że jesteśmy lepsi. Myślałam, że jesteśmy dobrymi ludźmi.

Przez chwilę milczeliśmy, aż Jamie odpowiedział spokojnie:

– Nikt z nas nie twierdził, że jest dobrym człowiekiem.

Daniel zmarszczył czoło.

– Ja jestem dobrym człowiekiem.

Ale nie jesteś jednym z nas, pomyślałam.

Mój brat poszedł za Stellą na górę. Pewnie chciał się

dowiedzieć, co się stało. Nie wiedziałam, co mu opowie, ale wiedziałam jedno – nie chcę tego słuchać. I nie chcę myśleć, że Daniel tego słucha.

Usiadłam w salonie. Zrzuciłam buty i podkuliłam nogi na kanapie, spoglądając na swoje odbicie w ekranie płaskiego telewizora. Moja twarz była bez wyrazu, jak pusty talerz. Z tyłu coś się poruszyło. Obejrzałam się i zobaczyłam Jamiego. Stał oparty o framugę. Milczał.

– Ty też jesteś na mnie wściekły? – spytałam martwym, głuchym głosem.

– Wściekły na ciebie? – Wydawał się zdziwiony pytaniem. – Nie. Nie jestem na ciebie wściekły.

Ale stał tam nadal i przyglądał mi się w sposób, którego nie potrafiłam określić – w każdym razie bardzo niemiły.

– Więc o co chodzi?

– Boję się ciebie – odpowiedział i wyszedł.

Pomyślałam, że nie zapomnę widoku Stelli tego popołudnia, kiedy zeszła do holu z torbą podróżną.

Czarne włosy zwisały jej w strąkach na ramiona i coś było nie tak z jej oczami. Widywałam ją wiele razy zmartwioną, wystraszoną czy przerażoną, ale dzisiaj było to coś zupełnie innego.

Jak wcześniej ustaliliśmy, całą czwórką mieliśmy się wybrać na wykład Lukumiego, ale kiedy zeszłam z Danielem na dół i zobaczyłam czerwone, opuchnięte oczy Stelli, poczułam, że nasza drużyna się zmniejszy.

– Wyjeżdżam – oznajmiła Stella, ale w jej głosie brzmiała stal, a nie łzy.

– My też – powiedział Daniel. – Przecież...

– Nie, wyjeżdżam w ogóle – ucięła.

Daniel popatrzył na nią kompletnie zaskoczony.

– Teraz? Kiedy jesteśmy tak blisko...

– Nie jesteśmy – odparła ostro. – Teraz już to wiem.

Wydawało się, że Daniel chce jeszcze coś powiedzieć, ale Stella nie dopuściła go do głosu.

– Nie byłeś tam. Nie widziałeś... – Urwała i rzuciła mi szybkie spojrzenie. – Jeśli nawet na coś liczyłam, teraz już nie liczę.

Przygryzła wargę i wypowiedziała imię Jamiego, nie patrząc w jego stronę.

Tego się nie spodziewałam.

– Ty też? – Głos mi drżał.

Jamie powędrował spojrzeniem ode mnie do Stelli i z powrotem, aż wreszcie po chwili, która zdawała się wiecznością, powiedział:

– Ja chyba najbardziej ze wszystkich chcę wyjaśnić te cholerne sprawy, ale może... Maro...?

– Mara jest chora – powiedział Daniel i nie poprawiłam go, choć uważałam, że nie ma racji. – Potrzebujemy ciebie, żeby jej pomóc. Żeby pomóc nam.

Jamie nie odpowiedział. Po prostu stał nieruchomo, a Stella czekała na niego w drzwiach.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie chciałam w to uwierzyć.

– Trzymajcie się – powiedziała Stella tak cicho, że niemal niesłyszalnie.

Gniew już z niej wyparował i zostało ogromne zmęczenie. Popatrzyła na mojego brata.

– Miło było cię poznać.

– Mnie też. Dokąd się wybierasz?

Stella wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się smętnie.

– Do domu.

Nie chciałam widzieć, jak odchodzi z Jamiem. Przemknęłam obok brata, który mnie nie zatrzymywał, i wpadłam do kuchni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Ona nie jest sobą – usłyszałam głos Daniela.

– Delikatnie powiedziane – mruknął Jamie.

Więc jeszcze tu był.

Po chwili dodał:

– Ona się robi naprawdę straszna, stary.

– Wiem.

– Obawiam się, że nie do końca. Były momenty, że przechodziły mnie ciary, wierz mi.

– Dobrze, więc tym bardziej musimy znaleźć faceta, który jest odpowiedzialny za krzywdę, jaką jej zrobiono. Ten problem da się rozwiązać, ale bez ciebie nie ruszymy.

Dla kogoś z zewnątrz słowa mojego brata mogły brzmieć protekcyjnie, wręcz żądajaco, ale ja słyszałam napięcie w jego głosie.

– Trzeba się zastanowić, co robić w tej sytuacji. – Jamie urwał, po czym wziął głęboki oddech. – Jaki jest plan B?

Po chwili, która zdawała się całą wiecznością, Daniel odpowiedział:

– Nie ma planu B.

Jamie w końcu został. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą, kiedy we trójkę jechaliśmy na Uniwersytet Columbia. Wyjazd Stelli przygnębił wszystkich, choć nie chcieliśmy się do tego przyznać. Jamie był szczególnie rozstrojony. Od czasu ucieczki z Horyzontów ani na moment się nie rozdzielaliśmy. Taka była nasza strategia – jeśli nie będziemy się trzymali razem, zginiemy. Ciągle się zastanawiałam, czy

nie żałuje, że nie odjechał ze Stellą.

I to były moje jedyne żywsze odczucia. Na próżno szukałam w sobie jakiegokolwiek reakcji na to, co się stało na peronie metra. Stale natrafiałam na pustkę. Choć może nie do końca... Zanim się rozcięłam, zanim Stella wydlubała mi implanty, mogłam sobie myśleć, chcieć, nawet żądać – i nic się nie działo. Doktor Kells skutecznie zablokowała mój dar.

Ale później? Teraz?

Znów byłam sobą. Wystarczyło o czymś pomyśleć i już się działo. Przestałam żałować swoich czynów. Tyle czasu straciłam, rozpaczając i kajając się, że jestem inna, bo potrafię wpływać na rzeczywistość, zmieniać siebie. Gdyby wtedy dano mi szansę, natychmiast bym z niej skorzystała i stała się zupełnie inną dziewczyną. O innym imieniu, jak Clara czy Mary – łagodną, milutką, słodką i uśmiechniętą. Wówczas myślałam, że taka mam być, ale to minęło. Tamta dziewczyna umarła razem z Rachel, pogrzebana pod gruzami szpitala, który runął za moją sprawą. I teraz, po raz pierwszy, przestałam za nią tęsknić, serio.

Już nie martwiło mnie, że jestem inna. Nawet nie musiałam wiedzieć dlaczego. Nie potrzebowałam lekarstwa, czy nawet odpowiedzi, choć byliśmy tak

blisko ich uzyskania. Teraz potrzebowałam tylko jednego.

Wiedziałam, że Noah nie zginął – nie tylko tak czułam, ale po prostu wiedziałam. Dlatego byłam gotowa poruszyć niebo i ziemię, aby go odnaleźć. Początkiem tej drogi miał być Abel Lukumi.

*

Daniel przytrzymał mnie za łokieć, kiedy schodziliśmy do metra schodami śliskimi od deszczu. Gdy nie masz nikogo, zostaje ci jeszcze rodzina.

Przeszliśmy za bramki i ogarnął nas charakterystyczny zapach metra – mieszanina woni kawy, ludzkich ciał, papierosów i ryby. Było wpeł do piątej i na peronie stał tłum. Nieśmiały nastolatek dźwigał wiolonczelę w futerale i wyglądał, jakby miał zaraz upaść pod tym ciężarem; dziewczyna o platynowych włosach zaplecionych w koronę miała spodnie z lakierowanej skóry. Jakiś ptak zbłądził do podziemi i dreptał koło okienka informacji, dziobiąc resztki rozpaćkanej kanapki. Ten ostatni widok wywołał we mnie falę niespodziewanego, niepowstrzymanego smutku. Zatrzymałam się nagle, szarpnąwszy Daniela do tyłu.

– Co jest?

Nie odpowiedziałam, bo nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Pokazałam na mały kiosk i brat skinął głową. Puścił mnie, a ja podeszłam, kupiłam kanapkę i pokruszyłam ją dla ptaka.

Duszny, ciepły podmuch zasygnalizował pojawienie się pociągu. Zaczęliśmy się przepychać za jasnowłosą dziewczyną i facetem z dreadami do pasa, trzymającym za rękę małą dziewczynkę, pokrzykującą bez przerwy: „Jestem Spider-Man!”. Jakiś korporacyjny gość z fioletowym znamieniem na twarzy stał na jednej nodze, z drugą zgiętą, oparty o filar i wyjadał słodkie prażone orzeszki z papierowej torby.

Jamie milczał, kiedy mknęliśmy pociągiem przez wnętrze miasta. Ludzie w końcu roztasowali się w wagonie i znaleźliśmy wolne miejsca. Wtedy się odezwał, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć małą, która non stop nadawała, że jest Spider-Manem.

– A co by było, gdyby ktoś w metrze miał wszy? – zapytał.

Para krościatych smarkaczy przerwała pocałunek i spojrzała na niego z niesmakiem.

– Hej, co ty gadasz? – zaniepokoił się Daniel.

– Co by było, gdyby metrem jechał jakiś zawszony

bachor? – ciągnął Jamie. – A wy byście siedzieli obok niego i złapali to świństwo?

– To niesmaczne – stwierdziłam.

Jamie przeciągnął ręką po głowie.

– Zdaje się, że już złapałem.

– Przestań!

Chwyciłam go za łapę i słowo daję, zaczęło mnie swędzieć.

– Nie martw się, Maro – powiedział i pogładził mnie po głowie. – Twoje włosy lśnią i są piękne.

Jednocześnie parsknęliśmy śmiechem. Ulga – to za mało powiedziane, żeby określić, jak się nagle poczułam. Jamie nadal pozostał moim przyjacielem. Może byłam teraz inna, ale nie wyobrażałam sobie życia bez przyjaźni.

Podniesiona na duchu, pozwoliłam myślom dryfować swobodnie i wpatrywałam się w swoje odbicie w oknie pociągu. Było bierne i milczące, a ja czułam się dziwnie spokojna i pogodzona ze sobą. Już miałam przymknąć oczy i zdrzemnąć się, kiedy światła zamigotały i pociąg zaczął hamować ze zgrzytem, aż się zatrzymał.

Mieliśmy wysiąść na następnym przystanku, ale nie było nam to dane.

– Proszę państwa – przemówił z głośników metaliczny głos – nastąpiło chwilowe zakłócenie w ruchu pociągu.

Powiedział coś jeszcze, ale słowa rozplynęły się w szumie.

– Zostaną państwo jak najszybciej wyprowadzeni z wagonu – padło na koniec.

Nowojorczycy w tłumie są nad wyraz spokojni, a przypadkowy tłumek w naszym wagonie nie był wyjątkiem. Starsza Azjatka trzymała za rękę ślicznego chłopczyka w niebieskiej kurteczce; mały mówił do niej coś spokojnie po angielsku, a ona odpowiadała mu w jakimś dziwnym języku, może po chińsku? Obok nich zmęczona mamuśka z dwójką dzieciaków, wyrywających się w przeciwne strony, upuściła torbę z zakupami i jabłka potoczyły się po podłodze jak kule bilardowe. Nikt nie krzyczał. Nikt nie panikował. Przynajmniej do momentu, w którym zgasły światła.

Z początku zapadła cisza, a potem zrobił się hałas. Ludzie gadali, jakieś dziecko płakało. Wagon nie był kompletnie ciemny, gdyż w sąsiednich zapaliło się awaryjne oświetlenie. U nas nie działało.

– Ciągłe się zdarzają takie rzeczy – utyskiwał Jamie. Twarz miał podświetloną widmową poświatą z okna. – Powinni coś z tym zrobić.

Nagle brzdęknął melodyjny sygnał i Daniel aż podskoczył. Czyjaś komórka sygnalizowała nadejście esemesa. Obcy głos wypowiedział moje imię.

– Mara Dyer?

Właścicielką głosu okazała się dwudziestoparoletnia dziewczyna z przetyczkami w uszach, kolczykiem w nosie i toną szalonych kręconych włosów na głowie. W jednej ręce miała książkę z zielonym drzewem na okładce – tytułu nie mogłam dojrzeć – a w drugiej ścisłała komórkę.

– Kto tu jest Marą Dyer? – dopytywała się.

Daniel i Jamie przewiercali mnie z dwóch stron spojrzeniami. W wagonie zrobiło się duszno i moje myśli zwolniły.

– No... ja – przyznałam, zanim Jamie zdążył mnie uciszyć.

Wszyscy patrzyli, jak Kudłata podchodzi do mnie i podsuwa mi telefon.

– Ktoś ci przysłał wiadomość – powiedziała.

– Nie znam cię.

– Ja też cię nie znam. Ale temu komuś to nie przeszkadza. – Zrobiła gest telefonem. – Sama zobacz.

Próbowałam, ale poczułam, że Jamie i mój brat zamknęli mnie w uścisku.

– To jest zła wiadomość – powiedział Daniel. – Zła.

Wyszarpnęłam się i wzięłam od dziewczyny komórkę.

MAM TO, CZEGO CHCESZ.

Pod spodem było zdjęcie Noaha. Nie mogłam odgadnąć, gdzie jest i co robi; było tylko zbliżenie twarzy. Ale widziałam Noaha, żywego i całego. Obok leżała gazeta z dzisiejszą datą.

– Oddasz mi telefon? – spytała Kudłata.

Zignorowałam ją.

– Zapytaj, kto to jest – podsunął Jamie.

– Myślisz, że on odpowie? – Daniel był sceptyczny.

– Skąd wiesz, że to on?

Daniel przewrócił oczami.

– Po prostu wiem.

„Kim jesteś?” – odpisałam. Po chwili komórka dziewczyny zawibrowała sygnałem.

CZY TO WAŻNE? OTWÓRZ DRZWI POMIĘDZY WAGONAMI I WYJDŹ. BRAT I KUMPEL NIECH LEPIEJ NIE IDĄ ZA TOBĄ, BO COŚ IM SIĘ MOŻE STAĆ.

– To pułapka – powiedzieli jednocześnie Daniel i Jamie.

– Hej! – Kudłata zaczęła się irytować. – Daj ten telefon.

Jamie popatrzył na nią i powiedział dobitnie:

– To nie jest twój telefon. – Fałda przecięła jej czoło, a oczy nabrały nieprzytomnego wyrazu. – Swój zgubiłaś na torach.

– Zgubiłam? – zapytała niepewnie, spoglądając na Jamiego i na komórkę w mojej dłoni.

– Tak. A teraz spylaj. – Przegonił ją gestem. – Sio!

Kiedy odeszła, wstałam.

– Maro, daj spokój – poprosił Jamie.

– Nie pójdziesz tam – dodał Daniel, kręcąc głową.

– Oczywiście, że pójdę.

Głośnik znów zaszumiał, ale nic nie powiedział i nadal nie było światła. Daniel i Jamie mieli rację. Jak cholera. Ale dla mnie liczyło się tylko, że Noah żyje i że muszę sprawić, żeby żył dalej. I żeby Jamie i Daniel także żyli.

– Siostrzyczko, bardzo cię Kocham i gotów jestem pójść za tobą w ogień, ale nie mam ochoty eksplorować dla ciebie trzewi transportu miejskiego w Nowym Jorku. Nie każ mi tego robić, proszę.

– Nie tylko, że ci nie każę, to jeszcze ci zakażę – odpowiedziałam, chwytając wajchę drzwi pomiędzy wagonami.

– Nie zatrzymasz mnie – powiedział Daniel.

Jamie złapał się za głowę. Gdyby miał włosy, rwałby je.

– Maro, do licha, już przez to przechodziliśmy.

Otworzyłam drzwi i zstąpiłam w ciemność.

– Owszem – odpowiedziałam. – I jakoś to przeżyłam.

- Zależy, jak definiujesz słowo „przeżyłam”.
- Posłuchajcie – powiedziałam do Daniela i Jamiego – czego waszym zdaniem najbardziej należy się bać w tych tunelach? Szczurów? Ludzi kretów?
- Złowieszczego umysłu, który zastawia na ciebie pułapkę? – zasugerował Jamie.
- Błąd. Najbardziej przerażającą rzeczą w tych tunelach jestem ja.

Komórka dziewczyny znów dała sygnał.

PRZEJDŹ DO KOŃCA POCIĄGU I IDŹ DALEJ, DO TRZECIEJ NISZY Z DRZWIAMI.

Wagony zdawały się ciągnąć w nieskończoność, ale parłam przed siebie, brodząc w miniaturowym, pełnym śmieci strumyku pomiędzy szynami. Papiery unoszone ruchem powietrza fruwały pomiędzy lśniącymi od wilgoci ścianami tunelu, pomazanymi graffiti. Puls mi przyspieszał, w miarę jak zbliżałam się do końca pociągu, ale nie ze strachu. Naprawdę wierzyłam w to, co powiedziałam Jamiemu i Danielowi. Wierzyłam w siebie. Chciałam znaleźć Noaha i ukarać tego, kto mi go zabrał.

- Mara? – Głos Daniela zadudnił w tunelu.

Poczułam ukłucie paniki.

– Gdzieżeś ty, Maro przeklęta? – To Jamie.

– Nie pytaj „gdzie”, tylko „dlaczego” – odpowiedział mój brat. – Tak sobie tylko gadam – dodał.

– Zawróćcie! – krzyknęłam odruchowo i natychmiast skłęłam się za to.

Nie dlatego, że zdradziłam swoją pozycję tajemniczemu nadawcy esemesów, tylko że zdradziłam ją bratu. Marco Polo była jego ulubioną grą.

– Nie ma mowy! – odkrzyknął Daniel. – Jestem twoim starszym bratem i mam obowiązek cię chronić!

Jakiś cień oderwał się od ściany, ujawniając kształt postaci, którą znałam i której się spodziewałam od momentu, kiedy przeczytałam pierwszą wiadomość. A właściwie wcześniej, kiedy ta dziewczyna w wagonie wypowiedziała moje imię.

– Nie zrób im krzywdy – powiedziałam do Jude’a. – Proszę.

– Nie chciałem – odpowiedział i walnął mnie w twarz.

49
WCZEŚNIEJ
Cambridge, Anglia

Ktoś bez pukania otworzył drzwi gabinetu Profesora, wpuszczając do wnętrza smugę szarego światła.

W drzwiach stanęła dziewczyna, ale nie weszła. Była na wpół skryta w cieniu, ale nie musiałam jej widzieć, żeby wiedzieć, kim jest.

Profesor, nie przerywając pisania, uniósł do ust szklankę z bursztynowym płynem i pociągnął łyk.

– Wejdz, Naomi.

Naomi Tate wparowała do środka, przynosząc zapach deszczu i aurę nerwowości. Trzasnęła drzwiami, aż zadrżała framuga i parę liści, które przylgnęły do jej płaszcza, sfrunęło na podłogę.

– Nie za wcześnie na drinka, Profesorze? – rzuciła, zdejmując płaszc.

– Raczej trochę za późno – odpowiedział, nie unosząc głowy i nie przerywając pisania.

Włosy Naomi były zmierzwione i zmoczone. Podchodząc do biurka, szybkim ruchem zwinęła je w luźny węzeł na karku. Cienkie, jasne kędziory wiły się wokół jej czoła i skroni, otaczając twarz delikatną aureolą. Twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi i długim, arystokratycznym nosem. Naomi była piękną tą rzadką urodą, która przyciąga uwagę w szczególny sposób. Znałam ją od roku, ale ciągle patrzyłam na nią z nowym zachwytem, jakbym widziała ją po raz pierwszy.

Jednak dzisiaj było w niej coś innego. Wyprostowałam się w swoim skórzanym, zniszczonym fotelu. Zawsze w nim siadywałam; był dla mnie wyspą w chaosie profesorskiego gabinetu w Cambridge. Wciągnęłam powietrze nosem. Zapach tego pokoju był znajomy – woń starych książek, skóry i pleśni; kolendra i piżmo – to Profesor; cedr – Naomi. I coś jeszcze, coś...

– Co mogę dla pani zrobić, pani Shaw? – zapytał i pociągnął kolejny łyk.

Pani Shaw... Ciągle zapominałam, że była teraz panią Shaw. Wyszła za wnuka Elliota. Ostatni raz widziałam go, kiedy miał osiem lat i ciskał po pokoju zabawkami i książkami, bo nie mógł znaleźć tych, których szukał. Słabo znałam jej męża, ale miałam wrażenie, że David Shaw niewiele różni się od tamtego niezdolnego

bachora.

Naomi nie raczyła odpowiedzi i wyraźnie pokazywała, że nie zależy jej na jego uwadze. Chciała, żeby to on starał się nawiązać kontakt. Kochałam ją za to.

Po kilkunastu sekundach odłożył wreszcie notes i spojrzał na nią. Usta rozciągnęły mu się w uśmiechu.

– Jesteś w ciąży – powiedział wreszcie.

Odgłos gwałtownie wciąganego powietrza. Mój odgłos.

– Od kiedy?

Nie odnotowałam, że Profesor podniósł się zza biurka; kiedy zaczął mówić, już stał.

– Wcześniej – powiedział, zbliżając się do Naomi w paru płynnych krokach. – Jakies dwa tygodnie?

Milczała, ale skinęła głową. Potarła palcem sęk w blacie starego biurka. Była nerwowa, ale usiłowała się uśmiechać.

Wypuściłam powietrze, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech.

– Może to jednak pomyłka – powiedziałam do Profesora. – Może...

– Nie – powiedziała stanowczo. – To nie pomyłka.

Profesor musnął palcami podbródek.

– Mogę? – zapytał, pokazując na jej płaski brzuch.

Naomi kiwnęła głową.

Profesor podszedł i stanął przy niej. Zauważyłam, że jej mięśnie napięły się w oczekiwaniu, a niebieskie oczy wpatrzyły się w podłogę, kiedy sięgał do niej. Kiedy przytknął płasko dłoń do dołu jej brzucha, drgnęła, jakby chciała się cofnąć. Drobnym, prawie niedostrzegalnym odruchem, który usiłowała ukryć. Jeśli uraziła Profesora, nie pokazał tego po sobie.

– Trzy piętnaście – powiedział i cofnął dłoń. Naomi odprężyła się momentalnie. – Mówi ci to coś?

Policzki jej poczerwieniały i znów przesunęła palcem po biurku.

– Dzień, w którym zaszłam, tak myślę. Piętnasty marca.

– Czy David wie? – zapytał szybko.

Naomi pokręciła głową.

– Jeszcze nie – odpowiedziała i przełknęła ślinę. Spojrzała na Profesora. – Tobie pierwszemu chciałam o tym powiedzieć.

– Dzięki. – Profesor krótko skłonił głowę, po czym pochylił się nad biurkiem i wrócił do pisania. – Wolałbym, żebyś na razie mu o tym nie mówiła, dobrze, Naomi?

– Oczywiście – odparła i przewróciła oczami.

– Będziesz miała chłopca, wiesz?

Całe poirytowanie wyparowało z niej w jednej chwili. Uśmiech uniósł kąciki ust.

– Chłopca – powtórzyła, jak gdyby wymawiała to słowo po raz pierwszy w życiu. – Widziałeś go?

Profesor zawahał się na moment.

– Tak.

– Powiedz mi o nim wszystko – poprosiła, a twarz jej pojaśniała.

– Nie wiem wszystkiego – odparł. – Ale wiem, że będzie

miał twój uśmiech.

Odruchowo przyłożyła dłonie do brzucha.

– Nie mogę uwierzyć, że to już się dzieje.

– Tak, już się dzieje. – Profesor liczył na nią, na tę ciążę i ja również. – Temu chłopcu pisana jest wielkość. Dzięki tobie zmieni świat.

I przez niego Naomi umrze. To miała być jej dobrowolna ofiara. Profesorowi było to obojętne; nie on namówił na nią Naomi, lecz ja. Również potrzebowałam tego dziecka, ale śmierć jego matki byłaby dla mnie łatwiejsza do przyjęcia, gdyby Naomi była tylko obcą osobą, abstrakcją. Jednak znałam ją i dręczyło mnie poczucie winy. Zaprzyjaźniłam się z nią i namówiłam, wiedząc jednocześnie, iż wszystkie możliwe warianty jej losu wskazują, że nie przeżyje życia z tym dzieckiem. Miesiącami prześladowała mnie wizja tej spodziewanej śmierci. Śniła mi się Naomi powieszona na belce w stajni, z bosymi stopami i nienaturalnie wygiętym ciałem, gdyż szarpnięcie sznura złamało jej kręgosłup. Śniło mi się, że odłamek szkła przebija jej pierś w chwili wypadku samochodowego i Naomi umiera, dławiąc się własną krwią. Śniło mi się, że zostaje zamordowana, utopiona, pogrzebana żywcem pod gruzami zawałonego budynku.

Nie wiedziałam, kiedy to się stanie, ale wiedziałam, że to nastąpi.

Kiedy miała brać ślub, nie mogłam się powstrzymać, żeby jeszcze raz jej nie ostrzec. Powiedziałam jej, że stanie się męczennicą, rodząc to dziecko.

„Każdy dar ma swoją cenę” – odpowiedziała mi.

Dzisiaj zobaczyłam, że zaczyna już tę cenę płacić. Na jej twarzy nie było widać emocji przyszłej mamy, wyczekiwania i zachwytu, czy nawet miłości. Przypominała raczej dziecko, któremu powiedziano, że za moment wyruszy na wielką wyprawę, i które już nie może się doczekać.

Niecierpliwie kiwała się na piętach.

– Szkoda, że muszę na niego czekać całe dziewięć miesięcy – powiedziała.

– Urodzi się w stosownym momencie. Bądź cierpliwa.

– Kiedy powinnam powiedzieć Davidowi?

– Powiem ci przy naszym następnym spotkaniu.

– Kiedy to będzie?

– W przyszły czwartek. Ty, Mara i ja spotkamy się w laboratorium i zobaczymy, jak to wszystko przebiega, dobrze?

– Skoro tak mówisz...

– Świetnie. W takim razie widzimy się za tydzień. Miłego dnia, pani Shaw – powiedział, kiedy Naomi szła do wyjścia. – I gratulacje.

Obejrzała się przez ramię.

– Nie mów do mnie „pani Shaw” – powiedziała z pretensją. – To mnie postarza.

Cień uśmiechu przemknął po ustach Profesora i za Naomi zamknęły się drzwi.

– Cięża będzie dla niej trudna – powiedział do mnie cicho, odprowadzając ją wzrokiem.

– Ale dziecko przeżyje? – upewniłam się.

– Tak, oczywiście.

– A Naomi? – zapytałam po chwili.

– Nie umrze przy porodzie.

Nie o to pytałam i oboje o tym wiedzieliśmy.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam ciemność. Nic nie widziałam, ale czułam się mała i samotna w wielkiej zamkniętej przestrzeni, jakbym była w jaskini. Bardzo wysokiej – tak przestronnej, że chciałam podkulić nogi i objąć je rękami, ale nie mogłam. Byłam spętana. A jednak nie bałam się; czułam się zdystansowana, wycofana. Powinnam być drżąca i przerażona, a tymczasem moje myśli były chłodne, wykalkulowane.

Dopóki nie przypomniałam sobie brata, który wołał mnie w ciemnościach.

Mój wzrok stopniowo się wyostrzał i zaczęłam się rozglądać na tyle, na ile mogłam. Znalazłam się w czymś, co przypomniało przemysłowy magazyn czy halę. Gdzieś było źródło światła, ale nie zdołałam go zlokalizować. Mrugałam raz po raz, żeby widzieć dokładniej. Spękany, brudny betonowy sufit zmaterializował się nade mną wraz z rzędami wysokich, zarośniętych brudem okien. Wszędzie wokół widziałam sylwetki setek, może nawet tysięcy ludzi.

Nie. To nie byli ludzie, tylko manekiny. Albo ich części. Armia bezgłowych torsów stojących na baczność, ciągnących się szeregami w głąb wielkiej sali ginącej

w mroku. A obok stopy plastikowych rąk, ubranych torsów i gałek ocznych, szare i zakurzone.

Ale nie było tu Daniela, a przynajmniej go nie widziałam. Wiedziałam, że nie jestem sama, lecz mogłam mieć nadzieję, że Jude porwał tylko mnie. Modliłam się do Boga, w którego nie wierzyłam, żeby właśnie tak było.

– Pewnie się zastanawiasz, gdzie jesteś – przemówił jakiś głos.

Głos dziwnie znajomy, dźwięczny i władczy, którego nigdy przedtem nie słyszałam. Doszedł mnie odgłos zbliżających się kroków, ale dopiero po chwili moje oczy wychwyciły ruch. Jakaś postać sunęła pomiędzy manekinami. Była równie smukła i wysoka jak one i jawiła mi się coraz bardziej wyraźnie – aż stała się mężczyzną ubranym w ciemny garnitur.

Miał szaroniebieskie oczy Noaha, ale nie był Noahem. A za nim stał Jude.

– Tak się złożyło, że nie zostaliśmy sobie wcześniej przedstawieni – powiedział do mnie mężczyzna.

Siateczka zmarszczek rozchodziła się w kącikach oczu, kiedy się uśmiechał, a nieznaczące wygięcie ust podkreślało dołki w policzkach. Rysy miał wyraziste,

arystokratyczne.

– Nazywam się David Shaw.

Język uwiązał mi w gardle, a myśli rozproszyły się, zanim zdążyły przesłać mu sygnał. Słyszałam o ojcu Noaha, ale nigdy go nie poznałam – a teraz stał przede mną. On mnie tu ściągnął.

On!

Przypatrywał mi się życzliwie, niemal ze współczuciem, jakby obok niego nie stał Jude, sadysta i mój dręczyciel. Jak gdyby to nie on był zleceniodawcą tortur, które wykonywali w Horyzontach Wayne i Kells, jego posłuszni słudzy.

Byłam tak otumaniona szokiem albo jakimiś środkami, że mogłam tylko wpatrywać się w niego i w Jude'a. Ale to nie był już ten sam Jude co dawniej. Znikła gdzieś arogancka pewność siebie, jaką prezentował wtedy na przystani, gdy kazał, żebym pocięła sobie przeguby. Nie widziałam też śladu furii, która kipiała w nim w ogrodzie zen w Horyzontach, kiedy pastwił się nad moimi przyjaciółmi, Noahem i nade mną. Szeptał coś do siebie. Mamrotał. Nie mogłam rozróżnić słów.

– Boisz się – powiedział do mnie David Shaw.

Nie. Już się nie bałam.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że tak się stało. Miało być inaczej.

I będzie inaczej. Nie zabiję go od razu jak innych. Będę go długo torturowała, tak jak on mnie.

Nie musiał mi już wyjaśniać, dlaczego to robił. Nie byłam ciekawa. Zależało mi tylko na jednym, ale moje usta nie mogły wypowiedzieć słowa bez zezwolenia Davida Shawa. Znałam to uczucie. Naszpikowano mnie anemozyną, cudowną bronią doktor Kells.

– Czy Noah wiedział?

Głos miałam wysilony, chrapliwy i nie byłam pewna, czy mnie słyszy. Jednak słyszał, bo w niedowierzaniu uniósł brwi.

– Zastanawiasz się, czy cię zdradził? – Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek. – Jak mało mu ufasz!

Jakby dla podkreślenia tego wykrzyknienia rozległ się metaliczny szcęk, a potem odgłos zbliżających się kroków.

– O wilku mowa... – dodał David i zza jego pleców wyłonił się Noah.

51
NOAH

Wlokę się za moim ojcem, kątem oka odnotowując obecność plastikowej armii bezrękich, bezgłowych manekinów, która nas otacza. Jakby zeszywniały na mój widok, zamarły, usłyszawszy zbyt głośne kroki. Sceneria jak z horroru. Niezłe.

Stawianie kroków wymaga wysiłku, podobnie jak myślenie, co jest bardzo niefortunnym zbiegiem okoliczności. Moje widzenie jest dziwnie tunelowe, ograniczone. Wydaje się, że jesteśmy w dużej hali magazynowej, zapewne od dawna nieużywanej, sądząc po stopniu zaniedbania. Tynk odpada płatami od brudnych, kiedyś białych ścian, wysokie okna są zalepione brudem, i tak dalej. Po drodze widzę tablicę BHP z napisem MAGAZYN: OSTROŻNIE Z OGNIEM. Ale jakiś dowcipniś zamazał niektóre litery i zostało: MA.... TRON... Z OGNIEM. Marze by się to podobało.

Jej imię, raz pomyślane, odblokowuje coś w moim umyśle, uwalnia śmiech z gardła. I nagle ją widzę.

Ale to nie jest Mara – albo raczej nie jest to Mara, jaką pamiętam, o sprawnych, szybkich palcach umazanych

grafitem, o ustach, które nie potrafią się zdecydować, czy mają zakłąć, czy się uśmiechnąć, i oczach, które nie mówiły mi nic o niej, za to wszystko o mnie.

Kiedy ostatni raz widziałem tamtą Marę, siłowała się z naporem Jude'a, który trzymał ostrze na jej bezbronnym gardle. Och, nie, to nie był ostatni raz. Jest jeszcze migawkowe ujęcie zarejestrowane przez mój mózg: rozmazany obraz Mary przypierającej Jude'a do ściany, niemal wciskającej go w ścianę, duszącej jego gardło rękami. Pamiętam, co było wcześniej. Mara zaczęła jako ofiara, a potem nie dała mu szans.

Ale to nie była zielona noc popieprzonych nastolatków z Horyzontów. Coś dziwnego przenikało atmosferę, aż powietrze falowało i opalizowało. Pamiętam swój głos, kiedy krzyczałem do niej, przekrzykując zarazem szum własnej krwi w uszach i swój chrapliwy oddech, coraz bardziej ogłuszony, aż pociemniało mi w oczach i mój świat przestał istnieć.

Bóg jeden wie, ile minut, godzin lub dni spędziłem potem w ciemności, budzony i zmuszany do jedzenia przez jedną lub więcej osób w lekarskich rękawiczkach, których twarze rozmazywały się w białe plamy – a potem znów pochłaniał mnie mrok nieświadomości, jakby czarny, wilgotny jęzor wpychał mnie z powrotem do jej gardła. Praktycznie nic z tego nie pamiętałem – aż

do dzisiaj, kiedy w drzwiach pojawiła się twarz mojego ojca. „Jesteś już bezpieczny” – powiedział i – o cudzie! – wyprowadził mnie na świat. Na moment oślepił mnie widok nieba, dopóki nie stwierdziłem, że ma kolor skisłego mleka. Ojciec coś do mnie mówił, zapewniał mnie o czymś, ale miałem trudności ze zrozumieniem. Próbowałem wykrzesać z siebie odrobinę wdzięczności wobec niego, podziękować za odzyskaną wolność, ale nie czułem absolutnie nic.

Dopóki nie wymówił jej imienia.

Powiedział, że odnalazł ją w ten sam sposób, w jaki odnalazł mnie. I że Mara potrzebuje pomocy, której tylko ja mogę jej udzielić – czy zatem zechcę z nim pójść?

Poszedłbym wszędzie, z każdym, byle znów zobaczyć dziewczynę, którą kocham. To jasne.

Dziewczyna, którą widzę przed sobą, nie do końca wygląda jak ona. Jest inna w sposób, którego nie potrafię określić, wykraczający poza jej chudość, nadający jej nową postać. Gdyby zdjąć z niej ten wypłowiały T-shirt (jeden z moich, z rozerwanym dołem), żebra i kręgi sterczałyby jej jak dawniej, a obojczyki mogłyby ciąć szkło. Ale nie wygląda już blado i niezdrowo, tak jak zaczęła wyglądać przed

Horyzontami. Na policzkach ma zdrowe kolory, a jej wzrok rozpalają emocje, których nie umiem określić. I jest coś jeszcze, coś więcej niż zmiana w twarzy i w ciele. Patrzę na nią i czuję się jak ktoś, kto ogląda dom, w którym kiedyś mieszkał, i widzi, że został odmieniony przez nowych, obcych właścicieli. Mara jest związana i bezbronna; Jude, ten chodzący ludzki horror, stoi nad nią, a ona wcale nie wygląda jak dama w opresji. Przeciwnie, wygląda jak smok. Stoję, oszołomiony i zdezorientowany poczuciem, że nie znam tej osoby. Wtedy wypowiada moje imię.

Dźwięk jej głosu natychmiast rozmraża mój mózg i krew pulsuje gorącem w moich żyłach. Ignoruję obecność Jude'a – później załatwię go z jej pomocą. Nogi same niosą mnie do mojej dziewczyny. Klękam przy niskim stole, na którym leży, i sięgam po nią, ale coś mnie powstrzymuje. Nie Jude. Nie ojciec. Moja dłoń zwija się w pięść i opada bezwładnie, kiedy dziwny, obcy głos we mnie szepcze: „Nie”.

Spoglądam na Marę, oczekując odpowiedzi na pytanie, którego nie zadałem. Zamiast tego mówi:

– Więc jesteś.

Ale słyszę w jej tonie: „Gdzie byłeś?”.

Serce by mi pękło, gdyby nie wypełniło się nagle radością. To jest jej głos. Nie zmienił się.

Ojciec wszystko psuje, mówiąc:

– Marze powiedziano, że Horyzonty się zawaliły.

Spoglądam na niego, nic nie rozumiejąc.

– Dlaczego?

– Dla twojego bezpieczeństwa.

– A co miałyby mi grozić?

– Ona.

Mara milczy przez chwilę, mrugając powiekami przykrytymi długimi rzęsami, które okalają szeroko otwarte, wielkie oczy. Każdy inny uznałby, że jej wzrok jest niewinny.

– Nigdy bym go nie skrzywdziła.

Mój ojciec mierzy ją spojrzeniem bez wyrazu.

– Już to zrobiłaś.

Noah nie był ranny ani chory. Był cały i zdrowy.

Był tutaj.

Omal nie udławiłam się własnym oddechem, kiedy go zobaczyłam – a kiedy usłyszałam jego głos, myślałam, że się rozplnę. Gdybym stała, kolana by się pode mną ugięły.

Miał na sobie nowe, niewyblakłe dżinsy i T-shirt, też nienormalnie nowy. Ubranie zwisało na jego wychudłym ciele. Ukląkł obok stołu i obejrzał moje ręce.

– Masz coś, czym mógłbym to przeciąć? – zapytał ojca.

Zamrugalam z niedowierzaniem, widząc, jak ojciec Noaha wyjmuje coś z nylonowej torby leżącej na stole. Wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć, co to jest.

Nóż.

– Tak – wymamrotał Jude. – Tak.

Całe ciepło i radość, jakie ogarnęły mnie na widok

Noaha, znikły. Coś tu się działo, ale nie wiedziałam co.

Noah musiał myśleć to samo. Przeciął zaciski z twardego plastiku, krępujące moje ręce i nogi, a David i Jude nawet nie drgnęli. Co jest grane? O co im chodzi?

Moje członki były zdrętwiałe i słabe; wiedziałam, że w najbliższym czasie nie będę mogła wstać, a tym bardziej uciec. Ale mogłam przynajmniej usiąść. Noah mi pomógł.

– Co ci zrobili? – zapytał, ściskając mnie za barki i podciągając w górę, żebym mogła się oprzeć o ścianę.

Roześmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać; śmiech wykipiał mi z gardła. Jak miałam krótko odpowiedzieć na to pytanie?

Noah odwrócił się ode mnie, zaciskając szczęki.

– Kto jej to zrobił? – Wbił wzrok w Jude'a. Głuchym głosem spytał ojca: – Dlaczego on tu jest?

David wyjął z torby dużą kopertę.

– Powiedziałem ci dzisiaj, że potrzebuję cię, abyś jej pomógł – oznajmił.

Miałam ochotę splunąć mu w twarz.

– Oto dlaczego.

Wyjął z koperty parę kartek. Och, nie kartek. Zdjęć. Fotografii. Kolorowych. O wysokiej rozdzielczości.

– Wayne Flowers, lat czterdzieści siedem. Mara poderżnęła mu gardło i zabrała sobie jego oko na pamiątkę.

Na twarzy Noaha nie drgnął nawet jeden mięsień. Spojrzenie miał beznamiętne.

– Deborah Susan Kells, lat czterdzieści dwa, zmarła na skutek kilkunastu ciosów zadanych jej przez Marę uzbrojoną wyłącznie w skalpel. Robert Ernst, lat trzydzieści trzy, osierocił dwoje dzieci. Jego także zadźgała skalpelem. Ciało Ernsta w stanie daleko posuniętego rozkładu znaleziono na rzadko używanym przydrożnym parkingu na Keys.

Noah nie szukał u mnie wzrokiem potwierdzenia, tylko wziął ze stołu zdjęcie doktor Kells i popatrzył na ojca.

– Znasz ją? – zapytał. – Czy wiesz, co zrobiła Marze? I mnie?

Uderzyło mnie, jak mało Noah wie. To mnie przerażało.

– Tak – odparł David.

„Bo ją wynajął” – chciałam powiedzieć. Żałowałam, że nie mogę wstać, chwycić go za koszulę i potrząsnąć, a potem oświecić Noaha, żeby wiedział i żeby zrozumiał. Ale środki, którymi naszprycował mnie David, nie pozwalały mi tego zrobić.

– Czy... czy wiesz o mnie? – zapytał chłodno Noah.

– Twoja matka ukrywała to do końca, ale odkryłem wszystko po jej śmierci. Właśnie z twojego powodu zostaliśmy wybrani.

– Do czego?

– Aby zostać twoimi rodzicami.

David zamknął oczy, a kiedy je otworzył, na jego twarzy pojawiła się zimna furia.

– Człowiek, którego nazywasz Lukumim, a którego ja znam jako Lenaurda, manipulował twoją matką, zwerbował ją, a potem wyswatał nas ze sobą, żebyśmy się rozmnażali. Byłeś zaplanowany, Noahu. Wyprodukowany.

Noah dosłownie emitował frustrację.

– Po co?

- Żeby zostać Bohaterem – wyjaśnił David, patrząc na Noaha, jakby syn był jego największą porażką w życiu.
- Aby zabić smoka. Ale ty się w nim zakochałeś.

53
NOAH

Czy ojciec wini mnie za stratę mamy? Czy znienawidził mnie z powodu ciągłych rozczarowań? Chyba już nigdy się nie dowiem.

– A myślałem, że terapia elektrowstrząsami to wymysł zeszłego wieku. – Tyle na razie jestem w stanie skomentować.

Ojciec nie poznaje się na moim dowcipie.

– Od początku chciałem dla ciebie jednego, Noah, tego, czego wszyscy rodzice dla swoich dzieci: żebyś był zdrowy i normalny. Tymczasem sam byłem powodem, dla którego się taki nie stałeś. Twoja matka i ja byliśmy nosicielami genu, który uczynił cię wybrykiem natury, choć u nas ten gen się nie manifestował.

Wybryk natury, dobre. Chce mi się śmiać.

– Dobra – mówię. – Świetnie. Od kiedy o tym wiedziałeś?

– Twoja matka zostawiła dokumenty, listy. – Jego głos jest beznamiętny. – Początkowo nie wierzyłem w to

wszystko. Uwierzyłem, kiedy miałeś osiem lat.

Gorączkowo przeszukuję pamięć, ale nic nie kojarzę.

– Wdrapałeś się na wysoką szafkę, kiedy twoja niania na moment wyszła do łazienki, i skoczyłeś w dół. Pękła ci czaszka. Szalałem z rozpaczy.

Krótki błysk uśmiechu przemyka przez jego poraną twarz i nagle w moim umyśle materializuje się obraz dziecięcego pokoju, wysokiego, wyłożonego ciemną boazerią. Podłoga miała intarsjowane wzory. Wdrapałem się na wysoką szafkę, żeby lepiej je widzieć, a kiedy tam stanąłem, ten geometryczny rysunek nagle stał się przestrzenny i zachciałem w nim zanurkować, więc skoczyłem jak do wody.

– Zawiozłem cię do szpitala, ale kiedy tam dotarliśmy, twoja rana już się prawie zablizniła. Zatrudniłem prywatnie lekarza, żeby nad tobą czuwał; dopilnowałem, żeby zrobiono ci tomografię, rezonans, badania krwi – ale nic nie wykazały. Byłeś idealnie zdrowy. – Ojciec opowiada to z gorzkim uśmiechem. – Jednak od tego czasu ciągle miałeś jakieś urazy. Nie, inaczej – sam je prowokowałeś – dodaje z nienawiścią.

Mam ochotę go walnąć.

– Kiedy miałeś dziewięć lat, złamałeś nogę.

Zgadza się. Skoczyłem z dachu naszego domu letniskowego, żeby sprawdzić, czy mogę latać.

– Zostałeś ukąszony przez żmiję w czasie wycieczki do Australii, kiedy miałeś dziesięć lat.

Odkryłem tego węża pod kupą liści i postanowiłem, że będę go hodował.

– Dwanaście lat – złamana ręka.

Po sprzeczce z ojcem, kiedy walnąłem pięścią w ścianę.

– Poparzenia w wieku trzynastu lat.

Podpaliłem ogród, który kiedyś stworzyła mama, a który mój ojciec kochał bardziej niż mnie.

– Pierwszy raz pociąłeś się, kiedy miałeś piętnaście lat – ciągnie bezlitośnie.

Kiedy miałem dosyć.

– A w międzyczasie było palenie, picie, narkotyki – wprawki w niszczeniu życia, które zapewniliśmy ci z matką.

Refren, który słyszałem do znudzenia.

– Psychologowie i psychiatrzy twierdzili, że winna jest trauma, jakiej doznałeś w chwili śmierci matki. W wieku pięciu lat byłeś już za duży, żeby zapomnieć i...

To prawda.

– A jednocześnie za mały, żeby o tym rozmawiać.

Nieprawda. Nikt nie próbował ze mną rozmawiać.

– Dlatego zwróciłeś się przeciwko światu, przeciwko mnie, przeciwko sobie. Twoja matka poświęciła życie, żebyś się urodził, a ty plujesz na jej pamięć.

Na szczęście z jego oczu znikł ten maniackalny błysk, ale i tak jest straszny. Chyba nigdy nie widziałem go tak wściekłego. To w pewnym sensie fascynujące.

Milknij na chwilę, żeby się pozbierać, i wyciąga z kieszeni chustkę. Mój Boże, wyciera sobie kąciki ust. I kontynuuje:

– Po śmierci Naomi długo nie mogłem nawet spojrzeć na jej rzeczy. Trudno mi było też patrzeć na ciebie, taki byłeś do niej podobny. Ale wreszcie się zmusiłem. Opisała wszystko: co zrobiła, kim ty jesteś i jaki się staniesz. Nic dziwnego, że psychologowie i psychiatrzy byli bezradni! – Z niesmakiem kręci głową. – Nie mieli szans, żeby choć w przybliżeniu zdiagnozować twoją

przypadłość. Dlatego zatrudniłem Deborah Kells.

W miarę jak mój ojciec wyjaśnia swoje zaangażowanie w spisek, który zrujnował życie mojej miłości i pośrednio moje, uświadamiam sobie, że powinienem żywić głębokie poczucie zdrady. Może nawet słusznego gniewu. Szok, obrzydzenie, chęć zemsty – każde takie uczucie byłoby normalne i usprawiedliwione.

Dowiaduję się, że wynajął Kells do eksperymentowanie nie tylko z Marą, ale też z innymi; że pozwolił Jude'owi prześladować Marę i dręczyć ją. Dobra. W to jeszcze mogę uwierzyć, choć jest koszmarnie i psychopatyczne. W swoim własnym, pokrętnym sensie ojciec działał racjonalnie. A wątek Lukumiego jest interesujący, to muszę przyznać.

Ale ten kit ze smokiem, z Bohaterem? Kompletne szaleństwo! Mój stary jest jednak stuknięty.

A sprawia wrażenie zupełnie normalnego faceta. Zwłaszcza w porównaniu z Jude'em, który ma jakieś drgawki i chyba się trochę ślini.

Z każdym wypowiedzianym słowem ojciec się pograża.

– Deborah wymyśliła sposób na wynajdywanie takich jak ty i miała teorię, jak was leczyć. Kazałem jej nagrywać comiesięczne sprawozdania z postępów prac

i przysyłać mi te filmy, żebym był na bieżąco. Nie znalazłem tam jednak niczego, co miało szansę ci pomóc. Dopóki nie znalazła tej twojej Mary.

Aż się zachnąłem, słysząc jej imię w jego ustach.

– Deborah początkowo nie była pewna, czy Mara to ma. Jeszcze w Providence typowała raczej jej starszego brata. Ale po pewnej urodzinowej imprezie adoptowana córka przekonała ją, że chodzi o Marę. Specjalnie wybraliśmy opuszczony szpital psychiatryczny na scenę wydarzeń, gdyż liczyliśmy, że horror spędzonej tam nocy rozpocznie u Mary proces aktywacji. I tak się stało.

Powoli dociera do mnie sens tych słów. Chodzi o Claire, siostrę Jude'a. I psychiatryk, w którym Jude o mało nie zgwałcił Mary. Ojciec zdradza mi kulisy całego przedsięwzięcia i moja konsternacja zmienia się w totalną odrazę oraz wściekłość. Sam nie wiem, jakim cudem jeszcze trzymam się na nogach.

– Dzięki Marze dowiadywałem się więcej o tobie, a dzięki tobie – o niej. Początkowo nie miałem pojęcia, jak działa twoja zdolność. W jaki sposób słyszysz rzeczy, co widzisz. Ale pomimo ogromnych wysiłków niewiele uzyskaliśmy. Jeśli nawet jest jakiś sposób, żeby przeciwdziałać takim anomaliom, nie znamy go. Ty mógłbyś być kluczem do sukcesu, Noah, ale niczego się

nie da zrobić, dopóki ona żyje. Jednocześnie ty nie potrafisz żyć bez niej, a ona nie potrafi się powstrzymać, żeby nie być tym, czym jest.

– A czym ona jest? – pytam i niecierpliwie czekam na odpowiedź.

– W każdym pokoleniu nosiciele znajdzie się ktoś, ujawnia się zdolność odpowiadająca danemu archetypowi...

Och, pieprzyć to! Pora się zmywać.

Ojciec się uśmiecha, jakby słyszał moje myśli.

– Mój syn, wieczny sceptyk. Ja też kiedyś taki byłem. Ale powiedz szczerze, czy nie zastanawiałeś się, dlaczego ona nigdy nie pragnęła czegoś dobrego?

Tymi słowami ucina w zarodku złośliwy komentarz, który miałem na końcu języka. Pamięć podsuwa wspomnienie. Dokładnie nad tym się zastanawiałem. I napisałem o tym w dzienniku przeznaczonym dla Mary:

„Moja teoria: Mara potrafi manipulować zdarzeniami, tak jak ja potrafię manipulować komórkami żywego organizmu. Nie mam pojęcia, w jaki sposób działają nasze zdolności, ale to w sumie nieważne.

Próbuję skłonić ją, żeby wyobraziła sobie coś dobrego i bezpiecznego. Mara patrzy na mnie, koncentruje się, lecz brzmienie jej aury nigdy się nie zmienia. Czy ma to związek z pragnieniami? Może ona nie pragnie niczego dobrego?”.

– Mara jest uosobieniem archetypu Cienia – destruktywna, zagrażająca sobie i innym. Reprezentuje freudowski popęd śmierci.

– Jakie to dramatyczne. – Zerkam na Marę, ale unika mojego spojrzenia.

– Mara potrafi sprawić to, czego chce – ciągnie mój ojciec. – Jej pragnienia stają się rzeczywistością. Jednak natura jej zdolności polega na tym, że nigdy nie sprawi dobra.

Nawet jeśli jego słowa są prawdą, i tak pieprzę tę prawdę. Ale obserwuję Marę, jak słucha tych nonsensownych sformułowań – „nosiciel”, „anomalia”, „aktywacja genu”, i tak dalej. Nic dla mnie nie znaczą – ale ważne jest, co znaczą dla niej. Nie dostrzegam w jej oczach ani jednego błysku nienawiści czy strachu. Gdybym go dostrzegł, już by nas tu nie było. Zamiast tego widzę coś innego, nowego – zrozumienie.

– Czy tego chcesz, czy nie chcesz, Noah – jesteś

uobicieniem archetypu Bohatera. Nie musisz się uczyć, jak być w czymś dobry. Ty po prostu jesteś najlepszy we wszystkim. Twoje telomery ciągle się odnawiają. Jeśli nie zostaniesz zabity, masz szansę żyć wiecznie. Masz wszystkie dary, Noah.

Nie chcę ich.

– Ale kiedy jej cecha zmanifestuje się w całej pełni, a ty będziesz przy niej, stracisz swoją moc. Będziesz bezbronny. Słaby. Ona ci to zrobi, choćby nawet nie chciała. Mara jest twoją słabością. Ty jesteś jej słabością.

Tak naprawdę zaczęłam się niepokoić dopiero wtedy, kiedy usłyszałam te ostatnie słowa. Wcześniej uznałam, że ojciec Noaha nie zamierza go zabić. I że raczej nie mógłby zabić mnie, skoro nadal żyłam. Dlatego siedziałam sobie i z satysfakcją obserwowałam, jak Noah arogancko odrzuca poważne ostrzeżenia swojego ojca, jego przewidywania. Nadal go kochałam. I dobrze, że tego nie słuchał. A jednak...

„Ona jest twoją słabością”.

Przeciwwskazania: Mara Amitra Dyer.

„Ty jesteś jej słabością”.

Przeciwwskazania: Noah Elliot Simon Shaw”.

– Kiedy ona wyewoluuje do końca, każdy dzień z nią spędzony będzie dla ciebie wielkim ryzykiem. Twoje komórki przestaną się regenerować. Twoje telomery będą się skracać. Pomyśl, co się może stać, jeśli Mara przekroczy próg krytyczny – na skutek bólu, strachu czy dużego stresu – a ty będziesz z nią? Jej zdolność jest dominująca i neguje twoją. Dlatego zadbałem, aby powiedziano jej, że nie żyjesz. Twoja skłonność do

samouszkodzeń ciała – jeden ze skutków mutacji, który czyni cię innym – wzmacnia twój pociąg do Mary. To nie jest twój błąd, ale musisz zdać sobie sprawę, że uczucie do niej nie jest twoim świadomym wyborem. – W tym miejscu David Shaw rzucił mi szczególne spojrzenie będące mieszanką politowania i niechęci. – Nie pokochałby cię, gdybyś nie była tym, czym jesteś.

Przypomniałam sobie, jak całowałam Noaha w sypialni w czasie burzy, i widziałam, jak sinieją mu wargi. I moment, kiedy stałam w sukni koloru nocy na cichej plaży; kiedy przyznałam się, że czytałam to, czego nie powinnam, i sądziłam, iż wszystko zrozumiałam.

„– Nie będę tym, czym chcesz, żebym była – powiedziałam wtedy do Noaha.

– A czym miałabyś dla mnie być?

– Twoim narzędziem samozagłady”.

Noah oczywiście zaprzeczył, zapewniał, że to niemożliwe, a ja tak bardzo chciałam mu wierzyć. Jednak te same słowa wypowiedziane teraz przez jego ojca ugodziły mnie swoją prawdą.

– Wcale nie chcę tu być – ciągnął David Shaw. – Bez względu na to, co o mnie myślisz, kochałem twoją matkę. Była całym moim życiem. Była moim sensem

istnienia. I obiecałem jej, że będę dbał o ciebie. Zawiodłem ją w wielu sprawach, ale w tej nie mogę zawieść. Popatrz na Jude'a – powiedział, wskazując na niego gestem. – Projekt Deborah, który nie wyszedł.

Jeśli Jude miał żal, że mówi się o nim jak o rzeczy, jak o nieobecnym, nie pokazał tego po sobie. Twarz miał nieruchomą i patrzył pustym wzrokiem.

– Jest nieprzewidywalny i niestabilny pomimo wysiłków Deborah, aby zachować nad nim kontrolę. Można powiedzieć, że Jude jest częściowo winien jej śmierci, gdyż to on uwolnił Marę.

– To był błąd – powiedział Jude twardym, obcym głosem.

David popatrzył na niego czujnie.

– Owszem – przytaknął, po czym znów skupił się na mnie. – To, co dzieje się teraz z Jude'em, zacznie się też dzieć z tobą, Maro. Masz halucynacje. Reagujesz agresją na ból. Masz objawy dysocjacyjnego zaburzenia tożsamości. Jesteś na najlepszej drodze do upadku.

Albo już dawno nią idę.

– Znałem kiedyś twoją babkę. Niezbyt dobrze, ale na tyle dobrze, by wiedzieć, że opętała moją żonę, udając

przyjaciółkę i powiernicę. Była nieobliczalna. Kłamała tak jak ty i mordowała tak jak ty. Doprowadziła moją żonę do śmierci, a teraz ty chcesz zgubić mojego syna.

Noah przerwał ojcu gwałtownie.

– Myślisz, że boję się stracić swoją moc? Chciałbym jej nie mieć!

– Żebyś w końcu mógł się zabić?

Wstrzymałam oddech, czekając, co odpowie Noah. Nie doczekałam się.

– Jesteś chory, Noah. Twoja zdolność w końcu cię zniszczy, tak jak się stało z innymi chorymi dziećmi. W żadnym wypadku nie mogę do tego dopuścić.

Być może mogę mu w tym pomóc.

– W miarę upływu czasu jej moc będzie wzrastała, aż objawi się w całej pełni. Nie potrafię przewidzieć, kiedy dokładnie to się stanie. – David znów zwrócił się do mnie: – Twój wyczyn na peronie metra zdaje się wskazywać, że już niedługo.

A więc wiedział o tym. Hmm...

– Nie możemy dłużej czekać – powiedział David do

syna. – Czy rozumiesz, o czym mówię? W niej tyka bomba, która lada chwila może wybuchnąć. A wtedy jedną myślą – jedną błędną myślą – będzie zdolna unicestwić miliony ludzi.

Ostrożnie postąpił krok naprzód.

– Jeżeli nie powstrzymasz tego, okaże się, że twoja matka poświęciła się na darmo. I że ty na darmo się urodziłeś. – Głos zaczął mu się łamać. – Kochałem twoją matkę, a ona umarła, żeby cię ocalić. Żebyś był lekarstwem na choroby, starość, może nawet na śmierć. Zupełnie mi na tym nie zależało, bo chciałem tylko jej. Niestety, nie dano mi wyboru. Ja jednak ci go daję.

David Shaw z trudem wciągnął oddech, usiłując się uspokoić. A potem sięgnął do swojej skórzanej teczki. Wyjął z niej pistolet i strzykawkę i położył je na stole obok noża.

Jude nie był tu po to, żeby mnie skrzywdzić. Noah nie był tu po to, żeby mnie ocalić. Teraz już wiedziałam.

– Nie wiedziałem, jak będziecie chcieli to zrobić, więc wziąłem parę rzeczy do wyboru – wyjaśnił.

– Co zrobić? – wykrzyknął Noah.

Zaczekałam, aż echo ucichnie w wielkiej hali, po czym

odpowiedziałam mu zamiast ojca:

– Zabić mnie.

Obsceniczny śmiech zabalgotał Noahowi w gardle.

– Jeśli sądzisz, że cokolwiek w świecie jest w stanie skłonić mnie do tego – powiedział do ojca – to wcale mnie nie znasz.

– Nie muszę cię znać. Wystarczy, że znam ją.

David wyjął z teczki jeszcze coś – laptopa. Otworzył go, wpisał hasło i uruchomił program, po czym ustawił komputer na pustym pudle tak, żebyśmy widziała ekran.

Daniel leżał na łóżku w jakimś pomieszczeniu podpięty do dziesiątków urządzeń. Jamie siedział obok przywiązany do krzesła. Był przytomny. Mój brat nie.

55
NOAH

– To się nie dzieje naprawdę – mówię głosem, w którym powinna brzmieć pewność. Nie udaje mi się.

– Jak najbardziej naprawdę – odpowiada ojciec. – Danielowi wstrzyknięto truciznę, która doprowadzi do wstrząsu, a wtedy, jeśli nie zostanie podane antidotum, jego organy w ciągu godziny lub dwóch przestaną funkcjonować. W tej chwili jest monitorowany i czeka. Kiedy Mara ekspiruje, wystarczy jeden mój telefon, by przywrócić go do życia.

– Mara? – mówi Jamie, zerkając na ekran laptopa.

Z lewej strony twarzy ma siniaka.

– Jamie – szepcze Mara. – Jamie, czy Daniel...

– Żyje – zapewnia Jamie. – Ktoś nas powalił w tunelu i ocknęliśmy się tutaj. Ale nie jest z nim za dobrze. – Jamie zerka kontrolnie na Daniela i niedostrzegalnie zaciska usta. – Wcześniej... piana szła mu z ust. Zjawili się ludzie z wózkiem medycznym i wzięli go w obroty. Wszystko widziałem. Próbowałem do nich mówić, ale... – Pokręcił głową. – Zupełnie jakby mnie nie słyszeli.

Jakby wyłączono mi fonię.

Mara milczy. Dawniej potrafiłem odczytać jej myśli z twarzy, ale teraz jest jak pusta tablica.

– Gdzie jesteś? – pyta.

Mądra dziewczyna.

Jamie spogląda na sufit.

– Pomieszczenie całkowicie bez właściwości, jak zwykle. Wcześniej nie wiem. Ocknąłem się z workiem na głowie. – Marszczy czoło i próbuje się wychylić na krześle. – Zaraz... co, do licha... Jude jest z tobą? A Noah?

Jude milczy. Ja odpowiadam.

– Znajdziemy cię – obiecuję.

Jamie znów zerka na Daniela, który ma bezkrwiste, spierzchnięte usta. Pod nosem ma przewód do tlenu, a z obu stron podłączone kroplówki. I mówi:

– Lepiej róbcie to, co wam każą.

Ojciec patrzy na mnie, Jude patrzy na mnie. Jamie patrzy na mnie. Mara nie patrzy.

Patrzy na brata. Nie spuszcza z niego wzroku, nawet
kiedy sięgam po broń.

Nie byłam w stanie oderwać wzroku od brata, więc początkowo nie zauważyłam, że Noah wycelował broń w swojego ojca.

– Możesz mnie zabić – rzekł spokojnie David.

Na te słowa podniosłam wzrok.

– To też jest jakieś wyjście.

– Z całą pewnością – odpowiedział Noah.

Pistolet wygląda znajomo; mam wrażenie, jakbym już kiedyś miała go w rękach.

– Mówiono mi, że pewnego dnia zginę przez ciebie. Nie ujawniłbym się, gdybym się tego nie spodziewał. Choć sądziłem, że raczej ona zechce to zrobić.

Ojciec Noaha uśmiechnął się nieznacznie, napotykając moje spojrzenie. Ani razu nie popatrzył na broń.

– Może po prostu chcę oszczędzić jej fatygi – powiedział Noah.

– W takim razie muszę cię ostrzec, że masz szansę

załatwić jednym strzałem cztery osoby.

– Jak to policzyłeś?

– Twoja śmierć nie zapobiegnie śmierci Mary. Jeśli nie podejmiesz odpowiedzialności i nie zabijesz jej, zrobi to Jude. – Napotkał spojrzenie Jude’a. – Za Claire, prawda?

– Za Claire – odpowiedział automatycznie Jude.

David westchnął.

– Jeżeli nosiciel pierwotny zostanie zabity przez kogoś, kto nie posiada tego genu, mutacja ujawni się u innej osoby ze skażonej linii dziedziczenia. W tym wypadku będzie nią Joseph Dyer, który również jest nosicielem. Z czasem Joseph albo zabije siebie, albo zginie z czyjejs ręki. Ten wzór powtarza się u chorych osób.

– A Daniel umrze, bo tylko ja mogę wykonać telefon ratujący jego życie. Dlatego suma wynosi cztery.

Noah nie odpowiedział, a ja na moment zgłupiałam.

– Ponadto pragnę zaznaczyć, że jeśli chybisz i nie umrę od razu, uaktywnisz w ten sposób zdolność Jude’a, a jak wiemy, on ostatnio jest... raczej nieprzewidywalny. Naprawdę nie wiem, do czego będzie zdolny w razie potrzeby. Noah, posłuchaj mnie. – David napotkał

spojrzenie syna i wytrzymał je bez drgnienia powieki. – Wiedz, że cokolwiek wydarzy się dzisiaj albo jutro, albo innego dnia, będzie tylko grą archetypów, które reprezentujecie. Odegracie swoje role, czy tego chcecie, czy nie. Nie macie wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór – powiedział Noah i odciągnął bezpiecznik.

David przeniósł na mnie spojrzenie szaroniebieskich oczu.

– Pozwolisz mu, żeby położył na szali życie Daniela?

Z wysiłkiem oderwałam od nich spojrzenie i przeniosłam je na laptopa. Na mojego brata na łóżku i Jamiego na krześle.

– Nie rób tego – powiedziałam do Noaha. – Proszę.

– Nie jesteś mordercą, Noah – powiedział jego ojciec. – Jedyłą osobą, którą tak naprawdę masz ochotę skrzywdzić, jesteś ty sam.

Noah zachichotał cichutko.

– Masz rację – powiedział i przystawił sobie lufę do głowy.

57
NOAH

Przyciskam lufę do skroni i nie mogę się doczekać, żeby nacisnąć spust.

Ta cholerna przepychanka z moim ojcem. Gardzę tym facetem, który teoretycznie mnie przypomina, ale w sumie nie ma ze mną nic wspólnego i jest po prostu żałosny. Jednocześnie mam w stosunku do niego irracjonalny, durny odruch dziecięcego posłuszeństwa. Pragnę, żeby mnie podziwiał, żeby był ze mnie dumy. Aby mnie docenił. To naprawdę żenada!

Mara siedzi z podwiniętymi nogami; jej ciało lekko drży – nie wiem, czy od leków, czy z innego powodu. Ale jest w niej jakieś fizyczne napięcie, które każe myśleć o zagrożeniu, jakby była kobrą, zwiniętą i gotową do ataku. Ma w sobie coś z tygrysicy, z dzikiego zwierzęcia zagnanego w róg klatki, gotowego się bronić. Chcę ją wyzwolić, spuścić z uwięzi. Może uda się jej uratować brata.

– Wolę umrzeć niż żyć bez niej – mówię do ojca.

Uśmiecha się.

– Widzę, że lubisz odgrywać męczennika. Możesz okłamywać ją, ale nie mnie. Wolisz się zabić, żeby oszczędzić sobie widoku jej śmierci i ciężaru winy z powodu śmierci jej i Daniela. Nie udawajmy.

– Och, ja nie udaję.

– Dobrze. W takim razie pozwól, że ci wyjaśnię, szczerze i dobitnie, co dokładnie zrobisz, jeśli pociągniesz za spust. Wypuścisz Cię w świat. Ona będzie grasować, zostawiając za sobą śmierć i choroby, gdziekolwiek się pojawi. I zacznie od zaraz, od swojego brata. Jak pożar dokona spustoszenia we własnej rodzinie, niszcząc wszystkich, na których jej zależało, pozostawiając tylko popioły i ciemność. A ciebie już nie będzie; nie będzie miał kto leczyć tych udręczonych ludzi. Jeśli wybierzesz życie, możesz uratować miliony. Może nawet miliardy. Mógłbyś zapoczątkować nową epokę ludzkości. Za cenę tylko jednego życia.

Życia Mary. Cena jest zbyt wysoka.

Pieprzyć to. Mocniej przyciskam lufę do głowy. Metal jest ciepły od mojej skóry, a jego ucisk sprawia mi niezdrową satysfakcję.

– Dobrze, zrób to, jeśli jesteś tak egoistyczny – mówi ojciec.

– Nawet nie próbuj! – syczy Mara, ale ledwie ją słyszę.

– Jeśli się zabiję, to przez ciebie, bo ty mnie do tego doprowadziłeś.

– Noah, nie bądź dzieckiem. – W głosie ojca brzmi niesmak. – Chcesz się posłużyć wymówką trudnego dzieciństwa, co? A teraz, kiedy masz siedemnaście lat, nie życzysz sobie, żeby ktoś chronił cię jak dziecko? Dobrze, skoro uważasz się za dorosłego, bądź odpowiedzialny za swoje decyzje. Przemyśl je. To nie zabawa, synu, ani sprawa, którą tak po prostu można spieprzyć.

– Nie jestem twoim synem – mówię i natychmiast przeklinam się w duchu.

Faktycznie zachowuję się jak dziecko. Idiota!

– Niestety, jesteś.

Jego słowa łamią we mnie coś, czego istnienia czego nawet nie podejrzewałem.

– Gdybyś nie był moim synem, twoja matka nadal by żyła. Ona wierzyła w ciebie. Dobrze, że nie musi na to patrzeć!

Mój umysł już nie przyjmuje jego słów, więc skupiam

się na Marze. Prawie przez cały czas jest upiornie spokojna. Nic nie mówi na swoją obronę, więc muszę zrobić to za nią.

– Pomyśl o sobie! Jesteś odpowiedzialny za to, co robiła Mara.

– Nieprawda, i dobrze o tym wiesz. Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią pierwszego właściciela twojego psa. Ani z tragedią nauczycielki, która przypłaciła życiem fakt, że Mara miała tego dnia muchy w nosie.

Chryste, dlaczego ona milczy?

– Mara nie wiedziała, co robi.

– Temu facetowi od psa ewidentnie życzyła śmierci. Zapytaj jej, niech ci sama powie.

– Ja też bym go zabił.

Nie kłamię. Tak bym zrobił.

Ojciec znów się uśmiecha i zmarszczki pojawiają się w kącikach jego oczu.

– Serio? Nie byłbyś do tego zdolny. Nie potrafisz nawet zabić siebie.

– A jej rodzina? – pytam wkurzony desperacją brzmiącą w moim głosie. – Nie zasłużyli na to.

– Zgoda, nie zasłużyli. To dobrzy ludzie, którzy zderzyli się ze zbyt wielkim problemem.

Mara ze świstem wciąga powietrze.

– Nie wybierasz sobie dzieci. Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie. Ale możesz pomóc tej rodzinie, Noah. I wielu innym.

– Kocham ją.

Ojciec myśli, że mówię to do niego, ale ja patrzę na Marę. W jej oczach jest rezygnacja.

– Kochasz ją tak, jak kochałbyś konia, na którym tylko ty możesz jeździć. To jak z arabską klaczą, którą kupiłem przed laty – myślałem, że da mi świetne żrebaki, a ona nie dała się ogierom nawet zbliżyć do siebie. Pamiętasz, co się stało?

Wolałbym nie pamiętać.

– Pewnego wieczoru Ruth nie mogła cię znaleźć. Już dawno powinieneś być w łóżku, ale zawsze były kłopoty z zagonieniem cię do spania. Szukaliśmy wszędzie, bez rezultatu, aż dotarliśmy do stajni. Boks klaczy był

otwarty i pusty. Ty, dziewięciolatek, dosiadłeś jej na oklep. Znaleźliśmy cię leżącego obok bramy gospodarczej. Zrzuciła cię i rozbiłaś sobie głowę. Gdybyś nie był tym, kim jesteś, już byś nie żył. Klacz złamała trzy nogi i trzeba ją było zastrzelić. Pamiętasz?

– Przestań – mówi Mara.

– Nie przypuszczałem, że zwierzę może wydawać taki odgłos. Strasznie cierpiała. I to nie była jej wina, tylko twoja.

– Przestań! – Głos Mary jest przerażająco spokojny. – Noah, odłóż broń.

Ignoruję ją, to jasne. Mój ojciec również.

– Mara jest, jaka jest, i nic tego nie zmieni – ciągnie. – Stanowi zagrożenie, ale jest zdolna do miłości, kocha swoją rodzinę i potrzebuje ciebie, żeby ich ocalić. Któregoś dnia sam byś zrozumiał, że musisz ratować ich przed nią. Ona też o tym wie. I ty wiesz. Mógłbyś przynajmniej uratować jej młodszego brata, zanim stanie się najgorsze. – Ojciec mruży oczy i wpatruje się we mnie jeszcze bardziej intensywnie. – Zaczynam jednak widzieć, jak płonna jest nadzieja, że okażesz się na tyle dzielny i nieegoistyczny, żeby zrobić coś dobrego dla innych, choć raz w swoim krótkim życiu.

W dużym stopniu żałuję, że pozwoliłem na waszą znajomość. Liczyłem, że się opamiętasz, że przekonasz się, do czego jest zdolna, i któregoś dnia zaczniesz błagać mnie na kolanach, żebym coś z nią zrobił. Kiedy będziesz musiał chować trupy jej ofiar.

Robi krok ku mnie, ale nie jest na tyle blisko, żebym się obawiał.

– Myślałem, że jesteś gotów, aby wejść w rolę mężczyzny, w jakiej pragnęła cię widzieć mama – a tymczasem mam przed sobą dzieciaka, który chce popsuć wszystkie swoje zabawki, bo nie może mieć tej, której pożąda.

– Odłóż to.

Ton Mary się zmienił. Teraz brzmi błagalnie. Jest zdesperowana. Ale moja ręka nawet nie drgnie.

– W strzykawce jest pentobarbital sodu, który zatrzyma serce Mary. Nóż... to narzędzie zawsze lubiłeś. A w magazynku broni, którą trzymasz przy swojej skroni, jest tylko jedna kula.

Jest dziwnie pewny, że tego nie zrobię. I nie dba, czy to zrobię, czy nie.

– Proszę – błaga Mara. – Proszę...

Prawie jej nie słyszę. W głowie telepie mi się jedna, jedyna myśl – że jestem dla niego tylko narzędziem. Ale narzędzie na nic się nie przyda, jeśli zostanie zepsute.

Pociągam za spust.

58
WCZEŚNIEJ

Profesor odebrał po pierwszym sygnale.

– Przyjeżdżaj natychmiast! – powiedziałam. – David grozi, że wezwie pogotowie.

– Nie pozwól mu na to. Jeżeli cokolwiek się zmieni, nie mogę gwarantować przebiegu wydarzeń. Karetka może się rozbić, zanim dojedzie do szpitala, i dziecko umrze jeszcze w łonie matki.

– Ona krwawi.

Ubranie miałam przemoczone wieczornym deszczem i trzęsłam się z zimna.

– Jest niedobrze.

– Przeżyje. – Spokój Profesora doprowadzał mnie do szału. – A on pojawi się, kiedy będzie gotowy – dodał.

Tak samo mówiła Naomi.

– Wiesz, czułabym się lepiej, gdybym miała asystę, więc mógłbyś się tu łaskawie pofatygować? Chyba nie jesteś

tak zajęty pracą na rzecz przyszłego dobra rasy ludzkiej czy innymi bzdurami, żebyś nie mógł się choć na chwilę oderwać?

Profesor nie dał się sprowokować.

– Ona żyje, on też. Wszystko idzie tak, jak powinno, Maro.

Chciałam się dalej kłócić, ale usłyszałam krzyk Naomi.

– Przyjeżdżaj – rozkazałam. – Natychmiast!

Odwiesiłam słuchawkę i zawróciłam do pokoju.

Naomi leżała w łóżku oparta wysoko o poduszki. Pasma jasnych włosów lepiły się jej do czoła i białych policzków. Popatrzyła na mnie szklistym wzrokiem, ale zdobyła się na uśmiech.

– Chyba wody odeszły.

Przyjrzałam się dokładniej. Pod nią rozplýwała się czerwona plama.

– Wzywam pogotowie – powiedział David.

Na jego twarzy malowały się gniew i przerażenie. Już dawno chciał wezwać karetkę. Chciał, żeby Naomi była

w szpitalu, pod fachową opieką. Ruszył w pośpiechu do drzwi i rzucił do mnie przez ramię:

– Zostań z nią.

Jak mogłabym ją zostawić? Oczywiście David nie wiedział wszystkiego. Praktycznie nic nie wiedział.

– Strasznie... – Naomi urwała i zaczerpnęła powietrza – ...boli. – Jej głowa bezwładnie opadła na poduszki. – Dlaczego nikt mi nie powiedział, że to taka męka?

– Usiłowałam ci powiedzieć.

– Mam wrażenie, jakby chciał się przegryźć do wyjścia.

Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

– Dziwna jesteś.

– Raczej oryginalna, a to różnica. – Z drzeniem wypuściła powietrze i otworzyła oczy. Już nie było w nich radości. – Naprawdę się boję, Maro.

– Wiem. Ale on widzi wszystko. – Zniżyłam głos, żeby David nie usłyszał. – Wydaje ci się, że nie dasz rady, ale wszystko dobrze się skończy. Wierzę w ciebie.

Słowa brzmiały gorzko w moich ustach. Czułam się jak

farmer prowadzący zwierzę na rzeź, wabiący je przysmakami, żeby szło z nim posłusznie. Fakt, że Naomi wiedziała, na co się decyduje, i sama tego chciała, nie zmniejszała moich wyrzutów sumienia.

Dźwięk dzwonka przy drzwiach rozbrzmiał w całym domu. Z jednej strony miałam nadzieję, że to pogotowie, a z drugiej się tego obawiałam. Jednak nie. Przyjechał Profesor.

Wmaszerował za Davidem do pokoju. W rękę niósł tę samą skórzaną lekarską torbę, z którą widziałam go pół wieku temu. Usiadł na krawędzi łóżka.

– Mogę? – spytał, wskazując gestem na okrycia.

Nawet się nie przywitał. Gbur.

– Zrób coś z tym – szepnęła Naomi, kiedy zaczął ją badać.

– Jeszcze trochę, dziewczyno. Świetnie ci idzie.

– A krew? – zapytał David, usiłując gniewem zamaskować swój strach. Na próżno.

– Być może odkleiło się łóżysko – odpowiedział Profesor, nie unosząc głowy.

Daniel zmrużył oczy.

– Być może?

Profesor go zignorował.

– Ale skurcze są silne i nie ma sensu zabierać jej do szpitala, bo mogłaby urodzić w drodze. Maro – zwrócił się do mnie – kiedy się urodzi, dobrze nad nim czuwaj.

– Czy on... może... umrzeć? – wykrztusiła Naomi zdławiona falą bólu.

– Nie umrze.

– A ja?

Profesor uśmiechnął się.

– Nie dzisiaj.

Miałam ochotę go zamordować. Czasami żałuję, że tego nie zrobiłam.

– Obiecuj, że wszystko będzie z nim dobrze – wycedziła Naomi przez zaciśnięte zęby.

– Obiecuję – powiedział Profesor.

– Przysięgnij!

– Przysięgam.

Naomi zaczęła się więc z krzykiem w skrwawionej pościeli. Twarz Davida przybrała barwę popiołu. Był taki młody. Współczułam mu całym sercem.

– Dzielna dziewczyna – pochwalił Profesor. – Dobrze ci idzie. A teraz przyj.

– Cholera! To boli!

– Mnie też tak bolało – powiedziałam do niej, nienawidząc dźwięku własnego głosu i fałszywego uśmiechu. – I miliony kobiet przed nami.

David zrobił wielkie oczy.

– Ty masz dzieci?

„Mam wnuka”, omal się nie wygadałam, co pewnie jeszcze bardziej by go zaszokowało.

Po zaledwie paru minutach profesor oznajmił:

– On jest już gotowy, Naomi. A ty?

Kiwnęła głową.

– Świetnie. Więc daj mu wszystko.

Starła się. Ja trzymałam ją za jedną rękę, a David za drugą.

– Dobrze – powiedział Profesor. – Już... już prawie jest.

Naomi wydała dźwięk – coś pomiędzy jękiem a westchnieniem – i opadła na poduszki. David był blady ja ściana, ale oczy mu jaśniały.

– Chcę go potrzymać – powiedziała słabym głosem. – Daj go.

– Czy... czy to chłopiec? – zapytał David.

– Tak.

Głos Profesora zadźwięczał w dziwnie cichym teraz pokoju.

– Dlaczego on nie płacze? – dopytywał się David i w tym momencie zobaczył dziecko.

Jego skóra miała niebieski odcień.

– O Boże – szepnął.

– Co? – zapytała Naomi. W jej oczach pojawił się zwierzęcy strach. – Co z nim jest?

Profesor zareagował błyskawicznie. On też się przeraził, ale tylko ja to dostrzegłam. Wzięłam Naomi za rękę.

– Czy on... czy on... ? – zająknęła się.

Pępowina była owinięta wokół szyi noworodka, ale kiedy Profesor ją przeciął, twarzyczka szybko zrobiła się różowa. Dziecko nadal nie wydało głosu, ale Profesor już się nie martwił.

– Zuch chłopak. Wszystko dobrze – powiedział do Naomi.

– Dlaczego on nie płacze? – spytał nieufnie David.

Profesor delikatnie wytarł dziecko ręcznikiem, teraz już wyraźnie odprężony.

– A dlaczego miałyby płakać?

– Myślałem, że to normalne. Dzieci krzyczą, kiedy się urodzą, prawda?

– Przeważnie krzyczą – powiedział Profesor, podając dziecko Naomi, która sięgnęła po nie chciwie. – On nie musi – dodał z uśmiechem, patrząc, jak matka tuli syna w ramionach. Oczy dziecka były szeroko otwarte i dziwnie czujne. – Mój mały Bohater!

Naomi była żywą, czasem nawet porywczą dziewczyną, ale teraz wyglądała jak uosobienie macierzyńskiego spokoju i łagodności.

Mimo to David nadal nie był przekonany.

– Czy coś jest z nim nie tak?

Podejrzliwie wpatrywał się w syna.

– Ależ skąd, wszystko jest w porządku – zapewnił Profesor.

– Jakie mu dasz imię? – zapytałam Naomi.

Spojrzała na dziecko, a potem na Davida.

– Noah – odpowiedziała i popatrzyła na męża, jakby się spodziewała, że zaprotestuje.

Na szczęście nie zrobił tego.

Spojrzałam na muszelkę maleńkiego ucha, gładziutką, miękką skórę policzka i maleńkie paluszki, które pewnego dnia zabiorą mi życie.

– Dobry wybór – pochwaliłam.

Nie zdążyłam krzyknąć, bo zobaczyłam, że Noah ciągle stoi. Pistolet musiał się zaciąć albo coś w tym stylu. Nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć.

Noah patrzył w pustkę. Spojrzenie miał nieruchome, bez wyrazu, oszołomione. Lufę ciągle trzymał przy głowie. Jego ojciec w ogóle nie zareagował.

Poczułam, że muszę coś z tym zrobić. Tylko ja mogłam coś zrobić. Wypowiedziałam jego imię i Noah spojrzał na mnie, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu i nie miał pojęcia, kim jestem.

– Daj mi broń – zażądałam.

Nie dał. Ale opuścił rękę, a potem zaczął ze mną rozmawiać tak, jakbyśmy byli sami.

– Poszukajmy twojego brata – zaproponował, biorąc mnie za rękę. W drugiej nadal trzymał broń.

– Nie ma czasu – odparłam spokojnie.

– Możemy torturować mojego ojca, aż nam powie.

Kątem oka zobaczyłam, jak David wznosi oczy w górę. Najwidoczniej nie czuł się zagrożony.

– Kochani?

To był głos Jamiego.

Zamrugaliśmy zaskoczeni, bo na śmierć zapomnieliśmy o laptopie. Jamie wszystko widział.

– Chętnie bym sobie jeszcze pooglądał, ale... ale myślę, że powinniście się pospieszyć – powiedział dyplomatycznie.

Wiedziałam, co naprawdę myśli.

Jednak Noah zachowywał się, jakby go nie słyszał.

– Powinniśmy go poszukać.

Pociągnął moją bezwładną rękę. Nie mogłam nawet poruszyć palcem. Nie mogłam iść za nim. Zresztą nie było sensu. Nogi też miałam sparaliżowane. Nie mogłabym stąd odejść, nawet gdyby David i Jude mi pozwolili.

– Nie mogę chodzić – powiedziałam.

– Będę cię niósł.

Noah dalej nic nie rozumiał.

– Nie znajdziemy go, dopóki... dopóki...

Nie byłam w stanie wypowiedzieć tych słów.

– Nie znajdziemy, jeśli nie spróbujemy.

Musiałam wziąć pod uwagę, że dla Noaha Horyzonty są świeżym wspomnieniem. Nie wiedział, co się wydarzyło od tamtego czasu.

Nie wiedział, że obudziłam się przypięta do stołu, spętana jak niebezpieczne zwierzę. Że robiłam różne rzeczy – takie, których żałuję, i takie, których nie żałuję. Byłam zbyt stara, aby winić moich przyjaciół i najbliższych za to, że są młodzi i myślą jak młodzi. Sama dokonywałam wyborów. Niektóre były błędne, ale to były moje decyzje. Tylko i wyłącznie moje.

Ojciec Noaha dobrze wiedział, że nie namówi syna, by mnie zabił. To był tylko pokaz dla mnie, zainscenizowany po to, żebym mogła uświadomić Nohaowi, dlaczego powinnam umrzeć. Tylko ja mogę sprawić, żeby Noah mnie zabił.

Nie chciałam umierać, ale najwidoczniej powinnam. Może rzeczywiście świat będzie lepszy beze mnie.

– Nie.

Noah odpowiedział na pytanie, którego nie wypowiedziałam głośno. Zastanawiałam się przez chwilę, czy przypadkiem nie słyszy moich myśli, ale szybko zrozumiałam, że nie musi – wszystko mógł odczytać z mojej twarzy.

– Nie pozwolę, żeby Danielowi stała się krzywda – powiedziałam, na próżno starając się o spokojny ton głosu. – Nie pozwolę, żeby to, co stało się ze mną, stało się także z Josephem. Oni nie są niczemu winni, nie zrobili nic złego. Ja jestem wszystkiemu winna. Ja zrobiłam wszystko, co złe.

– Nie wszystko, Maro.

– Nie było cię tam. – Zauważyłam, że moje słowa go ubodły. – Nie widziałeś... – Ruchem głowy pokazałam na zdjęcia zwłok Wayne’a, doktor Kells i pana Ernsta. – Twój ojciec nie kłamał. Ja to wszystko zrobiłam. Ja!

– Jestem pewien, że dali ci powód – powiedział Noah z tym swoim uśmiechem.

Nie odpowiedziałam mu tym samym.

David Shaw był podły, straszny, ale miał rację co do mnie. Nie byłam zdolna czynić dobra. Siałam zło. Ale

Daniel, Joseph – oni byli inni. Byli po stronie dobra. I mogłam ich uratować.

Musiałam tylko oddać swoje życie. Moje życie w zamian za życie braci. Sprawiedliwa transakcja. Choć raz zrobiłabym coś dobrego.

Wyjazd z Miami z Jamiem i Stellą przypominał mi pożegnanie. Bo był pożegnaniem. Coś we mnie wiedziało o tym od początku.

Uniosłam się na łokciach, gdyż nogi nadal miałam bezwładne, i sięgnęłam do ręki Noaha, tej z bronią. Pistolet zaciął się, kiedy Noah chciał strzelić, ale byłam pewna, że mnie nie zawiedzie.

Dreszcz go przeszedł, kiedy poczuł moje dotknięcie. Wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Proszę – szepnęłam. – Proszę.

– Nie wiesz, o co mnie prosisz.

– Owszem, wiem. Zbliź się.

Ręka z bronią zwisała mu bezwładnie, więc chwyciłam za lufę i przyłożyłam ją sobie do głowy. Byliśmy na przegranej pozycji, a ja podjęłam decyzję.

– Zrób to – poprosiłam łagodnie.

Noah był udręczony i bardzo nie chciałam dręczyć go dalej. Koszmarne, że to musiał być właśnie on; że będzie patrzył, jak umieram, a potem do końca swoich dni będzie żył w poczuciu winy. Tyle czasu żywiłam nadzieję, że go odnajdę, a kiedy moja wytrwałość została nagrodzona, okazało się, że mam cisnąć moje pragnienia w ogień i sama w niego skoczyć. Straszne, że muszę zostawić rodzinę. I Noaha.

– Maro – szepnął.

Jego palec na cynglu drżał.

– Błagam cię. Nie chcę być tym, kim jestem.

Kłamałam, ale to już nie było ważne. Ważne były słowa, które Noah powinien usłyszeć.

– To jest mój wybór. Pomóż mi.

Zmarszczył brwi i przez ułamek sekundy myślałam, że mnie posłucha.

– Nie mogę.

Ręka mu opadła, a na twarzy pojawił się grymas niesmaku. A potem nagle wycelował i strzelił, ale nie do

mnie. Do manekina.

Więcej kul nie było. Spojrzałam na Davida. Nie był zaskoczony, nie doznał szoku. Spodziewał się tego.

– Musimy jakoś to załatwić – powiedział Noah. Głos miał twardy, zdeterminowany. – Zadzwoń na policję. Znajdziemy Daniela. Uzdrwię go, a ty też wrócisz do...

– Przestań! – Moje słowa uderzyły w ściany hali, budząc nieskończone echo. – Tego nawet ty nie naprawisz.

Nie mogłam ryzykować i pozwolić, żeby spróbował.

– Zawsze masz o sobie jak najgorsze mniemanie – stwierdził z goryczą.

– A ty o sobie jak najlepsze. – To była prawda i nawet się uśmiechnęłam. – Nie potrafisz spojrzeć na mnie obiektywnie, ponieważ mnie kochasz. A robię straszne rzeczy. Czym się różnię od niego?

Wskazałam spojrzeniem Jude'a, który opuścił wzrok. Gdybym go nie znała, uznałabym, że się wstydzi.

Jude był o wiele bardziej niż ja zaburzony, szalony i okrutny, ale kochał swoją siostrę, swoją jedyną rodzinę. Deborah i David wykorzystali tę miłość, żeby go kontrolować. Nigdy nie wybaczę mu tego, co zrobił.

To niemożliwe. Ale mogę go zrozumieć.

– Nieważne, co zrobiłaś. Ważne jest tylko dlaczego – powiedział Noah. – On używa swojego daru, żeby krzywdzić ludzi. Ty używasz swojego, żeby ich chronić.

Nie zawsze, pomyślałam i powiedziałam to głośno.

– Ten drań jest także bohaterem mojej bajki. Nikt nie uważa nas za urodzonych zabójców. Każdy ma jakieś powody, żeby robić to, co robi. Jude i ja nie jesteśmy aż tak różni, jak myślisz.

Te słowa coś w nim zmieniły, wznieciły jakąś iskrę. Nagle, po raz pierwszy odkąd go tu zobaczyłam, Noah ożywił się i stał się aktywny, konkretny. Ujął moją twarz w dłonie i poprosił:

– Nigdy więcej tak nie mów. Manipulowano tobą. Torturowano cię. To nie twoja wina.

Zadrzałam. Nie wiem, czy za sprawą tych słów, czy jego dotyku.

– To nie była twoja wina, Maro. Powiedz to głośno.

– Noah – odezwał się David.

W jego głosie była nagląca nuta i zaczęłam panikować.

– Noah, nie ma czasu.

– Tylko to powiedz, a zrobię... Dam ci zastrzyk.

– Co?

Myślałam, że się przesłyszałam.

– Nie mogę zrobić tego... nożem. Miałbym go potem bez przerwy przed oczami – wyjaśnił.

Głos Noaha brzmiał teraz inaczej. Jakby coś w nim pękło. Miałam ochotę wygładzić bruzdę pomiędzy jego brwiami, wziąć jego twarz w dłonie, całować go, pocieszyć. Ale ja go przecież krzywdziłam.

Zdusiłam swój smutek. Dla niego. Dla siebie.

– To będzie wyglądało, jakbym zasypiała.

Spojrzałam na ekran laptopa. Jamie miał grozę w oczach. Mój brat miał oczy zamknięte. Pomyślałam, że już nie zobaczę ich otwartych, i zaczęłam płakać.

– Jamie – powiedziałam rwącym się głosem. – Powiedz mojemu bratu, że go kocham.

Skinął głową w milczeniu. Jemu też ciekły łzy.

– Powiedz mu, że mi przykro.

– Maro...

– Powiedz mu, że jest moim idolem. I... Jamie?

Mój przyjaciel rozpaczliwie pociągnął nosem.

– Tak?

– Spraw, żeby zapomniał to, czego się dowiedział o mnie. Dasz radę?

– Nie wiem.

– Ale postarasz się?

Podbródek mu drżał.

– Boże, ale ty masz wymagania.

Zaśmiałam się krótko.

– Postaram się – powiedział. – Przecież wiesz.

– Dobry z ciebie przyjaciel.

– Wiem. Z ciebie też jest niezła przyjaciółka.

– Owszem.

– Maro – powiedział David. – Musisz się pospieszyć.

Nie powiedział tego wrogo.

Nienawidziłam go, ale to była chłodna, zdystansowana nienawiść. Kiedyś dopadnę go w piekle i tam się zemszczę. Ale teraz chciałam już tylko kochać Noaha. Pragnęłam zejść ze świata z tym uczuciem.

Patrzyłam na chłopaka, którego kochałam; który wybawiał mnie i ratował każdego dnia. Był w kompletnej rozsypce. Nie wiedziałam, co mu powiedzieć, ale zdawał się rozumieć, czego potrzebuję.

Wziął mnie na ręce, zdjął ze stołu i poniósł, ale tylko kawałek – tak abym mogła nadal widzieć brata na ekranie. Nie byłam jeszcze gotowa, żeby się z nim rozstać.

David i Jude ustąpili nam z drogi. Wiedzieli, że nie zamierzamy uciekać. Nie było dokąd uciekać.

Noah ukląkł i posadził mnie przed sobą na podłodze. Przyciągnął mnie ciasno do siebie, jedną ręką otoczył mnie w pasie, a drugą przełożył przez pierś. Mój gładki policzek dotykał jego szorstkiego policzka; czułam jego usta na szyi. Kiedyś, kiedy czułam te wargi na swojej skórze, byłam w stanie zapomnieć o wszystkim. Mogłam się śmiać, żartować i wygłupiać z nim, a jego

głos zagłuszał we mnie najskrytsze myśli, których nikt nie powinien słyszeć. Ale nie, Noah nie potrafił mnie zmienić. Nikt nie potrafił. Nadal byłam chodzącą trucizną i nawet Noah nie umiał sprawić, żebym zapomniała o tym choć na chwilę.

Podbródek mi drżał, kiedy wypowiadałam słowa, które Noah tak pragnął usłyszeć.

– To... to nie jest moja wina – szepnęłam.

– Powtórz.

– To nie moja wina – skłamałam, tym razem głośniej.

Noah zdjął osłonkę z igły strzykawki. Twarz miał szarą jak popiół. Podsunęłam mu ramię.

Chyba właśnie w tym momencie zrozumiałam, że to nie żarty i nie wpadną tu policyjni komandosi, żeby nas odbić. Nie będzie wielkiej nawałanki w stylu filmów akcji. Nie będzie krzyków i wybuchów. Będziemy tylko my. Dwoje ludzi i ich wielki wybór.

– Nawet nie poczuję – szepnęłam z wargami przy jego szyi, usiłując sobie nie wyobrazać rozmów, których już nigdy nie odbędziemy.

Tego mi zawsze najbardziej brakowało, kiedy się dłużej

nie widzieliśmy. Tej możliwości, że mogę mu mówić o wszystkim. Tyle jeszcze mieliśmy sobie do powiedzenia.

– Kocham cię – szepnęłam.

Noah tulił mnie w milczeniu. Nie odpowiadał, bo pewnie wiedział, że nie byłby w stanie wydobyć głosu. Nagle, bez ostrzeżenia, poczułam ukłucie w ramię, a potem głębokie pieczenie. Zdobyłam się na głupawy, smętny uśmiech, kiedy właczał truciznę w moje żyły.

– Dzięki – powiedziałam, gdy skończył.

Wyciągnął igłę i przycisnął palcem ranę. Szybko wciągnął powietrze, tłumiąc spazm płaczu. Był taki dzielny.

– Jeśli Daniel nadal... – Coś ścisnęło mi pierś i otwierałam usta jak ryba, usiłując zaczerpnąć więcej powietrza. – Jeśli nadal będzie nieprzytomny po mojej... jeśli twój ojciec nie...

– Tak, zrobię to – odpowiedział chrapliwym głosem.

Był taki piękny. Już nie zobaczę tej twarzy.

– Znajdź go – powiedziałam.

Język mi kołowaciał i powieki ciążyły jak ołów. Oddech był coraz płytszy.

– Napraw go... – Tchnęłam to ostatnie słowo i spadła na mnie ciemność.

„Naomi urodziła zdrowego chłopca. Nieco wcześniej urodziłaś się Ty.

Kiedy Twoja matka była w ciąży z Danielem, spędziłam wiele bezsennych nocy, zastanawiając się, czy będzie należał do Naznaczonych, jak ja. Jednak wkrótce po jego urodzeniu Profesor stwierdził, że jest zdrowy i normalny. Natomiast chwilę po tym, jak zobaczyłam Ciebie, wiedziałam, że nie dostałaś tej łaski.

Profesor powiedział mi o dziecku Shawa, o tym, jakie będzie, ale nie powiedział nic o konsekwencjach – o tym, że Ty też nie będziesz zwyczajna.

Wreszcie zrozumiałam, co stało się tamtej nocy, kiedy sądziłam, że uwiodłam Profesora.

Nie uwiodłam. On wiedział, że to się stanie. Wiedział, że urodzi się Twoja matka, a potem ty. Łudziłam się, że byłam jego towarzyszką, ale byłam tylko narzędziem.

Byłam wściekła na niego, że pozwolił, aby to się stało. I za to, co pewnego dnia ma się stać z Tobą. Kłamał,

kiedy powiedział, że nie mógł tego zmienić. Powiedział:
»Ona nie może stać się inna, niż jest«.

W tym miał rację.

Zmienisz ten świat, dziecko, czy tego chcesz, czy nie. Większość ludzi jest jak piasek; upływ lat rozdmuchuje ich żywoty w niebyt. Nie byli dla świata ani wielką szkodą, ani wielką korzyścią.

Ale jesteś inna niż większość ludzi.

Ty jesteś jak ogień, który niesiesz ze sobą wszędzie. Jeśli jesteś zaspokojona, jeśli twoja energia jest skanalizowana, możesz nieść światło – ale równie dobrze możesz rzucać cień. Możesz wedle wyboru dawać życie albo je zabierać, ale po każdej nagrodzie musi nieuchronnie nastąpić kara. Jeśli Twój płomień będzie płonął z niekontrolowaną siłą, przepalisz swoje życie i historię. Im bliżej ktoś będzie z Tobą, tym większe ryzyko, że wpadnie w twój cień albo spłonie w twoim płomieniu. Jesteś skazana na wieczne udawanie, że jesteś kimś innym, niż naprawdę jesteś. Będziesz musiała nakładać coraz cięższe zbroje, aby nikt cię nie dosięgnął. I nic nie jest Twoją winą. Nie zrobiłaś nic złego. Nie możesz się zmienić w inną osobę; możesz najwyżej zmienić kolor oczu. Pozostało ci tylko pogodzić się ze swoim losem. Jeśli zaczniesz

walczyć, przegrasz, a po walce zostaną blizny. Ale przeżyjesz tę batalię. Ja przeżyłam ich wiele. Będiesz czyniła dobre postęпки, których pożałujesz, i złe, których nie będziesz żałowała – ale musisz przeć do przodu, chociażby ze względu na dobro mojej córki, jeśli nie twoje własne. Ona już cię kocha.

Zależy mi, żebyś wiedziała, że pragnęłam zupełnie innego życia dla Ciebie i dla mojej ukochanej córki, która nigdy nie dowie się o tym wszystkim – a przynajmniej będę się o to starała. Czasami się zastanawiam, czy gdybym wybrała dla siebie inne imię, wyrosłabym na inną kobietę? Czy byłabym kimś innym? Czasami czuję, że drzemie we mnie smok i że z każdym oddechem wydycham smoczy jad. Igrałam z samobójstwem więcej razy, niż mogę zliczyć, ale teraz już wiem, dlaczego nigdy go nie popełniłam. Pragnęłam zachować tę chwilę dla Ciebie.

Istnieje szansa, choć nikła, że jeśli umrę, zanim Twoje Naznaczenie objawi się w całej pełni, moja linia dziedziczenia skończy się wraz z moją ofiarą. Nie wiem, jakie mam szanse, ale jestem gotowa podjąć ryzyko ze względu na swoją córkę. Nie mogę zmienić swojej przeszłości, ale mogę wybrać swoją przyszłość.

Powinam jednak cię ostrzec, że Profesor pewnego dnia cię odnajdzie, bowiem Twój los jest związany z losem

tego chłopaka. Możliwe, że poprosi cię, abyś mu pomogła, współpracowała z nim i wszystko zmieniła. On uwielbia drążyć historię, uparcie jak dziecko drapiące wysypkę, i może roztoczyć przed Tobą zawrotne perspektywy wiedzy. Ale ostrzegam: on dysponuje wiedzą większą niż jakikolwiek żyjący człowiek. Jednak ta wiedza nie daje mu szczęścia. Mnie też nie dała. W ciągu moich licznych żywotów poznałam wielu ludzi i mogę stwierdzić z całą pewnością: ci, którzy nie wiedzą, wydają się szczęśliwsi.

Ale Ty musisz zdecydować sama. Jeśli założysz to na szyję, on będzie wiedział, co wybrałaś.

Zastanawiam się, gdzie zostawić tę przesyłkę, żebyś kiedyś na nią trafiła i żeby Twoja matka wcześniej jej nie znalazła. Skoro jestem Naznaczona, pomysł sam mi się nasunie. Ale muszę zadbać, żeby wybór był najlepszy z możliwych; oparty na całej mojej wiedzy i nadziei”.

Z listem w jednej ręce i szmacianą lalką w drugiej poszłam do kuchni po nóż. Rozpłatałam lalkę od Siostry od szyi do łędźwi i wsunęłam do środka złożoną kartkę. Zaczęłam zaszywać lalkę z powrotem, kiedy przypomniałam sobie o wisiorku. Wcisnęłam go pięścią w szmaciane wnętrze i dopchnęłam palcem, a potem starannie zaszyłam rozpruty szew.

Stało się. Zrobione. Odczekam jeszcze trzy dni i opuszczę ten świat tak, jak się na nim pojawiłam – samotnie.

61
NOAH

Trzymam Marę w drżących objęciach i czuję, jak zanika jej puls. Mój ojciec nie raczy poczekać, aż Mara odejdzie, tylko od razu zanieczyszcza atmosferę swoimi słowami.

– Postąpiłeś właściwie, Noahu. Jestem z ciebie dumny.

Odkąd pamiętam, mam problem z uczuciami. Inni wpadają w przerażenie, robią się nerwowi, wycofani, podekscytowani, szczęśliwi albo smutni. Jeśli chodzi o mnie, wygląda na to, że mam tylko dwa ustawienia: jałowy albo pusty.

Ale teraz nie odczuwam nic z tych rzeczy.

Ból po stracie Mary jest fizyczny. Każdy wdech, każda porcja życiodajnego tlenu wydają się toksyczne. Każde uderzenie serca bije młotem w moją klatkę piersiową. Czy ona naprawdę myślała, że jakoś to zniosę?

– Zaraz zajmę się jej bratem – mówi ojciec, wyciągając komórkę. – I całą jej rodziną. Zasługują na to.

Trzyma telefon przy uchu i słyszę sygnał odbijający się

echem we wnętrzu budynku.

We wnętrzu budynku.

Daniel przez cały czas był w pobliżu!

To podwójny cios; zdrada, której nie mogę przeżyć, patrząc na jej nienaturalnie nieruchome ciało. Za dobrze ją znam; zbyt wiele nocy z nią spędziłem, żeby wiedzieć, że nie udaje śpiącej.

– Noah?

Głos Jamiego przebija się przez szum fal w moim mózgu. Ogniskuję spojrzenie na laptopie.

Widzę jego twarz zalaną łzami, napiętą, przerażoną.

– Coś się dzieje. Urządzenia wydają dziwny odgłos.

Ojciec kładzie dłoń na moim ramieniu. Nie mam siły, aby powiedzieć mu, żeby się ode mnie odpieprzył.

– Zaraz sprawdzę, o co chodzi – mówi. – Na pewno nic mu się nie stanie. Obiecuję, Noah.

Jego obietnice nic dla mnie nie znaczą. Ale jeśli się myli, to zadbam, żeby cierpiał męki do końca swojego bezsensownego, bezcelowego życia.

Widzę, jak daje znak Jude'owi, żeby mnie pilnował – czyżbym miał zrobić coś szalonego? – a kiedy Jude przytakuje ruchem głowy, ojciec odchodzi, zostawiając mnie samego ze swoją tragedią. No, niemal samego. Wyczuwam obecność Jude'a; widzę, jak zachłannie zerka na nóż, który zostawił ten kretyn zwany moim ojcem. Wiem, że Jude po niego sięgnie. Jeszcze nie wiem, co zrobi dalej, ale nie dbam o to.

– Na co czekasz? – pytam.

Rozgląda się i sprawdza, czy David odszedł, a potem, jak przewidziałem, sięga po nóż. Zaciska go w garści i patrzy na mnie, a w jego wzroku nie ma nienawiści. Jest tylko nadzieja.

Chora sprawa.

– No już, zrób to.

– Odsuń ją – mówi. – Wtedy to zrobię

Robię, co każe. On robi, co obiecał.

Światło rozlało się czerwoną plamą pod moimi powiekami. Wyprostowałam się gwałtownie, jakby ktoś wbił mi zastrzyk z adrenaliny prosto w serce.

Pamiętałam ręce, które nie były moje, zaszywające list w lalce. Pamiętałam, co napisałam w tym liście. Pamiętałam śmierci, których nie chciałam, rodziny, które nie były moje, drzewa i zwierzęta, statki i kurz, pióra i serca.

Pamiętałam wszystko. Każde odczucie, zapach, dotyk, widok. Wibrowałam echami wspomnień babci, jej wiedzy, jej dziedzictwa. Ta wiedza rosła mi w gardle wraz z potrzebą opowiedzenia Noahowi o wszystkim. Ale to nie jego twarz zobaczyłam, kiedy otworzyłam oczy.

Tylko pokrętny uśmiech Jude'a uwydatniający rozkoszne dołeczki w jego policzkach, jak u dziecka ze świątecznych pocztówek. W ręku miał strzykawkę.

– Wiedziałem, że wrócisz, kiedy się do końca objawisz. Doktor sądziła, że tak się stanie, gdy zakończysz metamorfozę – powiedział.

Było mi na tyle wszystko jedno, że nie zważałam, co mówi, i nie zastanawiałam się, o co mu chodzi. Nie zaalarmował mnie dziwny sposób, w jaki to mówił. Miałam tylko jedno pytanie – ale moje serce znało odpowiedź, zanim potwierdził ją wzrok.

Odwróciłam się i zobaczyłam ciało Noaha leżące za mną. Nóż ciągle tkwił mu w piersi.

63
NOAH

Usłyszałem ten głos, zanim zobaczyłem twarz.

– Nie umrzesz – mówi Mara.

Jej charakterystyczny alt kryje napięty ton. Jest wściekła. Zrozpaczona. Jest okropną kłamczuchą. Zawsze była, zwłaszcza w porównaniu ze mną.

Udaje mi się unieść powieki. Patrzę, jak przebiega wzrokiem po moim ciele, i czuję dotyk jej palców na piersi. Ma wściekłe, zdeterminowane rysy.

Nie wiem, czemu przypominam sobie moment, w którym zobaczyłem ją pierwszy raz, w szkole, z furią kopiącą automat, który nie chciał jej wydać ulubionego batonika. Do tego momentu wszystkie godziny mojego życia były jednakowe. Nieskończenie nudne. Nieznośnie monotonne. Aż w pewnym momencie dziewczyna z mojego sennego koszmaru przybrała realną postać i wkroczyła w moje życie, wnosząc w nie Wielką Tajemnicę. Obecność Mary była problemem, który musiałem rozwiązać; czymś, co po raz pierwszy w życiu autentycznie mnie zainteresowało. Ona też sprawiła, że zainteresowałem się sobą.

Mara zapoczątkowała pytanie, na które pożałowałem odpowiedzi, ale im dłużej ją znałem, tym bardziej miałem wrażenie, że coraz mniej wiem. Jest osobowością pełną niespodzianek i niezwykle złożoną. Niepoznawalną. Nieprzewidywalną. W życiu nie spotkałem kogoś tak fascynującego i wiem, że nie wystarczy całego czasu świata, żeby ją poznać.

Ale teraz potrzebuję tego czasu. Mój umysł skupia się na wspomnieniach o niej, na dotyku jej rąk na mojej głowie, jej oddechu w moich ustach. Klasyka. Przez większość życia pragnąłem śmierci i teraz, kiedy umieram, już jej nie chcę. Uśmiecham się niedostrzegalnie, gorzko. Podobno życzenia się spełniają.

Nie sposób opisać uczucia, jakiego się doznaje, trzymając ciało ukochanej osoby, w którym zamiera życie.

Noah jeszcze oddychał, ale płytko. Nie otworzył oczu, kiedy wypowiedziałam jego imię. Tuląc go w ramionach, uniosłam głowę i z nienawiścią popatrzyłam na Jude'a.

– Dlaczego?

Nie poznawałam własnego głosu.

– Musiałem cię wzbudzić. Tak powiedziała doktor. Powiedziała, że jeśli ujawnisz się w pełni, będziesz zdolna mnie zabić, a ja bardzo tego chcę. To jedyny sposób, żebym umarł. Wiedziałem, że jeśli go zabiję, wpadniesz w taką furję, że to zrobisz.

Ale nie czułam furii. Czułam pustkę.

– Mara?

Głos Jamiego. Laptop nadal stał na pudle. Wyciągnęłam szyję, żeby spojrzeć na ekran.

- Chryste – powiedział – myślałem, że nie żyjesz.
- Czy Daniel... mój brat...
- Zabrali go. Skurwiele zabrali go, a mnie tu zostawili.
- Czy on...
- Żyje, nie martw się. Wpuścili mu coś do żyły. Maro, jestem tutaj, gdzieś w budynku. Możesz po mnie przyjść?

Spojrzałam na twarz Noaha. Puls trzepotał mu pod skórą szyi. Przeniosłam wzrok na nóż w jego piersi. Może gdybym go wyciągnęła...

Nie wiedziałam, co robić. Byłam w kropce.

– Zrób to, zanim wróci – ponaglił Jude.

– Kto? Ojciec Noaha?

Już się dla mnie nie liczył. Dostanie, na co zasłużył. Dopilnuję tego.

– Nie, to coś we mnie – powiedział Jude, budząc we mnie kolejną falę nienawiści i obrzydzenia. – Doktor pracowała nad czymś, nad lekiem. Wstrzyknąłem go sobie, ale już przestaje mnie blokować. Musisz to

zrobić, Maro. Wcześniej nie mogłaś, ale teraz jesteś już gotowa. Wróciłaś. Uzdrowiłaś się. Więc możesz to zrobić. Proszę.

Jude błagał, żebym go zabiła. I powinnam. Zasłużył na śmierć po tym, co zrobił. Ale jego słowa, sposób, w jaki to powiedział, zdjęły zasłonę z mojej pamięci.

Przypomniałam sobie, jak stał w ogrodzie tortur w Horyzontach, każąc mi się straszliwie bać, gdyż liczył, że w ten sposób sprowadzę mu z powrotem Claire. A to było przecież niemożliwe.

W momencie kiedy to pomyślałam, Noah przestał oddychać.

Zobaczyłam, że puls zanikł pod skórą i ostatni oddech uleciał z jego ust jak westchnienie.

– O Boże – szepnęłam.

Popłynęła pierwsza łza, potem następne. Trzonek noża tkwiącego w jego piersi rozmazywał mi się w oczach.

– Maro, słyszysz to? – zapytał Jamie.

Niczego nie słyszałam. Nie widziałam. Nie czułam. Liczył się tylko Noah. Wyciągnęłam mu nóż z piersi w desperackiej nadziei, że jeszcze nie jest za późno, że

jakimś cudem zdoła się uzdrowić, że potrafi, choć jego ojciec mówił inaczej, choć wróżka mówiła inaczej.

„Zniszczysz go swoją miłością”.

Myślałam o wszystkich decyzjach i wyborach, które doprowadziły nas do tego miejsca. O tym, że mogliśmy pójść zupełnie innymi drogami. Noah mógł nigdy mnie nie spotkać i teraz byłby cały i zdrowy.

– Syreny – powiedział z nadzieją Jamie. – Czy on... Czy Noah...

Ale było już za późno. Moja miłość umarła w moich ramionach.

– Odszedł – powiedziałam, jedną ręką podtrzymując jego głowę, a w drugiej ściskając nóż, który go zabił.

– Proszę – powiedział błagalnie Jude. – Proszę cię... proszę!

Popatrzyłam na ostrze ociekające jeszcze ciepłą krwią Noaha. Tyle było tej krwi – na jego piersi, rozlanej wokół ciała. Nawet na włosach.

Ten nóż go nie zabił. Jude go zabił.

Ale może uda mi się sprowadzić Noaha z powrotem.

Skupiłam się i proszący głos Jude'a rozplątał się w tle moich myśli razem z głosem Jamiego, wyciem syren, wszystkim. Zamknęłam oczy i zaczęłam intensywnie przywoływać w pamięci obrazy.

Noaha żywego, wiążącego mi sznurowadła przed moim domem, kiedy zaraz mamy jechać do szkoły.

Noaha żywego, oglądającego swój portret, który dla niego narysowałam, a potem składającego kartkę i chowającego ją do kieszeni.

Noaha żywego, spoglądającego na mnie zaspanym wzrokiem spod strzechy niesfornych włosów, trzymającego mnie w ramionach, kiedy leżymy razem w łóżku.

Otworzyłam oczy.

Noah nadal nie żył.

Coś musiałam robić źle. Gorączkowo przeszukiwałam pamięć, moją i nie moją, usiłując znaleźć jakieś wskazówki. Ojciec Noaha i doktor Kells obdarzyli Jude'a zdolnością, ale nie potrafili go kontrolować. Próbowali zneutralizować moją zdolność i przejmowali kontrolę nade mną. Aż do teraz.

Wytarłam nóż z krwi Noaha, aż zobaczyłam swoje

odbicie w lśniącej stali. Miałam nadzieję, że coś do mnie powie, poradzi, jak wyjść z tego pata. Niestety milczało.

Jude błagał coraz bardziej rozpaczliwie i cały się trząsł. Zrozumiałam, że pragnie zginąć z mojej ręki dla własnego dobra, żeby nie mógł znów stać się tym, czym jest. Ale nie dbałam o to. Chciałam, żeby cierpiał. Po tym wszystkim, co zrobił, powinien cierpieć dniami i nocami. Zasłużył na to.

Wiedziałam jednak, że tak się nie stanie.

Ciało Noaha było ciepłe w moich rękach. Czułam jego ciężar na swoich kolanach. Nie chciałam myśleć o Judzie. Ale było jasne, że nie da mi spokoju, dopóki nie spełnię jego prośby.

Dlatego zaczęłam sobie intensywnie wyobrażać, że jego podłe serce przestaje bić, nerwy obumierają, a płyn zalewa płuca. W myśli wyłączałam mu kolejne organy, ale on wciąż żył. Zgiął się wpół i wydawało mi się, że widzę kroplę krwi kapiącą mu z nosa, ale nie byłam pewna.

– Proszę – szepnął znów. – Proszę.

Byłam zdolna zabić go na odległość, ale nie mogłam mieć pewności, po jakim czasie umrze. Z doświadczenia wiedziałam, że tego momentu nie potrafię przewidzieć,

kontrolować go. Może teraz już bym mogła, ale jeszcze nie wiedziałam, jak to robić.

Dlatego powiedziałam do Jude'a:

– Podejdź do mnie.

Popatrzył na mnie. Coś chytrego i nienawistnego błysnęło w jego oczach. Jak mogłam kiedyś tego nie zauważyć? Czemu widziałam tylko tę jasną głowę i dołeczki w policzkach, nie dostrzegając, że to tylko skorupa, powłoka kryjąca to coś. Jak mogłam dopuścić go na tyle blisko, żeby mnie skrzywdził?

Wszystko jedno. Teraz nie zamierzałam popełnić tego błędu.

Konieczność złożenia głowy Noaha na podłodze i wypuszczenia go z objęć, żeby stanąć przed jego mordercą, była dla mnie bolesna. Jude klęczał, lecz nadal był groźny. Zmagał się ze sobą; jego mięśnie były napięte jak struny, a żyły wystąpiły mu na czoło i kark.

Być może powinnam wykorzystać okazję i kazać mu przed śmiercią wyznać wszystkie grzechy; zmusić go, żeby się pokajał i prosił o wybaczenie; żeby przez tę chwilę przeżył cały ból swoich ofiar. Ale i to wydawało mi się zbytnią łaską. W gruncie rzeczy Jude był jak zwierzę i należało go po prostu zaszlachtować. Tak też

zrobiłam. Przeciągnęłam mu nożem po gardle i Jude zwalił się na bok. Patrzyłam, jak tryska krew.

Mętnie rejestrowałam postacie – żywych ludzi – którzy wpadli do hali, tupiąc i krzycząc; czerwone i niebieskie rozbłyski za brudnymi szybami okien. Zerknęłam na laptopa i zobaczyłam, że policja wyważyła drzwi do pomieszczenia, w którym był więziony Jamie. Coś poruszyło się na peryferiach mojej wizji.

– Rzuć broń – zawołał kobiecy głos.

Nie zdawałam sobie sprawy, że ciągle mam w ręku nóż. Rozwarłam palce. Upadł ze szczękiem na zakurzoną podłogę.

– Załóż ręce na głowę i odwróć się powoli.

Posłuchałam. Prawie tuzin policjantów stał pomiędzy manekinami, mierząc do mnie z broni.

Zerknęłam na ciało Jude'a, potem Noaha i wróciłam spojrzeniem do funkcjonariuszki. Zastanawiałam się, kogo widzi, kiedy na mnie patrzy – zrozpaczoną dziewczynę? Morderczynię?

O dziwo, niewiele mnie to obchodziło. Zapewniłam Noaha, że nie umrze. Moje ostatnie słowa wypowiedziane do niego były kłamstwem. Byłam

kłamaczą. Umarł i choć się bardzo starałam, nie przywróciłam go do świata żywych.

Już nie płakałam. Był tylko spazm, który nie rozwinął się w łkanie, piekące ukłucie łez, które nie popłynęły, i ból w gardle, który zanikł, zanim wybuchnął krzykiem. Płacz przyniósłby mi ulgę, ale tylko wtedy, gdybym była w rozpacz. A ja byłam w furii.

Byłam w furii, bo Noah umarł, bez sensu, bzdurnie, a inni mogą dalej cieszyć się życiem. Jeśli ludzie dowiedzą się kiedyś, co tu się stało, przez moment na ich twarzach pojawi się groza, a potem wszystko przejdzie do historii. Będą sobie żyć, śmiać się i tylko ja zostanę sama ze swoją rozpacz.

– On próbował ją zabić! – krzyknął Jamie w słabych głośnikach laptopa, kiedy na ekranie policjant rozciął mu więzy.

Przekaz przyciągnął uwagę jednego z gliniarzy, ale reszta nawet na moment nie przestała do mnie celować.

Gdyby mnie znali, gdyby wiedzieli, przez co przeszłam i co straciłam, z pewnością by mi współczuli; szczerze współczuli. Ale gdzieś w głębi podświadomości odczuli by ulgę, że taka strata spotkała kogoś innego.

Teraz pragnęłam tylko jednej rzeczy – żeby Noah żył.

Nie zasłużył na śmierć. Ale samo pomyślenie o czymś nie sprawi, że myśl stanie się rzeczywistością. Samo pragnienie czegoś nie powoła tego do życia.

Ale kiedy ja będę myśleć i pragnąć, może się tak stać. Tak powinien działać mój dar. Moje Naznaczenie.

Zamknęłam oczy i zacisnęłam powieki. Przed oczami zobaczyłam zdanie, napisane ręcznie – ale pismo nie było moje.

„Możesz wedle wyboru dawać życie albo je zabierać, ale po każdej nagrodzie musi nieuchronnie nastąpić kara”.

Kara. Nagroda.

Chciałam dać Noahowi życie. Nagrodzić go nim. Ale nie ma nic za darmo. Nic. Skoro czegoś chciałam, musiałam ustalić cenę.

Chciałam Noaha. Co mogę za niego dać?

A raczej kogo mogę za niego dać – tak powinno brzmieć to pytanie.

„Ludzie, na których nam zależy, są dla nas warci więcej niż inni. Tak po prostu jest i nie ma sensu zaprzeczać”.

Te słowa kiedyś powiedział Noah. A teraz były też moje.

Kogo mam przehandlować za niego? Na pewno nie moją rodzinę. Tylko nie ich.

Byli też inni ludzie. Świat był ich pełen. Rozejrzałam się wokół. Halę wypełniali mężczyźni i kobiety, którzy z własnej woli narażali się na niebezpieczeństwo, żeby ocalić czyjeś życie. Dobrzy ludzie. Dzielni. Nieegoiści. Prawdziwi bohaterowie.

Czy mam przehandlować któregoś z nich za powrót Noaha?

Czy mam ich wszystkich poświęcić?

Nie miałam najmniejszych złudzeń co do siebie. Nie musiałam się zastanawiać, żeby wiedzieć, jak brzmi odpowiedź.

Tak.

Wiedziałam, co będzie dalej. Policjanci zbliżyli się i kobieta spytała:

– Czy masz coś, czym możesz mnie zranić?

Zadajesz niewłaściwe pytania, dostajesz niewłaściwe odpowiedzi. Pokręciłam głową, kiedy sięgnęła do moich rąk, żeby zakuć mnie w kajdanki.

– Co tu się stało?

Nie odpowiedziałam. Jak mogłabym odpowiedzieć?

Zresztą miałam prawo milczeć i skorzystałam z niego.

Nadbiegli ratownicy medyczni, rozłożyli wózki i zaczęli badać leżące ciała, jakby to miało sens.

Policjantka przyjrzała mi się z ukosa i zapytała:

– Dobrze się czujesz?

Pytanie było niemal zabawne. Potrząsnęłam głową.

– Ona jest chyba w szoku – powiedziała do sanitariuszy.

– Zbadajcie ją szybko i pojedziemy z nią do szpitala.

– Mamy tu jeszcze jednego – oznajmił jakiś głos.

Obejrzałam się i zobaczyłam Jamiego prowadzonego przez dwóch gliniarzy.

– Mówiłem im o twoim szalonym eksie – powiedział głośno, zbyt głośno, kiedy koło mnie przechodził.

Spryciula.

– Twój były chłopak? – spytała mnie policjantka. – Który to?

Spojrzałam na Jude'a.

– A to jest twój chłopak?

Ruchem głowy pokazała na Noaha, na jego bezwładne ciało, które ratownicy bez pośpiechu podjęli z ziemi, żeby włożyć je na wózek. Tępo, drętwo kiwnęłam głową. Zaraz go stąd zabiorą. Jak ja to zniosę?

– Chyba wiem, co tu się stało – powiedziała zniżonym głosem do drugiej policjantki, która podeszła do niej. – Jak już będzie w szpitalu, ściągniemy rodziców.

Przytrzymała mnie za łokieć, kiedy ratownicy zaczęli odjeżdżać z Noahem. Członki miałam jak z ołowiu. Nie mogłam zrobić kroku. Prawie nic nie widziałam. Świat

rozpływał się we łzach. Zamrugałam gwałtownie, ale płynęły niepowstrzymanym strumieniem.

Policjantka popchnęła mnie do wyjścia w momencie, kiedy jeden z ratowników uniósł prześcieradło, żeby zakryć twarz Noaha. Nagle dostrzegłam, że powieki mu drgnęły.

Noah z zakrytą twarzą oddalał się na wózku z piszczącymi kółkami, kiedy wreszcie udało mi się wykrztusić:

– Zaczekajcie.

Nikt mnie nie usłyszał, więc drugi raz wrzasnęłam co sił w płucach.

Tym razem poskutkowało. Zatrzymali się. Ratownik, który zakrył Noaha, musiał zobaczyć coś w mojej twarzy, bo spojrzał na mnie, potem na wózek i uniósł prześcieradło.

– Jasny gwint! – szepnął. – Oddycha!

W ułamku sekundy to spokojne już miejsce zmieniło się w wir aktywności. Ratownicy zaroiли się wokół Noaha, zasłaniając mi widok. Dostrzegłam tylko, że zakładają mu maskę tlenową, i jakieś ręce odciągnęły mnie na bok. Kiedy wieźli go do drzwi, oczy miał otwarte

i wydawało mi się, że pod przezroczystą maską mignął ten półuśmieszek, który tak kochałam.

Tyle rzeczy zdarzyło się w ciągu ostatnich paru godzin i nie wszystkie były realne.

Ale kiedy wózek mnie mijał, Noah spuścił rękę z noszy i musnął mnie lekko dłonią. Ten dotyk mnie zelektryzował.

Noah żył. Był w realu.

Aparatura stojąca z lewej strony szpitalnego łóżka Noaha popiskiwała jednostajnie, a ta z drugiej strony wydawała ciche syki. Słyszałam to i widziałam przez otwarte drzwi, kiedy prowadzono mnie korytarzem. Wejścia pilnowało dwóch policjantów i kiedy zauważyli, że wyciągam szyję, zerkając do środka, jeden z nich przesunął się i zasłonił je sobą. Detektyw Howard – tak nazywała się policjantka – zaprowadziła mnie do zaimprovizowanego pokoju przesłuchań. Numer 1213, jak zauważyłam.

– Lekarz mówi, że twój chłopak bardzo szybko wraca do zdrowia. Wręcz w niezwykłym tempie – dodała. – Rana w piersi wyglądała paskudnie i pewnie została przecięta aorta. Ratownicy myśleli, że już nie żyje... Dziwne, oni zwykle nie popełniają takich pomyłek.

Patrzyła na mnie, czekając, co powiem, ale co miałam powiedzieć? Że chciałam, aby żył, więc żyje?

Faktycznie, obłąd.

– Twój przyjaciel – Jamal, tak? – powiedział mi, co ci się stało. Podał nam numer do twoich rodziców, więc zadzwoniliśmy do twojej mamy i zostawiliśmy

wiadomość na poczcie głosowej. Miejmy nadzieję, że niedługo się zjawi.

Niekoniecznie.

– Zanim przyjedzie mama, chciałabym jednak usłyszeć twoją relację, jeśli oczywiście możesz mi powiedzieć.

Mogłam, ale nie chciałam. W końcu nie na darmo byłam córką prawnika. Pochyliłam głowę, aż włosy opadły mi na twarz. Byłam też córką psycholożki. Wiedziałam, jak się mam zachować.

– Byliście razem w ośrodku... rodzaju kliniki terapeutycznej, zgadza się?

Można tak powiedzieć. Wpatrzyłam się w blat stołu i zamrugałam, jakbym słyszała ją po raz pierwszy.

– To musiało być dla was bardzo trudne – powiedziała łagodnie, próbując innej taktyki.

Przygryzłam wargę, choć chciało mi się śmiać. Myślała, że tłumię płacz, i pocieszająco położyła mi dłoń na ramieniu.

– Jeśli działałaś w samoobronie, nic ci się nie stanie.

Jakbym nie wiedziała!

– Jeszcze parę pytań, a potem lekarze będą chcieli z tobą porozmawiać, dobrze?

Cisza.

– Ktoś zgłosił nam zabójstwo w magazynie. Czy wiesz, kto to mógł być?

Oczywiście, że wiedziałam. Na pierwszym miejscu typowałam Davida Shawa. Był przekonany, że już nie żyje i trzeba zwalić na kogoś winę. Założę się, że podrzucił im trop Jude'a.

– Poza tym okazało się, że do szpitala przyjęto chłopaka niewiele starszego od ciebie, którego znaleziono niedaleko od wspomnianego magazynu, zaledwie na pół godziny przed naszym przybyciem. Może o tym wypadku coś wiesz?

Daniel.

Serce zabiło mi mocniej, ale nie mogłam pytać. Nie powinnam nic mówić. Zamiast odpowiedzi skierowałam wzrok na okno. Znajdowaliśmy się na dwunastym piętrze i Nowy Jork rozciągał się pod nami. Z tej wysokości wyglądał jak miasto dla lalek, którego elementy mogłam przestawiać, bawiąc się nimi, albo po prostu rozrzucić.

Skrzypnęły drzwi i lekarz wsadził głowę do pokoju, wzywając gestem detektyw Howard.

– Psychiatra jest w drodze – poinformował ściszym głosem. – I ktoś do niej przyszedł.

Rzeczywiście, ktoś za nim stał, ale nie widziałam kto to.

– Czy jest pani matką? – zapytała policjantka.

Jednak kobieta, która weszła do pokoju, nie była moją mamą. Była młoda, nie miała jeszcze trzydziestki, a jej bladą, okrągłą i piegowatą twarz zdobiły okulary w rogowej oprawie. Była w T-shircie, obcisłych dżinsach i w trampkach. Nie miałam pojęcia, kim jest.

Uścisnęła dłoń policjantce.

– Jestem Rochelle Hoffman, adwokat – przedstawiła się.

Okazało się, że jest kuzynką Jamiego. Zadzwoił do niej, kiedy tylko mu pozwolono, a potem dał glinom jej numer, mówiąc, że to telefon moich rodziców. Oczywiście mu uwierzyli. Nie mieli wyjścia.

Kiedy wreszcie zostałyśmy same, przestałam odgrywać stupor i powiedziałam, że muszę porozmawiać z Jamiem. Załatwiła to szybko – zapewne Jamie już czekał – i zostawiła nas samych. Przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem.

– No, sprawa jest ogarnięta – zaczął.

Nie mógł mnie bardziej ucieszyć.

– Daniel też jest w szpitalu.

Otworzyłam usta, żeby zapytać o brata, ale Jamie dodał szybko:

– Wszystko z nim w porządku. Musimy przeniknąć do szpitala metodą Smoczego Języka albo w jakiś inny sposób i załatwić wypisy dla niego i dla Noaha. Może wieczorem, w czasie przejścia na nocną zmianę.

- A co z nami?
- Cóż, byłabyś podejrzewana o morderstwo, gdybym nie zdołał z ogromnym wysiłkiem, z uszczerbkiem dla swojego zdrowia fizycznego i psychicznego, wmówić policji coś zupełnie przeciwnego.
- Jestem do zgonnie wdzięczna.
- Widzę i słyszę.
- Czy w takim razie możemy już iść?
- Mniej więcej. Rochelle załatwia zwolnienie.
- A co twoja kuzynka radzi nam robić? Z tym wszystkim?
- Hmm... – zaczął niespiesznie. – Można powiedzieć, że opisałem jej sytuację hipotetyczną.
- Realną inaczej?
- Tak, coś w stylu: „Powiedzmy, że ten miliarder finansował nieetyczne eksperymenty genetyczne na nastolatkach...”.
- Nieźle.

– I powiedzmy, że te nastolatki miały nadnaturalne predyspozycje...

– No, no...

– W rezultacie jeden z nich zabił paru ludzi myślą, a innych własnymi rękami. Oczywiście tylko hipotetycznie.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Powiedzmy, że istnieją fizyczne dowody wiążące go z tymi zgonami...

Kells. Wayne. Ernst.

– O Chryste, Jamie!

– Zaś inne dowody zostały sfabrykowane, aby obciążyć go zbrodniami, których nie popełnił.

Phoebe. Tara.

– I dodałem, czysto dla zabawy, dla urozmaicenia sprawy, że wszystkie te nastolatki mają udokumentowane historie chorób psychicznych. Jak myślisz, jakie byłyby nasze szanse, gdybyśmy wystąpili w sądzie przeciw owemu hipotetycznemu miliarderowi?

– Ale wspomniałeś chyba o dowodach, jakie posiadamy? O nagraniach, dokumentach?

– Jasne.

– Rozumiem, że odpowiedź nie była zbyt pocieszająca?

– Szok, nie? Rochelle powiedziała – oczywiście w teorii – że mogą być trudności z uznaniem autentyczności dokumentów. I naszych zeznań. Rozumiesz, dokumentacja poważnych problemów wychowawczych, nadzoru, zaburzeń, bla, bla, bla. Zresztą nie wiem; czy ja wyglądam na prawnika?

Oddychałam powoli, usiłując zachować spokój.

– Litościwie oszczędziłem jej opowieści o tym, jak ty i Noah umieracie, a potem wracacie do życia, ale i tak podejrzewa, że wkręcą ją w jakieś jazdy. Jakby mnie nieufnie obwąchiwała. Ale jest solidna i godna zaufania. I łebska. Z jej pomysłu i moim niezwykłym darem możemy wygrać wszystko.

– Miło to słyszeć.

– Notabene miałaś rację, jeśli chodzi o Noaha. Jestem obecnie skłonny to przyznać.

– Co przyznać?

– Że myliłem się co do niego. I w ogóle.

– Nadal nie rozumiem.

– Kiedy cię poznałem, myślałem, że Noah chce cię wykorzystać.

– Wielu tak myślało, Jamie.

– Czy raczysz się na moment zamknąć, żebym mógł się spokojnie przyznać do błędów? – Jamie odchrząknął z powagą. – Jak już mówiłem, cofam ten zarzut. Nigdy nie zamierzał cię wykorzystać. Zawróciłaś mu w głowie. Szkoda, że nie widziałaś, jak na ciebie patrzył, kiedy odjechałaś w niebyt.

Uśmiechnęłam się nieznacznie.

– Jak?

– Jakbyś była oceanem, w którym chce utonąć.

Te słowa zdmuchnęły uśmiech z mojej twarzy. Noah utonął. Z moją pomocą.

Pokręciłam głową, żeby otrząsnąć się z takich myśli. Jamie musiał uznać, że się z nim nie zgadzam, więc tłumaczył dalej:

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, kim dla niego jesteś. Maniakalnym ideałem, wymarzoną elfką albo czymś w tym stylu. – Zastanowił się przez chwilę. – Albo raczej psychotycznym demonem z sennego koszmaru. Rozumiesz, te klimaty.

Wolałam nie potwierdzać.

– A skoro już mowa o siłach nieczystych – podjął z wdziękiem Jamie – naprawdę umarłaś i wróciłaś do życia? Niezły numer! Jak ci się to udało?

– Jude powiedział, że wreszcie się ujawniłam czy coś takiego. I po prostu się uzdrowiłam.

– Aha. A Noah?

Milczałam.

– Wyglądał na całkiem nieżywego, kiedy siedziałaś tam i kołysałaś jego nieruchome ciało. Niezła scena, muszę przyznać.

– Niezła scena?

– Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że nie jesteś całkiem szczerą, Maro.

– Masz zbyt bujną wyobraźnię. Za dużo stresu ostatnio.

Zrobił taką minę, jakby chciał mnie walnąć. Na szczęście ktoś zapukał do drzwi. Rochelle zajrzała i dała nam znak, żebyśmy wyszli na korytarz.

– Masz u mnie dług, kuzynie – powiedziała do Jamiego, kiedy mijaliśmy panią detektyw i pielęgniarki.

– Przecież kochasz mnie miłością czystą i wiesz o tym.

– Masz szczęście, że tak jest.

W drodze do wind minęliśmy strzeżone drzwi sali Noaha. Policjanci popatrzyli na nas czujnie. Rozpoznałam jednego z nich – był w magazynie. Ten, którego uwagę rozproszył krzyk Jamiego z laptopa.

Jamie zatrzymał się przy nim.

– Wszystko w porządku? – zagadnął.

Przystanąłam, ciekawa, co nastąpi.

– Tak – odpowiedział powoli gliniarz. – A czemu pytasz?

Jamie pokazał na swój nos.

– Masz tu... coś.

Mężczyzna zmarszczył brwi i wciągnął powietrze nosem, a potem musnął go palcami. Nagle zobaczył, że są czerwone. Zostawił sobie smugę na policzku.

– Dzięki – powiedział do Jamiego.

Ruszyliśmy dalej. Kiedy zbliżaliśmy się do windy, coś przyciągnęło moje spojrzenie.

W jednej z sal, na stoliczku z narzędziami chirurgicznymi, leżał skalpel. Rozejrzałam się, czy nikt mnie nie widzi.

Nikt nie patrzył.

Myknęłam do sali, chwyciłam skalpel, wsunęłam go do tylnej kieszeni, po czym szybko dołączyłam do Jamiego i Rochelle przy windzie. Zanim drzwi kabiny się zasunęły, zobaczyłam, że policjant trzyma przy nosie poplamioną na czerwono chusteczkę.

68
NOAH

Kiedy Jamie wyprowadza ze szpitala mnie i Daniela, Mara już na nas czeka. Stoi na pustym chodniku w kręgu światła latarni i wygląda złowrogo pięknie.

– Metro? – sugeruje Jamie.

Daniel protestuje gwałtownym gestem.

– Zdecydowanie taksówka.

Po minucie już podjeżdża. Kierowca obraca się ku nam.

– Dokąd jedziemy?

Mara szczyrzy do mnie zęby.

– Dokąd zechcemy.

Jamie otwiera drzwi domu ciotki i od razu znika w łazience. Daniel pada na kanapę w salonie.

Rozglądam się.

– Ładne miejsce – mówię, kiedy Mara prowadzi mnie dalej.

Wchodzę za nią do sypialni. Padamy objęci na łóżko.

Budzę się nazajutrz po południu. Mara leży koło mnie, martwa, zaplątana w pościel.

Nie, nie martwa. Po prostu śpi jak zabita.

Ale panika zostaje. Wysuwam spod niej ramiona i poczucie winy dławi mnie w gardle. Gula jest tak wielka, że mnie dusi.

Dzięki Bogu obok jest łazienka. Wpadam tam jednym skokiem i zamykam drzwi na zasuwkę. Patrzą na swoje odbicie w lustrzanej szafce, na puste oczy, na bladą, nieruchomą twarz. A potem obraz znika i zastępują go inne. Bładoniebieskie żyły na ramieniu Mary, w które zaraz wbiję igłę. Jej zamknięte powieki, nienaturalnie nieruchome.

Mam ochotę pociąć się na kawałki, w których nikt już mnie nie rozpozna. Zamiast tego zdejmuję koszulkę, wiedząc, co zobaczę, i obawiając się tego.

Na mojej piersi są szwy, tak jak się spodziewałem, a rana jest niemal całkowicie zagojona, tak jak się obawiałem.

Wyjmuję z szuflady nożyczki i rozcynam szwy, zastanawiając się bez zbytej ciekawości, czy zobaczę

bliznę. Mam nadzieję, że tak.

– Puk, puk. – Stukanie i słumiony głos Daniela zza drzwi pokoju. – Wszyscy zdrowi?

Wychodzę z łazienki. Mara nieprzytomnie unosi powieki i patrzy na mnie z łóżka. Jej włosy są dziką, splątaną dżunglą. Chciałbym się w niej zanurzyć.

– Kto to? – pyta sennie.

– Twój brat.

Natychmiast wyskakuje z łóżka, tak gwałtownie, że uderza się w palec i klnie jak szewc. Otwiera drzwi i rzuca się na brata, zamykając go w niedźwiedzim uścisku. Daniel chwieje się, ale odzyskuje równowagę i obejmuje ją z równą miłością.

– Przepraszam – mówi Mara z ustami przy jego szyi. – Wybacz.

Daniel odsuwa ją na odległość ramienia.

– To nie twoja wina.

I tak ci nie wierzy, mam ochotę powiedzieć. Ale powstrzymuję się.

Na próżno. Daniel zerka na mnie, jakby wiedział, co myślę.

– Noah. Dzięki.

Niedobrze mi się robi.

– Dziękuję za uratowanie mnie i mojej siostry.

Fajnie, ale nie uratowałem ani jego, ani jego siostry. Gdyby to ode mnie zależało, Daniel w ogóle nie znalazłby się w niebezpieczeństwie. Jego ojciec nie przeprowadziłby się z rodziną na Florydę. Mara nie znalazłaby się w zrujnowanym psychiatryku i Jude by jej nie napadł, bo w ogóle by go nie znała. Wszystko, co przeżyła ta rodzina, było wynikiem machinacji mojego ojca. Przypomniałem sobie, jak obiecałem, że będę strzegł Mary i jej rodziny, a tymczasem oni żyli w zagrożeniu za sprawą mojej osoby. Na samą myśl o tym odechciewało mi się żyć.

Niestety, nie mogę zdradzić tych myśli Danielowi, gdyż boję się jego potępienia.

– A, tu jest balanga – mówi Jamie, wpadając do pokoju.

– Zgadnijcie, co mam?

Mara unosi brew.

– Poczta dla was.

Ciska czymś we mnie; łapię odruchowo i widzę, że trzymam kopertę bez znaczków, pieczętek i nadawców. Jamie ma taką samą. Mara też.

– Od kogo? – pyta Jamiego.

– Od Lukumiego. Lenaurda. Czy kim on tam jest. Jest jeszcze list dla Stelli, ale... – Jamie rozkłada ręce jak listonosz, który nie zastał adresata.

– Skąd wiesz, od kogo to? – pyta Daniel.

Jamie pokazuje mu dużą, zbiorczą kopertę.

– Była zaadresowana do „Tymczasowych mieszkańców 313 West End Avenue”. Czyli do nas – dodaje zupełnie niepotrzebnie.

Mara marszczy brwi.

– Otworzyłeś beze mnie?

– Myślałem, że jesteś zajęta spólkowaniem.

– Przecież byś słyszał.

Ta ich przepychanka słowna jest w jakiś sposób intymna.

Nie jestem zazdrosny; nie o to chodzi, ale czuję się dziwnie, obserwując te interakcje. Taki na marginesie. Jak drugie skrzypce.

– Kto wie, mogło jeszcze trwać długo – ciągnął Jamie. – Postanowiłem nie czekać.

Dobra, wystarczy tego.

– Dzięki, panie listonoszu – mówię. – Co jest w tych listach?

– A cholera wie. – Jamie wzrusza ramionami. – Przez grzeczność czekałem z otwarciem, aż wy otrzymacie swoje. Doczekałem się.

Dramatycznym gestem rozdziera kopertę. Mara robi to samo.

Daniel marszczy brwi.

– Czuję się strasznie wyautowany.

– To się ciesz – mówi do niego Mara wyjątkowo poważnym tonem.

– Jak chcesz, możesz przeczytać mój – proponuję.

Mara zerka na mnie dziwnie.

– O co ci chodzi? Nie dbam, co tam jest napisane.

Patrzy na mnie spod zmrużonych powiek.

– Mogę zajrzeć?

Podaję jej list. Uważnie rozdziera kopertę i zaczyna czytać, ale prawie od razu przerywa. Domyślam się, że jest zaniepokojona, zła albo przejęta – ale nie widać tego po jej twarzy. Ma dziwny, pusty wyraz.

Chryste. Ona wygląda jak ja.

I podaje mi list.

– To naprawdę do ciebie.

– Dobra, wiem. Chciałem tylko dać do zrozumienia – jak widzę, na próżno – że go nie chcę.

– A jednak go przeczytaj – mówi łagodnie. – Proszę.

Niech to cholera. Widzę spojrzenie Daniela błędzące pomiędzy nami.

– Ja... chyba pójdę coś zjeść – mówi jej brat i wycofuje się z pokoju. – Jeśli ktoś jest głodny, zapraszam.

Jamie zbywa go machnięciem ręki. Mara kiwa głową na

znak, że idzie za nim.

Niechętnie sięgam po list. Tyle przynajmniej mogę dla niej zrobić.

W mojej kopercie jest jeszcze jedna koperta, bez adresu. Na razie jej nie otwieram, tylko czytam wiadomość:

„Noahu!

Masz tu list od swojej mamy. Przechwyciłem go, zanim trafił na niego Twój ojciec. Zostawiła ten list w starej kasetce na biżuterię, której nigdy nie używała, razem z wisiorkiem, który teraz nosisz. Jeśli go zdejmiesz, będę wiedział o Twojej decyzji.

A.L.”.

Chcę mieć siłę, żeby to przeczytać, ale jej nie mam. Skąd mam mieć?

„Noah, mój synku!”.

Jezu, ja już płaczę.

„Większość rodziców, pytanych, dlaczego chcą mieć dzieci, odpowiada, że pragną je mieć, aby były szczęśliwe. Zdrowe. Upragnione. Kochane.

Z tych samych powodów chciałam mieć Ciebie. I pragnęłam dla Ciebie nawet więcej.

Chciałam, żebyś obalał tyranie. Żebyś rozwiązał problem głodu na świecie. Żebyś ocalił wieloryby. Żeby Twoje prawnuki wiedziały, jak wyglądają goryle – ale nie dlatego, że obserwowały je z drugiej strony fosy i krat zoo, bawiące się zabawkami dla psów – lecz dlatego, że uganiały się za nimi po górach Ugandy, a piekący pot zalewał im oczy i pasożyty drążyły kanały w ich ciałach. Że widziały dzieci z brzuchami wzdętymi od robactwa, a nie od jedzenia. Chciałabym, żebyś zrezygnował z posiłku, kiedy zobaczysz, że przyrządzono go ze zwierzęcia należącego do zagrożonego gatunku. Jednocześnie wiem, że nie doświadczysz szczęścia i spokoju, bo nie spocznieś w walce. Zawsze znajdą się niesprawiedliwość i koszmar, którym będziesz się musiał przeciwstawić.

Jeśli nie będziesz walczył, staniesz się leniwy i wiecznie niezadowolony – i także nie zaznasz spokoju. Będziesz zarabiał pieniądze, kupował sobie zabawki, ale nigdy nie będzie ci ich dość. Będziesz napełniał swój umysł śmieciami, gdyż prawda jest brzydka i patrzenie na nią nie sprawia przyjemności. I może, gdybyś był innym dzieckiem, dzieckiem kogoś innego, mógłbyś tak żyć i wszystko byłoby w porządku. Ale nie jesteś. Jesteś mój. Jesteś silny i mądry; jesteś przeznaczony do rzeczy

wielkich. Możesz zmienić świat. Dlatego zostawiam cię z tymi słowami:

Nie szukaj pokoju. Szukaj pasji. Znajdź sobie raczej coś, za co będziesz gotów umrzeć, niż coś, dla czego będziesz żył. Jeśli to będą Twoje dzieci, nie żyj tylko dla nich, ale walcz o sieroty, które nie mają rodziców. Jeśli to będzie lek, nie szukaj tylko terapii na raka, ale także na AIDS. Walcz o tych, którzy nie mogą walczyć o siebie. Przemawiaj w ich imieniu. Krzycz za nich. Żyj i umrzyj dla nich. Może Twoje życie nie zawsze będzie szczęśliwe, ale będzie miało sens.

Kocham Cię. Wierzę w Ciebie. Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

PS Jeśli znajdziesz kogoś, z kim zechcesz wspólnie walczyć, daj jej lub jemu to”.

Widziałam, jak Noah wychodzi z pokoju, nie przerywając czytania. Nie zatrzymałam go. Potrzebował samotności. Byłam mu to winna.

Otworzyłam swój list. Kiedy zaczęłam czytać, wyobraziłam sobie Profesora w jego gabinecie; mój umysł wypełniły cudze wspomnienia.

„Maro!

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Cię w Miami, nie wiedziałem, kim jesteś. Tamtego dnia spodziewałem się w Botanice kogoś z Wybrańców, ale Ty? To była naprawdę niespodzianka.

Zastanawiałaś się, kim jestem i czego od Ciebie chcę, a powinnaś raczej się zastanawiać, kim Ty jesteś. Miałem nadzieję, że sama do tego dojdiesz; wiedza samodzielnie zdobyta oznacza, że Ty jesteś za nią odpowiedzialna, nikt inny. To, co wiesz, determinuje to, co robisz, i nie jestem już w stanie cię zmienić. Trzeba było wieków, żebym to zrozumiał. Nie mam mocy, żeby cokolwiek zmieniać.

Natomiast Ty – tak. Twoja wola oczyszcza świat z ludzi,

bez których ten świat powinien być lepszy, ale też z takich, którzy nikogo nie skrzywdzili, nawet ciebie. Nie zamierzam cię rozgrzeszać z odpowiedzialności, odpowiadamy bowiem za wszystko, co robimy, i wszystko, czego zaniechamy. Mogę tylko powiedzieć, że należysz do długiej linii tych, którzy mieli podobne problemy.

Euhemer pisał, że bogowie ze starożytnych mitów byli zwykłymi ludźmi, tylko obdarzonymi większymi zdolnościami niż reszta. Dlatego przez swoje otoczenie zostali uznani za bogów. A potem przyszedł Jung i my, Wybrańcy, staliśmy się archetypami. Normalni ludzie stawali się bogami. Zwykłe kobiety stawały się czarownicami. My jesteśmy kimś innym. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, błogosławionymi i przeklętymi.

Nasze zdolności nie dadzą się wyjaśnić naukowo. I musimy za nie płacić wysoką cenę. Krzywdzimy siebie. Ignorujemy mądrość. Wystawiamy się na niebezpieczeństwo. Próbujemy popełnić samobójstwo i popełniamy je. Sami dla siebie jesteśmy największymi wrogami. Przez większą część naszej historii nie wiedzieliśmy, co jest z nami źle, a co dobrze – dlaczego u niektórych z nas zdolność ujawnia się boleśnie, a u innych bezproblemowo; czemu jedni nic nie wiedzą o swoim pochodzeniu, a inni pamiętają rzeczy, których nigdy nie przeżyli. Poświęciłem więcej niż jedno życie,

usiłując odpowiedzieć na te pytania oraz na wiele innych, i sam już nie wiem, czy moje odpowiedzi nie zrobiły więcej szkody niż pożytku. Gdyby nie moje dzieło, chłopak, którego nazywacie Jude'em, nie zostałby skażony. Ale też nie narodziłby się Noah, chłopak, którego kochasz.

Wierzę, że każdy z nas ma obowiązek zostawić świat lepszym niż ten, który zastał. Mój dar pozwala mi tworzyć wizje lepszej rzeczywistości – ale moim przekleństwem jest brak narzędzi do ich realizacji. Próbowałem sam zmieniać bieg historii i nie udawało mi się. Zrozumiałem, że mój dar sam w sobie jest bezużyteczny. Dlatego znalazłem innych, którzy mi pomogli, a wśród nich Twoją babcię.

Noah był predestynowany do wielkości, dopóki nie narodziłaś się Ty. Liczyłem, że sposób jego urodzenia zapobiegnie powtórzeniu się cyklu – wiecznego konfliktu pomiędzy Bohaterem a Cieniem, ciemnych stron Błaznów, Matek, Mądrych Kobiet i Mężczyzn. Miałem nadzieję, że dzięki swojej wiedzy będę mógł zapobiec naszemu szaleństwu. Nigdy nie jest się za starym na pychę. Tymczasem wszechświat wymaga równowagi, więc trzy miesiące po Noahu urodziłaś się Ty.

Dar Noaha polega na tym, że może on żyć wiecznie

i pomagać innym, ale jego przekleństwem jest ciągłe pragnienie własnej śmierci. Ty, Maro, masz zdolność chronienia tych, których kochasz, ale w sposób, który czyni krzywdę im oraz innym ludziom. Potrafisz chronić życie, ale musisz ukarać kogoś, by to zrobić.

Jest powiedziane, że każdy bohater musi mieć swojego łotra, każdy anioł – diabła i każdy bóg – potwora. A jednak, choć wiem, jacy jesteśmy, nie wierzę w to. Widziałem łotrów dokonujących heroiczych czynów i tych, których zwano bohaterami, gdy zachowywali się jak łotry. Zdolność uzdrawiania nie czyni człowieka lepszym od tego, który ma zdolność zabijania. Zabij kogo trzeba, a zostaniesz bohaterem. Uzdrów nie tego, kogo trzeba, a zostaniesz łotrem. To nasze wybory nas definiują, a nie zdolności.

Jakiegokolwiek popełniłaś błędy – a było ich wiele, Maro, równie wiele jak wyzwania, którym nie każdy by sprostał – nigdy nie oglądaj się za siebie. Kiedy zło się do Ciebie uśmiecha, odpowiedz mu tym samym.

Wisiołek, który zostawiła Ci babcia, przedstawia dwa symbole sprawiedliwości – pióro i miecz. Ci z nas, którzy postanowili zmieniać świat, noszą go jako znak rozpoznawczy. Twoja babcia go nosiła. Matka Noaha też. Cokolwiek postanowisz, nie będzie to dla Ciebie końcem, lecz nowym początkiem. Namawiam Cię, żebyś

wszystko starannie przemyślała; nie musisz decydować już dzisiaj. Musisz jednak wiedzieć, że wybór jest ostateczny, nieodwracalny i może skazać Cię na samotne życie.

Cokolwiek wybierzesz, w miarę upływu czasu będzie rosła Twoja siła i pewność przekonań, podobnie jak u Noaha. Miałem nadzieję, tak jak jego matka, że Noah zmieni świat na lepszy. Bez Ciebie jest zdolny to zrobić.

Dlatego choć już wiem, jaki będzie Twój wybór, postanowiłem zaapelować do Ciebie ostatni raz. Zniszczysz Noaha swoją miłością – chyba że pozwolisz mu odejść. Wszystko jedno, czy nazwiemy to losem, trafem, koincydencją, czy przeznaczeniem – w każdym razie widziałem jego śmierć w tysiącu formach, w tysiącu snach, przez tysiąc nocy. Jediną osobą, która może temu zapobiec, jesteś Ty.

Jeśli postanowisz nosić wisiołek babci, będę wiedział, jaką podjęłaś decyzję. Ale cokolwiek się zdarzy, jeszcze się kiedyś zobaczymy.

A.L.”.

Skończyłam czytać i uniosłam głowę. Jamie patrzył na mnie.

– Co jest u ciebie? – zapytał.

„Miałem nadzieję, tak jak jego matka, że Noah zmieni świat na lepszy. Bez Ciebie jest zdolny to zrobić”.

– Pierdoły – odparłam powoli. – O mnie. A u ciebie?

– U mnie też. Pierdoły. – Urwał na moment. – Wierzysz mu?

„Bez Ciebie jest zdolny to zrobić”.

– Nie wiem – skłamałam.

W moim umyśle tłoczyły się słowa, których nie napisałam, myśli, których nie pomyślałam, wspomnienia, których nie przeżyłam – i ciągle nie potrafiłam ich uporządkować.

– A ty?

– Chcę mu wierzyć – powiedział Jamie.

A potem pochylił głowę i zanim zdążyłam coś jeszcze powiedzieć, zapiął sobie naszyjnik na karku. Wyprostował się i uśmiechnął lekko.

– Świry zawładną światem.

Odczekałam całą godzinę, zanim dopadłam Noaha. Chciałam dać mu czas, ale miałam też potrzebę pogadania o tym, co przeczytałam. Co zapamiętałam. Chciałam zapytać, co jego zdaniem powinniśmy teraz zrobić.

Oczywiście miałam swoją koncepcję, ale potrzebowałam impulsu, żeby ją realizować.

Byłam już zupełnie inną dziewczyną niż ta, którą poznał Noah. Inną nawet niż ta sprzed Horyzontów. Zostałam stworzona na nowo przez to, co ze mną robiono, i to, co sama zrobiłam. Stałam się kimś nowym – kto robi to, co czuje, i bierze to, czego chce. Możliwe, że dla Noaha się nie zmieniłam, ale dla siebie samej tak. On widział zdjęcia, słyszał opisy moich zbrodni, ale nie widział, jak je popełniałam. Część mnie cieszyła się z tego. Są rzeczy, których ludzie kochani przez ciebie nie powinni widzieć.

A ja go kochałam. Jeśli nawet pewne partie mojej osobowości zostały zrujnowane przez ostatnie wydarzenia, przez moje czyny, nie był to na pewno ośrodek miłości.

Ale Noah był jak Welwetowy Królik. Mogłam zakochać go na śmierć, aż starłyby mu się wąsiki, wyliniałoby futerko i w końcu by się rozsypał. Noah pozwoliłby mi na to i nie protestował. Przeciwnie.

Znalazłam go w jednym z pokoiów gościnnych, gdzie się zadekował. Miał swoją torbę podróżną – tę, którą Stella zabrała z Horyzontów po naszym wyjściu z kostnicy. Musiał już dawno przeczytać list od mamy, ale nie przyszedł do mnie. Byłam ciekawa, co mu tam napisała, lecz nie śmiałam pytać.

Niepewnie zatrzymałam się w progu.

– Mogę wejść?

Czytał coś i skinął głową, nie odrywając wzroku od książki.

– Co czytasz? – spytałam, siadając na łóżku.

Cokolwiek to było, już prawie kończył.

– *Wyznania usprawiedliwionego grzesznika przez niego samego spisane.*

– Podoba ci się?

– Nie.

– Nie?

– Autor nie rozstrzyga, czy jego bohater jest szalony, czy opętany przez diabła. Nie rozstrzyga niczego.

Odłożył książkę na nocną szafkę. Przysunęłam się bliżej, aż poczułam jego ciepło.

Poprzedniego wieczoru byliśmy tak wyczerpani, że padliśmy na łóżko i od razu zasnęliśmy. Kiedy obudziłam się po południu, Daniel i Jamie mieli już listy od Lukumiego. Jeszcze niedawno miałam potrzebę przegadania z Noahem wszystkiego, co się wydarzyło ostatnio i co może się wydarzyć jutro, ale teraz ją straciłam. Byłam zdolna myśleć tylko o tu i teraz.

Nie byłam pewna, czy naprawdę uwierzyłam, że Noah nie żyje, podobnie jak nie byłam pewna, czy wierzyłam, że żyje. Ciągle nie mogłam się przyzwycząić, że jest żywy i realny. Miał cienie pod oczami, a policzki szorstkie i dawno niegolone, nawet jak na niego. Ostatnie promienie słońca, padające przez okno, złociły pasma w jego włosach. Nigdy nie mogłam się na niego napatrzeć. Zawsze mi było mało.

Może wreszcie nie będzie z tym problemu, pomyślałam. Tyle mieliśmy sobie do powiedzenia, ale może powinnam poczekać z tą rozmową. Noah żył. Był tutaj.

Żadnemu z nas nie groziło już niebezpieczeństwo. Siedzieliśmy obok siebie na łóżku. Chciałam go objąć, ale coś mnie powstrzymywało.

– Pozwoliłem ci umrzeć – oznajmił lekkim tonem. – Żeby sprawa była jasna.

W ogóle o tym nie myślałam.

– Błagałam cię o to – przypomniałam.

Noah zawahał się, zanim spytał:

– Chcesz umrzeć?

– Nie.

To była prawda. Byłabym gotowa umrzeć dla swoich braci, dla niego, ale sama z siebie – nie.

– A ty chcesz?

Znałam odpowiedź, a jednak spytałam, gdyż Noah wcześniej zapytał mnie. Może chciał o tym porozmawiać. Może tego potrzebował.

– Tak – odpowiedział.

– Powiedz mi dlaczego.

– Nie mam na to słów.

Miał gładki, neutralny głos i twarz pokerzysty, ale ja dobrze wiedziałam, co maskuje – poczucie własnej bezwartościowości; przekonanie o swoich błędach i szkodach, jakie wyrządził; świadomość, że wszystko popsuł. A przecież czuł się odpowiedzialny za każdego z nas, a zwłaszcza za mnie, i nie mógł znieść myśli, że nie potrafił mnie uratować.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc zapytałam:

– Czy myślisz o swoim ojcu?

Zacisnął szczęki – jedyny znak, że mnie słuchał. A potem, po czasie długim jak wieczność, powiedział:

– Nigdy tam nie wrócę.

– Do Miami?

– Tam czy gdziekolwiek będzie ten człowiek. On już dla mnie umarł.

Zastanawiałam się, czy naprawdę tak myśli. Egoistycznie miałam nadzieję, że tak.

Przypomniałam sobie, w jaki sposób ojciec z nim rozmawiał. David Shaw miał na koncie wiele

zbrodniczych poczynań, a wśród nich był sposób traktowania własnego syna. Powinna go spotkać zasłużona kara, i to szybko, zanim znów kogoś skrzywdzi.

Jedno spojrzenie na Noaha upewniło mnie, że na razie nie powinnam poruszać tego tematu.

– A twoja siostra? – spytałam. – I Ruth?

Wpatrzył się tępo w ścianę przed sobą.

– Pewnie coś wymyślę.

– Ale co zrobisz? Jak będziesz żył, jeśli nie wrócisz do domu?

Nie odpowiedział, po prostu wzruszył ramionami. Miałam coraz gorsze przeczucia co do kierunku, w jakim zmierza ta rozmowa, więc w popłochu zmieniłam temat.

– Co myślisz o liście? – zagadnęłam, ale mruknął tylko:

– Jestem zmęczony.

Zamykał się. Nie mogłam go winić – miał mniej czasu niż my, żeby przetrwać sobie wszystko – a w pewnym sensie miał najwięcej z nas do przemyślenia.

Zwykle przegadywaliśmy swoje problemy wspólnie. Kiedyś. Jeszcze przed Horyzontami.

Zupełnie jakby nasze wcześniejsze życie zostało w innym wymiarze czasowym. Czegoś nam zabrakło; kiedy się poznaliśmy, znajdowaliśmy to w sobie. Ale teraz było inaczej. Jakbyśmy wypadli z jednego wymiaru i znaleźli się w drugim, w którym nie ma tamtej bliskości. Dzieliły nas centymetry, które wydawały się tysiącami mil.

Noah wstał nagle, odchylił zapraszająco okrycie i przytrzymał, czekając, aż wsunę się do środka. Liczyłam, że za moment przylgnie do mnie całym ciałem, że oplecie mnie ramionami i nogami. Nie zrobił tego. Opatulił mnie tylko troskliwie.

– Zostań – powiedziałam.

Zawahał się, ale posłusznie położył się obok.

– Śniłeś mi się, kiedy zniknąłeś – powiedziałam.

Półuśmieszek przemknął przez jego usta.

– Dobre były te sny?

– Tak – skłamałam. – Tak, dobre.

Zamknął oczy. Ja nie.

– Noah?

– Mara? – odpowiedział, nie unosząc powiek.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne, pytaj, o co chcesz.

– O co chcę?

– Nie ma rzeczy, której nie mógłbym ci powiedzieć. Nie mam przed tobą żadnych tajemnic.

Otworzył oczy i wreszcie na mnie popatrzył.

– Mam nadzieję, że wiesz o tym.

Nie wiedziałam. Nigdy nie pytałam o to, o co teraz miałam zamiar zapytać – bo nigdy dotąd nie miałam potrzeby usłyszeć od niego odpowiedzi. Ale teraz musiałam ją usłyszeć.

– Kochasz mnie?

Długo trwało, zanim odpowiedział. Uniósł się na łokciu i przyłożył mi dłoń do policzka.

– Jak szaleniec – wyznał i poczułam prawdę tych słów,

kiedy jego dłoń przylgnęła mocniej do mojej twarzy.

Ale kiedy ją odjął, to poczucie znikło.

– A ty mnie kochasz? – zapytał.

Beznadziejnie, pomyślałam.

– Jak wariatka – powiedziałam.

Pochylił się nade mną; długie rzęsy rzuciły cień na jego policzki, kiedy pocałował mnie w czoło. Słowa „pragnę cię” same uleciały z moich ust.

Jeszcze nigdy nie powiedziałam nikomu czegoś takiego i nie wyobrażałam sobie, że powiem to teraz – właśnie do niego. Ale to była prawda i chciałam, żeby Noah wiedział, co czuję, nawet gdyby miał mnie odrzucić. Nikt inny nie byłby w stanie zrobić tego, co on zrobił dla mnie. I robił nadal.

– Jestem twój – odpowiedział.

Dlaczego więc wydawał się taki daleki?

71
NOAH

Jest coś boskiego w poczuciu, że wyblakłe słowa mojej matki stają się ciałem dziewczyny, która leży obok mnie. Nawet kiedy śpi, wygląda jak śmiercionośna bogini, stalowa królowa. Słowo „spokój” w ogóle nie kojarzy się z Marą – nawet we śnie jest jak jedwabista szara chmura, jaśniejąca obietnicą błyskawic. Nigdy nie zaznam przy niej spokoju. Ale z nikim nie zaznam większej namiętności.

Śpi z policzkiem na mojej piersi, a ja sunę palcami po jej łopatkach rysujących się pod prześcieradłem. Wyobrażam sobie, jak wyrastają jej skrzydła i rozpościerają się nad nami, pogrążając mnie w aksamitnej ciemności. Zamykam oczy.

Rzucam się we śnie, jakbym śnił, że spadam z urwiska; spadam bez końca. Budzę się i przypominam sobie fragmenty snów – Mara pochylająca się nad jakimś kwiatuszkiem, obserwująca, jak wędnie od jej oddechu; Mara idąca boso po śniegu i oglądająca się na swoje krwawe ślady.

Wydaje się taka spokojna we śnie; oddycha równo

i głęboko. Jak dziecko. Jak oni mogą się tak mylić co do nas? Niemożliwe, żeby Mara zabierała mi siłę. Przecież przy niej czuję się niepokonany.

Nie wiem, jaki jest dzień, nawet godzina. Kiedy wyszedłem ze szpitala, byłem tak senny, że mógłbym spać przez wieczność, ale teraz mnie nosi, więc wstaję i zostawiam Marę śpiącą w pokoju. Schodzę na dół. Jamiego i Daniela nigdzie nie widać. Za oknami jest ciemno, choć niebo ma jeszcze szare krawędzie. Może poszli spać.

Ruszam na obchód domu i trafiam na pokój zamieniony w salę muzyczną. Jest tam perkusja, keyboard i parę gitar, a w drugim końcu, obok drzwi do ogrodu, stoi pianino. Podchodzę tam i siadam na taborecie. Chcę zagrać, ale żaden utwór nie przychodzi mi do głowy.

– Czy jest jakiś instrument, na którym nie grasz?

Mara stoi w wejściu.

– Triangel – odpowiadam.

Zmusza się do uśmiechu.

– Musimy pogadać.

– Naprawdę? – Wpadłem, myślę.

Trzyma coś w ręku. Mam wrażenie, że to list do mnie od mojej mamy, więc spinam się, ale to jednak list Mary.

– Nie zamierzam się tym przejmować – stwierdzam.

Naprawdę tak czuję.

Podtyka mi kartki.

– Przeczytaj to – prosi.

Już od pierwszych słów wiem, co będzie dalej i co się stanie, gdy skończę. Z każdym słowem moje ciało słabnie i zdaje się rozpadać. Znów zaczynamy tę samą batalię, tylko że tym razem po raz pierwszy czuję, że przegram.

Kończę i unoszę głowę.

– Co mam ci powiedzieć?

– Pamiętasz, co twój ojciec mówił o nas?

– Nie jestem głuchy.

– I przeczytałeś list od Profesora.

Spoglądam na nią spod zmrużonych powiek.

– Profesora?

Mara mruga gwałtownie i powoli, jakby w zwolnionym tempie kręci głową z tą ciemną grzywą.

– Od Lukumiego, przecież wiesz.

Oddaję jej list.

– Nie jestem analfabetą.

Chcę ją wkurzyć, sprowokować, rozkojarzyć, żeby nie powiedziała tego, co za moment zechce powiedzieć.

Wypowiada moje imię. To brzmi jak pożegnanie.

Mam ochotę podrzeć ten list i wyrwać z jej mózgu wszystko, co napisał Lukumi, co powiedział mój ojciec. Zamiast tego zrywam się z taboretu i otwieram drzwi do ogrodu. Na zewnątrz mży. Wszystko mi jedno.

Ma prawo mnie zostawić, po tym wszystkim. Ale jestem tchórzem i nie zniosę słów pożegnania. Mara wychodzi za mną na trawnik. Oczywiście.

– Zniszczę cię swoją miłością – mówi, a ja opuszczam powieki. – Wreszcie zrozumiałam, co to znaczy.

– Nic nie znaczy – zaprzeczam głupio, bo myślę tylko o jej odejściu.

– Mój dar znosi twój dar. Ze mną będziesz...

– Bezsilny, słaby i tak dalej. Wiem.

Mara na moment milknie.

– To prawda, Noah. Umrzesz, jeśli zostaniemy ze sobą.

Nie odpowiadam.

– Już raz umarłeś.

Ty też – chcę powiedzieć.

– Ale jestem i żyję.

– Chcę, żebyś był bezpieczny.

– A co mi grozi? – pytam.

Mara łapie przynętę.

– Ja.

Staję przed nią i patrzę jej w oczy uzbrojony w swój argument. Nie potrafię i nie potrafiłem wcześniej obronić Mary przed tym, co się jej przydarzało, przed tym, co sam jej zrobiłem – więc jak idiota bronię się metodą ataku.

– Rozumiem, że chcesz mnie bronić przed sobą, tak?

– Tak.

– W taki sposób, w jaki mój ojciec próbował chronić mnie?

Cień przemyka jej przez twarz.

– Pieprzony drań.

Przenika mnie niemiły dreszcz. Nigdy tak do mnie nie mówiła.

– Dobrze. – Robię krok ku niej. – Wściekaj się. Wolę to niż słuchać, jak tym piekielnym głosem wkładasz mi do głowy, co będzie dla mnie najlepsze, jakbym był dzieckiem. Jakbym nie miał wyboru.

Mam ochotę krzyczeć. Wszystko we mnie krzyczy, a jednak z moich ust wydobywa się martwy, głuchy głos.

– Jak możesz traktować mnie w ten sposób? – pytam, czując, że zdobywam przewagę. – Jak on?

Nozdrza jej drgają.

– Nie masz pojęcia, przez co przeszłam.

– Opowiedz mi.

Milczy, więc ciągnę.

– Mam wybór. Mogę w każdej chwili cię zostawić –
kłamię.

– Możesz? – szydzi. – Serio?

Koniec. Przegrałem.

– Twój ojciec powiedział, że...

– Tylko nie zaczynaj zdania od „Twój ojciec
powiedział...”, dobrze? On się nie liczy.

Mara mnie ignoruje.

– Powiedział, że nie jesteś w stanie się mi oprzeć. To jest
jak skutek uboczny. Nie jestem twoim wyborem.
Jestem... jestem kompulsją.

Demonstracyjnie wzruszam ramionami, dając do
zrozumienia, że ta myśl nie zaboląła mnie tak mocno jak
ją. Nie chcę w to wierzyć. Nie mogę.

– To chyba normalne, że nie możemy się oprzeć tym,
których kochamy.

– A jeśli potrafiłbyś to zrobić?

– Nie chciałbym, nawet gdybym potrafił.

Milknij na chwilę, tracąc pewność.

– Czy na moim miejscu byś zaryzykował?

Już to zrobiłem.

– Ufam ci i pragnę, żebyś sama podjęła decyzję. Nie zamierzam robić tego za ciebie.

– Nie wierzę ci – wyznaje otwarcie Mara.

– Nasłuchałaś się, naczytałaś i wierzysz, że umrę, jeśli dalej będziemy ze sobą. Ale kiedy? Czy twoja wróżka to określiła?

Cisza.

– Może umrę, a może nie – ale jeśli tak się stanie, przyczyna będzie zwyczajna: po prostu wszyscy musimy kiedyś umrzeć. Mamy jedno życie, Maro, bez względu na to, czy będziesz żyła wiecznie, czy umrzesz jutro. Najważniejsze, że jesteś teraz, tutaj, że jesteśmy razem. I chcę spędzić z tobą czas, jaki mi dano.

Unosi głowę i patrzy na mnie. Czuję, że zaraz wsadzi mi

jakąś szpilę.

– Wczoraj w nocy jeszcze nie chciałeś.

– Nieprawda. Chciałem. Ale pomyślałem, że skoro dwadzieścia cztery godziny wcześniej zrobiłem ci śmiertelny zastrzyk, możesz nie być w nastroju.

Uśmiech przemyka po jej wargach. Przysuwam się bliżej.

– Nie potrafię ci wytłumaczyć, co do ciebie czuję i jak na mnie działasz. Choćby taki pocałunek. Twój język spleciony z moim. Sposób, w jaki smakujesz. Dźwięki, które wydajesz. Wszystko. Pragnę cię bardzo i od dawna, ale w sposób, w jaki pragnie się czegoś niedosiężnego. Mając poczucie, że cokolwiek bym robił, zawsze będziesz poza moim zasięgiem. A kiedy mnie całujesz, cały płonę.

Mara gwałtownie wciąga powietrze, ale nie do końca wiem dlaczego. Minę ma nieodgadnioną.

– Chcę dotykać ciebie całe – ciągnę, wiedząc, że jeśli przestanę, będzie po wszystkim. – Chcę dotykać cię teraz – szepczę i zmniejszam dystans pomiędzy nami.

Nawijam na palec lok jej włosów i pociągam go lekko. Mara się wzdryga.

– Może z początku nie miałem wyboru, gdyż nie rozumiałem, pomiędzy czym mam wybierać. Ale już wiem. Teraz wiem. Ty jesteś moim szczęściem. I wolałbym raczej umrzeć dzisiaj z tobą niżli żyć wiecznie z kimś innym.

Widać, że Mara chce mi uwierzyć, i modłę się, aby tak się stało. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym ją stracić. Nie mogę pozwolić jej odejść. Jeszcze nie. Biorę jej twarz w dłonie.

– Zrobimy to, a jeśli coś się stanie i już nie będziemy mogli, zapamiętam na zawsze dotyk twoich ust na moim ciele, smak twojego języka i dotyk twoich rąk i będę szczęśliwy – szepczę z wargami na jej skórze. – Jeśli mnie wybierzesz, Maro.

„Wybory, jakich dokonujesz, zmieniają cię”. Słowa nieproszone pojawiły się w moim umyśle. Już dawno wybrałam Noaha, a teraz chciałam to zrobić ponownie – kiedy oboje już wiedzieliśmy, kim i czym jesteśmy. Było mi wszystko jedno, czy to mnie zmieni, czy nie. Natomiast byłam żywo i zainteresowana, czy jego to zmieni.

– Dajesz mi więcej szczęścia, niż zasługuję – powiedziałam.

Jego dotyk, zapach, cała osoba okropnie mnie rozpraszały.

Uśmiechnął się.

– Czemu więc jesteś taka smutna?

„Miałem nadzieję, tak jak jego matka, że Noah zmieni świat na lepszy. Bez ciebie jest zdolny to zrobić”.

– Nie mam prawa cię pragnąć – powiedziałam, niezdolna ukryć nuty goryczki.

– Masz wszelkie prawa. To twój wybór. Nasz wybór. Nie

musimy być tym, czym oni chcą.

Ale jesteśmy.

– Możemy żyć tak, jak my chcemy.

Możemy?

Noah zdjął swój naszyjnik i odłożył go. Już wybrał. Przymknęłam oczy, usiłując przypomnieć sobie twarz mamy i słowa babci. Na próżno. Widziałam tylko Noaha.

Pokręciłam głową.

– Tak się starałam, żeby cię nie kochać.

– Fakt, totalna klęska, przykro mi to mówić.

Pocałował mnie w policzek.

– Wcale nie jest ci przykro.

– Słusznie. Cieszę się z twojej klęski.

Pocałował mnie w drugi policzek.

– Wiesz, kiedy cię poznałam, zazdrościłam ci, że masz wszystko. Idealne życie.

– Mmm...

Teraz moja szyja.

– I myślałam, że sam jesteś ideałem.

Przerwał i spoważniał na moment.

– A co teraz myślisz?

Nie od razu odpowiedziałam.

– Myślałam, że masz wszystko, i myliłam się. Jakaś częśćka ciebie musiała zawsze zdawać sobie sprawę, jak kruche i ulotne jest życie. Najlepszy dowód, że gotów byłeś je dla mnie zaryzykować.

Pokręcił głową.

– Nie dostajesz ode mnie tyle, ile ty mi dajesz.

Chciałam, żeby to powiedział. Potrzebowałam to usłyszeć.

– Powiedz, co ci daję.

– Jesteś jak zwierciadło, które pokazuje mi, kim pragnę być, a nie kim jestem.

Zamknęłam oczy.

– Kiedy patrzę na siebie, nic nie widzę – ciągnął. –
A kiedy ty na mnie patrzysz, widzisz wszystko.

Poczułam jego palce w swoich włosach, na karku.

– Pragnę być osobą, którą staję się przy tobie.

– Cały czas jesteś taką osobą.

Wyraz twarzy Noaha był niezwykle jak na niego szczery i otwarty. Żarliwy. Mówił to, co myślał. Wierzył w to.

– Może nie jesteśmy w stanie zobaczyć prawdy o sobie, jeśli ktoś drugi nie powie nam, na co mamy patrzeć.

Ja nie potrzebowałam Noaha, że zobaczyć prawdę o sobie, bo doszłam do niej sama. Ale on potrzebował mnie, żeby zobaczyć prawdę o sobie.

– Możliwe, że jesteśmy współzależni – ciągnął. –
Albo zwyczajnie popieprzeni. Może ja jestem durny, a ty jesteś zmorą i faktycznie byłoby dla nas lepiej, żebyśmy trzymali się od siebie z daleka.

– Może?

Zignorował mnie.

– Mam to w nosie. A ty?

Zdawałam sobie sprawę, że lista strat, które poniósł i będzie ponosił, obcując ze mną, znacznie przerastała objętością listę korzyści. Ale owszem, ja też miałam to w nosie.

Noah widział mnie zaszczutą i przerażoną, chorą i brudną, pokrytą krwią i niewiedzącą, kim jestem. Nigdy się nie zawahał, nie cofnął, nie wykazał niechęci czy lekceważenia. Wiedział, kim byłam i co zrobiłam – a przede wszystkim wiedział, że kiedyś mogę zrobić mu to samo. A jednak trwał przy mnie. Byłabym skończoną idiotką, gdybym pozwoliła mu odejść. Nie zamierzałam popełnić tego błędu. Byłam już kłamcą, przestępcą, morderczynią – ale na pewno nie idiotką.

Ktoś może cię znać, ale nie kochać, lub kochać, ale nie znać. Noah kochał mnie i znał. A co jeszcze ważniejsze, wybrał mnie. Nie będę w stanie dawać mu siebie zawsze, choć na to zasłużył. Nie będę w stanie go chronić, choćbym chciała. Ale mogę dać mu siebie teraz. Dzisiaj. A potem jutro i później, tak długo, jak będę mogła. Dla mnie to było za mało, lecz dla niego bardzo dużo.

Przechyliłam głowę i zapytałam:

– Co byś zrobił, gdybym w tej chwili cię pocałowała?

Nie darował sobie i nieznośnie długo udawał, że się

zastanawia, aż wreszcie odpowiedział:

– Oddałbym pocałunek.

Długo, zbyt długo musiałam żywić się okruchami – myślami o nim, wspomnieniami chwil bliskości. I teraz, kiedy wreszcie miałam go przy sobie, tak chętnego, uświadomiłam sobie, że konam z głodu.

Zarzuciłam Noahowi ramiona na szyję i pocałowałam go leciutko. Jego palce musnęły rąbek mojej koszulki, a kiedy poczułam ich dotyk, moja skóra zareagowała przedburzowym napięciem, przyczajoną energią, sygnalizowaną żądłami błyskawic. Napięcie było zbyt wielkie i zarazem niewystarczające. Wygięłam się w łuk i pocałowałam go mocniej, żarliwiej.

Myślicie, że najgorsze jest pragnąć kogoś i nie móc go mieć, ale się mylicie. Możesz chcieć kogoś, mieć go i chcieć jeszcze więcej. Ciągłe. Zawsze. Z poczuciem, że stale ci za mało.

Rozdzieliliśmy na moment usta, żeby złapać oddech, ale nasze czoła nadal się stykały. Noah nie powiedział mi, że mnie kocha. Nie musiał. Czułam to po sposobie, w jaki przyciskał moją dłoń do swojej szyi. Oczy miał zamknięte, a moje serce szalało. On też mnie pożądał.

Wszystko, co się dotąd wydarzyło, miało już na zawsze

pozostać w naszej pamięci, ale przetrwaliśmy to. Byliśmy tutaj, razem. W którymś momencie opadnie na nas kurtyna, ale postanowiłam, że będę walczyć tak długo, jak się da, żeby nie opadła. Ponieważ teraz byliśmy naprawdę razem, wreszcie sami i nic już nie mogło stanąć nam na drodze.

A jednak kiedy prowadziłam Noaha na górę, do sypialni, w głowie brzmiał mi jak refren głos Davida:

„Nie pokochałby cię, gdybyś nie była tym, czym jesteś”.

Trudno, jestem tym, czym jestem. A on mnie kocha.

NOAH

Wiem, co mogę zrobić z dziewczyną słowem, spojrzeniem i dotykiem. Zrobię to wszystko z Marą.

MARA

Przywarłam ustami do jego gardła, a on zadarł mi podbródek, odwracając twarz na bok, i zaczął szeptać do ucha szalone słowa.

Uśmiechnęłam się jak strzyga i zaczęłam rozpinać mu koszulę.

NOAH

Całuję ją leciutko, dwa razy. Przechyla głowę, opuszcza ją i przywiera ustami do mojego serca. Wstrząs ogrania mnie falą, kiedy całuje płonąca skórę.

Mara jest dziewczyną, na którą zawsze czekałem, nie wiedząc o tym. Jak długo będzie miała mnie, tak długo nie pozwolę jej odejść.

MARA

Zdarłam mu koszulę, a on ściągnął mi T-shirt. Zrzuciliśmy z siebie wszystko, aż została skóra przy skórze.

I wtedy Noah Shaw pokazał mi, skąd się wzięła jego łożkowa reputacja.

Zadrzałam, czując rozkoszne ukłucie zarostu, kiedy sunął szlakiem pocałunków od pępka w dół mojego brzucha; kiedy z tym swoim zbójckim uśmiechem malował moje doznania. Najpierw łagodne, pastelowe kolory – ochry, umbry i róże, nakładane muśnięciami języka. Wstrzymałam oddech i pragnęłam... chciałam...

– Szybciej – nagliłam.

– Wolniej – odpowiedział.

NOAH

Przenika mnie zmysłowa wibracja wywołana przez wznoszące się na coraz wyższe rejestry, coraz bardziej bolesne i nabrzmiące niespełnieniem jęki Mary torturowanej moimi pocałunkami. Mięśnie ma napięte i drżące; w palcach zaciska prześcieradło. Unoszę wzrok, muszę widzieć jej twarz.

Jest szalona i dzika. Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej istoty.

Nagle wczepia mi palce we włosy i ciągnie.

MARA

Kiedy przyciągnęłam go i wciągnęłam w siebie, pojawiła się szkarłatna kropka.

– Wszystko w porządku?

W jego głosie brzmiała czułość, jakiej nigdy dotąd nie słyszałam.

– Tak.

Słowo uleciało wraz z moim oddechem, zabierając kolory, które się rozplynęły. Przyciągnęłam Noaha jeszcze namiętniej.

NOAH

Wsuwam dłonie pod jej plecy, a ona oplata mi nogami biodra i wciąga mnie nieskończoną głębią swoich oczu. Jesteśmy jednością: ręce, nogi, usta, ciała, dusze. Nie wiedziałem, że to możliwe.

Mara całuje mnie; mam słodycz na języku i bąbelki szampana we krwi. Mam ochotę utonąć w morzu jej smaków, zapachów i odgłosów. Jej ciało jest pod napięciem; obiecuje wyżyny haju, jakiego nie udało mi

się doświadczyć – aż do teraz.

MARA

Pieszcząc, gładząc, skubiąc, drażniąc i smakując, poruszał się we mnie niespiesznie, z wyrafinowaniem, stopniowo urabiając mnie i prowadząc tam, gdzie nabrzmiewały kolory, promieniując coraz silniejszym blaskiem.

NOAH

Każdy kontakt, każdy ruch tworzy nowe, niesłychane kompozycje; jestem zahipnotyzowany barwą i tembrem jej głosu; skalą tych wibracji, glissand, beatów i treli. Naszym światem jest pościel, a w niej ona, ziemską i nieziemską, piękną i wysublimowaną, uwięzioną w moich objęciach i zarazem totalnie wyzwoloną.

Poruszam się i jej skala się rozciąga, potężnieje, wchodząc w epickie, olśniewające gwałtowne rejestry, od których jej oczy ciemnieją, grożąc zapadnięciem się pod powiekami.

– Patrz na mnie.

Niemal warczę, jakbym chciał odstraszyć swoją desperację i lęk, że Mara odejdzie. Muszę ją widzieć.

– Zostań ze mną.

Powieki drgają i rozwierają się. Nadal tu jest, nadal jest sobą.

– Muszę cię słyszeć – błaga mnie tym swoim niesamowitym głosem i nie mogę jej odmówić niczego, nie teraz, nigdy.

Ale słowa, które znajduję, nie wystarczą. Ani mnie. Ani jej. Dlatego zacznam mówić w języku, którego nie zna.

Je t'aime. Aujourd'hui. Ce soir. Demain. Pour toujours. Si je vivais mille ans, je t'appartiendrais pour tous. Si je vivais mille vies, je te ferais mienne dans chacune d'elles.

Kocham cię. Dzisiaj. Tej nocy. Jutro. Zawsze. Nawet gdybym miał żyć tysiąc lat, przez wszystkie te lata byłbym twój. Nawet gdybym miał mieć tysiąc żyć, chciałbym, abyś była w każdym z nich.

MARA

Świat skurczył się do jednego tylko odgłosu – naszego kochania, kiedy pędziliśmy ku jego krawędzi.

Rozpaliły się kolory i buchnęły blaskiem – sjena, karmazyn i złoto. Spiłam swoje imię z jego ust, kiedy

on szałowywał moje, i kompletnie oślepiła zrobiłam krok w...

NOAH

Światłość.

Echo jej rozkoszy rozprzestrzenia się falą w mojej krwi i porywa mnie razem z nią. Mara jest rozszalała, rozwiązła, roznamiętniona i roz hulana w moich ramionach.

Nareszcie.

MARA

Kiedy było po wszystkim, legliśmy wtuleni w siebie, z bijącymi synchronicznie sercami. Opłótłam Noaha jak bluszcz. Byłam miękka w jego ramionach, a on tak twardy, ciepły i realny, z policzkiem przy moim policzku. Mój uśmiech nie zniknął, ale kolory – tak. Fiolet przeszedł w kobalt, potem w indygo i wreszcie w czern.

NOAH

Nie zapada cisza, ale tonacja jej dźwięków się zmienia. Łagodne, słodko-smutne nuty falują, opadają, zamierają. Wiem, co jest grane.

– Zostań – szepczę w gęstwę wilgotnych, zmierzwionych loków, jakby to było jedyne słowo, jakie znam. – Zostań ze mną.

Ale jej powieki drgają i opadają.

Nie mogę zamknąć swoich. Mara zasypia przy dźwiękach Alleluja.

EPILOG

Światło świtu przesącza się przez zasłony, malując czerwone plamy pod moimi powiekami. Mrugam raz, drugi w półmroku, a potem się przeciągam. Wdycham woń szamponu Noaha i z uśmiechem sięgam po niego, żeby przyciągnąć go bliżej. Moje palce natrafiają na kawałek papieru zamiast na jego włosy.

Obracam się i z ziewnięciem opieram na łokciu, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu Noaha. Nie widzę go, więc zapalam nocną lampkę. Dostrzegam jego torbę i ułożone na niej ubranie – a nie rozrzucone koło łóżka, jak moje. Dzisiaj mamy wyjechać z Nowego Jorku i widocznie już zaczął się pakować. Nie było w tym nic niezwykłego. Natomiast fakt, że obudziłam się bez Noaha u boku, nie był zwyczajny.

Przygryzłam wargę, przypominając sobie tę noc i jego usta na moich. Kiedy odrzuciłam okrycia, żeby wstać z łóżka, karteczka sfrunęła na podłogę. Podniosłam ją.

„Nie mogłem spać, postanowiłem pobiegać. Niedługo wrócę. Szykuj się.

N.”.

Uśmiech rozciąga mi usta, tak szeroki, że aż boli. Przepętnia mnie miłość do Noaha – do chłopaka, który dokładnie wie, czym jestem i kim jestem, a jednak mnie kocha. Pomimo tego – a może właśnie dlatego. Nie mogę się doczekać, aż wróci, żebym mogła mu to powiedzieć. Pokazać mu. Z każdym dniem, tygodniem, rokiem będę upewniać go o mojej miłości.

Nie muszę się spieszyć. Mamy cały czas, jaki istnieje na świecie.

Zerkam na zegarek – jest wpół do dziesiątej. Szybki prysznic, ubieram się i schodzę do kuchni. Mój brat łomocze szafkami kuchennymi, zaznaczając swoją obecność – pewnie dla uchronienia się przed miłosną zarazą, która hulała po domu i mogłaby, nie daj Boże, przeniknąć do kuchni. Jestem okropnie skrępowana myślą, że musiał słyszeć to i owo. Noah na pewno się nie przejął.

Zdradziecki rumieniec wypełzła mi na policzki i na próżno usiłuję go zasłonić włosami.

– Dzień dobry – świergoczę.

Tragedia, wszystko po mnie widać.

– Jest kawa?

Zaczynam szperać w szafce, robiąc masę niepotrzebnego rumoru.

– W dzbanku... stoisz obok niego.

O rany, faktycznie.

– Ale ze mnie gapa. Dzięki!

Wyjmuję kubek z suszarki.

Daniel zerka na mnie spod oka.

– Wszystko w porządku?

– Tak! A u ciebie?

– Powoli przyzwyczajam się do nowej rzeczywistości, której elementem są nastolatki o niezwykłych mocach i siły, które chcą ich kontrolować. Spakowana?

Skądże.

– Eeem...

– Samochód przyjedzie po nas o czwartej.

– Wiem.

Daniel wyręcza mnie i mówi to, co sama pomyślałam.

– Dziwnie ci będzie w domu, prawda?

Kiwam głową.

– Ale wrócisz wkrótce? Nadal trzymamy się planu?

Jak najbardziej. Postanowiliśmy, że kiedy wrócimy do domów, Jamie przedstawi naszą propozycję, żeby od razu złożyć papiery na uczelnię. Są takie przepisy – jakaś wcześniejsza rekrutacja czy coś w tym stylu. To by było dobre, gdyż pozwoliłoby nam szybko wyrwać się z Florydy i zacząć nowe życie, odcinając się od starego. Potrzebowaliśmy tego. Nikt z nas nie wyobrażał sobie, że mamy kiblować jeszcze przez rok w szkole i udawać przed rodzicami, że jesteśmy zwykłymi dziećmi. Niemniej jednak chciałam spędzić lato z rodziną. Miałam świadomość, że Joseph jesienią straci nie tylko brata, ale też siostrę, i że będzie to dla niego trudny moment. Pragnęłam, żeby pobył trochę z nami. Ze mną.

Daniel dopija swój sok pomarańczowy i zakłada na T-shirt koszulę z długimi rękawami.

– Przed wyjazdem chcę odwiedzić mojego kumpla Josha, który studiuje w Julliard – mówi. – Pamiętaj, bądź gotowa na czwartą.

– Dobra.

– A, jeszcze coś.

Daniel obraca się na pięcie i podchodzi do szafy w przedpokoju.

– Musisz się trochę poduczyć, jeśli chcesz eksternistycznie zdać egzaminy w czerwcu.

Sięga do najwyższej półki zavalonej grami planszowymi. Lawina pudełek sypie się na podłogę.

– Nie o to mi chodziło.

Rzucam się na pomoc i w pośpiechu zbieramy gry: Rzyko, Monopol, Scrabble.

– O, jak stosownie!

Unoszę głowę i widzę, że brat trzyma w ręku drewniany wskaźnik w kształcie serca – element tabliczki ouija do wywoływania duchów. Rozglądam się i zauważam planszę walającą się pomiędzy innymi grami. Daniel spogląda na mnie przez dziurkę we wskaźniku.

– Zabawimy się?

Gromię go spojrzeniem, czując, że mam gęsią skórkę.

– Dobra, żartowałem. – Wkłada tabliczkę do pudełka. –

Tu jest coś, co chciałem ci dać.

Przebiera w stosie gier i wyciąga książkę: *Tysiąc nieznanych słów z testu przydatności szkolnej*.

Przewracam oczami.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Lepiej nie myśl.

Zastanawiam się, czy Daniel wie, że jestem gotowa zrobić wszystko, żeby jego plany się spełniły.

– Co, mały seansik poranny?

Odwracam się na dźwięk głosu Jamiego. Stoi w drzwiach i patrzy na tabliczkę ouija. Wcale nie jest rozbawiony.

– Wypadek przy pracy – wyjaśnia Daniel i rzuca mi książkę.

Wkładam ją do torebki, a brat upycha na miejscu gry.

– To na razie, ludkowie. – Macha nam na pożegnanie. – Samochód o czwartej, J.!

Wychodzi. Patrzą na Jamiego.

– „J.”?

Jamie zadziera podbródek.

– Zaprzyjaźniliśmy się w przyspieszonym trybie. Kiedy ty i Noah byliście... zajęci.

Zarzucam torebkę na ramię i ruszam do drzwi. Znów płoną mi policzki.

– Idę się przejść.

– Ty? Spacer? Od kiedy to masz potrzebę jedzenia, słońca i świeżego powietrza? – Jamie rozgląda się dramatycznie. – A, rozumiem, Noah wyszedł. To wszystko wyjaśnia.

– Zamknij się.

– Chodź, poszukamy go razem – proponuje i podsuwa mi ramię, które chętnie przyjmuję.

Krążymy chwilę po ulicach, zanim skierujemy się w stronę parku. Przy okazji zauważam, że Jamie już stale nosi wisiołek; w ostatnich dniach nabrał zwyczaju bawienia się nim w trakcie rozmowy. Ja nosiłam swój w kieszeni, razem z wisiorkiem Noaha. Jeszcze nie podjęłam decyzji.

– Powiedz, o jakiej wymarzonej przez ciebie uczelni mam nakłamać twoim rodzicom? – pyta Jamie.

– Sama nie wiem.

Mijamy wózek ulicznego sprzedawcy pieczonych orzeszków; ich zapach miesza się z woniami kurzu i metalu z budowy przy ulicy.

– Ale wiem, że lubię Nowy Jork.

– Ja też. Myślałem o Columbii albo o Nowojorskim. Muszę wymyślić jeszcze trzeci, bo jako czarna żydowska ciota będę miał przechlapane już na wejściu.

Uśmiecham się i wyłapuję nasze odbicie w ciemnej szybie biura. Jeszcze nie tak dawno Jamie potrafił rozbawić mnie do łez swoimi gadkami – ale te wszystkie przejścia przesunęły nas w dorosłość co najmniej o całą dekadę. Tym, którzy nas nie znali, mogło się wydawać, że patrzą na parę zwykłych nastolatków. Gdyby zobaczyli nasze zdjęcia zrobione Przedtem i Potem, może nawet nie zauważyliby różnicy. Ale ja ją widzę. Teraz w naszych uśmiechach jest cień znużenia, a w śmiechu brzmi nuta gorzkości. To nas odróżnia od zwykłej ludzkiej masy. Żyjemy mocniej. Wiemy więcej. Ale nie zapomnieliśmy o śmiechu. Śmiejemy się, bo nie mamy już odwrotu.

Zresztą nie chciałabym tego zmienić. Robiłam rzeczy straszne, których żałuję, i inne straszne rzeczy, których nie żałuję. Ale już nie chcę być naprawiona. Nie chcę ratunku. Po prostu muszę dalej tak żyć.

Przechodzimy przez ulicę i wchodzimy do parku. Białe płatki sypią się z drzew jak śnieg. Niebo jest błękitne i bezchmurne w ten idealny wiosenny dzień. Czuję się jak we śnie, radosnym, pięknym i szczęśliwym, jakiego nigdy nie śniłam.

– Miło was widzieć – wita nas Noah.

Wyłania się zza naszych pleców; jest w wąskich, czarnych dżinsach i zszarzałym czarnym T-shircie. Włosy ma starannie uczesane i wyraźnie świeżo umyte. W rękę niesie torbę z zakupami, machając nią niedbale.

Mierzę go spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– Jak długo nas śledzisz?

– Od zawsze.

Muskam palcem wargi.

– Zabawne, nie wyglądasz, jakbyś biegał.

Jamie klaszcze w dłonie.

– Właśnie, muszę lecieć! – Cmoka mnie w policzek. – Chcę się pożegnać z moją genialną kuzynką, naszą wybitną obrończynią.

– Pożegnaj ją ode mnie.

– Zrobi się.

– I ode mnie – dodaje Noah, ale Jamie już się oddala.

Pokazuje nam fuckersa przez ramię. Noah się śmieje.

– Gdzie byłeś?

Noah chowa za plecy torbę z zakupami.

– Och, wiesz, dziwki, używki, normalka.

– Dlaczego ja cię kocham?

– Bo przynoszę dary.

Zamaszystym gestem wyciąga coś z torby i macha mi przed nosem. Szkicownik.

Serce mi mięknie.

– Noah.

– Stary był zbyt ponury. – Kącik ust podjeżdża mu do

góry w słynnym półuśmieszku. – Pomyślałem, że potrzebujesz nowego otwarcia.

Wspinam się na palce, żeby go pocałować.

– Czekaj – mruczy pod moimi wargami. – Teraz będzie najlepsze.

– Jeszcze lepsze niż to?

Z niedowierzaniem kręcę głową, kiedy Noah bierze mnie za rękę i ciągnie w stronę ławki. Siadam posłusznie.

– Zamknij oczy – rozkazuje.

Zamykam. Słyszę szelest przewracanych kartek szkicownika.

– Dobra. Otwórz.

Otwieram i widzę jakiś rysunek, ale za Boga nie wiem, co przedstawia.

– Chciałem jakoś zainaugurować ten nowy cykl, więc naszkicowałem twój portret.

– Ach! O kurczę! Och... to jest niezwykle, Noah. Dzięki.

– Mmm... – mruczy, przygryzając wargę.

– Ale czekaj. – Obracam rysunek w różne strony. –
Dlaczego mam ogon?

Noah przechyliła głowę i przygląda się swojemu dziełu.

– To nie ogon, tylko ramię.

– Ale dlaczego wyrasta mi z dupy?

Z trzaskiem zamyka notes.

– Nie wyrażaj się.

– A bo co, dasz mi klapsa?

Pochyliła się ku mnie i muska ustami płatek mojego ucha;
chropawy zarost drapie mi policzek.

– To by była nagroda, kochanie, a nie kara – mruczy.

Moje serce już galopuje. Jak zwykle.

– A skoro już o tym mowa, brakowało mi cię rano –
wyznaję.

– Jakoś ci to wynagrodzę. Spakowałaś się?

– Mamy jeszcze czas.

Prawdę mówiąc, nie dojrzałam do tego wyjazdu.

Noah zna moje myśli. Splata palce z moimi.

– Wrócimy tu.

Wiem. Czuję to. Układam się wygodnie, z głową na kolanach Noaha i nogami opartymi o poręcz ławki. Spacerowicze przesuwają się przed nami, ale czujemy się samotni w tym morzu bijących serc i oddychających płuc. Dostrzegam parę unoszącą się ze studzienki na ulicy i niemal widzę już napis formujący się w powietrzu: „Witaj w domu!”. Tutaj możemy pozostać anonimowi. Po prostu normalna para zakochanych młodych ludzi w Nowym Jorku.

Noah bawi się moimi włosami, a ja sięgam do swojej torby i wyciągam w niej książkę. Okazuje się, że to zbiór pytań do testów. Pomyłka. Grzebię dalej i wreszcie trafiam na to, czego szukam – powieść, którą niedawno kupiłam, o nastolatkach obdarzonych nadnaturalnymi zdolnościami. Możecie to nazwać zbieraniem materiałów.

– Co to za książka?

Pokazuję Noahowi okładkę, po czym otwieram książkę na ostatniej stronie.

- Ejże, Maro Dyer, czytasz powieści od końca?
- Jak widzisz.
- Doprawdy, jesteś fascynująca.
- Jestem odmieńcem – mówię, nie podnosząc wzroku. – A to duża różnica.
- Naprawdę? No proszę, czego ja się o tobie dowiaduję? To wszystko zmienia.

Gromię go wzrokiem i z trzaskiem zamykam książkę.

- Ależ czytaj, nie przeszkadzaj sobie.
- Już sobie przeszkodziłam.
- Przykro mi.
- Wcale nie.
- Racja. Ale skoro już mamy czytać, to...

Wykręcam szyję, kiedy Noah pochyla się i zanurza rękę w mojej torbie. Wyjmuje *Tysiąc nieznanych słów*.

- Może być – stwierdza. – Daniel ci dał?
- Skąd wiesz?

– Czekał, przepytam cię.

– Noah...

– Nie, nie, nalegam. – Przerzucił parę kartek. – Dobra, pierwsze słowo: kwintesencja.

– Nie mam ochoty w to grać.

Ignoruje mnie i czyta dalej.

– *Nom de plume?*

– To ma być trudne?

– Faktycznie. Ciekawe, kto napisał tę książkę?

– Wszystko jedno.

Wyrywam mu książkę z rąk i wkładam do torby, po czym wyjmuję notatnik. Oraz słuchawki.

– Co robisz?

Nabieram powietrza w płuca.

– A jak myślisz? Spieszę się na rozmowę do cyrku. Chcę się zaangażować.

– Żaden cyrk cię nie przyjmie. Jesteś za mało

wygimnastykowana. Najpierw musimy poćwiczyć.

Daję mu kuksańca. Mocnego.

– Będziesz szkicować?

– Nie.

– Szkoda, bo myślałem, że mogłabyś porysować do aplikacji French Girls.

– Proszę bardzo, przyślij mi swoje selfie. Popracuję nad nim.

– To może lepiej nie. Serio, co robisz?

– Uznałam, że potrzebuję nowego hobby.

– Będziesz pisać?

– Chcę spróbować.

Czy on musi być taki wścibski?

– Tę autobiografię?

Parę dni temu zawarłam umowę z Rochelle. Ona jest adwokatem, ja przestępcą – czyli układ idealny. Wcześniej uznaliśmy, że Jamie będzie zapewniać nam zasłonę dymną, ale ja zapragnęłam upublicznić nasze

sprawy. Rochelle ostrzegała mnie przed tym, jak przystało na dobrego prawnika, podkreślając brak mocnych dowodów i niebezpieczeństwo pozwów. Oczywiście miała rację. Ja jednak nie mogłam się pogodzić z myślą, że mam po prostu zapomnieć o tym koszmarnym roku. Ludzie powinni się dowiedzieć. Musiałam podzielić się swoją wiedzą.

To Daniel wymyślił, aby opublikować całą historię jako powieść, którą tak naprawdę nie będzie. Obiecałam Rochelle, że pozmieniam imiona i nazwiska, przesunę daty i przyjmę pseudonim. Była sceptyczna, ale wiedziała, że nie zdoła mnie od tego odwieść, więc zamiast tego obiecała pomoc.

Daniel był zachwycony tą ideą. „Metanarracja! O Boże, to fenomenalne”. Jamie odniósł się do niej obojętnie. Noahowi spodobała się zabawa i powiedział, że chętnie się do niej przyłączy.

– Jakbyś ukrywała się w pełnym słońcu – skomentował, kiedy opowiedziałam mu o swoim planie. – Fajne.

– Będę potrzebowała twojej pomocy – powiedziałam. – Nie wszystko dokładnie pamiętam.

– Ja pamiętam.

– Ale musisz mówić prawdę.

- Może mi powiesz, kiedy kłamałem?
- Serio mnie o to pytasz?
- Ranisz moje uczucia. Zawsze byłem szczery do bólu. Boleśnie prawdomówny. Czyżbyś mi nie ufała?
- Ufam ci – odparłam szczerze. – Całkowicie.

Wszystko ustalone, zaczynam pisać. Ciekawe, jak mi pójdzie?

Noah nawija na palec pasmo moich włosów i pociąga, kiedy zakładam słuchawki.

- Wiesz, że nikt ci nie uwierzy?

Wiem, ale to mi zwisa. Po tym wszystkim, co przeżyłam, jedno wiedziałam z całą pewnością – że nie jesteśmy sami. Na całym świecie są inni, podobni do nas. Ludzie, którzy myślą, że są dziwni, inni, zaburzeni, pogrążeni w depresji albo chorzy. I może naprawdę tak jest. Ale równie dobrze mogą być kimś jeszcze. Jednymi z nas. I powinni się o tym dowiedzieć, zanim będzie za późno.

- Trzeba mówić prawdę, nawet jeżeli nikt nie zechce uwierzyć – stwierdzam i z ukosa spoglądam na Noaha. – Komuś moja książka się spodoba, komuś nie, inny nie będzie miał zdania, a jeszcze inny zapomni, że w ogóle

ją czytał. Liczę jednak, że przeczyta ją ktoś taki jak my i dowie się, że nie jest sam. Albo ktoś zwyczajny, kto uwierzy w całą historię i odtąd będzie wypatrywał takich jak my.

– Jaki to będzie rodzaj powieści?

Dobre pytanie. Na pewno nie horror, choć wiele fragmentów będzie przerażających. Ani też fantastyka, bo rzecz dotyczy nauki i zdarzyła się naprawdę.

Leżę z głową na kolanach Noaha i widzę nad sobą jego uśmiech. Czuję jego palce we włosach. Myślę o nim, o Jamiem, o moich braciach i moich rodzicach. O ludziach, którzy byli gotowi zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby mi pomóc, nawet jeśli mnie nie rozumieli. O ludziach, dla których gotowa byłabym zrobić wszystko, bez względu na koszty, nawet gdybym musiała skrzywdzić innych. Przez chwilę wpatruję się w białą kartkę – i już wiem.

To będzie romans. Pokręcony i sensacyjny. Szalony i niedoskonały. Ale nasz. To jesteśmy my. Nie wiem, jak się skończy ta historia, ale wiem, jak się zacznie. Wyjmuję długopis i zaczynam pisać.

Naprawdę nie nazywam się Mara Dyer, ale mój prawnik powiedział, że powinnam się na coś zdecydować.

PODZIĘKOWANIA

Nie jest łatwo dziękować po kolei każdej z osób, które pomagały mi i wspierały mnie w czasie pisania kolejnych tomów. Stworzenie trylogii o Marze Dyer zajęło mi pięć lat i podziękowania należą się całemu tłumowi ludzi. Wszystkich nazwisk nie jestem w stanie wymienić. Wielu z nich podziękowałam już w poprzednich tomach, toteż teraz będę starała się streszczać i nade wszystko nie przesadzać.

Przede wszystkim pragnę podziękować mojemu wydawcy, Christianowi Trimmerowi – i ja, i Mara miałyśmy szczęście, że sprzyjał nam tak błyskotliwy umysł. Dziękuję też całej załodze wydawnictwa Simon & Schuster, dzięki której powstała ta książka. Jeszcze raz wielkie dzięki.

Dziękuję także mojemu agentowi Barry'emu Goldblattowi – Barry, pomagałeś mi dokonywać właściwych wyborów, kiedy skłaniałam się ku niewłaściwym. Dzięki temu książka jest o wiele lepsza, a ja jestem o wiele szczęśliwsza.

Niekończące się wyrazy wdzięczności dla mojej rodziny za cierpliwość i wyrozumiałość, z jaką traktowali mnie w czasie pisania. Nie było łatwo, wiem, toteż jestem

wam niezmiernie wdzięczna.

Jest dwoje ludzi, bez których nie napisałabym tej książki – wiem to, bo próbowałam. Bez ciebie, Lev, nie byłaby tak prawdziwa. A bez ciebie, Kat, jeszcze bym jej nie skończyła. Chyba nigdy bym jej nie skończyła. Ratowaliście mnie wiele razy. Nigdy nie zdołam się wam odwdzięczyć.

I wreszcie podziękowania dla tych, którzy inspirowali różne elementy tej historii. Wasze zasługi są dla mnie nieocenione.

¹ Friedrich Nietzsche, *Poza dobrem i złem: preludium do filozofii przyszłości*, tłum. Grzegorz Sowiński, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012.

² Księga Ezechiela, 25,17, Biblia Tysiąclecia, Poznań, 1998.